# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Nr 7/213-8/214 1965**




*• « La Culture » • Revue mensuelle •*

J. CZAPSKI : **GŁOSY Z DALEKA**
G. DE CERIZAY : **ADWOKATURA PO ROKU**
B. ZAPOROWSKI : **MŁODA INTELIGENCJA PRL**
G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **Z BIOGRAFII DIEGO BALTASSARA**
**ANKIETA "KULTURY"**

# SPIS RZECZY


| | | |
|---|---|---|
| Aleksander Hertz: | *Kennedy i druga rewolucja* | 3 |
| Józef Czapski: | *Głosy z daleka* | 25 |
| Gustaw Herling Grudziński: | *Z biografii Diego Baltassara* | 38 |
| Wacław Iwaniuk: | *Zapiski bywalca* | 61 |
| Jadwiga Maurer: | *Po egzaminie* | 68 |
| Marian Pankowski: | *Królestwo* | 77 |

WIERSZE

| | | |
|---|---|---|
| Józef Brodskij: | *** | 106 |
| — | *** | 106 |
| — | *Na ogrodowy parkan* | 107 |
| — | *Obóz* | 108 |
| Danuta Irena Bieńkowska: | *Niebo* | 109 |
| — | *Piekło* | 110 |

ARCHIWUM POLITYCZNE

| | | |
|---|---|---|
| Juliusz Mieroszewski: | *Zjednoczenie Niemiec i Europy a Polska* | 112 |
| Londyńczyk: | *Kronika angielska* | 118 |

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

| | | |
|---|---|---|
| — | *Ankieta „Kultury"* | 124 |

KRAJ

| | | |
|---|---|---|
| Gaston de Cerizay: | *Adwokatura po roku — czyli zbędni ludzie w służbie przemocy* | 128 |
| B. Zaporowski: | *Młoda inteligencja Polski i jej stosunek do Zachodu* | 133 |

SPRAWY I TROSKI

| | | |
|---|---|---|
| (m. l. d): | *W oczach Londynu* | 152 |

CIENIE PRZYJACIÓŁ

| | | |
|---|---|---|
| Adolf Bocheński: | *Skromna, malutka wojna* | 157 |

KRONIKA KULTURALNA

| | | |
|---|---|---|
| Ludwika Ciechanowiecka: | *Garść wspomnień o jubilacie Strzetelskim* | 179 |
| Stefan Borowski: | *Refleksje śląsko-mazowieckie* | 187 |
| I. A. Langnas: | *Maszyna do pisania — Jok!* | 189 |
| — | *Komunikaty* | 195 |

KSIĄŻKI

| | | |
|---|---|---|
| Józef Łobodowski: | *Pochylony nad „Pamiętnikiem Kijowskim"* | 196 |
| Józef Piotr Jaksiński: | *Nowy tom Iwaniuka* | 208 |
| — | *Krytycy amerykańscy o Antologii Miłosza* | 213 |
| Bohdan Brodziński: | *Książki ekonomiczne* | 215 |
| Bogdan Czaykowski: | *Korboński na emigracji* | 222 |
| — | *Nadesłane nowości wydawnicze* | 227 |
| — | *Wydawnictwa Biblioteki „Kultury"* | 228 |
| Zofia Hertz: | *Humor krajowy* | 231 |

◆

| | | |
|---|---|---|
| E. J. Czerniawski, E. Długoszewski, M. Ginter, G. Herling-Grudziński, W. Kinastowski, W. Kuss, J. Łobodowski, B. Mieczkowski, Z. P. Cimachowicz, J. Zubrzycki, S. Żochowski: | *Listy do Redakcji* | 232 |

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Lipiec-sierpień - Juillet-Août 1965

INSTYTUT LITERACKI

# NOTY BIOGRAFICZNE

Jadwiga MAURER, lat 32, urodzona w Kielcach. Wojnę przeżyła w Polsce. Ukończyła slawistykę w Monachium (doktorat filozofii). Od roku 1959 wykłada na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley językoznawstwo słowiańskie i literaturę polską jako Assistant Professor of Slavic Languages and Literatures.

Publikacje: artykuły o powieści polskiej (Prus, Żmichowska) w języku niemieckim. Po polsku (o Przybyszewskim w „Wiadomościach" londyńskich). Mieszka stale w Stanach Zjednoczonych.

◆

Bogdan ZAPOROWSKI, ur. w 1929 r. w Katowicach. Studia historii rozpoczął w 1949 r. w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Krakowie, przenosząc się następnie do Warszawy. W r. 1953 ukończył Wydział Filozoficzno-Społeczny i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim i pracował kolejno w Centralnym Urzędzie Wydawnictw, w Radzie Czytelnictwa Książki i Prasy przy Prezesie Rady Ministrów, wreszcie w Polskim Radiu w Warszawie. W r. 1957 opuścił kraj; pracował w Bibliotece Uniwersytetu Wiedeńskiego w Wiedniu, a od 1961 r., po wyemigrowaniu do USA, w wydawnictwie „Academic Press" w N. Jorku. Od 1963 r. przebywa w Berkeley, ucząc na wydziale slawistycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego, oraz przygotowując się do doktoratu z zakresu nauk politycznych.

# WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Wanda Trzos, Toronto, Ont. (Kanada) po raz drugi ..... F. 22,50
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada) po raz czwarty ..... F. 45.00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz osiemnasty .... F. 45,00

DZIĘKUJEMY

◆

*Jak co roku bieżący zeszyt „KULTURY" jest podwójny: lipiec-sierpień 1965 r. Zeszyt następny ukaże się w pierwszych dniach września.*

Imprimé en France

# Kennedy i druga rewolucja

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE")

I

Morderstwo polityczne jest czymś bardzo zwykłym w historii naszego świata. Ileż to zamachów wszelkiego rodzaju miało miejsce choćby za życia pokolenia, do którego należę! W pamięci tego pokolenia niezatarcie zachował się fakt zabójstwa pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Ale i młodsze generacje nie mogą się skarżyć na brak takich doświadczeń. Przecież nie ma roku, by opinia nie była poruszona wiadomością o skrytobójczym (lub nie-skrytobójczym) mordzie głowy jakiegoś państwa, wybitnego polityka, generała, dyktatora czy kandydata na dyktatora. Niewiele lat upłynęło od dnia, kiedy ofiarą zamachu padł Mahatma Gandhi.

Zazwyczaj wiadomość o takim mordzie wstrząsa opinią ludzi bardzo mocno. A to szczególnie wtedy, kiedy ofiarą jest człowiek piękny i szlachetny — jak Gandhi czy Narutowicz, i gdy fanatyzm mordercy świadczy o nizinach, do których spada ludzkie zapamiętanie się czy zdziczenie. Następuje w nas uczucie przerażenia i przychodzi głęboka refleksja, jak kruche jest życie człowieka, jak potężny bywa obłęd fanatyzmu, jak bardzo może on decydować o biegu dziejów.

Mam jednak wrażenie, że niewiele chyba z tych wszystkich mordów wywołało wstrząs, dający się porównać z tym, jaki dał się stwierdzić w dniu 22 listopada roku 1963. I żaden z nich nie był tak powszechny, tak jednoczący ze sobą najbardziej odległe kraje, najbardziej zdawałoby się odległych sobie ludzi. Osłupienie i przerażenie były nie tylko udziałem Stanów Zjednoczonych. Nie inna była reakcja mas ludzkich we wszystkich innych krajach, na całym świecie.

Pisał mi przyjaciel z Berna, że w tym arcyspokojnym i zró-

noważonym mieście arcyspokojnej i zrównoważonej Szwajcarii późnym wieczorem 22 listopada na ulicach widać było gromadki ludzi, podnieconych, żywo dyskutujących, wzruszonych. Jak Berno Bernem nic podobnego nigdy się tam nie widziało. Ludzie płakali w Warszawie i w Moskwie, w Rio de Janeiro i w Kalkucie, na Syberii i w Patagonii. Przeszło osiemset tysięcy listów i telegramów otrzymała rodzina zamordowanego Prezydenta. Był tam poemat, sławiący Kennedy'ego, napisany przez działacza robotniczego w Kongo, były listy z Addis-Ababy i z Irkucka, z Japonii i z Cejlonu. Pisali starcy i dzieci. I w te setki tysięcy listów i telegramów nie wchodziły oficjalne kondolencje — rzecz zwykła w takich wypadkach. Nie, to wszystko były reakcje ludzi zwyczajnych, ogółowi nieznanych, ludzi, którzy — jak to powszechnie podkreślali — chcieli w ten sposób wyrazić, że każdy z nich bezpośrednio, osobiście przeżył stratę człowieka bliskiego i drogiego.

W Moskwie, w Warszawie, w Budapeszcie, w Białogrodzie amerykańskie placówki dyplomatyczne były zasypane kwiatami, które przynosili ludzie bezimienni, ludzie, dla których kupno tych kwiatów było poważnym wydatkiem. W Tel Avivie przed konsulatem amerykańskim stały niekończące się sznury ludzi, by złożyć podpis w księgach kondolencyjnych.

Były rzeczy bardziej wstrząsające. Z Włoch przyszła wiadomość, że w Brescii młody uczeń popełnił samobójstwo, bo życie straciło dla niego wszelką wartość, skoro takie wydarzenie było możliwe. Nie, nie sądzę, by którykolwiek z zamachów, o których pamięć zachowałem, wywołał tak potężny i tak uniwersalny wstrząs, jak ten, którego ofiarą padł John Fitzgerald Kennedy.

Niewątpliwie były okoliczności zewnętrzne, które w tym odgrywały rolę. Młodość i wdzięk osobisty Prezydenta, jego rodzina — czarująca żona i dwoje rozkosznych dzieci, miały swoje znaczenie. Telewizja i radio nie tylko przybliżyły wydarzenie do mas ludzkich, ale i je udramatyzowały. To, że mogło się ono zdarzyć w Stanach Zjednoczonych, w kraju naprawdę działającej demokracji, czyniło zabójstwo czymś szczególnie nieoczekiwanym i oszalamiającym. To przecież było w Ameryce, a nie gdzieś w Afryce czy w Azji!

I do tego dochodził bezsens tej zbrodni. Fakt, że strzał wariata mógł spowodować aż takie następstwo, nadawał wydarzeniu w Dallas jakąś metafizyczną aurę, zdającą się świadczyć o irracjonalności życia ludzkiego i całej historii człowieka. Dla pokolenia, w którym mógł rozwinąć się egzystencjalizm, bezsens morderstwa był czymś szczególnie wstrząsającym.

Wszystko to jednak razem nie daje pełnego tła dla rozmiarów i charakteru wstrząsu, jaki nastąpił na wieść o zamachu w Dallas. Musiały tu działać jeszcze jakieś inne momenty. I musiały być one bardzo ważne i głęboko sięgające w rzeczywistość życia współczesnego człowieka.

Postarajmy się do nich dotrzeć i jakoś je przeanalizować. Z powodzi listów i telegramów, jakie napłynęły do pani Kennedy,

bardzo drobna tylko część została do tej pory ogłoszona. W tym jednak, co zostało ogłoszone, mieszczą się pewne wskaźniki, które umożliwiają przynajmniej nieśmiałą próbę takiej analizy. Spróbujmy oprzeć się na nich, biorąc jednak za punkt wyjściowy dzieje krótkiej kariery politycznej Johna Fitzgeralda Kennedy.

## II

Trzeba jasno powiedzieć, że do roku 1960 Kennedy był znany bardzo mało. I to nie tylko poza Ameryką. W samych Stanach Zjednoczonych niezbyt wiele wiedziano o młodym senatorze z Massachusetts. Zaczęto o nim trochę mówić w roku 1956, gdy bez powodzenia ubiegał się o kandydaturę na stanowisko wice-prezydenta. To jednak wtedy nie wyszło. Demokraci mieli kandydatów bardziej znanych i uznanych. A i w roku 1960 Kennedy na Konwencji Demokratycznej nie miał łatwego zadania. Wciąż był za mało znany, był katolikiem, był bardzo młody. Pomogło mu, że drugi główny współzawodnik — Lyndon Johnson — budził duży niepokój wśród wielu liberałów północnych. Był z Texasu! Stanowisko jego w sprawie murzyńskiej nie było jasne. Z drugiej jednak strony właśnie wielu liberałów było za nim. W związkach zawodowych pamiętano, że Johnson był wypróbowanym *New Dealerem*, że wyszedł ze szkoły Roosevelta, dla którego miał prawdziwy kult. W związkach zawodowych Kennedy był mniej znany i uważany za mniej pewnego. I był synem multimilionera o raczej konserwatywnym nastawieniu.

Zwycięstwo swe na Konwencji Kennedy zawdzięczał znakomitej grze politycznej, doskonałemu opanowaniu rzemiosła amerykańskiego politykierstwa i wyjątkowym talentom organizacyjnym. Pomocą w tym były zarówno miliony ojca jak i zdumiewające uzdolnienia strategiczne brata Roberta oraz szwagra Smith'a. W rezultacie wyszedł zwycięsko, pozyskując sobie Johnsona jako swego *running mate*.

Same wybory dały zwycięstwo Demokratom. Było to jednak zwycięstwo „o włos". W głosowaniu powszechnym zaledwie nieco więcej niż sto tysięcy głosów dało przewagę kombinacji Kennedy-Johnson. Nixon był przeciwnikiem bardzo potężnym. Niewątpliwie nie był on postacią popularną. Miał jednak za sobą poparcie wciąż uwielbianego Eisenhowera i miał za sobą legendę „człowieka o wielkim doświadczeniu". Jak się okazało, był bardzo bliski zwycięstwa.

Działały jednak pewne okoliczności, które spowodowały tę minimalną różnicę w głosach i które zadecydowały o przegranej Nixona. Przede wszystkim miał on przeciwko sobie niezależnych liberałów. Otóż w polityce amerykańskiej znaczenie tej grupy jest coraz większe. Obejmuje ona w pierwszym rzędzie wciąż rosnący ilościowo zespół intelektualistów czyli ludzi wykształconych. Ludzie ci niechętnie angażują się osobiście w działalność polityczną. Nie

uważają się za związanych z określonymi partiami, którymi najczęściej szczerze gardzą. Jeżeli głosują, to głosują raczej „przeciw" komuś niż „za" kimś. Dla tej kategorii wyborców Nixon był z gruntu niejadalny. Uważali go za zero, za człowieka bardzo ograniczonego, za typowego politykiera starej szkoły. Mając do wyboru Nixona czy Kennedy'ego, byli zdecydowani. Postanowili głosować przeciw Nixonowi, co w praktyce oznaczało oddanie głosu na Kennedy'ego.

Ale w toku samej kampanii wyborczej motywy, jakimi się niezależni liberałowie z początku kierowali, zaczęły ulegać zmianie. Z głosowania „przeciw" Nixonowi zaczęli przechodzić do głosowania „za" Kennedy'm. W tym zasadniczą rolę odegrały słynne debaty telewizyjne.

Po raz pierwszy w historii politycznej świata telewizja stała się arcydoniosłym instrumentem kampanii wyborczej. Dziesiątki milionów ludzi stały się widzami-słuchaczami — a tym samym *uczestnikami* — wielkiej debaty pomiędzy dwoma kandydatami. Ci kandydaci przestali być symbolami. Jako żywi ludzie weszli do każdego domu amerykańskiego. Słyszano ich i widziano. Zdawali egzamin niezwykle trudny i odpowiedzialny. I z egzaminu tego zwycięsko wyszedł Kennedy.

Nie ulegało wątpliwości, że pod każdym względem górował nad swoim przeciwnikiem. Fenomenalna pamięć, przytomność umysłu, dobre opanowanie każdego zagadnienia i słynny urok osobisty — wszystko to pozyskiwało Kennedy'emu szeroką grupę ludzi wykształconych i liberałów. Ale nie tylko ich. Nixon wychodził blado, często niepoważnie. Był zwyczajnie politykierem starej szkoły. A Kennedy był czymś znacznie większym.

Debaty te miały niewątpliwie wpływ na zwycięstwo Demokratów. Nie było imponujące. Ale nie było przegraną. I — co więcej — nowy Prezydent mógł teraz liczyć na życzliwość zespołów ludzi młodych, żywych, wykształconych, myślących. Ludzie ci — ku swemu zdumieniu — mogli się teraz przekonać, że młody senator z Massachusetts jest jednym z nich, że mówi ich językiem. Coś podobnego przedtem odczuwali w stosunku do Stevensona. Ale Adlai Stevenson nie wierzył w swe zwycięstwo. Kandydował bardziej z poczucia obowiązku niż z wewnętrznego przekonania. Kennedy był nie tylko autorem „Profiles in Courage", był człowiekiem woli i odwagi. Chciał zwyciężyć i wiarą swoją umiał porwać wątpiących.

## III

Tu na miejscu będzie pewna dygresja. Chodzi o rolę, jaką w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych zaczynają odgrywać ludzie, reprezentujący odziedziczone fortuny. Jest to zjawisko raczej specyficzne i posługiwanie się przy jego omawianiu analo-

giami z doświadczeń innych krajów wymaga daleko posuniętej ostrożności.

Przez całe tysiąclecia władza była sprawą świata odziedziczonych fortun. Ludzie tego typu rządzili Rzymem, rządzili Europą feudalną i kapitalistyczną. Do nich należało sprawowanie władzy w monarchiach Wschodu. Stanowili zwarty i zamknięty zespół. Niewątpliwie w zespole tym zachodziły zmiany: pewne fortuny kończyły się, powstawały nowe. Nawet po dziś dzień w Anglii zachowały się tradycje rządzenia w resztkach tego, co stanowiło kiedyś angielskie klasy wyższe. Jednym z ważnych zadań polityki państwowej była obrona fortun, zabezpieczenie możliwości przekazywania ich z pokolenia w pokolenie. A zarazem fortuny dawały szczęśliwym posiadaczom swobodę ruchu, która jest tak ważna w karierze politycznej.

W Ameryce dzieje fortun odziedziczonych nie są dawne. Olbrzymia większość tych fortun jest dziś w rękach wnuków, niekiedy synów, rzadziej — prawnuków. I żywa jest pamięć, jak one powstawały. Istnieje wielka literatura historyczna o poszczególnych fortunach amerykańskich. Stanowi ona lekturę bardzo fascynującą, dla wielu jednak dzisiejszych dziedziców — raczej żenującą. Wyczyny przodków nie zawsze były bardzo chwalebne.

Przodkowie ci byli oczywiście bardzo zainteresowani sprawami politycznymi. Niewielu z nich co prawda brało bezpośredni udział w politykowaniu. To było zbędne. Wystarczały im wpływy, jakie mieli w Waszyngtonie i w stolicach stanowych. Politycy im służyli i wykonywali ich zlecenia.

Niezawsze szło to tak gładko, jak to stara się przedstawić literatura komunistyczna. Buntowali się wyborcy i zdarzali się zbuntowani politycy. Ludzie wielkich fortun niekiedy ponosili porażki, nawet porażki dotkliwe. Ale aż do roku 1929 mogli być pewni swych wpływów politycznych.

Katastrofa roku 1929, okres New Dealu, druga wojna i jej następstwa zmieniły sytuację bardzo radykalnie. Nie tu miejsce na dokładne rozpatrzenie tych zmian. Na kilka momentów warto jest jednak zwrócić uwagę.

Wszystkie te odziedziczone fortuny należą do kategorii „związanych". Amerykański system podatkowy i — w szczególności — prawo spadkowe sprawiają, że stara rzymska zasada własności jako *ius utendi et abutendi* straciła tu swój sens. Fortuny te najczęściej mają charakter fundacji, są kapitałami *in trust*, które z właścicieli robią nominalnych posiadaczy. W rzeczywistości są to wielkie systemy publiczne, a ludzie, których nazwiska one noszą, są ich funkcjonariuszami czy „managerami". Oczywiście ludzie ci mają — lub mieć mogą — duży wpływ na kierownictwo i sprawy tych systemów, ale nie są ich absolutnymi władcami. Mają zapewnione potężne dochody (zresztą ograniczone przez urzędy podatkowe), ale w bardzo tylko ciasnym zakresie mogą wpływać na same kapitały. Nieraz wpływu takiego w ogóle nie mają. Jest też rzeczą pospolitą, że cały ich związek z fortunami sprowadza

się do dochodu — dużego, stałego, zapewnionego, ale zamkniętego w określonych ramach.

Pociąga to za sobą to, że ludzie ci bardzo często faktycznie niewiele mają wspólnego z kierownictwem swych rodowych systemów, czy nawet z udziałem w ich działalności. Ani jeden z Kennedy'ch nie był czynnie zaangażowany w działalności wielkiego imperium gospodarczego, noszącego ich nazwisko. A ze szwagrów tylko jeden jest tam rzeczywiście czynny. To samo da się powiedzieć o Nelsonie Rockefellerze. Zainteresowania zaś jego dzieci wyraźnie idą w kierunku wybitnie pozagospodarczym. W dużym stopniu to samo dałoby się powiedzieć o Lehmanie czy Harrimanie, lub też o rodzinie Lodge'ów. Jedynie Henry Wallace jest rzeczywiście czynny gospodarczo, ale i to dopiero od czasu gdy się całkowicie wycofał z życia politycznego. Jest to zresztą w znacznym stopniu symbioza działalności gospodarczej i naukowo-badawczej.

Oczywiście są to ludzie wolni od wszelkich trosk materialnych. Ba, są to ludzie bardzo bogaci. Należy jednak przez to rozumieć, że mają za sobą potężne zaplecza majątkowe, polegające na olbrzymich wpływach, przemożnych stosunkach, kolosalnych kompleksach gospodarczych, i na wielkich dochodach. Wszystko to razem stwarza warunki pełnej swobody ruchów, daleko posuniętej niezależności, możności poświęcenia się działalności pozagospodarczej.

Rozmiary tych fortun nie są jednakowe. Fortuny Rooseveltów i Stevensonów, a nawet Wallace'ów, są bardzo skromne w porównaniu z fortunami Rockefellerów, Kennedy'ch, Lehmanów, Harrimanów, Lodge'ów czy Lamontów. W każdym razie nawet ci „ubożsi" są ludźmi majętnymi i materialnie niezależnymi.

W jakim stopniu jest to różne od roli, jaką rodowa arystokracja i plutokracja odgrywały — a niekiedy wciąż odgrywają — w życiu politycznym Starego Świata? Przede wszystkim nowa generacja amerykańskich spadkobierców traktuje swoją działalność publiczną bardzo poważnie, niejako — misyjnie. Nie jest to zabawa w politykę, ani nie jest to wykorzystywanie pozycji socjalno-ekonomicznej, ale poważna chęć służenia. To zaś może mieć — jak przypuszczam — swe korzenie w bardzo specyficznych okolicznościach życia amerykańskiego.

Podkreślmy, że amerykańskie kolosy gospodarcze coraz bardziej zatracają swój prywatny charakter. Mówi się nieraz, że w Stanach Zjednoczonych wielkie „korporacje" stają się w praktyce zespołami socjalistycznymi i to w stopniu znacznie większym niż w krajach, w których gospodarka jest określana jako socjalistyczna. Jak sądzę, jest w tym tylko pewna doza przesady. W każdym razie wszyscy ci Kennedy'owie, Rockefellerowie, Lehmanowie czy Harrimanowie przez sam fakt związania z imperiami, noszącymi ich nazwiska, mogli w sobie rozwinąć poczucie odpowiedzialności za wielkie zespoły życia zbiorowego. Do tego zaś dołączał się jesz-

cze i inny moment, który — jak sądzę — może mieć znaczenie większe niż to się na ogół przypuszcza.

Jest nim purytańskie poczucie odpowiedzialności za winy przodków. Pierwsi Rockefellerowie czy Harrimanowie nie byli rycerzami bez zmazy. Byli raczej zwykłymi rabusiami. Liberalizm i radykalizm ich potomków może mieć swe korzenie w poczuciu odpowiedzialności za grzechy dziadów i pradziadów. Fortuny, które się odziedziczyło, nie powstawały *in odore sanctitatis*. Ekspiacją może być służba publiczna w tej czy w innej formie.

Jest rzeczą znamienną, że wszyscy ci spadkobiercy reprezentują różne odcienie liberalizmu czy radykalizmu, sięgającego — jak w przypadku Lamonta — aż do komunizmu. I że są przeważnie Demokratami. Jedynie Rockefellerowie i arystokratyczni Lodge'owie są Republikanami, zaliczającymi się do skrzydła liberalnego. Herbert Lehman był w ciągu swego długiego życia sumieniem liberalizmu w Partii Demokratycznej. Harriman jest czołowym liberałem tej samej partii. Henry Wallace w swym radykalizmie zaszedł bardzo daleko. Liberałem jest Adlai Stevenson. Z imieniem Roosevelta związany jest okres New Dealu. I całe młode pokolenie Kennedy'ch (zostawmy w spokoju starego ambasadora) jest mocno utożsamione z amerykańskim liberalizmem. Jedynie potężny klan Du Pontów jest daleki od liberalizmu, ale też jest bardzo daleki od aktywnego udziału w życiu publicznym.

Wszyscy ci spadkobiercy otrzymali doskonałe wykształcenie. Trzy uniwersytety — Harvard, Yale i Princeton — dawały im wiedzę i podstawową zaprawę intelektualną. A nie są to złe uniwersytety. Można by powiedzieć że trudno o lepsze. John Kennedy uzupełnił swe studia w London School of Economics. Inni dużo podróżowali, odwiedzali wielkie centra kultury.

Są to — prawie że bez wyjątku — ludzie o dużym potencjale intelektualnym. Niektórzy z nich — jak Adlai Stevenson, John i Robert Kennedy — imponują swymi kwalifikacjami umysłowymi. Młodsi z nich — przykładem znów tu będzie John Fitzgerald Kennedy — przeszli przez ogień wojny i pięknie zdali egzamin.

Podkreślenie roli, jaką w życiu publicznym Ameryki odgrywają spadkobiercy wielkich fortun, jest ważne dla zrozumienia postaci zamordowanego Prezydenta i jego epoki. Fortuna, z którą był związany, dała mu i niezależność i pewną postawę życiową, w której poczucie służby i odpowiedzialności nie było bez znaczenia. Uwolniła go też od kompleksów niepewności i braku bezpieczeństwa *(insecurity)*, jakie są plagą nowoczesnej Ameryki i nie tylko Ameryki.

## IV

Rządy Kennedy'ego trwały niecałe trzy lata. Śmierć go spotkała wtedy, kiedy inni są dopiero u progu kariery publicznej. Były to jednak trzy lata niezmiernie ważnie i to, co w ciągu nich nastą-

piło, było bezpośrednio związane z Kennedy'm. Zmarły Prezydent był tu zarówno symptomem zmian, jakie zachodzą w Ameryce i reszcie świata, jak i jednym z motorów tych zmian.

Po śmierci Kennedy'ego ukazała się masa prób ujęcia roli i znaczenia tego człowieka i jego okresu. Do mnie osobiście najmocniej przemówił list do redaktora, jaki kilka dni po zabójstwie ukazał się w „New York Times".

Autorem tego listu był bardzo młody student z Vermontu. W prostych słowach starał się on wyrazić, czym dla jego pokolenia był Kennedy. Młodzieży amerykańskiej — twierdził korespondent „Times'a" — Kennedy dał wiarę w samę siebie, wskazał jej cele ogólne, które do niej przemówiły, i pokazał, jak mogą one być urzeczywistnione. Stał się przez to dla młodych wzorem i inspiracją. Zwątpienie i zniechęcenie, jakie nurtowały w szeregach młodej generacji, dzięki Prezydentowi zostawały przezwyciężone.

Sądzę, że list ten jest dokumentem bardzo ważnym. I wysoce symptomatycznym. Nie tylko dla amerykańskiej młodzieży. Zapewne nie tylko dla młodzieży. John Fitzgerald Kennedy osobą swoją i działalnością wypełniał pustkę moralną, jaka po wojnie wytworzyła się w poczuciu najlepszych jednostek na całym świecie. Pustka ta wynikała z faktu załamania się tradycyjnych koncepcji ideologicznych i tradycyjnych metod postępowania w życiu zbiorowym. Kennedy zarówno samą swoją osobą jak i działalnością dał wyraz potrzebom i dążeniom współczesności. Ten pierwszy urodzony w wieku XX kierownik najpotężniejszego na świecie państwa był człowiekiem drugiej połowy wieku XX. Nie był anachronizmem, ale człowiekiem współczesnym. I za takiego był przyjmowany. W tym — mam wrażenie — jest zasadnicze źródło wstrząsu, jaki nastąpił wszędzie na wieść o jego bezsensownej śmierci.

Zacznijmy od stwierdzenia zasadniczego faktu: Kennedy nie miał nic w sobie z charyzmatycznego wodza czy to okresu międzywojennego czy powojennego. Władzę swoją zawdzięczał nie rewolucji, ale demokratycznemu głosowaniu, w którym z trudem osiągnął minimalną większość. Swe funkcje państwowe wykonywał w największej zgodzie z procedurą demokratyczną i z demokratycznymi obyczajami. Był postacią na wskroś racjonalną. Nie uważał się za Zbawcę i nikt go za Zbawcę nie uważał. Był nieraz ostro krytykowany i krytyki przyjmował z pogodą i humorem. Bez wątpienia był postacią przywódczą, ale w najmniejszym stopniu nie był wodzem. Obce mu były wszelkie zewnętrzne oznaki charyzmy — nie nosił osobliwego munduru (źle się czuł w kapeluszu, ale w tym bynajmniej nie był wyjątkiem), nie był ani dyktatorem wąsatym ani brodatym i w ogóle nie był dyktatorem. Ponosił porażki polityczne i miał niejedną ciężką chwilę w swych stosunkach z Kongresem. Nie uważał się za nieomylnego i przyznawał się do błędów. Kiedy impreza inwazji Kuby zakończyła się kompromitującą porażką, Kennedy całą odpowiedzialność

wziął na siebie. A przecież bardzo łatwo mógł ją przerzucić na poprzednią administrację. Impreza kubańska była spadkiem, który Kennedy odziedziczył po swym poprzedniku.

Nie bał się posunięć stanowczych i ryzykownych. Tak było w czasie kryzysu kubańskiego. Kennedy wykazał tu doskonałe rozpoznanie sytuacji i nie cofnął się przed drastycznymi metodami, wiedząc, że w nich jest jedyna metoda działania. Ale równocześnie umiał zachować umiar. Osiągnął sukces, ale przeciwnikowi dał szansę wycofania się bez „utracenia twarzy".

Był pragmatystą. Starał się osiągnąć to, co możliwe. Jego program — któremu dał nazwę „New Frontier" — „Nowe Pogranicze" — był traktowany praktycznie, bez pompy i wielkich zapowiedzi. W całym ujęciu, w nakreśleniu celów i w ich osiąganiu był to program bardzo praktyczny, bezmała — przyziemny. Sprowadzał się on do kilku zasadniczych punktów.

W zakresie polityki wewnętrznej chodziło tu o pewne postulaty, z których żaden nie był czymś rewolucyjnym czy choćby daleko sięgającym. Ale właśnie ich pragmatystyczny i utylitarny charakter sprawiał, że umiały one przemówić do szerszego ogółu i pociągnąć ku sobie. Były to po prostu rzeczy dojrzałe, sprawy, które czekały na swe załatwienie. I to Kennedy doskonale rozumiał.

W pierwszym rzędzie była tu sprawa równych praw dla Czarnej Ameryki. Nie chodziło tu o żadne innowacje. Chodziło o wprowadzenie w życie tego, co od lat stu figurowało w księgach praw, ale wykonywane nie było. I wykonywane być nie mogło. W kraju nie istniały siły wystarczająco potężne, by domagać się takiego wykonywania. Mało kto o to po prostu dbał.

W Ameryce mówi się dziś o murzyńskiej rewolucji. Oznacza to, że masy Czarnej Ameryki dojrzały, by podnieść głos w sprawie swej faktycznej równości. Istota rzeczy jest w tych zasadniczych przemianach, jakie w tych masach nastąpiły. Przemiany te były możliwe dzięki ogólnym przeobrażeniom społecznym, gospodarczym i kulturalnym, jakie od czasów Franklina D. Roosevelta są udziałem całej Ameryki. Rewolucja murzyńska jest jednym z nurtów tego, co się określa jako Druga Rewolucja. Kennedy umiał te rzeczy zobaczyć i umiał wyciągnąć z nich wnioski praktyczne. Stał się racjonalnym wykonawcą rewolucji, jaka ogarnęła Czarną Amerykę. Ta Czarna Ameryka dojrzała, i dojrzała cała Ameryka. Dłużej zwlekać nie można było. I tu administracja umiała wykazać stanowczość, choć — jeśli inaczej postąpić nie było można — nie wahała się przed kompromisami.

I Czarna Ameryka uznała Prezydenta za swego orędownika. W jej Panteonie John Fitzgerald Kennedy znalazł miejsce obok dwóch innych Prezydentów-Oswobodzicieli — Abrahama Lincolna i Franklina Delano Roosevelta.

W arcybogatej Ameryce 20% ludności reprezentuje tzw. *substandard existence*, czyli żyje poniżej tego poziomu, jaki dla Sta-

nów Zjednoczonych uważa się za przeciętny. Blisko połowa tej masy to mieszkańcy Południa, i wśród nich blisko połowa to Murzyni. Oczywiście chodzi tu o życie poniżej przeciętnej amerykańskiej. To amerykańskie „poniżej" jest jeszcze znacznie wyższe niż przeciętna całej Wschodniej Europy, włączając w to Związek Sowiecki. Niemniej jednak piąta część narodu amerykańskiego nie żyje tak jak reszta, nie osiągnęła tego, co określa się jako „przyzwoite życie" — *decent living*.

Są to różne kategorie ludzkie. Są mali farmerzy południowi, są Murzyni i Portorykańczycy, są bezrobotni i ludzie starzy, korzystający z opieki publicznej. Sprawa bezrobotnych jest szczególnie poważna. W swej ogromnej większości są to bądź pracownicy niewykwalifikowani, bądź pracownicy działów produkcji stopniowo zamierających. Wybitnym przykładem tych ostatnich są górnicy węglowi Pennsylwanii i Zachodniej Wirginii. Rewolucja technologiczna naszych czasów jest nieubłagana dla tych, których jedyną kwalifikacją są ręce do pracy. I jest nieubłagana dla takich działów produkcji jak górnictwo węglowe, i dla takich usług jak kolejnictwo.

Kennedy miał tu program — znów w najmniejszym stopniu nie rewolucyjny. Jego podstawą była redukcja podatków, powiększenie w ten sposób konsumpcji i — w konsekwencji — pchnięcie nowych miliardów w produkcję. Stary to program keynesowski, który mocno przemówił do umysłu byłego ucznia London School of Economics. W parze z tym szła sprawa pomocy lekarskiej dla ludzi starych, rozszerzenie systemu ubiezpieczeń społecznych. W Stanach Zjednoczonych na 18 milionów liczy się dziś ludzi mających ponad 65 lat. Podlegają oni — w swej ogromnej większości — ubezpieczeniom społecznym, otrzymują pensję starczą *(social security)*, ale nie jest to wystarczające.

Ameryka — bardziej niż kiedykolwiek inny kraj świata — jest dziś pod znakiem drugiej rewolucji przemysłowej ze wszystkimi jej konsekwencjami społecznymi i gospodarczymi. Szybko kończy się epoka pracy niewykwalifikowanej. Szanse życiowe mają dziś tylko specjaliści. A to znów wymaga zupełnej reorientacji w zakresie szkolenia pracownika czy przyszłego pracownika. Z kolei wysuwa to na czoło sprawę szkoły, sprawę podniesienia jej poziomu, sprawę rozszerzenia sieci szkolnej. Rząd federalny musi w tej dziedzinie wziąć na siebie poważne obowiązki materialne i organizacyjne. Nie chodzi tu tylko o szkolenie praktyczne, czysto zawodowe. Musi ono iść w parze z kształceniem ogólnym, humanistycznym. I z kształceniem teoretycznym. Inżynier-technik — obojętne w jakiej dziedzinie — zawiedzie, jeżeli nie będzie miał oparcia w teoretyku i jeżeli sam nie będzie zaopatrzony w nabój humanistycznego wykształcenia. Pedagogia amerykańska coraz lepiej z tego zdaje sobie sprawę. W Kennedy'm — humaniście i wychowanku Harvardu — znalazła swego orędownika. Rzecz znamienna, że wielkim wyrazicielem tych dążeń jest Admirał Hyman Rickover — znakomity marynarz, technolog i humanista

w jednej osobie. Dla Kennedy'ego głos Rickovera miał zawsze duże znaczenie.

Tak — w najogólniejszym zarysie — wyglądało „Nowe Pogranicze" w zakresie stosunków wewnętrznych. Do tego dochodził program w dziedzinie stosunków międzynarodowych. I tu Kennedy nie był rewolucjonistą. Był stale człowiekiem praktycznym, który chciał osiągnąć to, co jest osiągalne.

Czym byłaby nowa wojna światowa, o tym dobrze wiedzą i w Moskwie i w Waszyngtonie. Ale brak wojny nie oznacza pokoju. W epoce historycznej, w której żyć nam wypadło, nie można liczyć na prawdziwy pokój. Że tak jest, o tym najlepiej powiedział kryzys kubański i nieprzerwana seria kryzysów we wszystkich możliwych zakątkach tego świata. Chodzi jedynie o to, by w jakimś zakresie stworzyć minimalne warunki dla jakiegoś *modus vivendi* i by dać Ameryce podstawy dla stania na straży tych warunków. Odprężenie — choćby drobne — jest zawsze odprężeniem. I w tym kierunku szły koncepcje polityki zagranicznej Kennedy'ego.

Dwa posunięcia były tu z amerykańskiego punktu widzenia szczególnie ważne. Dla Stanów Zjednoczonych Ameryka Łacińska jest terenem o doniosłości jak najbardziej życiowej. A jest to teren nieprawdopodobnie trudny. Są konieczne zasadnicze reformy, które przyniosą jakąś modernizację tego świata. Stany Zjednoczone gotowe są tu służyć swym doświadczeniem i swymi kapitałami. Tu leżą podstawy koncepcji „Alliance for Progress" — sojuszu dla postępu, który we wspólnej akcji miał związać Stany Zjednoczone i Amerykę Łacińską. Kennedy nie miał złudzeń, że jest to droga nad wyraz trudna i długa. Ale alternatywą mógł być komunizm, który oznaczałby drogę niemniej trudną i długą, a do tego połączoną z cierpieniami człowieka, z reżymem policyjnym, z terrorem i prześladowaniami. I nie dałby gwarancji dobrego rozwiązania. Lekcja kubańska jest tu bardzo wymowna.

Chodzi jednak o rzeczy szersze. Chodzi o to, czy w krajach uwstecznionych druga rewolucja przemysłowa będzie prowadzona przez Waszyngton czy przez Moskwę lub Pekin. Możliwe, że w każdym wypadku byłyby osiągnięte cele zbliżone. Ale metody do tych celów prowadzące byłyby różne. Osobiście jestem przekonany, że przy wszystkich swoich kolosalnych brakach, metody amerykańskie są dla człowieka czymś lepszym niż metody moskiewskie lub pekińskie. Kennedy chciał, by metody amerykańskie zostały praktycznie zastosowane, by były podejmowane, próbowane, choćby początkowo w skromnym zakresie.

Ważnym motywem drugiego posunięcia Kennedy'ego był wzgląd wychowawczy w stosunku do Ameryki. W społeczeństwie amerykańskim istnieje wielki potencjał idealizmu, płynącego zarówno z tradycji purytanizmu jak i z tradycji Pogranicza. Sprawą zasadniczą było jego uaktywnienie przez wskazanie Amerykanom — w pierwszym rzędzie młodzieży — konkretnych celów i dróg ich urzeczywistnienia. Uwstecznione kraje świata, uczestni-

ctwo w rozwijaniu ich przy pomocy metod amerykańskich — oto co mogło przemówić do wyobraźni młodych. W tym mieściła się idea „Korpusu Pokoju" — *Peace Corps*. Idea ta znalazła nieoczekiwanie żywy oddźwięk. W szwagrze swym, Shriverze, znalazł Kennedy wyjątkowo właściwego człowieka, który umiał porwać dla pracy w *Peace Corps* tysiące ludzi młodych (a niekiedy i nie młodych), którzy z całym zapałem oddali się pracy na rozległych kontynentach Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Oczywiście nie wszystko idzie gładko, ale w granicach możliwego dają się tu stwierdzić wcale poważne osiągnięcia.

Podkreślmy raz jeszcze z całą stanowczością: w całej tej filozofii „Nowego Pogranicza" nie było idei rewelacyjnych czy rewolucyjnych. Nie było w tym nic z mesjanizmu, z wielkich haseł obliczonych na wieczność czy tysiąclecia. Były to rzeczy bardzo praktyczne i stale liczące się z tym, co w danych warunkach jest możliwe. Ale były to rzeczy współczesne. Wypływały one z tych przemian, jakie na całym świecie niesie druga rewolucja. W Ameryce jest ona w stadium szczytowym. Kennedy z tego wyciągał wnioski praktyczne. I, wyciągając je, programowi swemu umiał nadać rozmach młodości. Była to jednak młodość człowieka dojrzałego. Połączenie tych dwóch cech — młodości i dojrzałości — trafiało do mas ludzkich i trafiało do młodej generacji. Jak pisał ów młodzieniec z Vermontu — Kennedy stał się wzorem dla młodzieży, wskazał jej cele, był wyrazicielem jej aspiracji.

## V

Wszystko to jednak wciąż nie wyczerpuje tych czynników, jakie złożyły się na obraz Johna Fitzgeralda Kennedy i zaważyły na jego niezwykłej popularności w Ameryce i poza nią. Otóż Kennedy wniósł do Białego Domu dwie cechy, które przed nim tylko do Jeffersona dałyby się odnieść. Były nimi poczucie historii oraz głęboki szacunek dla spraw kultury, kultury zarówno intelektualnej jak i artystycznej. W obu tych sprawach zmarły Prezydent znalazł wyjątkowego pomocnika w osobie swej żony.

Krążył kiedyś dowcip, że Jacqueline Kennedy jest tajną bronią *(secret weapon)* swego męża. Mówiono, że Kennedy, gdy dowcip ten dotarł do niego, był nim zachwycony. Wiadome jest, że w czasie wizyty paryskiej przedstawił się tłumom jako osoba towarzysząca Pani Kennedy. Żart ten powtórzył później raz jeszcze. Nie ulega wątpliwości, że Biały Dom nie znał przedtem takiej *First Lady* jak Jacqueline. Zasiadała w nim postać niezwykła — Eleanor Roosevelt, ale reprezentowała ona walory innego rodzaju, choć niewątpliwie bardzo wielkie.

O Jacqueline Kennedy również da się powiedzieć, że reprezentuje nową generację amerykańskiego świata odziedziczonych fortun. Ojczymowi swemu, Hughowi Auchincloss, zawdzięcza ona zainteresowanie dla sztuki, dla kultury francuskiej przede wszy-

stkim. Auchincloss — stara to i bogata rodzina z New Port — jest znanym kolekcjonerem i człowiekiem wielkiej kultury. Wpływ jego na pasierbicę był bardzo duży. Produkt Vassar, Jacqueline kształciła się dalej na Sorbonie i w George Washington University. Jest osobą wykształconą, o wielkiej kulturze osobistej.

Jest zresztą osobą bardzo nieprzeciętną. Zachowanie się jej w czasie tragedii, jaka spotkała ją i jej dzieci, stworzyło z niej postać legendarną. Ale jeszcze przedtem wpływ jej na młodzież — szczególnie żeńską — był olbrzymi. Wśród przeszło 800 tysięcy listów i telegramów, jakie otrzymała po śmierci męża, był jeden od jedenastoletniej dziewczynki: „Gdy dorosnę — kończył się — chciałabym być taką jak Pani — mężną, majestatyczną i piękną".

Oboje Kennedy'ch łączyło głębokie poczucie historii i odpowiedzialności historycznej. U każdego z nich wyglądało to nieco inaczej, polegało na podkreślaniu innych momentów, ale niemniej miało te same korzenie. I u obojga łączyło się z postawą wychowawczą.

Pamiętajmy, że do zasadniczych powinności, jakie spadają na mieszkańców Białego Domu, należy stawianie przed narodem amerykańskim pewnych zadań historycznych i wskazywanie dróg prowadzących do ich spełnienia. Są to zadania głęboko wychowawcze. Tylko wielcy prezydenci potrafili tym powinnościom sprostać. I w tym zawierał się ważny miernik ich wielkości.

Amerykanie są narodem bardzo młodym. Są narodem przybyszów z całego świata, którzy dopiero na nowej ziemi znaleźli podstawy dla swej drogi historycznej. Poczucie przeszłości, poczucie ciągłości dziejowej i odpowiedzialności wobec dziejów — są to rzeczy dopiero teraz powstające. Wnuk irlandzkiego emigranta miał w sobie niezwykle potężnie rozwinięte poczucie amerykańskiego historycyzmu. I to samo miała jego półfrancuska żona.

Kennedy widział w swej administracji jeden z etapów amerykańskiej drogi dziejowej, jak została ona rozpoczęta przez Pierwszych Pielgrzymów i jak była ona wyznaczona przez Jeffersona, Jacksona, Lincolna, Wilsona i Franklina D. Roosevelta. Głęboki sens historyczny zawierał się w nazwie, jaką wybrał dla swego programu. Dawne, historyczne Pogranicze wyznaczało drogę rozszerzania Ameryki na cały kontynent. Nowe Pogranicze miało iść „w głąb", miało być drogą przebudowy Ameryki zgodnie z wymaganiami współczesności. Ale Nowe Pogranicze miało ze Starym tworzyć jedną ciągłą linię historycznego rozwoju narodu Stanów Zjednoczonych. Jacqueline Kennedy widziała te same rzeczy w nieco skromniejszym zakresie. Oboje uzupełniali się nawzajem.

Najbardziej zewnętrznym tego znakiem było nadanie Białemu Domowi charakteru pomnika narodowej historii. Do czasu Kennedy'ch Biały Dom był po prostu budynkiem, w którym mieszkał Prezydent Stanów Zjednoczonych. Prawie każdy z jego mieszkańców wnosił tu jakieś inowacje, najczęściej zupełnie nie liczące

się z charakterem budynku i jego przeszłością. Zabytkowe meble szły gdzieś na strych, a miejsce ich zajmowały nowe — nieraz tandetne — nabytki. W rezultacie powstała rupieciarnia, bez smaku i wyrazu.

Nowi gospodarze Białego Domu uznali, że tak być nie może. Wygląd Białego Domu stał się sprawą, której z zapałem poświęciła się Jacqueline. Z pomocą przyszedł jej zastęp artystów, historyków, ekspertów od sztuki. Przeprowadzone były drobiazgowe badania historyczne i architektoniczne, zabrano się do poszukiwania starych mebli, obrazów, zabytków historycznych i artystycznych, które były związane z przeszłością budynku. Spotkało się to w kraju z życzliwym oddźwiękiem. W mieszkaniach prywatnych znajdowano zabytki i dzieła sztuki, które tam zawędrowały z Białego Domu w wyniku niedbalstwa i braku zainteresowania. Wkrótce wnętrze budynku zmieniło się zupełnie. Uwieńczeniem tego była telewizyjna wycieczka po Białym Domu, prowadzona przez Jacqueline. Była to świetnie, ze smakiem i kulturą zorganizowana demonstracja dziejów Ameryki, odbitych w siedzibie Prezydenta. Dzięki telewizji dzieje te i ten budynek trafiły do milionów domów Ameryki i poza nią. Jacqueline Kennedy — przewodniczka w tym pokazie — zabłysła tu swą umiejętnością, połączoną z wdziękiem, skromnością i wybitną wiedzą.

Poczucie historii, szacunek dla przeszłości, z której wywodzi się teraźniejszość, były zasadniczym motywem w działalności tej niezwykłej pary małżeńskiej. W każdej mowie Prezydenta były podkreślane związki z wielką przeszłością narodową, było podnoszone poczucie odpowiedzialności wobec niej, było dążenie do wychowania Ameryki jako wielkiej zbiorowości narodowo-historycznej. Było to całkowicie wolne od wszelkiego szowinizmu, od narodowej tromtadracji, od fałszowania przeszłości. Kennedy — sam z wykształcenia historyk — był wrogiem zasady, że naród można wychować kłamstwem. Co w przeszłości było złe, nie mogło być ukryte czy zakłamane. Jedną z właściwości historiografii amerykańskiej jest to, że umie być krytyczna wobec przeszłości narodowej. Do odbrązowienia ma niewiele, albowiem ubrązowanie nie było nigdy jej właściwością.

## VI

Zmysł historii ściśle się łączy ze stosunkiem do kultury i jej spraw. Z wyjątkiem może jednego Jeffersona nie było w dziejach Ameryki Prezydenta, dla którego zagadnienia życia kulturalnego byłyby czymś tak zasadniczym, jak były one dla Kennedy'ego. Kultury i intelektu. Kennedy doskonale rozumiał, że współczesne życie narodowe wymaga dla swego kierownictwa potężnych podstaw intelektualnych, że bez wiedzy, szczególnie wiedzy teoretycznej, nie potrafi ono rozwiązać wielkich zagadnień, jakie przed nim stoją. Sam będąc pragmatystą, swój pragmatyzm logicznie

łączył z zainteresowaniami teoretycznymi. I tu znów występowała jego postawa wychowawcy.

W mitologii amerykańskiej „praktyczne" zajmuje miejsce naczelne. Jest to mitologia sukcesu, mierzonego w konkretnych osiągnięciach materialnych i społecznych. Postacią uznaną i szanowaną jest *businessman*-praktyk, któremu się powiodło. Eisenhower w swej polityce personalnej był w zgodzie z tradycyjnym wzorem amerykańskim. Miał on głębokie zaufanie do ludzi praktycznych i chętnie otaczał się nimi. W jego przekonaniu — jest ono wciąż podzielane przez miliony Amerykanów — człowiek, który się wykazał jako kierownik wielkiej organizacji przemysłowej czy handlowej, potrafi bez wątpienia wykazać się i na polu działalności publicznej. Ma praktykę, ma doświadczenie — są to rzeczy stokroć ważniejsze od teoretycznego wykształcenia. Mit doświadczenia był zasadniczym elementem kampanii wyborczej Nixona i zapewnił mu miliony głosów.

W przeszłości Ameryki była faktycznie jedna jedyna poważniejsza próba sięgnięcia do pomocy intelektualistów-teoretyków. Był to słynny *brains-trust* Roosevelta. Szczególnie w okresie swej pierwszej kadencji Roosevelt starał się przyciągnąć do siebie cały zastęp młodych intelektualistów, głównie ekonomistów. Z nich wielu i później brało udział w działalności publicznej, nawet — jak ex-profesor ekonomii Senator Douglas — w aktywnym życiu politycznym.

Następni Prezydenci tylko w sporadycznych wypadkach korzystali z pomocy intelektualistów i to głównie w tych dziedzinach, w których konieczne były kwalifikacje teoretyczne. Za czasów Eisenhowera pewną rolę odgrywał jego brat Milton, prezydent jednego z *college'ów*. Była to jednak rola raczej doradcza.

Kennedy od razu otoczył się intelektualistami. Byli to przede wszystkim profesorowie jego własnej Alma Mater. Mówiono, że nowy Prezydent ogołocił Harvard z najwybitniejszych profesorów tej znakomitej uczelni. Ale do Waszyngtonu licznie byli powoływani ludzie z Yale i Princeton, z Columbii i MIT, z Berkeley i Chicago, i z całej masy innych wielkich ośrodków wiedzy. Ludziom tym były powierzane nie tylko stanowiska doradcze. Jeden z nich został Sekretarzem Stanu, innym oddawano całe wielkie działy polityki i administracji państwowej. W olbrzymiej większości były to nominacje doskonałe. Ameryka ku swemu zdumieniu przekonała się, że intelektualista osiąga wyniki praktyczne nie gorsze od praktyka, a często — znacznie lepsze.

I w tym był sens przełomu wychowawczego, jaki osiągnął John Fitzgerald Kennedy. Jak zawsze, były tu i momenty praktyczne. Życie współczesne jest zbyt skomplikowane, by o jego biegu mogli decydować tzw. praktycy. Najważniejsze i najsubtelniejsze jego dziedziny są z reguły zagrożone, jeżeli zostaną podporządkowane politykom. Jakie tego mogą być następstwa, o tym najlepiej mówią doświadczenia sowieckie. W epoce drugiej rewolucji rola intelektualistów-teoretyków musi być szczególnie wielka.

Kennedy rozumiał to doskonale i stąd tak programowo i tak stanowczo podkreślał tę rolę. Chodziło mu o względy praktyczne — stał na czele współczesnego społeczeństwa w epoce drugiej rewolucji, i chodziło mu o względy wychowawcze — przełamanie w tym społeczeństwie tradycyjnych oporów i nieufności.

Patrzał jednak szerzej i dalej. Chodziło mu o podniesienie na miejsce najwyższe wartości kultury w ogóle. Już w samej jego Inauguracji był jakiś nowy moment. Jednym z centralnych jej punktów był udział Roberta Frosta i wiersz przez niego odczytany. Był w tym i czynnik osobistego stosunku do Frosta: Kennedy był wielkim wielbicielem tego arcy-amerykańskiego poety. Ale równocześnie nowy Prezydent chciał pokazać społeczeństwu, że sprawy poezji i sztuki są czymś niezmiernie doniosłym dla życia narodowego. W udziale Frosta w Inauguracji był mocny akcent kulturalny, zapowiedź, że nowa administracja będzie miała przed sobą cele nie tylko polityczne i nie tylko gospodarczę.

A trzeba pamiętać, że sprawy poezji i sztuki w całokształcie życia amerykańskiego wciąż odgrywały rolę podrzędną. Kraj wspaniałej literatury, imponującej plastyki, jeden z największych na świecie ośrodków kultury muzycznej, kraj przodującego muzealnictwa i bibliotekarstwa, pionierskiej architektury — Ameryka w swym życiu publicznym wszystko to traktowała jako coś podrzędnego, jako zabawkę dobrą dla kobiet, ale nie godną ludzi poważnych, ludzi praktycznych. W Stanach Zjednoczonych od dawna — właściwie od samego początku ich dziejów — wytworzył się swoisty podział: rzeczy „poważne" należały do mężczyzn, sprawy kultury były domeną kobiet. Z nich głównie rekrutował się świat czytelników książek, one to pasjonowały się teatrem i muzyką. Jeżeli mężowie im w tym towarzyszyli, to było to raczej formą konwencji rodzinno-towarzyskich. Oczywiście i wśród mężczyzn byli ludzie wyrafinowanej kultury, ale w ogólnym wzorze amerykańskiego życia zbiorowego sprawy kultury — szczególnie kultury artystycznej — były pozostawione kobietom.

Zadaniem Kennedy'ego było pokazanie całej Ameryce — włączając w to jej męską połowę — że sprawy kultury i sztuki są nadzwyczaj ważne, że bez nich żyć nie można, że naród, który je sobie lekceważy, nie może się rozwijać, nie może mieć pretensji do przodownictwa.

I tu znów Prezydent znalazł pomoc w swej żonie. Wykazała ona wybitny talent organizatorski, czyniąc z Białego Domu wielki ośrodek działalności kulturalnej. Poeci, malarze, muzycy, architekci byli tu stałymi gośćmi. Pablo Casals i inni wielcy artyści stali się bliskimi przyjaciółmi. Odbywały się koncerty, przedstawienia teatralne, pokazy artystyczne. Biały Dom urządził specjalne przyjęcie dla amerykańskich laureatów Nobla. Było to niezwykłe zgromadzenie. Okazało się, że Ameryka w tej chwili ma przeszło czterdziestu laureatów Nobla. Samo tylko Berkeley ma ich wśród swych profesorów jedenastu.

Względy polityczne nie wchodziły tu zupełnie w grę. Linus Pauling poszedł na przyjęcie do Białego Domu bezpośrednio po tym jak przechadzał się przed tym budynkiem, „pikietując" w zbiorowej demonstracji przeciwko broni atomowej. I był przyjęty z całą rewerencją, na jaką zasługuje. Kennedy silnie podkreślił swą życzliwość dla Roberta Oppenheimera i zwalczał uprzedzenia polityczne, jakie istniały w stosunku do tego wielkiego uczonego.

Wszystko to oznaczało stosunek do kultury jako do kultury, do sztuki jako do sztuki, do literatury jako do literatury. Oboje Kennedy byli jak najbardziej dalecy od idei kultury „zaangażowanej". Ani Kennedy ani jego żona nie mieli w sobie nic ze stosunku Chruszczowa do sztuki. Nie uważali się za krytyków, za mentorów, za arbitrów. Chcieli jedynie służyć sprawom życia kulturalnego, chcieli, by zajęły one należyte miejsce w świecie współczesnej Ameryki.

I w tym mieli kolosalne powodzenie. Po śmierci Prezydenta ktoś tak pisał o jego żonie: „Dla współczesnych kobiet zrobiła ona więcej niż sufrażystki... choćby tylko przez pokazanie, że rzeczy piękne, które radują duszę kobiety, są czymś doniosłym dla reszty świata". Sądzę, że w słowach tych mieści się ocena roli wychowawczej obojga Kennedy'ch w zakresie kultury i sztuki. Pokazali oni, że są to sprawy bardzo doniosłe.

## VII

Wszystko to jednak wciąż nie daje pełnego wyjaśnienia okoliczności powstania *światowej* legendy Kennedy'ego. By taka legenda mogła powstać, musiały zachodzić jeszcze inne momenty o znacznie szerszym zasięgu. Mam wrażenie, że momenty takie istniały w postaci pustki ideowo-moralnej, jaką odczuwa młode pokolenie na całym świecie. Kennedy swoją postacią i działalnością pustkę tę jakoś wypełnił, dał jakieś treści, jakich młodzież — a i nie tylko młodzież — była spragniona.

Pustka, o której jest mowa, jest następstwem załamywania się tradycyjnych ideologii, które wiek XIX przekazał XX-mu. Ideologie te wypełniały serca i umysły mas ludzkich pierwszej połowy wieku XX. Dziś są w stanie rozkładu, pozostawiając po sobie próżnię moralną i gorycz zwątpienia.

Po wieku XIX wiek XX przejął dwa wielkie systemy ideologiczne. Był to nacjonalizm z jego faszystowską konsekwencją, i był to marksizm z jego konsekwencją komunistyczną. Przy wszystkich swych teoretycznych rozbieżnościach oba te systemy miały wiele wspólnego.

Były to systemy religijne, systemy integralne i systemy zorganizowane. Wszystkie te trzy momenty *in nuce* istniały u samych początków każdego z nich. Rozwinęły się one i doszły do postaci szczytowej w faszyzmie i komunizmie.

Nie ulega wątpliwości, że oba te systemy i walka ich ze sobą przez lat kilkadziesiąt stanowiły o klimacie duchowym znacznej części naszego świata. Było to szczególnie słuszne w odniesieniu do Europy, ale w poważnym stopniu miało wpływ na Amerykę i Azję. Służyły one za inspirację dla młodszych i starszych, dawały wizję przyszłości, wyznaczały cele, do których osiągnięcia się dążyło, i ideały, którym się służyło. A zarazem tworzyły potężną więź organizacyjną, skupiającą w jednym szeregu milionowe masy ludzkie.

Druga wojna światowa zakończyła się klęską faszyzmu. Nie tylko klęską, ale i nieprawdopodobną kompromitacją. Faszyzm — przede wszystkim w swej najohydniejszej formie hitleryzmu — ponosił odpowiedzialność za wojnę, za jej bezgraniczne cierpienia, za zbrodnie, jakie w jej czasie były popełniane. Była to jednocześnie zupełna kompromitacja tradycyjnej filozofii nacjonalizmu. Filozofia ta, wywodząca się od Fichtego i Hegla, przeszła drogę, która poprzez Maurrasa i Corradiniego zaprowadziła do Hitlera i Rosenberga. W pierwszych etapach miała ona oblicze egzageracji narodowej, mistycyzmu i mesjanizmu narodowego, zakończyła się rasizmem w jego najbardziej barbarzyńskiej i irracjonalnej postaci.

Byłoby naiwnością przypuszczać, że w naszych czasach nacjonalizm skończył się bez reszty. Jest on wciąż żywy wśród narodów „młodych" — w Afryce, Azji i Ameryce Południowej. Nieraz przybiera on tam formy mistyki rasistowskiej, jak to ma miejsce wśród Arabów, w Chinach, w Afryce. Że mogą temu towarzyszyć objawy okrucieństwa i mordu, o tym najlepiej mówią doświadczenia plemiennej Afryki. Nigdzie tam jednak nie wytworzyły się te integralne i uniwersalne systemy, jakie tak dobrze nam były znane z doświadczeń przedwojennej Europy. Są to konwulsje, towarzyszące wielkiemu przewrotowi, który najbardziej prymitywne formy zbiorowego bytowania ma szybkim skokiem przemienić we współczesne społeczności narodowe. Czy skok ten się powiedzie, czy konwulsje te nie będą ceną zbyt wielką — jest zupełnie innym zagadnieniem.

Ale w reszcie świata nacjonalizm jako zwarty system ideologiczny ma dziś bardzo mało ze swej dawnej dynamiki i wyraźnie zatracił swoją atrakcyjność. Nie oznacza to, by nie zostały się po nim ślady. W powojennych Sowietach powtarzają się próby łączenia komunizmu z rosyjskim nacjonalizmem. Jednakże — choć jest w tym niemało z mistyki narodowej i z rosyjskiego mesjanizmu — nie ma to charakteru jakiegoś zwartego systemu filozoficznego. Wiele jest też w tym z politycznego utylitaryzmu. Związek Sowiecki po carskiej Rosji przejął koncepcję Trzeciego Rzymu, choć nadał jej nieco odmienną postać zewnętrzną. Trzeba też pamiętać, że rosyjski Trzeci Rzym ma potężnego konkurenta w postaci Trzeciego Rzymu chińskiego.

W krajach satelickich nacjonalizm jest raczej postacią obronnej reakcji przeciwko Moskwie i jej kulturalnej i politycznej za-

chłanności. Jest to szukanie „własnej drogi", co najlepiej znalazło wyraz w Jugosławii. Ale znów jest to bardzo dalekie od postaw i filozofii przedwojennych.

Nie będzie więc przesadą, gdy się powie, że w narodach współczesnej cywilizacji wielkoprzemysłowej nacjonalizm załamał się zupełnie. Nie mam wrażenia, żeby nawet we Francji był on traktowany zbyt poważnie. A na pewno nie jest nie jest on traktowany poważnie w Anglii, ani w krajach skandynawskich, ani w Stanach Zjednoczonych, Australii i Nowej Zelandii. I wiele zdaje się świadczyć za tym, że młodzież niemiecka od niego odeszła.

Nacjonalizm wyraźnie zatracił urok intelektualny, jaki kiedyś posiadał. Na tle naszej epoki dziwacznie i śmiesznie brzmią koncepcje *sacro egoismo*, „posłannictwa narodowego" itp. Trudno sobie wyobrazić, by dziś wielu młodych Niemców mógł porwać bełkot Hitlera albo Rosenberga, by ich nawet mógł pociągnąć Fichte czy Treitschke. Nie przypuszczam, by wielu młodych Włochów mogło znaleźć inspirację w elukubracjach Corradiniego, a wielu Francuzów w pismach Maurrasa i jego przyjaciół. I nie sądzę, by do wielu młodych Polaków mogły przemówić takie utwory jak „Egoizm narodowy" czy „Myśli nowoczesnego Polaka". Są to dziś rzeczy nieczytelne, absurdalne i przygnębiające. Historia zrobiła z tego wszystkiego ponurą makulaturę, do której wracać nie można.

Jako system ideologiczny komunizm intelektualnie miał bezsporną przewagę nad nacjonalizmem. Wychodził on od Marksa, który był jednym z największych myślicieli wieku XIX i którego pozycja w dziejach myśli ludzkiej będzie trwała. A równocześnie komunizm nie spotkał się z katastrofą polityczną. Co więcej — jako system zorganizowanych wierzeń i opartych na nich działań zbiorowych potrafił on podporządkować sobie dużą część naszego globu. Nie mniej jednak — znów na terenie cywilizacji wielkoprzemysłowych — przechodzi on w stan pełnego kryzysu. Jest to wyraźne nawet tam, gdzie komunizm jest uznaną formą rządzenia, a marksizm jedynym systemem filozoficznym, przyjętym jako obowiązujący. Ale to co obowiązuje, i to co rzeczywiście jest istniejące, nie są rzeczami identycznymi.

Przy całym swym geniuszu Karol Marks jest dziś postacią historyczną. By go ocenić i by ocenić jego filozofię, trzeba zastosować kategorie i metody marksizmu, czyli — trzeba człowieka i jego idee widzieć i oceniać na tle epoki, z której wyszli.

Marks był produktem epoki tworzącego się kapitalizmu. Epokę tę umiał znakomicie zanalizować. Niestety był Niemcem i był ukształtowany przez heglizm. W Anglii osiadł późno, gdy filozofia jego była już całkowicie uformowana. Jako heglista myślał kategoriami absolutu. Obcy mu był anglosaski empiryzm i pragmatyzm. I stąd w znakomicie przez siebie rozumianych procesach i tendencjach swej epoki widział absolutne procesy i tedencje historyczne. I zakładał, że zawierają się w nich normy i reguły całego dalszego rozwoju historii ludzkiej. W tym była funda-

mentalna słabość jego systemu. Była to zresztą fundamentalna słabość wszystkich innych systemów, opartych na koncepcji absolutu. Marks był przekonany, że to, co było właściwe dla połowy wieku XIX, będzie obowiązujące dla połowy wieku XX. I dla całego dalszego rozwoju dziejów.

Tym przewidywaniom nie odpowiedziały fakty doświadczenia. Kapitalizm przeobraził się, ale nie tak jak to przewidywał wielki myśliciel. Polaryzacje gospodarcza i społeczna nie rozwijały się i nie doprowadziły do krańcowego zaostrzenia się kontrastów i konfliktów klasowych. Rewolucja społeczna nie stała się udziałem Anglii czy Niemiec, ale uwstecznionej Rosji, do której możliwości rewolucyjnych Marks i Engels odnosili się z wyraźną pogardą. Systemy kolonialne uległy samolikwidacji (z wyjątkiem sowieckiego), albowiem zatraciły swój sens w ramach współczesnych organizacji gospodarczych.

Nie jest rzeczą przypadkową, że w świecie zachodnim partie socjalistyczne odchodzą od Marksa i marksizmu. Nie jest to następstwem tego, że są one kierowane przez zdrajców, ale tego, że w dawnej formie przestały odpowiadać potrzebom i dążeniom robotników. Ci bowiem nie tylko że się nie rewolucjonizują, ale faktycznie stają się elementem wybitnie konserwatywnym. I to nawet tam, gdzie ich formą polityczno-organizacyjną są stronnictwa noszące nazwę komunistycznych.

Bardzo wątpię, by współczesna inteligencja komunistyczna mogła z pism Lenina czerpać większą inspirację, niż współczesna inteligencja niekomunistyczna — z pism Maurrasa, Corradiniego czy Dmowskiego. I nie sądzę nawet, by pisma Lenina były dziś naprawdę czytane. Pomijam tu oczywiście obowiązkową szkolną lekturę odpowiednio dobranych wyjątków z tych pism. Są to jako całość rzeczy niezbyt czytelne, często rażące swoją naiwnością i nierozumieniem historii.

Coraz wyraźniej anachronistyczny charakter filozofii marksizmu-leninizmu stał się punktem wyjściowym dla różnych prób rewizjonistycznych. Jak dotąd wyniki ich są bardzo skromne, i same one więcej mówią o fakcie kryzysu ideologicznego niż o jego przezwyciężaniu. Aby system dziewiętnastowieczny uczynić systemem współczesnym, trzeba go przystosować do warunków realnych wieku XX. Ale taka modernizacja musiałaby przyjąć za punkt wyjściowy odrzucenie samych założeń systemu. To zaś godziłoby bezpośrednio w grupy rządzące, które w tych założeniach znajdują racjonalizację swego istnienia i stanu posiadania. Jednakże w krajach nie-komunistycznych, szczególnie w krajach, w których w całej pełni zachodzi druga rewolucja, względy takie nie istnieją. Stąd kryzys marksizmu-leninizmu jest tu z każdym dniem coraz wyraźniejszy.

Przyśpieszyły go i udramatyzowały pewne wypadki historyczne. „Rewelacje" Chruszczowa na XX Kongresie, powstanie węgierskie, spór Moskwa-Pekin, atak Chin na Indie itp. — wszystko to dawało uzasadnienie dla wątpliwości, jakie już przedtem

istniały. Racje, jakim posłużył się Howard Fast, motywując swe zerwanie z komunizmem, mogą tu służyć za typową ilustrację. Komunizm zatracił swój urok. Przestał być systemem ideologicznym, który młodszej generacji inteligencji świata zachodniego mógł dać jakieś treści moralne.

Mam wrażenie, że nie bez znaczenia był tu i oficjalny stosunek Sowietów do sztuki i literatury. Dla całej masy ludzi są to sprawy bardzo ważne. Jest wiadome, że w przeszłości — szczególnie w latach dwudziestych — zagadnienia artystyczne były ważnym motywem zbliżającym wielu intelektualistów europejskich i amerykańskich do komunizmu. Socrealizm wywołał tu wstrząs bardzo silny. Z jednej strony narzucał on twórcy bardzo sztywne ramy, ograniczające jego swobodę, nakazujące mu tworzyć tak a nie inaczej. Z drugiej strony to, co narzucał, było próbą nawrotu do przeszłości, dawno przezwyciężonej i odrzuconej. Nie jest przypadkowe, że przywódcy komunistów francuskich i włoskich odnieśli się bardzo krytycznie do artystycznych ocen Chruszczowa. Znali swoje kraje i nie lekceważyli sobie roli intelektualistów.

## VIII

Symptomami pustki ideologicznej, spodowanej przez kryzys dwóch wielkich tradycyjnych systemów ideologicznych, są takie prądy i zjawiska jak — egzystencjalizm (w swej formie popularnej), beatnikowstwo, cynizm młodych i upadek wśród nich zainteresowań społecznych. Oczywiście wszystkie te zjawiska mają różne źródła, ale — jak sądzę — jednym z najważniejszych jest pustka ideologiczna naszych czasów. Nie są to zjawiska wyłącznie właściwe światu „kapitalistycznemu". Ich odpowiedniki doskonale dadzą się zaobserwować i w krajach komunistycznych. Jeżeli zachodzą tu jakieś różnice, to są one bardziej w nazwach niż w tym, co się pod nimi kryje.

Ale bez ideałów żyć nie można. Młodzież ich szuka, gdy nie znajduje — męczy się i zatraca. Niekiedy znajduje namiastki. Rock'n'roll, twist itp. są tu przykładami. Niekiedy są one szlachetniejszej natury, jak masowy pęd wśród młodzieży amerykańskiej do muzyki i piosenki ludowej. Zawsze jednak są to tylko namiastki.

Młodzież jest radykalna i byłoby fatalne, gdyby radykalną nie była. Młodzież, która mówi o sobie, że jest konserwatywna, budzi we mnie uczucie głębokiego przygnębienia. Na szczęście jest to przeważnie konserwatyzm pozorny. Wśród młodych wyznawców filozofii Senatora Goldwatera nie brak jest romantycznych marzycieli.

W momencie tej wielkiej pustki ideologicznej zjawił się John Fitzgerald Kennedy. Miał w sobie to, co młodej generacji odpowiadało i czego ona szukała. Przede wszystkim miał właściwości człowieka współczesnego.

Czy był on wielkim człowiekiem? Na to odpowiem, że nie wiem. Nie jest dla mnie jasne„ jakie są kryteria wielkości. Ileż to było wielkości krótkotrwałych, o iluż to ludziach mówiło się, że są wielcy, by potem szybko ich przenieść do lamusa zapomnienia lub nawet pogardy! Ocenę wielkości zostawmy historii, niezawsze zresztą w swych werdyktach zgodnej i sprawiedliwej.

Jedno wszakże zdaje mi się pewne: John Fitzgerald Kennedy nie był anachronizmem. I pod tym względem różnił się znacznie od współczesnych mu kierowników wielkich potęg światowych. Wszyscy oni — Chruszczow i Macmillan, Adenauer i de Gaulle, Mao Tse-tung i Nehru — byli produktami epoki minionej. Chodzi tu nie tylko o sprawę wieku, o to, że Kennedy był o tyle od nich młodszy. Ważniejsze jest to, że ludzie ci w swych konstrukcjach psychicznych należeli do czasów, które dziś szybko mijają. I żaden z nich psychicznie nie umie się przystosować do naszej ery, do ery drugiej rewolucji.

Dzieciństwo i młodość Kennedy'ego przypadły na okres międzywojenny. Jego dojrzałość umysłowa przyszła po drugiej wojnie światowej. W swych doświadczeniach osobistych był on wolny od atmosfery wieku XIX, wieku, który skończył się w roku 1914. Należał on do nowej generacji, do generacji współczesnej, ze wszystkimi jej wadami i zaletami.

I to — jak sądzę — sprawiało, że umiał on na siebie zwrócić uwagę ludzi swego czasu, że był im bliski i zrozumiały. Należał do epoki niezwykłych i gwałtownych przemian, epoki wielkiej płynności wszelkich wartości, epoki pełnej sprzeczności. W epoce tej stare i uznane wartości szybko kończyły się, a nowe były dopiero *in statu nascendi*. W tym świecie płynnych wartości Kennedy reprezentował jakiś element stałości i trwania, a równocześnie całą swoją osobą i działalnością umiał nowym, tworzącym się wartościom nadać jakieś sformułowanie i umiał wykazać w sposób prosty i konkretny, że one się wyłaniają.

Wiedział, że świat, w którym żyjemy, nie jest doskonały i być nim nie może. Miał pełną świadomość wad i braków życia amerykańskiego. Starał się je poprawić w granicach możliwości, pamiętając, że do doskonałości nie dojdziemy. Nie był utopistą.

Mam wrażenie, że w tym przede wszystkim mieści się odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzkość tak zareagowała na wypadek z dnia 22 listopada roku 1963. Bezsensowny strzał szaleńca usunął człowieka, który — jeden jedyny jak dotąd — symbolizował nasze czasy, który nie był anachronizmem, który umiał znaleźć dla siebie miejsce przywódcze w ramach drugiej rewolucji.

*Aleksander HERTZ*

# Głosy z daleka

Chciałem ten artykuł zatytułować „Głosy wśród nocy", plagiat umyślny, ale zdaje się, że tytuł byłby nie tylko plagiatem, byłby nieścisły, bo czy na pewno „wśród nocy"?

Rosja dzisiejsza to nie ta, którą opuściłem 23 lata temu, tamta Rosja była stalinowska ale także wojenna, więc z szalonymi nadziejami na powojenne przemiany.

W jej niezmierzonym wnętrzu ileż było od tego czasu przemian i wydarzeń?

Spotkałem ostatnio sporo młodych Polaków, którzy byli w Związku Sowieckim, krócej lub dłużej. Uderzyła mnie zupełna inność ich stosunku do Rosji w porównaniu z ludźmi mego pokolenia. W mojej generacji wspomnienia obozowe i wojenne, potem lata sprzed 56 roku w Polsce, urazy nowe, krzywdy nowe, wrośnięte w urazy i krzywdy stare, wszystkie tyczące Rosji problemy i zapytania, stokrotnie w mojej generacji dyskutowane, i po latach skostniałe w sztywne formułki, dotknęły zaledwie tę młodzież. To wszystko dla nich doświadczenia starych, nie ich własne, więc prawie się nie liczą.

Samo doznanie młodych oczu, instynktu, bezpośrednie, niezaciemnione przez z góry przyjęte wnioski — *to* dla nich znaczy. Znają oni Rosjan zadziwiająco mało, o ile mniej niż moja generacja czy generacja moich ojców. Mówią mi o Rosji jak o Indianach z interioru brazylijskiego, których tylko co w dzikiej puszczy odkryli. Przy tym propaganda sowiecka w Polsce zdaje się nauczyła tę młodzież w nic z tego co im mówiono stamtąd nie wierzyć. (Przypomina mi się dziewczynka — autentyczne sprzed 10 laty — która w Warszawie wracając ze szkoły z koleżanką pękała ze śmiechu. — Czego się śmiejesz — pyta matka. — Nauczycielka nam mówiła, że szkło się robi z piasku. No, ale cóż mamusiu, ona *musi* tak mówić!)

Ich oceny i sądy oscylują jak igła magnetyczna.

„W pierwszej chwili miałem wrażenie, że Rosjanie to nie ludzie — mówi mi jeden z nich — „te frazesy propagandowe, te powtarzania mechaniczne zawsze tych samych sztanc"!

I chwilę potem:

„już w pierwszych dniach spotkałem wśród nich inteligencje zupełnie wybitne! Ależ oni wszystko rozumieją, interesują się światem, Polską, czują, że ten ich obowiązujący zespół dogmatów jakoś nie gra. Ale tych właśnie do nas nie puszczają".

„Po co chcecie jechać do Polski? — mówią im — Tam *sawsiem nie intieresno*".

Z drobnych scen ulicznych, rozmów, spojrzeń, uśmiechów, kradzionych spoza parawanu opiekunów Inturista, wyłania się im Rosja nowa i wieczna, która znowu budzi pragnienie zbliżenia i dialogu. Uderzała ich w Rosji nędza nieopisana (przedmieścia Moskwy):

„Warszawa — ależ to Paryż w porównaniu!"

Zachwycała wrażliwość Rosjan na sztukę, ich entuzjazm, nienasycony głód informacji prawdziwych, widoczny sceptycyzm do obowiązującej retoryki ideologicznej, która jakby straciła wszelką magię:

„ale cóż to wciąż jeszcze za potęga aparatu, żeby nas przejezdnych od tych *żywych* ludzi oddzielić".

Słuchając tych opowiadań wracałem do „mojej" Rosji, pełnej sprzeczności, z ubitego i wydeptanego asfaltu ogólników zbaczałem na ścieżki leśne pełne niespodzianek, które mogą zaprowadzić wszędzie, aż do przyjaźni i braterstwa.

Ten sam ton, tę samą świeżość reakcji, *nadzieję*, odczułem czytając „Lato w Moskwie 1964" Mihajło Mihajłova. Cała prasa światowa pisała o tym 31-letnim lektorze uniwersytetu w Zagrzebiu i jego reportażach z Rosji. Ukazały się one w miesięczniku belgradzkim „Dieło". Dwie pierwsze części puszczono w styczniu i lutym 1965 r. bez cenzury, trzeciej już nie wydrukowano, trafiła ona zagranicę „poprzez jedną z republik socjalistycznych". Już 6.II. „Dieło" zostało potępione po gwałtownej *démarche* ambasadora sowieckiego Puzanowa. 11-go na zamkniętym zebraniu delegacji prokuratorów Tito zażądał postawienia Mihajłova w stan oskarżenia. Wystąpienie Tity podała prasa dopiero po trzech tygodniach. W marcu Mihajłov został aresztowany, w kwietniu odbył się sąd nad nim w sali przepełnionej studentami i korespondentami zagranicznymi. Według sprawozdań zagranicznych korespondentów przebieg sądu był wysoce kulturalny, bez hipokryzji, fint czy brutalności. Godne zachowanie samego prokuratora, świetna mowa obrońcy. Oskarżony w swych odpowiedziach na pytania prokuratora czy nie uważa, że obraził obce państwo,

odpowiedział, że nie obraził ani skrzywdził nikogo bo pisał prawdę, prawdę i tylko prawdę nadal pisać zamierza. Zasądzony na 10 miesięcy więzienia, został wypuszczony na wolność po zgłoszeniu apelacji. Gdy porównamy styl tego sądu z sądem nad Wańkowiczem, półtajnym i poszlakowym, w salce która nie mogła zmieścić więcej niż 14 osób, gdy pół Warszawy chciało być obecne przy rozprawach, nie wygrywa Polska. Nie wygrywa również gdy myślimy, że artykuł taki jak Mihajłova nie mógłby się absolutnie nigdzie w Polsce ukazać.

W reportażu Mihajłova mamy żywo obrysowane sylwetki pisarzy, poetów, historyków. Od starych, jak Szkłowski, jak Leonow czy Erenburg (ten ostatni trafnie wycieniowany: kultura, urok osobisty i błyskawiczna ucieczka w *speech*, „w wymarzoną szczęśliwą przyszłość", gdy mu Mihajłov stawia konkretne zapytania co do wyzysku kobiet w Sowietach), aż po młodych: Bondarewa, Tendriakowa, Bellę Achmadulinę, Winokurowa, Okudżawę i innych.

Rozmowy w przygodnych spotkaniach ze studentami, nie tylko o literaturze, sztuce, ale również o obozach, o trybie spóźnionych rehabilitacji etc.

Ton nieprzymuszony, bez cienia agresywności, podszyty najżywszą sympatią do Rosji, ale nie liczący się z niczym poza wolą wierności w przekazaniu tego co słyszał i odczuł. Uderzyły Mihajłova niezliczone rehabilitacje literackie pisarzy, o których tak niedawno jeszcze nie wolno było wspomnieć. O pismach Pilniaka, Babela w druku, wspomnieniach Czukowskiego o Mandelsztamie, a nawet poezjach Gumilowa, rozstrzelanego w 1921 roku męża Achmatowej, których wybór jest w przygotowaniu. Pisze on również o tomiku Cwietajewej, autorki niezapomnianego, najsilniejszego wiersza o białej emigracji, który naturalnie do zbiorku nie trafił. Cwietajewa wróciwszy do Rosji przed samą wojną powiesiła się w 1940 roku na podarowanym przez jej przyjaciela Pasternaka sznurze*.

Reportaż Mihajłova jest niepozbawiony szczegółów humorystycznych, gdy opowiada na przykład jak są tępione niedrukowane teksty najpopularniejszego piosenkarza i poety Okudżawy, lub w aluzji o głupcach czy donosicielach — bo jest to zawsze przyjmowane jako aluzja na rząd i władzę. Przypomniało mi się

*) Gdy Cwietajewą z wielu innymi pisarzami ewakuowano z zagrożonej Moskwy, nie tam gdzie wszystkich, ale do jakiejś zakazanej wsi czy miasteczka Jełabug, gdzie nie mogła znaleźć żadnej pracy, nawet zamiataczki, Pasternak pomagał jej przy pakowaniu. Zabrakło sznura, Pasternak od siebie sznur przyniósł i powiedział żartem: „Dobry sznur. Będziesz się na nim nawet mogła powiesić". (Ta wiadomość pochodzi nie z artykułów Mihajłova).

jak w 1942 roku, gdy redagowaliśmy w Rosji „Orła Białego", cenzura skreśliła nam Gałczyńskiego

*„Od idioty do idioty*
*idzie papier panie złoty"*

Przeforsowaliśmy przecie ten groźny wierszyk, dopisując, że tu chodzi jedynie o *polską* biurokrację.

Mihajłov zastanawia się dlaczego Biełyj nie jest wydawany, dlaczego Zamiatin, autor znanego ze swojej śmiałości listu sprzed laty do Stalina, jest na indeksie, tak samo Remizow. Pomimo, że Remizow, którego nazywa rosyjskim Kafką, jest tam znany i wysoko ceniony. Ten pisarz kilka lat temu zmarły w Paryżu, emigrant, chyba największy obok Pasternaka z plejady pisarzy rosyjskich swojej generacji, o języku słowotwórczym, przesiąkniętym archaizmami, nawiązującym do ruszczyzny sprzed Piotra Wielkiego, zakochany w historii Rosji, ma w Moskwie wyznawców, Akademik Guzyj, historyk literatury, pokazywał Mihajłovowi jak relikwię, list Remizowa, inny historyk literatury Michajłowski, zaręczał, że Remizow i Biełyj mają znaleźć należne sobie miejsce w historii literatury nowoczesnej, którą wydaje Akademia.

Autor reportaży marzył o poznaniu 74-letniego Jakuba Gołosowkera, tłumacza Pindara i Hoelderlina i autora najwybitniejszej według Mihajłova książki o Dostojewskim, z tych co się ostatnio ukazały: „Dostojewski i Kant". Pomimo niebywałego uporu i ilości ludzi, których o to prosił, spotkanie do skutku nie doszło. Dowiedział się jedynie, że to „dziwny" człowiek, że „nie idzie na żadne kompromisy", że był „bardzo krótko", bo „tylko 5 lat" w obozach, że chory, że w szpitalu, ale adresu tajemniczego szpitala nikt mu ujawnić nie chciał.

Te parawany kłamstw, które dzielą nas od Rosjan, z którymi pragniemy dialogu, ta cała taktyka brutalna i naiwna zarazem, bo któż może uwierzyć w wykręty i na gorąco sklecone bajki — zna je każdy kto odwiedził Związek. 23 lata temu miałem identyczne doświadczenia, gdy tylko chciałem rozmawiać bez świadków z Achmatową, z Pieszkową i nawet Aleksiejem Tołstojem, który był wtedy przecież w najwyższych łaskach.

Mihajłova uderza niezwykły wzrost popularności Dostojewskiego, ogromna ilość o nim książek i studiów. Widzi w tym właśnie rozwój liberalizacji myśli rosyjskiej. O podobnym wzroście zainteresowań Dostojewskim zaręczał nam Aleksiej Tołstoj w 1942 roku, gdy mówił o młodej inteligencji sowieckiej (cała, rzucona na front, została prawie do nogi wybita). Wtedy również widzieliśmy w tym oznakę powolnej ale niechybnej ewolucji

Rosji. Było to 23 lata temu. Jeżeli po 23 latach autorzy książek o Dostojewskim są jeszcze „ukrywani", a książki te drukowane w śmiesznie szczupłych nakładach, jak długo trzeba będzie w tym tempie czekać na wolność?

W wypowiedziach artystów, które cytuje Mihajłov, i w jego własnych, dominuje optymizm. Ten optymizm niezawsze jest przekonywujący. Dudincew na przykład jest także optymistą: ten autor głośnej książki „Nie samym chlebem żyje człowiek", który mieszkając w Moskwie, nie mógł dotychczas przeczytać „Doktora Żiwago", wyznał, że jego książki są wydawane w minimalnych nakładach, musi więc dorabiać tłumaczeniami i z tego powodu nie może skończyć powieści na tle konfliktu biologów z Łysienką, konfliktu, który zagnał niejednego z nich do obozu śmierci. Zastanawiające są słowa Dudincewa:

„Dogmatycy, oni po swojemu są uczciwi, najgorsi to ci, co w nic nie wierzą, a trzymają się starej łodzi do ostatniej chwili, żeby ją rzucić kiedy nowa łódź podejdzie dosyć blisko. Czego się boją najwięcej to płynących samodzielnie".

Zaraza niesamodzielności, nie trzeba na to tortur, wystarczy „ojcowska" wizyta NKWD, zagrożenie odebrania pracy, wysłanie do obozu jednego czy dwóch poetów, jak Brodskij; ludziom i tak przywalonym ponad miarę ciężką troską codzienną, odbiera to swobodę myśli, śmiałość, i stwarza w każdym, jakby poza jego świadomością, wewnętrzną cenzurę, gorszą od zewnętrznej bo demoralizującą psychicznie.

Leonow, jeden z seniorów sowieckiej literatury, pisze dziś od nowa swoje książki; w swoim czasie kreślił je i zmieniał sam Stalin. Bohater karany za morderstwo żony w dawnej edycji, dziś jest więźniem politycznym, ofiarą Stalina i kultu jednostki. Ten sam Leonow przysięga, że nigdy nie czytał Remizowa choć wiadomo ile jemu właśnie zawdzięcza, ale Remizow jest jeszcze na czarnej liście, więc o nim mówić nie trzeba. Co znaczy śmiałość, gdy zależna jest od pozwolenia z góry?

Jakże inny jest tenor głosów studenckich. Nie baczą na to, że stale im grożą zesłaniem na „roczek czy dwa" do tzw. roboczych obozów. Jedyne co utrudnia z nimi rozmowy, to podejrzliwość, czy aby kto z nich nie jest szpiclem, „stukaczem", jak się to dziś nazywa.

Wszystko co pisze autor o obsesji panującej w Rosji na temat obozów, o niesłychanym powodzeniu Sołżenicyna, włącznie do licznych prac doktorskich o nim na uniwersytecie moskiewskim, o ogromnym folklorze obozowym, niezliczonych wierszach i pieśniach śpiewanych i deklamowanych, które powstały w obozach — wszystko to jest tym ciekawsze, że w przeciągu miesięcznego pobytu Mihajłov dowiedział się o tym w otwartych rozmowach,

przeważnie z młodymi. I że właśnie wśród nich spotykał niesłychanie gwałtowne reakcje na każde, nawet drobne zafałszowanie prawdy. Nie darmo cytuje strofę z wiersza młodego poety Rożdiestwienskiego, dziś tak popularną wśród młodych:

*My już nie powiemy*
*ktoś*
*myśli*
*za nas! —*
*My wiemy*
*Czym to się kończy.*

Gromy, które padły na Mihajłova, wywołane zostały przede wszystkim tym, co napisał o obozach. Fakt że otworzył kilka drzwi otwartych, stwierdzając, że hitlerowskie obozy śmierci wcale nie były pierwsze w historii XX wieku, że już w 1921 r. pod Archangielskiem bolszewicy stworzyli taki obóz. O tym mogą nie wiedzieć, czy nie chcieć wiedzieć komuniści z dalekiego Wietnamu czy z Argentyny, lub zbożni *fellow-travellerzy* z całego świata. Ale w samej Rosji wiedział o tym każdy, czy prawie każdy już 25 lat temu. A dziś, kiedy tysiące „rehabilitowanych" wypuszczono z obozów, kiedy oni już nie chcą milczeć, któż by o tym nie wiedział?

„Rehabilitowali swoich — mówi jeden ze studentów — ale tysiące uczciwych bezpartyjnych, co z nimi się stało? O nich trzeba milczeć".

Ale i wśród studentów bywały inne głosy. Gdy Mihajłov wspomniał w obecności pewnej studentki o fali morderstw stalinowskich, odpowiedziała: „Dobrze zrobili, gadów zabijali!"

Zresztą o tych rehabilitacjach warto zacytować co Mihajłov pisze.

„Wielu znajomych opowiadało z ironią na temat procedury stosowanej przy rehabilitacji tych, którzy zmarli w więzieniach lub łagrach. Rodzina dostaje druczek, na którym wpisane jest nazwisko więźnia i oficjalne stwierdzenie rehabilitacji. To wszystko. I nie ma sposobu dowiedzieć się, gdzie i jak rehabilitowany zmarł. Ponieważ niewiele jest rodzin, które by nie miały przynajmniej jednego człowieka do rehabilitacji, niezadowolenie z powodu połowicznej likwidacji stalinizmu zatacza coraz szersze kręgi".

Gdy Mihajłov pisze, że ludobójstwo hitlerowskie *również* nie w Niemczech zostało w XX wieku wymyślone, bo już przed drugą wojną światową w Sowietach całe okręgi ludności znad granicy Iranu i Turcji były wywożone i zsyłane *na śmierć,* gdyż wiedziano dobrze, że ta ludność klimatu syberyjskiego znieść nie

może, kiedy pisze, że dzisiaj coraz mniej mówi się w Sowietach o obozach hitlerowskich, bo zbyt przypominają obozy sowieckie — nie dziwne, że ambasador Puzanow pisze w Belgradzie noty protestacyjne. Ale czy kto może wątpić, że chowanie głowy w piasek w Rosji nikogo nie łudzi i samym Sowietom nie służy? Jak w Polsce nikogo nie łudzi a tylko mierzi milczenie władz o Katyniu.

Oskarżony przez redaktora pisma „Nin" w artykule pełnym niegodnych, typu Żdanowskiego, insynuacji o „mściwie białogwardyjską" ideologię Mihajłov rozesłał odpowiedź do 290 redakcji pism w Jugosławii. Nigdzie jednak jej tam nie wydrukowano. W tej odpowiedzi Mihajłov przypominając swój artykuł „Dostojewski dzisiaj", pisze: „Ośmieliłem się tam wypowiedzieć heretycką myśl, że tylko chrześcijaństwo jako religia wolności może być podstawą sprawiedliwego ustroju społeczeństw tu na ziemi... Że wiara w nieśmiertelność duszy człowieka nie wyklucza bynajmniej walk o panowanie wolności na ziemi i że przeciwnie właśnie rozum pozbawiony wiary w nieśmiertelność tę walkę neguje. Mihajłov podkreśla, że pod słowem chrześcijaństwo nie ma na myśli tego czy innego Kościoła. Żeby swoją myśl zilustrować cytuje słowa Einsteina któremu trudno przyczepić łatę „reakcji".

„Najpiękniejsze przeżycie osiągalne dla człowieka, to przeżycie mistyczne. Jest ono motorem wszelkiej autentycznej sztuki i nauki. Ten, któremu te przeżycia są obce, kto nie jest w stanie zamierać z podziwu i ubóstwienia, jest martwy".

I dodaje jeszcze, że nie straszy go zarzut antykomunizmu, do którego się nie poczuwa. „Ta sama ręka zabiła Garcię Lorcę i Maksima Gorkiego, Dymitra Tucowicza i Tuchaczewskiego, Lumumbę i Imre Nagy".

◆

Te głosy o Rosji, w szczególności Mihajłova, wiążą mi się z ostatnią książką Terca: „Myśli niespodziewane"*.

Terc był sensacją, kiedy w Bibliotece „Kultury", a potem w wielojęzycznych tłumaczeniach ukazały się po raz pierwszy na Zachodzie jego opowiadania. Poprzez zmysł fantastyki, inwencję, drastyczny humor, przezierała w detalu materialnym, stylu dialogów, dzisiejsza rzeczywistość sowiecka, ani urożowiona ani przyczerniona. Wydźwięk *polityczny* tych opowiadań chwytał najłatwiej i może zasłaniał głębsze znaczenie tego pisarza. Ale, „Myśli niespodziewane", gdzie już nie ma śladu aluzji politycznych, są wydarzeniem innego wymiaru. W spisanych dla siebie urywkach notatek, pozornie błahych, i jakby chaotycznych („gdy tylko zaczynam swe myśli zbierać i porządkować — pisze sam autor — urywają się i więcej nie przychodzą"), dotyka spraw najważ-

*) Paryż, Instytut Literacki, 1965 w tłum. Łobodowskiego.

niejszych, nie ubranych w cytaty i autorytety, na własne ryzyko podaje swoje reakcje niespodziewane, *naskórkowe*. Te teksty rzucone na papier rozsadzają nie tylko styl drętwy, ale zwyczaje myślowe, obowiązujące w Sowietach i wszystkie ich dogmaty. Mihajłov podkreśla to, czego *homo sovieticus* wystrzega się najbardziej: *myśli własnej*, bo jest ona sama przez się zdrożna dla — jak pisze — „najbardziej konserwatywnego na świecie społeczeństwa, gdzie najmniejsza zmiana, zaczynając od nowego krawatu, piosenki, szerokości nogawek spodni wywołuje ogromną reakcję". (Te słowa Mihajłova są z 3-ej, skonfiskowanej przed drukiem części jego reportażu).

Terc stawia pod znakiem zapytania „maszynkę postępu" i tę jedność sowiecką zdobytą gwałtem i treść współczesnego uniwersalizmu z narośniętą wokół tych pojęć frazeologią, a myśli jego docierają do religii i nieustannie krążą w promieniu jej zagadnień*.

W metaforze materialnej, nieraz dosadnej, którą autor stara się wyrazić myśli abstrakcyjne, w mieszaninie humoru i najwyższej powagi, w samej *démarche* języka przypomina wyklętego Rozanowa, który także myślał przede wszystkim „naskórkiem" i na początku XIX wieku pierwszy ten styl stworzył w Rosji. Tamten pisarz też nieustannie krążył wokoło spraw religii. Wróg i wyznawca chrześcijaństwa, pełen sprzeczności, nieustannie cenzurowany przez carską cenzurę a przez lewicę gromiony za reakcję, w Sowietach zakazany najostrzej i z listy pisarzy wymazany**).

Rozanowa i Terca (dzieli ich kilkadziesiąt lat, dwie wojny i najgwałtowniejsze, jakie zna świat, przemiany społeczne) — łączą te same punkty newralgiczne: religia, życie prywatne, intymne, oraz głęboka obojętność i nawet głuchota na problemy socjalne.

---

*) *Pro domo sua.* Konstatuję, jak mi trudno o tym będzie pisać: *Obojętność* na sprawy religii tzw. postępowych Polaków, zadziwiająca przeważnie płytkość ich reakcji, gdy tylko dotknąć spraw religijnych, i na mnie ciąży. Już Brzozowski pisał dwa miesiące przed śmiercią: „Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpaczy. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyczuty brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia..."

„Polacy? — mówił Filosofow w latach dwudziestych — są albo „od biskupa Teodorowicza" albo „od Daszyńskiego" (katolicyzm nacjonalistyczny albo prymitywny materializm). Oni religią się nie interesują!"

Czy wiele się od tego czasu zmieniło? Nie przypuszczam, by „Myśli niespodziewane" trafiły do biblioteki „Kultury", gdyby Terc nazywał się Terski i był Polakiem. Polak, mówiąc o religii, odruchowo boi się „strefnić" w oczach „postępowców".

**) Rozanow umarł w Rosji w 1919 r. Wybór jego pism w tłumaczeniu Natalii Reznikowej, ukazał się u Gallimarda w 1964 z moim wstępem pt. „La face sombre du Christ". Pisałem o nim również w „Znaku": „Sprzeczne widzenie Rozanow-Mauriac", w n-rze marcowym w 1958 r.

Jeżeli Terc, ten z „myśli niespodziewanych", czytał Rozanowa, czego wcale nie jestem pewny, rozpoznać się musiał w humorystycznym wyznaniu Rozanowa z „Ujedinionnoje".

„Społeczność, krzyczą wszędzie, społeczny element w literaturze, obudzenie się zainteresowań socjalnych" może ja nic nie rozumiem, ale kiedy spotykam człowieka z „socjalnym zainteresowaniem", to nie że się przy nim nudzę, nie to że mu jestem wrogi, wprost umieram przy nim. Cały w sobie ginę, rozpuszczam się: ani rozumu ani woli, ani słów, ani duszy.
Umarłem.
I budzę się, otwieram oczy kiedy się domyślam lub podejrzewam, że „społeczność" wyskoczyła z człowieka (sąsiada, bliźniego)."

Cynizm? Sobkostwo? Najprościej brak reakcji na tematy, które w Rosji są, i prawdopodobnie były, zachwaszczone fałszem i pustym wielosłowiem, bez uwzględnienia jak sprawy społeczne przełamują się w świecie prywatnym każdego człowieka.

To bunt zlekceważonej intymności.

Na 85 stron (na każdej jedna myśl, napomknięta, rzucona czy szerzej rozwinięta) mamy 39 a Bogu, o śmierci, o religii w ogóle i o chrześcijaństwie.

Te myśli pisarza są obramione króciutkimi opowiadaniami, uwagami o kobietach i przygodach z nimi, o głodnych, w lesie spotkanych złodziejach, o staruszce, która nie chce by jej obcinano paznokci u nóg, bo bez nich nie da rady by się tak wysoko do nieba wdrapać. Opowiada o swych snach o umarłych, wyznaje miłość do przyrody.

„Ta wszystko ogarniająca pełnia bytu, zapowiadająca z góry wieczność, pozwala nam, skoro nie mamy innego wyjścia, szukać schronienia u przyrody, podobnie jak dawniej szukano jej w klasztorach".

Ileż z Rozanowem powiązań!

W swoim „Ujedinionnoje" (zbiór notatek koło 1911 roku) pisał Rozanow:

„Czy nie wiecie, że religia to najważniejsze, to pierwsze, to najpotrzebniejsze? Kto tego nie wie... mimo takiego człowieka trzeba przejść. Obejść go *w milczeniu*. Ale któż o tym wie? Czy wielu? I dlatego w naszych czasach nie ma *z kim* i *o czym* mówić".

Po 50-ciu latach ateistycznego, prędzej antyteistycznego, komunizmu Terc zapisuje w swoim notatniku:

„Należy wierzyć nie ze względu na tradycję, nie z bojaźni śmierci, nie na wszelki wypadek, nie dlatego że ktoś nas zmusza i straszy, nie ze względu na humanistyczne zasady, nie po to aby zbawić duszę, ani żeby być oryginalnym. Wierzyć należy z tej prostej racji, że Bóg istnieje".

Ten nurt myśli ogarnia całą książkę, ale przypomnijmy sobie na jakim tle ta myśl Terca powstaje.

◆

W trzeciej części swych wrażeń rosyjskich Mihajłov pisze o Trojce-Siergiewskiej Ławrze, wykazuje do jakiego stopnia deptanie sumień, kpina z religii, muzea antyreligijne, te uczucia zakazane w Sowietach, właśnie rozbudzają. Pisze nam o prześladowaniach religijnych, które nie tylko że nie ustały ale wzrosły. Pisze o proliferacji nieustannej w środowiskach robotniczych, okrutnie tępionych sektach, przeważnie Baptystów. Daje przykłady dzisiejszych metod akcji antyreligijnej. Sowieckie gazety, przede wszystkim prowincjonalne, te które nie docierają zagranicę, są pełne artykułów drapieżnie antyreligijnych, kioski z gazetami zawalone broszurami o takich tytułach: „Zabawna Ewangelia", czy „Ten kłamca — Jezus Chrysus". Towarzysz Iljiczow, do niedawna dyktator akcji ideologicznej ZSSR, wprowadził przed paru laty *indywidualnuju obrabotku* każdego, kogo władza podejrzewa, że jest wierzący. Dwóch ludzi przystawia się do niego „przy pracy, w klubie, w domu". Obowiązkiem ich jest nieustanne pilnowanie go i nawracanie na ateizm. Ta tortura psychiczna przelicytowała według Mihajłova nawet metody Stalina na tym odcinku.

Liberalizacja Rosji, wszyscy chcemy w nią wierzyć, której najmniejszy ślad na odcinku religijnym coraz to podkreśla prasa zachodnia, czy jest rzeczywista? Czy może to tylko jeszcze jedna wioska Potiomkinowska?

Prześladowanie prawosławia sam Stalin podczas wojny z lekka osłabił, mając na celu wykorzystanie i religii do celów wojennych: zezwolił wówczas na otworzenie paru seminariów. Ale od szeregu lat, a przede wszystkim ostatnio — od 1961 roku — akcja religijna znów się wzmogła. W 1959 było w Rosji 8 seminariów, od tego czasu zmniejszono ich ilość do 5, 4, a dzisiaj do 3-ech. (Ostatnio po Kijowie i Mińsku, zamknięto seminarium w Łucku). Pozostały tylko seminaria w Moskwie, w Leningradzie i Odessie. Czy można porównać *wagę* takich zarządzeń, o których wiadomość ukazuje się w rzadkich pismach na Zachodzie i to przeważnie drobnym drukiem, z obecnością na międzynarodowych zjazdach ekumenicznych paru prawosławnych hierarchów z Moskwy w kłobukach, skwapliwie fotografowanych, o których rzeczywistej roli i wadze moralnej w kościele prawosławnym przeważnie nie wiemy nic. Przecie grać tu musi międzynarodowa polityka nie tyle Kościoła Prawosławnego, co Sowietów, dla których te pozory liberalizmu na zewnątrz są pożyteczne. Bo kto czyta zagranicą gazetki wychodzące w Tule czy Wołogdzie, kto

by się dowowiedział o „indywidualnej obrabotce", gdyby nie śmiały i czujny Mihajłov.

◆

Ale wróćmy do Terca. O żadnych tego rodzaju faktach, które go zewsząd otaczają w swych „myślach" nie wspomina, ale nurt tej książki jest tak świeży, tak niezatruty ani podeptany pół wiekiem religijnych prześladowań, że „pijemy" tę książkę jak wodę z czystego źródła. Reakcje Terca na prawdy najszerzej przyjęte i uznane, coraz to nas zaskakują.

„Dawniej człowiek był w swoim domowym bycie o wiele szerzej i mocniej niż obecnie związany z uniwersalnym życiem — historycznym i kosmicznym. Chociaż posiadamy gazety, muzea, radio, komunikację powietrzną zaledwie przyjmujemy do wiadomości to wszechświatowe tło, nie bardzo nim przejmujemy się, prawie o nim nie myślimy. W czeskich butach, z meksykańskim papieroskiem w zębach, przeczytał korespondencję o zjawieniu się w Afryce nowego państwa i poszedł na rosół ugotowany na francuskiej wołowinie".

Włościanin, który nigdzie nie wyjeżdżał poza sianokosy, do śmierci chadzał w łapciach z jednostajnym rytuałem obiadu, bez innych książek jak stara Biblia

„utrzymywał nieustanny związek z ogromem wszechświata i umierał w jego głębiach tuż obok Abrahama. A my po przeczytaniu gazetki umieramy samotnie na wąskiej, nikomu nieprzydatnej otomanie i żadna informacja już nam wtedy nie jest potrzebna. Jest dla nas jak spodnie z zagranicznego materiału... Chłop — zdarzało się — przeżegna się zanim weźmie łyżkę i tym jednym gestem jak reflektorem łączy się z ziemią i niebem, z przeszłością i przyszłością".

Głodem Boga, głodem doznań — stanami, które w Sowietach uznano od dawna za przezwyciężone, nieistniejące — przeszyta jest ta książka.

„Głos Boży rozlegał się w pustyni i ciszy, a właśnie ciszy i pustyni nam brakuje. Wszystko zagłuszyliśmy, wszystko wypełniliśmy sobą, a potem jeszcze dziwimy się, że Pan nie chce się nam ukazać".

Terc jak Rozanow tkwią nie tylko w pewniku, że Bóg *jest* ale że Bóg, ich Bóg jest z nimi, że ich kocha, błogosławi i przebacza.

Te myśli o Bogu są najdalsze od jakiejkolwiek argumentacji teologicznej czy filozoficznej, to najskromniej zanotowane ich intymne przeżycia, ich doświadczenia religijne. I tu znowu chciałoby się wszystko z Terca cytować tuż obok Rozanowa, tak są sobie bliscy.

„Koniec końców Bóg — moje życie — *pisze Rozanow*. Ja tylko żyję dla Niego, przez Niego. Poza Bogiem mnie nie ma".

A Terc:

„Rozmyślania o Bogu są wzniosłe i niewyczerpane, jak morze. Pokrywają nas z głową — topisz się cały i nie dosięgasz dna... Bóg jest niepoznawalny i rozpoznawany wszędzie, niedostępny i najbliższy, irracjonalny i krańcowo logiczny. Żadne inne pojęcie nie zna takiego rozpięcia interpretacji... To jedyne olbrzymie zjawisko w świecie. Poza nim nie ma nic".

Rozanow w swej kulturze religijnej, rozległości wiedzy, „muzykalności" wyczuwania stanów religijnych sobie sprzecznych, zdaje się od Terca szerszy. Jego stosunek do świata zmysłów jest złożony i w pismach jego zajmuje miejsce centralne, u Terca rzadko wychodzi poza poczciwie cyniczny erotyzm. W opisach scen miłosnych i rozważaniach na ich temat gra prędzej potrzeba oderwania się od błogo-słodkich malowanek socrealistycznych o miłościach tankisty z dojarką.

Ale różni ich przede wszystkim wizja chrześcijaństwa i stosunek do Chrystusa. Rozanow nie był w stanie pogodzić, przyjąć sprzeczności między światem organicznym nasienia i płci, a „czystym kryształem" zakonu, mistyki, wyrzeczenia, którego muzykę jak mało kto wyczuwał. Rozanow zarzucał chrześcijaństwu, że zabiło radość w człowieku, rozdwoiło go.

Sprzeczności te zdają się u Terca przyjęte i przezwyciężone. „Dlaczego Chrystus nigdy się nie uśmiechał" — pyta Terc chyba za Rozanowem, który to pytanie także stawiał. (Dla Rozanowa *to* było źródłem smutku chrześcijaństwa.

„Czy nie dlatego — *notuje Terc* — że śmiech jest rzeczą niewłaściwą w więzieniu, gdzie siedzą skazani na śmierć?"

Ta odpowiedź nie byłaby może przyjęta przez Rozanowa, ale na pewno usłyszana.

„Przyroda uczy nas — *pisze Terc* — że mamy lękać się śmierci, unikać cierpienia, płakać gdy odczuwamy ból. A tu wszystko na odwrót — nienaturalne (jak powiadają humaniści), ponadnaturalne (tak mówią chrześcijanie)... Przeciwstawne reakcje powstają mimowoli, bez świadomego zamiaru. Ale wystarczy abyśmy „przebaczyli krzywdzicielowi" a serce raduje się jak gdyby został rozcięty węzeł, którego żadne wysiłki nie rozwiążą... Nie przezwyciężenie istoty naszej osobowości, lecz jej zastąpienie czymś zupełnie innym, nieznanym, co uczy cierpienia, męki i umierania, i uwalnia od obowiązującego strachu i nienawiści".

Różni obu pisarzy również stosunek do śmierci. Nie spotykamy u Terca akcentów tak tragicznych — więcej — panicznych,

jak u Rozanowa, któremu włosy się jeżą, gdy śmierć odkrywa. Śmierć, „której sens zwycięży całą cywilizację". Długą drogę przeszedł Rozanow aż doszedł do ukojenia i śmierć świadomie i spokojnie w 1919 przyjął. Ale już w 1911 pisał:

„Może całe życie żyjemy żeby *zasłużyć na mogiłę*. Ale dowiadujemy się o tym dopiero odchodząc do niej: wcześniej „nawet do głowy nie przychodziło".

Terc mówi o śmierci prawie z czułością, jak o chwili najważniejszej istnienia, która zamyka, ustala ostateczny kształt człowieka.

„Człowiek żyje po to żeby umarł, śmierć daje życiu określoną osnowę, kierunek, jedność i dokładność... To akord przygotowywany przez długi czas, poczynając od dnia urodzin... Koniec wieńczy dzieło. Nieświadomie zazdrościmy umarłym ich całkowitej jedności".

„Prosimy... abyśmy w miarę możności zdołali wyjść jej naprzeciw i we właściwy sposób spełnili nasze ostatnie najważniejsze zadanie, sprawę całego życia, spotkanie ze śmiercią"*).

Te uwagi Terca o śmierci dzieli przepaść od *dzisiejszego* stosunku do niej wcale nie tylko w Sowietach. Obowiązujące dziś „zacieranie" każdej myśli o niej, od New Yorku do Moskwy wszędzie oścień śmierci staramy się stępić, zapomnieć, że śmierć *jest*. Ukradziono ją człowiekowi. Każdy lekarz uważa za swój obowiązek okłamywać pacjenta, świadomość umierającego wszelkimi środkami przytępić. A już gdy umarł, to w Ameryce, w domach pogrzebowych sadzają umarłego, podmalowanego „na młodo", wśród kwiatów, z ognistym krawatem, żeby żywych śmiercią nie straszył. Nawet księża z kazalnic mówią o niej coraz rzadziej. I nagle, z Rosji Sowieckiej, gdzie znaczą jedynie „śpiewające jutra" *na ziemi,* dochodzi do nas ten inny głos.

Z Rosji, gdzie od lat ponad czterdziestu brutalne prześladowania, żelazna cenzura i nieustanna propaganda tępią religię i wszelką myśl wolną, dochodzi do nas głos Terca inny, inny nurt uczuć, które i młody Jugosłowianin Mihajłov tam na miejscu, wśród młodych, odkrył i przeżył.

Więc może raz jeden matką głupich jest nie nadzieja, ale gorycz niewiary?

*Józef CZAPSKI*

---

* „Oswoić się z myślą o śmierci, z myślą, która życie moje zrobi *bardziej radosnym*" — zapisuje Jan XXIII w dzienniczku w 1926. (moje podkreślenie).

# Z biografii Diego Baldassara

## INTRODUKCJA

*Maestro.* **Autor rewindykuje tytuł biografa oficjalnego. Pamiętny dzień 23 września 1981 roku. Hagiografia. Sprawa terminologii. Autor wzywa czytelnika do zapamiętania wersetu Swifta.**

Introdukcją nazywał Diego Baldassar wstępną fazę Procesu Artystycznego którego był Odkrywcą i Mistrzem, czyli jedzenie. Tutaj jednak chodzi o wprowadzenie do książki o Nim.

W moim krótkim zarysie biograficznym Diego Baldassar będzie odtąd często występował jako Mistrz, gdyż tak zwracali się doń wszyscy którzy Go kochali i podziwiali. Zbyt lekkomyślnie nasze czasy wyrzekły się dostojnego i szlachetnego w swej uniwersalności imienia *Maestro,* jakim w ciągu stuleci rozwoju sztuki (cokolwiek byśmy dziś o niej sądzili) nieprzeliczone rzesze uczniów i admiratorów oddawały hołd pomazańcom (czytelnik pozna prawdziwy sens słowa Pomazaniec, gdy z pomocą autora przekroczy próg Nowej Sztuki). Czyż trzeba przypominać że nawet malowidło Duccia *Maestà,* niesione w triumfie przez tłum Sieneńczyków, witano okrzykami: *Maestro?* I czyż nie skłania do refleksji pokrewieństwo etymologiczne Majestatu i Mistrza? Wróćmy tedy śmiało do starej i dobrej tradycji, tym więcej w książeczce przeznaczonej głównie dla młodzieży artystycznej i pomyślanej przez autora jako *Bildungsbiographie.*

Złośliwe i zawistne języki głoszą, że Diego Baldassar zaszczycił mnie tytułem i powierzył mi zadanie Swego biografa oficjalnego li tylko z uwagi na nasze wspólne pochodzenie: w samej rzeczy kolebką była nam obu Wenecja, choć drogi naszych żywotów nie przecięły się ani razu w dzieciństwie i w wieku dojrzewania. Kto bierze na serio podobną insynuację, składa dowód nieznajomości filozofii Mistrza. Jakże mógł On był przywiązywać wagę do miasta swego urodzenia, skoro uważał się za obywatela Kosmosu? Zważywszy wszelako że nic nie daje lepszego pojęcia o nieskończoności niż głupota i meskineria ludzka, chcę tu przy-

szłym historykom sztuki ofiarować autentyczną wersję dnia, w którym ręka Mistrza nie zawahała się pasować mnie na biografa oficjalnego.

Było to 23 września 1981 roku, na cztery lata przed Jego śmiercią; przed śmiercią, która w moim osieroconym życiu krwawi bezustannie jak otwarta rana. Mieszkałem wówczas na Piazza Giovanni XXIII (niegdyś Campo dei Fiori). Przeniosłem się tam od niedawna z Via Antonio Gramsci (niegdyś Via della Conciliazione), tyleż znudzony ciągłym widokiem Bazyliki i rosnącymi wciąż przeszkodami w powierzonej mi misji (będzie o niej mowa we właściwym czasie), co powodowany nadzieją częstszego widywania Mistrza. W samej rzeczy bowiem lubił odwiedzać niespodzianie stukolorowy Rynek i krążyć po nim godzinami, wybierając osobiście jarzyny, mięsiwa, ryby, sery, wędliny, grzyby, ptactwo, flaki, przyprawy korzenne, owoce, powidła, miody, polipy, homary, jaja, marynaty, kawior, wina, oliwę, nóżki cielęce, ozory — słowem, całą tą niezmierzoną i niewyczerpaną obfitość Natury, którą zwykł był nazywać Presubstancją Nowej Sztuki.

Moja nadzieja okazała się niepłonna. 23 września około południa Mistrz wdrapał się (z niemałym trudem: ważył już wtedy przeszło sto kilo) na czwarte piętro kamienicy i zapukał, a raczej załomotał, do drzwi mojego skromnego pokoju. W najtajniejszych myślach oczekiwałem tej wizyty, a jednak byłem nią tak onieśmielony i przejęty, że rozpoznawszy gościa po łomocie przyrosłem do krzesła jak sparaliżowany, próbując daremnie uciszyć mój własny cichy łomot serca. W ciągu dziesięciu lat naszej znajomości a potem przyjaźni to ja pukałem zawsze do Jego drzwi, nigdy On do moich. Nadeszła słodka chwila nagrody za wierną cierpliwość.

Dopiero gdy krzyknął Swym wspaniale tubalnym głosem: „Trebisan, rozbiję te drzwi w drebiezgi jeżeli natychmiast nie otworzysz!", ocknąłem się z rozkosznego odrętwienia. Stał przede mną w całej Swej potędze: ogromny, sapiący niby miech kowalski, nagrzany słońcem jak rozpalona do czerwoności kuźnia, w koszuli rozpiętej aż do pasa na szczeciniastej jak u odyńca piersi, miotając oczami płomienie z szerokiej i purpurowej twarzy uskrzydlonej wąsami, w spodniach obciskających i pętających napiętą płeć, z brzuchem podobnym do taranu. Odsunął mnie władczym i gniewnym trochę gestem na stronę, i przemierzywszy paroma susami przestrzeń dzielącą Go od łóżka, opadł na nie jak głaz zepchnięty przez burzę z krawędzi urwiska.

Zastał mnie przy robocie. Poprawiałem właśnie sześćdziesiąty siódmy kajet mojego sekretnego *work in progress*, czyli dzieła które z maksymalną na jaką mnie było stać (biorąc pod uwagę

moje wątłe zdrowie) skrupulatnością i wytrwałością odnotowywało wszystkie rozmowy z Nim, wszystkie Jego wyznania autobiograficzne oraz myśli i wypowiedzi o Nowej Sztuce, wszystko co mówili i pisali o Nim inni, słowem wszystko co dotyczyło Jego Osoby. W jakiś sposób byłem rad przyłapany na gorącym uczynku, gdyż wrodzona wstydliwość nie pozwoliła mi zdradzić Mu dotąd sekretu mego śmiałego przedsięwzięcia, mimo że marzyłem w skrytości ducha by o nim wiedział, więcej — by rzucił na nie kiedyś łaskawym okiem. W samej rzeczy, odetchnąwszy nieco po wysiłku wspinaczki, sięgnął bez słowa po zeszyt leżący na stoliku obok łóżka. Przeglądał go uważnie parę minut, po czym wykrzyknął:

— A więc Johnson miał Boswella, Goethe miał Eckermanna, a Baldassar ma Trebisana! Ugo, zacny i miły druhu, będziesz moim biografem oficjalnym!

Zapewne, byliśmy w przyjaźni, lecz po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Oniemiałem ze szczęścia. On zaś, jakby odgadując moje zakłopotanie, zerwał się na równe nogi, chwycił mnie w Swoje mocne ramiona i podniósł niby piórko do góry (ważę zresztą czterdzieści trzy kilo i jestem niskiego wzrostu), lewą ręką podparł się w boku a prawą obrócił mną — jak żongler — kilkakrotnie nad głową, i z wybuchem śmiechu od którego zadrżały ściany cisnął mnie na łóżko. Chciałbym by ból, jaki czuję dziś po Jego śmierci, zawierał bodaj tysiączną cząstkę bólu, który w euforycznym dreszczu zatargał wówczas moim biednym ciałem.

Nie wygasły jeszcze ostatnie dźwięki tego homeryckiego śmiechu, gdy przebił je z natarczywością kantowskiego imperatywu kategorycznego znajomy mi grzmot. Mistrz poprawił na sobie spodnie z sakiem i skierował się ku drzwiom.

— Trebisan — powiedział — wracam do domu. Dmie Duch czyli *Spiritus flat.*

Przez chwilę, lecz tylko przez krótką chwilę, łudziłem się że jedno z dzieł Merd-Artu powstanie w moim ubogim mieszkaniu na poddaszu. Jeśli ten zawód nie napełnił mnie goryczą, to dlatego że moje myśli zaprzątnięte były przede wszystkim powierzoną mi świeżo godnością.

Rewindykowawszy moje dobre prawa do tytułu biografa oficjalnego, mógłbym ze spokojnym sumieniem zakończyć Introdukcję. Dwa punkty jednak wymagają z góry pobieżnego choćby wyjaśnienia.

Moją biografię spotka z pewnością zarzut hagiografii. Przyjmę ten zarzut jako świadectwo, że w trakcie malowania portretu nie straciłem ani na chwilę z oczu Modelu; i że udało mi się wymierzyć Mu pełną sprawiedliwość. *Sapienti satis.* Opis męczeńskiej śmierci Mistrza dokona reszty.

Drugi punkt dotyczy terminologii, użytej w niniejszej książeczce. Żyjemy na szczęście w czasach całkowitego równouprawnienia a nawet nobilitacji słów, nazw i zwrotów, poczytywanych ongiś za „nieprzystojne". W szczególności amerykańska szkoła *Nonstop-Novel* (Ruth Golover, Jack Goodrich, Mary Volante i, *last but not least,* znakomity piewca dawnego Harlemu, autor *The Black Rut,* Moses Jesus Calvin) przeorała do trzewi grunt, na którym jak olśniewająca i bujna roślinność tropików wyrosły kwiaty Nolilexu[1]). Możemy dziś nazwać po imieniu wszystko czego Ciało zapragnie — bez cienia zażenowania, z uwzględnieniem całego bogactwa czynności biologicznych i fizjologicznych, z wykorzystaniem najdrobniejszych (i dotąd skazanych na częściową co najmniej banicję w druku) odmian dialektalnych i „żargonowych". Jakiż tedy ma sens (zapyta słusznie czytelnik) posługiwać się martwą i bezkrwistą terminologią łacińską właśnie w biografii twórcy Merd-Artu?[2]). Odpowiem po prostu, że takie było życzenie samego Mistrza. Kaprys wielkiego artysty? Być może. Co do mnie, wystarcza mi wzruszenie na myśl, że jakkolwiek był jednym z pierwszych obywateli Kosmosu, nie zapomniał nigdy o cywilizacji która Go wykołysała i której płodne soki wyssał z mlekiem mamki. Nowa Sztuka narodziła się w Rzymie. Oddajemy więc równoczesny hołd geniuszowi jej Ojca i cieniom Jego praszczurów, wprowadzając na karty książki o Nim ulubione przezeń okruchy mowy starożytnych Rzymian.

Wreszcie ostatnie słowo. Czytelnik zechce zapamiętać i od czasu da czasu, w chwilach zadumy wywołanej lekturą, powtarzać sobie na głos podany niżej refren Swifta z jego wiersza *To Celia.* Autor powstrzyma się w Introdukcji do komentarzy, lecz w Ekstrodukcji, czyli w rozdziale końcowym, werset dziekana Katedry Świętego Patryka w Dublinie zostanie drobiazgowo zanalizowany, z pożytkiem dla jasności niniejszego dziełka i zgodnie z naukami Mistrza.

BUT — CELIA, CELIA, CELIA SHITS!

1) Chodzi oczywiście o *No limits Lexicon,* skodyfikowany ostatecznie dwa lata temu przez Webstera, Chevaliera, Lombardiego, Fernandeza, Olsena, Maliukoffa i Pankovsky'ego w *Esperanto of Life and Love.*

2) Wypada nadmienić, że Diego Baldassar ochrzcił początkowo Swoje malarstwo mianem Sub-Art, od słowa *Substantia* które posiadało głębszy i ściślej do jego założeń przylegający podtekst filozoficzny (transcendentalny), i którego do końca zresztą używał na oznaczenie materii Nowej Sztuki. Łacińska *Substantia* ustąpiła miejsca niemniej łacińskiej *Merda* później, z uwagi na dwuznaczny wydźwięk skrótu Sub. O nazwie Merd-Art zadecydowało też zamiłowanie do tradycji nowoczesności w sztuce. W latach 1918-1921, w piśmie kubo-futurystów berlińskich *Der Sturm,* narodził się Merz-Art. Jego twórca, Kurt Schwitters, ujął program nowego kierunku w niezapomnianym zdaniu: *Alles, was der Künstler spuckt, ist Kunst.* Plucie należy tu rozumieć szerzej, niż Schwitters miał wówczas odwagę powiedzieć.

## DZIECIŃSTWO I WCZESNA MŁODOŚĆ

**Narodzenie w Noc Sylwestrową. Śmierć Palmy Loredany Baldassar. Wojna dwóch kokard. Jak kształtuje się osobowość wielkiego artysty? „Kto z nas jest ojcem, a kto synem?". Głośne w Wenecji prodigium, czyli „skandal" pierwszy. O metodzie w biografii. Edukacja i wolność. Ambiwalencja egzystencjalizmu. Duch przygody i sztuka. Wizyta w Akademii, czyli „skandal" drugi. Biennale 1964. Gap, czyli „skandal" trzeci. Wyjazd do Ameryki. Autor zapowiada następny rozdział.**

Urodził się 31 grudnia 1950 roku, a więc dokładnie w połowie naszego stulecia. Tę dokładność posunął, z właściwym sobie już od przyjścia na świat zamiłowaniem do gestów symbolicznych, tak daleko że wychylił główkę z matczynej szpary gdy dzwony San Marco przerwały wrzawę Nocy Sylwestrowej i w ciszy zawieszonej nagle nad laguną obwieściły uroczyście ingres Nowego Roku. Jego ojciec Palmiro opowiadał, że noworodek zdawał się oczekiwać tej chwili, zdawał się zwlekać z wkroczeniem na scenę świadomy znaczącego i brzemiennego w następstwa efektu, jaki gotują Mu kalendarz i zegar. W samej rzeczy Jego matka, Palma Loredana Baldassar, poczuła pierwsze bóle porodowe 29 grudnia rano i wezwany lekarz domowy przygotował ją natychmiast do połogu. A jednak radosne zdarzenie nie następowało, nie nastąpiło też ani w nocy, ani nazajutrz, ani w nocy z 30 na 31 grudnia. W Dzień Sylwestrowy Palma Loredana, osoba postawna i słusznej tuszy, postanowiła dźwignąć się z łoża i dopilnować ostatnich retuszów balu, który w Palazzo Baldassar nad Canal Grande był doroczną chlubą Wenecji. Wieczorem, nie poskąpiwszy sobie jadła przy biesiadnym stole, odtańczyła inauguracyjnego walca z mężem, lecz zaraz potem zległa ponownie. Dziecię, niezwykłej wagi ośmiu kilo, zapukało (a może już wtedy załomotało) definitywnie do bram świata. Niestety, przeciskając się ku dzwonom bijącym jak gdyby na Jego chwałę, zabiło po drodze położnicę.

Żałoba i radość skrzyżowały szpady nad kołyską niemowlęcia. Zwyciężyła radość. Baldassar-ojciec był jeszcze mężczyzną w sile wieku, Diego był jego jedynym dzieckiem i upragnionym dziedzicem. Zamożność domu dosięgnęła właśnie wówczas zenitu: Palmiro nie pochodził co prawda (jak żona, której zniekształcone trochę nazwisko panieńskie żywiło się odblaskiem świetnych dożów weneckich) z arystokratycznej rodziny, ale przymieszka krwi żydowskiej i maurytańskiej (mówił o sobie żartobliwie, choć nie bez pewnej dumy znawcy i miłośnika literatury, że jest potom-

kiem Shylocka i Otella) zapłodniła go pomysłowością i darem bogacenia się; założona w Murano za pieniądze z posagu żony fabryka *Pal-Bal,* która dość wcześnie zaczęła produkować fosforyzowane szklanki i kieliszki typu *teleglass* dla przyszłej milionowej armii widzów telewizyjnych, nagrodzona została wreszcie błyskawicznym wzrostem popytu. Tak więc liczne i wielorakie okoliczności złożyły się na to, że w pałacu nad Canal Grande biała kokarda wyparła niebawem czarną[3]).

Dziecko nie wyróżniało się początkowo szczególną inteligencją. Dało to potem, jak wiadomo, wielu denigratorom asumpt do twierdzenia, że w grę wchodziło organiczne *vitium mentis.* Rzecz wymaga więc krótkiej dygresji polemicznej. Nie zabraknie ich zresztą, o czym należy uprzedzić czytelnika, i w dalszym toku biografii oficjalnej, która nie może zaniechać obowiązku oczyszczenia portretu Mistrza z grudek błota rzucanych weń jawnie lub z ukrycia rękami wrogów.

Formując osobowość wielkiego artysty, Natura nie ma zwyczaju chodzić prostą drogą. Ilekroć jednak z niej zbacza i wstępuje na pozorne manowce, każdy swój krok stawia z niedocieczonym dla nas w pierwszej chwili namysłem. Odjąwszy jedną ręką, dodaje drugą, obciąża raz tę a raz tamtą szalę, zakłóca celowo proporcję by ją później przywrócić, nie lęka się jednostronnej przesady wiedząc dobrze czym ją niebawem okupi, wszystko zaś z myślą że tym doskonalsza harmonia końcowa, im bardziej zawiłe były procesy które prowadziły do jej ostatecznego wyważenia.

To właśnie prawo Natury trzeba mieć na uwadze, gdy się rozważa dzieciństwo i wczesną młodość Mistrza. Co zaślepieni denigratorzy poczytywali za *vitium mentis,* było po prostu tajemnicą dojrzewania geniuszu. Co w oczach profanów mogło uchodzić za opieszałość lub niemrawość w rozwoju umysłowym, było z woli Natury wstępną fazą w której do głosu doszedł najpierw, w oczekiwaniu następnego skoku ku *Equilibrium Mirabile* (wyrażenie samego Mistrza), nadrozwój fizyczny.

W istocie rzeczy trudno tu użyć innego słowa niż „nadrozwój". O wadze i rozmiarach dziecka dałem już pewne pojęcie, mówiąc o Jego narodzeniu. Ale z wagą i rozmiarami nie zawsze idą w parze inne przymioty ciała. Wystarczy że powiem iż Palmiro Baldassar, na widok *phallusa* swego pięcioletniego jedynaka, wykrzyknął raz z podziwem: „Kto z nas jest ojcem, a kto synem?". Nie wiedział nieszczęsny (o czym dalej), że chwali instru-

3) Cudzoziemskim czytelnikom mojej książeczki winien jestem objaśnienie tego skrótu poetyckiego. Do roku mniej więcej 1970 wywieszało się we Włoszech na bramach domów białą kokardę na oznaczenie narodzin, a czarną na oznaczenie zgonu.

ment swojej własnej tortury i zguby! Gdyż nie był to tylko flaczek (jak powiada poczciwy Rabelais) na wyrost, przyrząd do robienia siusiu i przedmiot freudowskich igraszek dziecinnych.

Pierwsza miała się o tym przekonać mamka i piastunka Mistrza. Śmierć Palmy Loredany podczas porodu zmusiła Baldassara-ojca do natychmiastowego poszukania karmicielki dla oseska (sztuczne karmienie tabletkami *lactolu* nie było jeszcze wtedy znane, zresztą ku późniejszej radości Mistrza, który zwykł był podkreślać często że ten gwałt przeciw Naturze odbiłby się fatalnie na Jego utajonym nowicjacie w zakonie sztuki). Wybór padł na trzydziestoletnią chłopkę z okolic Fondi, godnie podtrzymującą zdrowiem, bujną urodą i obfitym biustem tradycje naszej dawnej *Ciocciarii*[4]).

Istnieją różnice zdań co do daty. Sam Diego Baldassar wymieniał rok 1959, inni nalegają na rok 1961, zapewne powodowani troską o nie zamącanie nad miarę wąsko pojętych reguł porządku naturalnego. Ale nawet wypośrodkowując, otrzymujemy dziesięcioletnie pacholę które w pokoju dziecinnym pałacu nad Canal Grande staje pewnego dnia przed swoją piastunką w całej dojrzałej już potędze sił męskich, uszykowanych do natarcia. Walka była krótka, jej wyniki tyleż słodkie co żałosne dla opierającej się w odruchu osłupienia kobieciny. Gdyż uległszy w końcu i zaznawszy do syta rozkoszy, została w godzinę potem odwieziona do szpitala przez równie osłupiałego lecz dumnego Baldassara-ojca. Krwotok był tak gwałtowny, że nie zdołano go zatamować. Oddawszy wieczorem ciało poruczonemu jej opiece chłopcu, zacna i wierna *ciocciara* oddała o świcie ducha Bogu którego opiece polecała się sama.

Było to głośne podówczas w Wenecji *prodigium* i nawet ja, nie znając jeszcze nie wiele ode mnie młodszego protagonisty, słyszałem to i owo o Jego pamiętnym wyczynie z ust moich „zgorszonych" rodziców. Dzięki swoim wpływom i pieniądzom Palmiro Baldassar zatuszował „skandal": żyło się wtedy w atmosferze hipokryzji; spontaniczny (mimo że na owe lata trochę przedwczesny) zew Natury wymagał złożenia haraczu w kasach partii rządzącej, która pieczętowała się tarczą ozdobioną krzyżem i słowem *Libertas*. Cóż — możnaby zapytać — bardziej swobodnego niż nieposkromiona wolność Ciała? Musiało jednak upłynąć dużo wody w kanałach weneckich i w Tybrze, zanim Merd-Art utorował drogę rewelacji że tam *anima naturaliter cristiana* gdzie *corpus naturaliter cristianum,* niby zrośnięte od kolebki po grób rodzeństwo syjamskie.

4) Cudzoziemskim czytelnikom mojej książeczki winien jestem objaśnienie tej nazwy. Tak nazywano niegdyś, w okresie Włoch preindustrialnych, dzisiejszy Okręg Przemysłowy FTF (Formia-Terracina-Fondi).

Jest to, być może, stosowny moment by wtrącić małą uwagę metodologiczną. Czy biografia artysty powinna okrążać z daleka „szczegóły intymne"? Czy rzeczywiście nie wzbogacają one naszej wiedzy o jego życiu i dziele, skierowując nieuchronnie ciekawość czytelnika na tory obce lub co najmniej obojętne poważnemu pojmowaniu sztuki? Pytania te dyskutowano powielokroć, wolno nawet sądzić że są one równie stare jak sam gatunek literacki zwany biografią. I nie będę tu bronił obranej przeze mnie metody argumentem, że w świecie nowoczesnej psychologii całe życie ludzkie (a więc i życie artysty) jest jedynie długim pasmem „szczegółów intymnych"; nie będę też odwoływał się do programowej antyintymności naszych czasów, zarysowanej paroma kreskami w przedostatnim ustępie Introdukcji. Użyję argumentu estetycznego, jedynie ważnego w mojej pracy. Kiedy rzecznicy biografii „dyskretnej" i opartej prawie wyłącznie na powierzchownej znajomości życia artysty głosili zasadę dystansu wobec zony „mrocznej" i „nietykalnej", była ona (ta zona) z punktu widzenia ówczesnej sztuki może nie tyle „mroczna", co nie warta tykania bo po prostu ignorowana lub przemocą zepchnięta na dalszy plan. Zamierzam przez to powiedzieć, że nigdy przed Merd-Artem (i pokrewnymi mu tendencjami w literaturze oraz w muzyce) sztuka nie zeszła tak głęboko do najdrobniejszych zakamarków intestynalnych życia ludzkiego. Przykład zaczerpnięty z przeszłości uprzytomni nam lepiej gdzie się znajdujemy i dokąd zdążamy. Jak wiadomo, poczciwy Samuel Pepys prowadził sekretny i zaszyfrowany dziennik, w którym między innymi chętnie i często rejestrował swój stolec. Dlaczego sekretny i zaszyfrowany? Dlaczego musieliśmy czekać dwa wieki aż jakiś znudzony ciągłym czytaniem Biblii ksiądz anglikański odsłoni nam, po wielu latach żmudnego dobierania kluczy, ten pomnik spostrzegawczości i wnikliwości pisarskiej? Dlatego, że sam Pepys oglądał swój stolec z rumieńcem na twarzy i okiem artysty nieświadomego jeszcze odkrycia którego dokonał. Gdyby, wybiegając imaginacją i myślą w przód, dojrzał był perspektywy eskatologiczne[5]) własnej, tak nisko przez jego współczesnych szacowanej czynności, Diego Baldassar nie musiałby toczyć ze zmienną fortuną równie przewlekłych i upartych bojów o Nową Sztukę. Podobnie (o czym dokładniej we właściwym czasie), gdyby Swift widział był w codziennych stolcach Celii nie *obbrobria* lecz *mirabilia* Natury do czego zresztą, jak się przekonamy, miał pewne predyspozycje), szlak wiodący Merd-Art na obecne i przyszłe szczyty nie byłby

5) Czytelnik niech poprzestanie chwilowo na zanotowaniu tego terminu w pamięci. Rozdział *Od eschatologii do eskatologii* zajmie się sprawą bliżej, z należytą podbudową filozoficzno-estetyczną.

najeżony kolcami, lecz gładko pomazany Substancją[6]). Krótko mówiąc, psychologia ze swoją ostateczną emancypacją „mrocznej zony" w życiu człowieka odgrywa tu tylko rolę pośrednią. Co jest decydujące to estetyka, która „mrok" rozproszyła i rozjaśniła na zawsze światłem sztuki. Lucyfer takiej sztuki nie może podlegać prawom biografii tradycyjnej. Jego życie należy do biografa w całości[7]).

Po tym krótkim i popularnym dyskursie o metodzie mogę podjąć na nowo wątek mojej opowieści. Wytrawnym znawcom i badaczom przedmiotu przypominam, że dziełko które mają przed sobą nie wykracza poza ogólne prolegomena do teorii Nowej Sztuki i jako *Bildungsbiographie* pragnie trafić nade wszystko do rąk młodzieży artystycznej.

Nie ma potrzeby ukrywać że chłopiec uczył się źle, a właściwie (jeśli pominiemy atawistyczny pociąg do łaciny) nie uczył się wcale. I po cóż miałby się uczyć? Świat, w całym swoim niewyczerpanym przepychu, przenikał do Jego młodego życia wszystkimi otworami i porami ciała. Wolno, dzień po dniu i noc po nocy, jak soki wzbierające w drzewie, dojrzewała tajemnica twórczego wybuchu, który cudownym barwistanem miał światu zwrócić w hołdzie Transformacji to co odeń wziął w pokorze asymilicji i imitacji. Punkt ciężkości tkwił w cierpliwej i podświadomej zaprawie do Aktu Transformacji. Gdzie w nim miejsce na kulturę szkolarską, na kulturę martwych formuł i bezdusznej wiedzy, przekazywanej systemem mechanicznego mnemonizowania i magazynowania?[8]) Wolność, absolutna i nie znająca granic wolność, gotowa przyjąć tylko pęta narzucone przez Kosmos, była

6) Dawniejszych pisarzy w ogóle nie wspominam, ich obskurantyzm miał w sobie coś wręcz barbarzyńskiego. W słynnej inwektywie *Contra medicum quendam* Petrarca pisał, że lekarz winien się „wstydzić" swego zawodu, który *consiste nell'osservare le urine e quelle altre cose che il pudore vieta di nominare...*

7) Dotyczyło to już w znacznej, jeśli nie tej samej, mierze szkół malarskich działających przed powstaniem Merd-Artu. Oto co pisał Harold Rosenberg o *Action Painting:* „Malarstwo które jest aktem nie da się odłączyć od biografii artysty. Samo malarstwo jest momentem w złożonej mieszance jego życia, jakkolwiek moment oznacza tu tyleż kilka minut użytych rzeczywiście w pracy wokół płótna, co całe trwanie jasnego dramatu wyrażonego w języku znaków. *Action Painting* posiada tę samą metafizyczną substancję egzystencji artysty: nowe malarstwo usunęło wszelki przedział między sztuką i życiem". *(The Tradition of the New,* 1959). A przecież nie tak dawno jeszcze autorka biografii Picassa, Hélène Parmelin, wzdychała: *On le connaît si peu quand on commence à le connaître! Il est vrai qu'après on ne le connaît plus du tout.* Czytelnik nie usłyszy takich westchnień z ust biografa Diego Baldassara!

8) Słusznie pisał naiwny skądinąd Montaigne: „Co ktoś wie naprawdę, tym rozporządza nie patrząc na wzory, nie obracając oczu na książkę. Smutna to wiedza, wiedza jedynie książkowa!".

jedynym kamieniem probierczym i filozoficznym. W stanie nierozbudzonym i pasywnym posiadało go się od urodzenia. W stanie czynnym i świadomym zdobywało go się dzięki łasce nagłego Oświecenia. Tak czy owak, książki do nauki (nie wyłączając w jakimś stopniu niniejszej) traciły swoją wszechwładzę, swoją moc ekskluzywną. Traciły ją z nader prostej i oczywistej dziś dla każdego przyczyny: kształciły zbyt jednostronnie szarą korę mózgową, czyli tę znikomą cząstkę organizmu ludzkiego którą pierwszy przypływ naszej epoki Renesansu Transracjonalnego zaczął już coraz śmielej, miarowymi uderzeniami wciąż nowych fal, strącać z długo i zachłannie uzurpowanego piedestału[9]).

Wolnością prawie bezgraniczną upijał się dwunastoletni Diego Baldassar jak młodym winem. Ojciec był powolny Jego „kaprysom i zachciankom", a raczej temu co podówczas nazywano „kaprysami i zachciankami". Dzisiejsza młodzież, wyzwolona i zdobywcza, śmiechem zbywająca resztki starych przepisów i konwenansów, nie domyśla się zapewne prawdziwego znaczenia słowa „huligan" które przetrwało jeszcze w niektórych dykcjonarzach. Biorę wydany w zeszłym roku (Paonazzi: *Novissimo dizionario della lingua italiana,* 1985) i czytam: „Huligan. Tak określano niegdyś młodych ludzi, obdarzonych wyjątkowym duchem inicjatywy i nonkonformizmu. Hasło wyszło z użycia wraz z powszechnym triumfem zjawiska nonkonformizmu (a więc i jednoczesnym uwiądem jego ładunku prekursorskiego[10])". Ani wzmianki o tym, że niegdyś była to nazwa obraźliwa. Że młodych ludzi obdarzonych rzeczywiście wyjątkowym duchem inicjatywy i nonkonformizmu uważano nie za prekursorów bynajmniej, lecz za „groźnych burzycieli tradycji i ładu", za „wysypkę infekcyjną społeczeństw przemysłowych i kultury masowej". Że urządzano na nich obławy policji. Że na kongresach i w pękatych wolumi-

9) Grzech pierworodny zdetronizowanej i dogorywającej epoki Renesansu Racjonalnego widać najlepiej w takim zdaniu Montaigne'a: „Rozum to, powiada Epicharmus, widzi i słyszy, on to ze wszystkiego korzysta, on działa i króluje; wszystkie inne rzeczy są ślepe, głuche i bez duszy. Otóż my czynimy go służalczym i tchórzliwym przez to, że nie dajemy mu nic czynić ze siebie". Następne wieki wykazały dowodnie do czego zdolny jest rozum, gdy dajemy mu czynić wszystko ze siebie: obraca nas w swoje ślepe, głuche i bezduszne narzędzia, pożera nas, służalczych i tchórzliwych, jak własny martwy pomiot.

10) Nawiasem dorzucę, że autor słownika przeocza tu jeden ważny aspekt zagadnienia. Gdy wszyscy stają się nonkonformistami, odżywa widmo nowego konformizmu, w zmienionej dla niepoznaki masce wstaje z grobu nieśmiertelny *homo conformans.* To właśnie miał na myśli dojrzały już Mistrz, kładąc u podwalin Nowej Sztuki żądanie nonkonformistycznego *perpetuum mobile et nobile.* Nie bez kozery porównywano Jego teorię estetyczną do politycznej teorii „permanentnej rewolucji" Trockiego z początków naszego stulecia.

nach luminarze nauki łamali sobie głowy nad uzgodnieniem „pilnych środków zapobiegawczych". Że ta „profilaktyka socjopsychologiczna" stała się intratną i znakomicie prosperującą „wiedzą" w cieniu rządów, koncernów przemysłowych i uniwersytetów. Że medycyna wynalazła „pastylki uspokajające" które wrzucano niepostrzeżenie „huliganom" do pokarmów i trunków, a muzyka „melodie kojące" które kolportowano w darmowych płytach. Że brano na serio pod rozwagę ingerencję w życie seksualne młodzieży, proponując obniżenie jego intensywności za pomocą miesięcznych zastrzyków przymusowych w specjalnie do tego celu stworzonych przychodniach komunalnych (co miało być odpowiednikiem periodycznej kastracji). Że podwyższono ceny napojów alkoholowych. Czegóż chcecie: nawet takie błahostki jak wesołe zdemolowanie lokalu po wieczorynce tanecznej, niewinne poturbowanie kogoś dla zabawy podczas włóczęgi nocnej, „gwałcenie" samotnych niewiast, zdobienie murów pomysłowymi napisami, wybicie szyb brzydkiej wystawy sklepowej, wyścigi samochodowe w centrach wielkomiejskich, letnie libacje i igry miłosne w parkach publicznych bądź na plażach, otrąbywano i rozdymano w gazetach *cum sacro horrore*. Zaiste, wolność autentyczna wymagała wtedy odwagi i ofiary. A nonkonformizm był niby okrzyk, którym pierwsi prześladowani prozelici zwołują się w ciemnościach katakumb.

Ta młodzież, zwana również na przemian „wściekłą" lub „wypaloną" (sic), odgadywała zatem trafną intuicją jak szukać wolności. Ale nie wiedziała jeszcze z dostateczną jasnością gdzie jej szukać. Modny był podówczas, choć w fazie stopniowego przygasania, egzystencjalizm. Zapuściwszy korzenie w filozofii Kierkegaarda, Nietzschego, Dostojewskiego i Heideggera, próbował on z cudzej gleby (i bez własnego nawozu użyźniającego) wysnuć odpowiedź na pytanie jak rodzi się wolność ludzka, jak wyłania się samowiedza z elementarnej esencji życia, która nie jest bynajmniej pramotorem czy praprzyczyną, lecz umykającą nam wiecznie kondycją ontologiczną. Zdawało się oczywiste, że przy takim ujęciu wolność człowieka stawała się w zasadzie *facultas arbitrii*. Z posiadanej przez człowieka (który nie domagał się bytu i nie jest odpowiedzialny za swoją egzystencję) zdolności wyboru własnego życia, tworzenia go z niczego, nie byłoby wyjścia, zdążania do walorów idealnych, gdyby nie czuł on istnienia i nacisku innych. Stąd potrzeba działania, a raczej wzywanie na ratunek działania w otaczającej nas pustce egzystencjalnej. Niestety egzystencjalizm ugrzązł bardzo szybko w ślepym zaułku działania głównie politycznego, co w praktyce wyrażało się oddaniem zdobytej z takim trudem wolności wyboru w niewolę wyboru innych. Rzecz tym osobliwsza że w pismach czołowych przedstawicieli kierunku

nie brakło dobrych sformułowań w rodzaju „nasze więzienie to inni", „nasze piekło to inni". Dziś widać lepiej jałową ambiwalencję egzystencjalizmu. Zahipnotyzowany „totalnym" (złudnym naturalnie) wigorem marksizmu jak królik stalowym wzrokiem węża-dusiciela, dał się wepchnąć w błędne koło które można było tylko obiegać *ad infinitum* wzdłuż linii: wolny wybór — istnienie innych — ucieczka do wolnego wyboru — nawrót istnienia innych etc. etc. Nie dziw że w tej zamkniętej szczelnie obręczy zaczął rychło zdradzać objawy chronicznego zawrotu głowy, a bodaj i choroby błędnika. W obręczy jednak (co prześlepił, doprowadzony do tak żałosnego stanu) *było* ogniwo łatwe do przełamania: sztuka. Sztuka, która godziła wolność absolutną z dobrowolnym ugięciem kolan przed tronem suwerennie i miłościwie nam panującej Natury. By to zrozumieć, należało otrząsnąć się ze zgubnego uroku i w odmienny sposób spojrzeć na elementarną esencję życia: nie jako na umykającą nam wiecznie kondycję ontologiczną, lecz jako na w pełni uchwytną, wiecznie i samoczynnie przetwarzającą się (i dzięki nam twórczą), Substancję życia. „Jeśli nie ma Boga, wszystko wolno" — mawiał przed stuleciem rosyjski bies w przebraniu skromnego studenta. Po półwieczu przeszło, gdy śmierć Boga opatrywano rzadziej bojaźliwym „jeśli", zawtórował mu echem pokraczny francuski diablik w ornacie arcykapłana egzystencjalizmu: „Człowiek skazany jest na stwarzanie w każdej chwili samego siebie". Zaprawdę: wszystko wolno i skazaniśmy w każdej chwili stwarzać samych siebie, ale (jak lubił przypominać Mistrz Alkofrybas, Abstraktor Piątej Esencji) bacząc że „tyleś panem i stwórcą własnej osoby, ile ci na to pozwolą twoje dziurki, przez które wieczna przemawia kreatorka, *Natura quae abhorret vacuum*". Wolnyś tedy bezgranicznie do czego? Stwarzasz się w każdej chwili na co? Wolnyś bezgranicznie jako artysta. Stwarzasz się w każdej chwili, by sztuką służyć i dług odpłacać Tej co cię stworzyła.

Mam powody by sądzić, że co bystrzejsi myśliciele zapuszczali się w te okolice na długo przede mną, że więc stąpam po ścieżkach na których tu i ówdzie wprawne oko dostrzega zarośnięty trawą odcisk stopy ludzkiej. Około roku 1960 (gdy — o czym warto pamiętać w trosce o większą przejrzystość tablicy chronologicznej — dziesięcioletni Diego Baldassar obwieszczał Wenecji swoją potencję męską, lecz nie podejrzewał jeszcze w sobie równej jej potencji twórczej) problem wolności artysty ukazał się w nowym świetle. Sam fakt że zaprzątnął naraz powszechną uwagę był dostatecznie wymowny. „Socjopsychologowie" zaoferowali natychmiast gotową formułkę cudnej prostoty: ich zdaniem mianowicie ludzie, pozbawieni przez społeczeństwa przemysłowe wolności we własnym życiu codziennym, odczuwali potrzebę jej

„transferu" na artystę. Tę pośpieszną ekspertyzę spotkał los na jaki zasługiwała, czyli krótki żywot. Istotne było dlaczego artysta zerwał się nagle w przestworzach do podniebnego lotu ku absolutnej wolności, a nie dlaczego gdzieś w dole jego odbiorcy „transferowali" nań (zresztą zbytecznie, co stanie się oczywiste w rozdziale o Sztuce Wszystkich) swoje nędzne egzystencje, wsysane, przepuszczane i depersonalizowane codziennie przez tryby maszyn przemysłowych. Należało tedy zacząć raczej od góry, niż od dołu. Robiono to po omacku i bez precyzyjnej busoli, ale w wielu wypadkach celnie. Ślady tych śmiałych antycypacji zasługują na wdzięczne pokwitowanie, między innymi jako dowód że estetyka Merd-Artu nie rościła sobie nigdy pretensji do stuprocentowej wyłączności swych odkryć.

Jakież to były antycypacje, co lęgło się w głowach mniej lub więcej świadomych pionierów dzisiejszej myśli artystycznej? Spostrzeżono że po drugiej wojnie światowej (i zapewne za sprawą jej mechanizacji i dehumanizacji w porównaniu z dawną sztuką rycerską) młode i przedsiębiorcze indywidualności zwracały się ku malarstwu nie po to by, jak niegdyś, utrwalić w formie plastycznej swój stosunek do świata, lecz popychane głębszym impulsem: oto malarstwo współczesne — *teatrum* setek szkół, prądów, wstrząsów, eksplozji i rewolucji, dzikie pole tratowane kopytami tysięcy zagończyków, puszcza dziewicza przyzywająca wciąż nowych eksploratorów, ocean stojący otworem przed nieustraszonymi żeglarzami — ostało się jako jedyna dziedzina działalności ludzkiej, w której mogły jeszcze dojść do głosu temperamenty gwałtowne, agresywne, żądne przygód, szukające natychmiastowego i niczym nieskrępowanego urzeczywistnienia. Wystarczy wskazać choćby przykład zapomnianego już (czy, jak twierdzą niektórzy, wchłoniętego przez Merd-Art) *Action Pointing*. Jego twórcy i teoretycy nie stronili przecież, głosząc że obraz winien być mierzony kryteriami napięcia i intensywności procesu malarskiego, od takich określeń jak „walka z pędzlem w ręku", „arena płótna"[11]). I w samej rzeczy na owej arenie toczyły się już wstę-

11) „W pewnej chwili malarze amerykańscy, jeden po drugim, zaczęli traktować płótno jako arenę na której należy działać, nie zaś jako przestrzeń na której należy odtwarzać, odrysowywać, analizować lub wyrażać przedmiot istniejący czy imaginacyjny. Płótno nie było już więc podporą malarstwa, lecz zdarzenia. Malarz zbliżał się do sztalug nie z obrazem w głowie, lecz z materią w rękach by w jakiś sposób przeobrazić ten inny kawałek materii który miał przed sobą. Obraz na płótnie miał być właśnie rezultatem takiego spotkania dwóch materii... Wszystko znajdowało się już zawczasu w tubkach z farbami, w muskułach artysty, w morzu barw w którym był pogrążony". (Harold Rosenberg, op. cit.). Jak tę postawę rozwinął, jakie jej skrzydła przyprawił w dwadzieścia lat później Diego Baldassar!

pne boje, tyle tylko że z użyciem broni zbyt konwencjonalnych i przestarzałych w epoce kosmicznej. Wielka i odkrywcza Przygoda stanęła zatem znowu u źródeł sztuki. W pismach ówczesnych estetyków znajduję uderzające (i bardzo *à propos* w niniejszej opowieści o Mistrzu rodem z Wenecji) refleksje: „Czy Casanova ryzykowałby lochy weneckie, mieszał się w drobne aferty szpiegowskie, szachrował w karty, gdyby żył dzisiaj? Żywość jego umysłu, spontaniczność, awanturniczość, zasoby wyobraźni, otwarłyby mu wszystkie galerie, wszystkie Muzea Sztuki Współczesnej". Zważmy rozmyślne wzruszenie ramion, z jakim autor pomija tu *a priori* kwestię talentu i wrodzonych dyspozycji artystycznych Casanovy, zakładając *implicite* że jego duch zawadiacki był sam w sobie złożem drogocennej rudy, z której różdżka czarodziejska Sztuki Nowoczesnej wydobyłaby niezawodnie żyłę złota godną najprzedniejszych muzeów i galerii malarskich. Nasuwa się pytanie skąd ta pewność. Uprzedzając je, autor odsyła nas do biografii jednego z ówczesnych malarzy paryskich. Jest ona jako żywo pouczająca. Zanim chwycił za pędzle by uczynić z nich drabinę do sławy i fortuny, malarz ów niezgorzej władał rewolwerem w roli cerbera przybocznego różnych przywódców politycznych, był nauczycielem i trenerem w szkole zapaśnictwa japońskiego, przemierzył wzdłuż i wszerz Daleki Wschód nie gardząc postojami w klasztorach buddyjskich, etc. etc. Zapewne, nie podzielamy dziś przesadnej dezynwoltury w stawianiu znaku równości między duchem przygody i sztuką; wiemy że genialni artyści są nadal zjawiskiem rzadkim i wyjątkowym, a Wielka Sztuka nie utraciła swych cech tak czy inaczej charyzmatycznych, jakkolwiek każdy z nas ma prawo nazywać się artystą *in statu perpetue nascendi*. Ale zdrowa i ożywcza była ogólna tendencja przytoczonych konsyderacji. Dzięki nim, dzięki rzucanemu przez nie posiewowi, możemy mimo wszystko zawołać z ulgą: Dobre wróżki czuwające z ukrycia nad dzieciństwem i wczesną młodością Mistrza!

Pora wrócić do Niego. Dwa epizody górują doniosłością i swoistym profetyzmem nad okresem 1960-1964.

Wiosną 1962 roku (nie udało się ustalić dokładnej daty, prawdopodobnie koniec kwietnia lub początek maja) dwunastoletni Diego Baldassar przestąpił po raz pierwszy próg weneckiej *Accademii*. Dotąd nie interesował się na serio malarstwem, choć ocalało kilka Jego dziecinnych próbek pędzla[12]). Nie jest stwier-

12) Powędrowały one przed rokiem, sprzedane na licytacji w Londynie, do amerykańskich kolekcji prywatnych i są niedostępne dla szerszej publiczności, toteż nie od rzeczy będzie wtrącić o nich słówko w przypisie. Barwne i atramentowe fantazje, wykonane techniką spacjalizacji plam na składanych w dwoje i w czworo płachtach papieru (byłoby jednak przesadą widzieć już

dzone w sposób zaspokajający rygory ścisłości biografa oficjalnego kto Go zachęcił do tej wizyty. Dość jednak że się odbyła, i że słusznym tytułem uchodzi za wstępny kamień milowy w edukacji estetycznej przyszłego twórcy Merd-Artu, za akt zaślubin młodego życia ze sztuką. Jej przebieg przepisuję z zanotowanej w moich kajetach, na krótko przed śmiercią Mistrza, Jego relacji bezpośredniej.

„Wszedłem po śniadaniu do tej budy, którą Wenecjanie nazywali Akademią i uważali za świątynię malarstwa. Od progu, Trebisan, od samego progu co czuję? Stęchły smród zgnilizny. Wisiały na ścianach te uroczyste trupy, tak dalekie od Natury i prawdziwej Sztuki, jak ja daleki byłem od naśladowania gęb rozdziawionych przed nimi w cielęcym zachwycie pod naciskiem długiej tresury. Dlaczego nikt nie ośmielił się kłapnąć szczękami i parsknąć śmiechem? Dlaczego nikt nie krzyknął trupom że są trupami? *Vomitas vomitatum!* Nagle coś mnie tknęło i ruszyłem z kopyta prosto przed siebie, nie oglądając się na strony, do sali w której wisiał średniego formatu obrazek: *Burza* Giorgiona. No i co powiesz: zdębiałem, literalnie zdębiałem! *Res viva et stimulans!* Cała ich Akademia nie warta tego obrazka, jeśli go się jak trzeba odbiera w percepcji asemantycznej czyli transracjonalnej. Uczonyś w piśmie, Trebisan, ale idę o zakład że nie wiesz co o nim powypisywano: a to że córka Faraona odnajdująca niemowlęciem Mojżesza, a to że karmiąca Wenus, a to że ceremonia kapłańskiego wtajemniczenia. Jaka córka Faraona? Jaka u licha Wenus? Jakie wtajemniczenie kapłańskie? Gdzie oni mieli oczy? Gdzie im się po drodze zapodziała burza? Popatrz i osądź: krajobraz jak wspaniała Kupa w tonacji żywicznej, świeżutka jeszcze i mokra i pachnąca, aż w brzuchu i w kiszkach łaskocze, aż *anus* rwie się do dzieła; w prawym rogu naga i młoda mateczka w pozycji siedzącej, każda fałdka apetyczniejsza od drugiej, piersi jakich się już nie widuje odkąd przepędzono mamki i wprowadzono ten przeklęty *lactol,* rozchylone uda zapraszają do szarży, aż człowieka rajcuje w rozkroku, aż się podnosi i spręża lanca *phallusa.* Stoję więc, dwunastoletni wyrostek, patrzę pilnie i osądzam, wiem gdzie mam oczy i gdzie moja burza, więcej widzę niż rozdziawione gęby. Więcej widzę, Trebisan, delektuję się jak przystało, bo patrzę rozdziawionym rozporkiem, bo tam moje oczy i tam moja burza. Z tyłu u mnie omdlewająca ciężkość, z przodu u mnie tętent stu koni. O świecie dookolnym zapominam, cwałuję prędzej prędzej i wyżej wyżej, opadam wreszcie z powrotem w naszą *vallis lacrimarum.* Ot tobie autentyczne doznanie

---

**tutaj prefiguracje teorii *Homo Spatiens*), przypominają to rozdeptane butem wielkoluda owady-giganty, to zasuszone w zielniku liście i kwiaty tropikalne ogromnych rozmiarów.**

Sztuki. I wystaw sobie: harmider nie z tej ziemi, wrzeszczą wniebogłosy jakieś baby, zbiegają się woźni, przylatuje nawet dwóch strażaków z gaśnicą, ciągną mnie wszyscy do wyjścia jak schwytanego zwierza, dostaje mi się w tłoku raz czy dwa po karku, wzywają policję. I dokąd? Do więzienia, Trebisan, do więzienia! Masz ci los kiedy się zanadto pogania żółwi rytm swego czasu, kiedy się z rozpędu wyskakuje przed leniwą i ospałą Historię".

Nie tylko muskularność stylu i niedościgniona plastyka opisu skłoniły mnie do zacytowania *in extenso* tej relacji, mimo że nie jest ona (co łatwo dostrzec) wolna od grzechu spojrzenia *ex post*, z pozycji dojrzałego już programu malarskiego, na młodociane przeżycie estetyczne[13]). Będę się do żywego głosu Diego Baldassara odwoływał również w przyszłości, a to z racji moich przyrodzonych niedostatków, które nie uszły z pewnością uwadze czytelnika. Powolność wyobraźni i nadmierna ostrożność myśli zmuszają mnie często do marudzenia i kołowania, gdzie umysł bardziej lotny i śmigły uderza niby jastrząb po upatrzeniu ofiary. Znając to ograniczenie, wolę od czasu do czasu usunąć się na bok i oddać ster w ręce inspiratora i bohatera mojej biograficznej nawigacji.

Palmiro Baldassar zdołał uciszyć i ten „skandal", nie obeszło się jednak bez trzytygodniowego pobytu w zakładzie (nie więzieniu) dla „małoletnich przestępców" za tak zwane *atti osceni in pubblico*. W dwa lata potem, wobec nowego incydentu który uznano za „skandal", Baldassar-ojciec okazał się na szczęście bezsilny. Na szczęście, gdyż z pośród licznych remediów wybrano pośpiesznie wysłanie młodzieńca do Ameryki, co pozwoliło Mu wypłynąć na szersze wody i wzrok skierować ku rozleglejszym horyzontom.

W roku 1964 na Biennale (tak nazywano urządzane w Wenecji periodyczne pokazy sztuki współczesnej) triumfowała Pop-Art[14]). Nagrodzone dzieło malarza amerykańskiego Paul Hamburgera, *Artist's Studio Number 7-A in Black, Red and White*, przedstawiało wnętrze z czarnym piecykiem *(inlaid metal with plexiglass)*, czerwonymi sztalugami i takiegoż koloru plakatem reklamowym konserw mięsnych przylepionych w lewym rogu

13) Jakkolwiek nie można tu wykluczać nagłego i ulotnego błysku olśnienia. Ostatecznie nawet u Prousta czytamy: *Je me suis approché* (opowiada malarz o obrazie zmarłego kolegi) *pour voir comment c'était fait, j'ai mis le nez dessus. Ah! bien oniche! on ne pourrait pas dire si c'est fait avec de la colle, avec du rubis, avec du savon, avec du bronze, avec du soleil, avec du caca!*

14) Szczegółową analizę Pop-Artu i innych fermentów artystycznych w okresie poprzedzającym narodziny Merd-Artu odkładam do osobnego rozdziału *Merd-Art in nuce*.

u góry, podczas gdy w prawym rogu u dołu wisiał przyczepiony łańcuszkiem do płótna biały nocnik. Kompozycja, pamiętam to z własnego doświadczenia widza na wystawie, podbijała śmiałością i oryginalnością głównie dzięki przemawiającemu *viva voce* akcentowi nocnika. Była w tym nie naskórkowa prowokacja w duchu Dada, lecz gwałtowna restytucja i nobilitacja konkretu którym zbyt długo i bezkarnie pomiatano w sztuce[15]). Autor zdawał się

15) Czego nie mogę odłożyć na później, to kilku koniecznych w tym miejscu uwag historycznych. Kiedy Duchamp posłał w roku 1917 na wystawę w Salonie Niezależnym w Nowym Jorku przedmiot z majoliki, który zgodnie z jego pierwotnym przeznaczeniem nazwał *Fontaine pissotière*, eskponat (zresztą odrzucony) podpisany był nazwiskiem R. Mutt. Duchamp pisał: „Nie ma najmniejszego znaczenia, czy Mr. Mutt własnoręcznie wykonał ten pisuar. Ważne jest, że go wybrał. Wydobył zwykły składnik naszej egzystencji i przedstawił go w ten sposób, by nowe nazwy i nowe punkty widzenia zatarły jego sens użytkowy: otworzył przed nim nowe horyzonty". Duchamp był prawdziwym ojcem Dada, choć to słowo i związany z nim ruch powstały później. Dziś, w świetle dalszego rozwoju nowoczesnych tendencji artystycznych, uderza tu dwojaka ambicja: wyizolowania przedmiotu z jego kontekstu egzystencjalnego, oraz zarysowania pierwszej fazy procesu twórczego prowadzącego do integracji widza. Ale w owych odległych czasach Duchampowi i jego następcom przyświecał inny cel. Chodziło o wyśmianie i wychłostanie własnej epoki, własnego codziennego banału, fali mechanizacyjnej która wszystko dokoła zrównuje i uniformizuje. *Ready made* był zatem próbą odkupienia indywidualności poprzez same przedmioty produkcji seryjnej, lecz próbą przedsięwziętą w drodze frustracji własnych intencji kreacyjnych, co w rezultacie stawało się jakby pokazaniem języka temuż społeczeństwu z którego kierunek wyrastał i do którego kpiącym rykoszetem wracał. Dada, ze swoją rózgą sarkazmu, miał wyraźny posmak protestu zrodzonego w cieniu pierwszej wojny światowej. Niebawem też pożeglował na wzburzone odmęty polityki, pod skrzydła opiekuńcze skrajnej lewicy. Ani śladu podobnych skłonności w Neo-Dada, czy to będzie jego odmiana amerykańska, czy francuski *Nouveau Réalisme*. Pierre Restany, teoretyk Nowych Realistów, pisał wyraźnie o wysiłku „rejestrowania rzeczywistości socjologicznej bez żadnych zamiarów polemicznych". Amerykańscy przedstawiciele Pop-Artu ostentacyjnie przekreślali *engagement*, zapewniając że chcą się otrząsnąć z „poczucia odpowiedzialności" i dotychczasowy *message* sztuki zastąpić zwykłym „kontaktem" z widzem. Wybór najprostszych przedmiotów seryjnych, tak nowych jak używanych, byle tylko znajdowały się w zasięgu powszechnym, byle należały do obiegu *mass-media*, implikował być może frustrację, nie implikował jednak sarkazmu. Co więcej — ich anonimowość wyłączała pociąg do fetyszyzmu, tak typowy dla zwyrodnienia Dada jakim był surrealizm. Zamiast protestu — jasna ekspozycja doli człowieczej w wieku maszyny. Ashton, teoretyk Pop-Artu, kładł nacisk na sztukę wyrażającą zniechęcenie wobec „zalewu postępu technicznego, który redukuje element kontroli ludzkiej i jako rzeczywistość podsuwa nam koszmary wiedzy". Gestaltyści posunęli się jeszcze dalej, sięgając po odpadki do śmietników. Oczywiście droga do Merd-Artu wymagała czasu, cierpliwości i (co najważniejsze) pojawienia się Diego Baldassara, ale jej pierwszy etap od pisuaru Duchampa do urynału Hamburgera był niedwuznacznym drogowskazem. Dada to restytucja polemiczna konkretu. Neo-Dada to jego restytucja czysta i bezinteresowna, połączona z nobilitacją. Oczyszczony i nobilitowany fizycznie, czekał teraz na swoje pełne odrodzenie w Naturze; i na swój blask meta-fizyczny.

mówić: „Inkorporując do obrazu to staroświeckie naczynie, w ciągu stuleci przedmiot conocnego użytku i codziennej wzgardy, żądam od was adoracji dla realnej realności świata. Nie odwracajcie głów, pochylcie je z szeptem litanii na ustach: Naczynie Uroczyste, Naczynie Głębokie, Naczynie Poważne, Naczynie Wonne, Naczynie Kruche a Nieśmiertelne, Naczynie Naszego Życia i Naszej Agonii, Naczynie Naszych Stękań i Mozołów i Naszych Błogich Wypróżnień, Naczynie Pierwiastkowe i Tajemnicze, Naczynie Proste i Niedocieczone, Święć się Namacalność i Dotykalność i Powszedniość Twoja na Wieki Wieków Amen". Jak potarte o siebie krzemienie, *valores tactiles*[16]) i *valores transcendentes* wykrzesały upragnioną iskrę; wraz z nią zamigotała na okamgnienie metafizyczna *aeternitas* Sztuki.

Przed takim oto stopem różnych elementów znalazł się na otwarciu Biennale Diego Baldassar. Razem z ojcem, z każdym dniem wyżej cenionym w Wenecji przemysłowcem i podówczas już właścicielem jedynej gazety miejscowej *Telemondo,* należał do świty towarzyszącej gościom honorowym. Byli nimi: Dostojnik Kościoła, Minister Oświaty tudzież Minister Turystyki i Widowisk, Burmistrz Wenecji w asyście Rady Miejskiej, Komisarz Wystawy, oraz przybyły z Rzymu korpus dyplomatyczny z Ambasadorem Stanów Zjednoczonych na czele. Wymieniam te urzędowe osobistości, by dać lepiej pojęcie o scenie, jaka rozegrała się w sali goszczącej nagrodzone dzieło i zaszczyconej obecnością laureata. Ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, zebrani spoglądali z wyrazem osłupienina i zmieszania w oczach to na utrwalone w kompozycji Atelier Artysty, to na samego Artystę z krwi i kości. Zaległa cisza, przerywana tylko kaszlem i pochrząkiwaniem. W końcu, jak na komendę i za sprawą tejże tresury o której Mistrz napomknął był w opisie Swojej wizyty w Akademii, rozdziawiły się z admiracją wszystkie gęby i rozkołysały się w aprobującym potakiwaniu wszystkie głowy: Dostojnik Kościoła przesłał nawet łaskawy uśmiech Ambasadorowi Stanów Zjednoczonych, Minister Oświaty uścisnął dłoń swemu koledze z resortu Turystyki i Widowisk, a Minister Turystyki i Widowisk poklepał życzliwie po ramieniu Komisarza Wystawy. Gdy tak się oto uśmiechali, ściskali i wzajem klepali, z orszaku wyrwał się nasz czternastoletni Zuch, podbiegł do nagrodzonego dzieła, błyskawicznie uwolnił ze spodni *culus,* chwycił oburącz wiszące na łańcuszku Naczynie i (wydawszy najpierw krótki lecz gromki *flatus*) równie błyskawicznie napełnił je po brzegi Substancją, czyli przy-

16) Nie należy ich mylić z mętnym terminem o identycznym brzmieniu, którego chętnie używał (czy nadużywał) wpływowy ongiś historyk i krytyk sztuki, Bernard Berenson.

pomniał naocznie obecnym cel do jakiego zostało stworzone, afirmując w ten sposób Głód Przedmiotowości i Epikę Codzienności — dwa filary Sztuki Nowoczesnej. Tak przynajmniej ja tłumaczę sobie Jego gest, tak też tłumaczył go sobie główny zainteresowany, Paul Hamburger, który szum protestów (demaskujący obłudę owej „admiracji" i „aprobaty" sprzed kilku minut) uciął zaimprowizowaną na prędce piosenką (był swego czasu piosenkarzem kabaretowym w Chicago):

*Bright boy,*
*Bright and right,*
*Gosh how smart!*
*He has filled up*
*The Gap*
*Between Life*
*And Art*[17]).

Jednocześnie wszakże miło mi jest ufać, że sama specyfika obrazu, jego tematyczna oś strukturalna, poruszyła ukrytą jeszcze lecz najczulszą strunę w duszy przyszłego ideatora i fundatora Merd-Artu.

Na nic się nie zdały starania i zabiegi redaktora *Telemondo:* wiadomość o zajściu przeniknęła na łamy prasy włoskiej i zagranicznej. 15 sierpnia Diego wsiadł samotnie w Genui, przez nikogo nie odprowadzany i nie żegnany, na statek transatlantycki *Michelangelo Buonarroti.* Biograf, przepraszając czytelnika, porzuca na chwilę obowiązek rzeczowości, by zauważyć ze wzruszeniem w tej koincydencji sekretny znak losu, brzemienny omen.

Ku jakiej płynął Ameryce? „Pécuchet widzi przyszłość ludzkości w ciemnych barwach: człowiek nowoczesny jest pomniejszony i stał się maszyną. Bouvard widzi przyszłość ludzkości w jasnych barwach: człowiek nowoczesny kroczy naprzód". Ku Ameryce człowieka pomniejszonego i przemienionego w maszynę, czy też ku Ameryce człowieka kroczącego dumnie naprzód? Literatura przedmiotu z owych lat skłania do melancholijnych medytacji. W roku podróży Diego Baldassara wyszła książka amerykańskiego uczonego, profesora Herberta Marcuse, pod znamiennym tytułem *One-Dimensional Man.* Mimo jej oschłego i nazbyt ociężałego stylu, mimo arbitralności i schematyczności sądu nieodzownej widać w dziełach „socjopsychologii", warto tu przytoczyć jeden fragment w formie preludium do następnego rozdziału (Ugo Trebisan zamierza dać następnemu rozdziałowi tytuł *Grand Prick 1965* — przyp. G.H.G.): „Porównajcie, na przy-

17) Stąd nazwa *Gap*, którą Mistrz zwykł był później określać w rozmowach ten *excursus* malarski.

kład, kopulację na łące i w samochodzie, na przechadzce kochanków za murami miasta i na ulicy Manhattanu. W pierwszym wypadku otoczenie uczestniczy w akcie, zaprasza *cathexis* libidinalną, podlega samo erotyzacji. *Libido* wykracza poza bezpośrednie zony erotogeniczne: proces nierepresyjnej sublimacji. W drugim wypadku otoczenie mechaniczne zdaje się blokować taką samotranscendencję *libido*. Zahamowane w dążeniu do rozszerzenia pola zaspokojenia erotycznego, *libido* staje się mniej polimorficzne, mniej zdolne do erotyzmu wychodzącego poza seksualność zlokalizowaną, i ta ostatnia podlega intensyfikacji". Oto świat, w którym osoba ludzka i Natura zorganizowane są już wyłącznie (żeby użyć zwrotu naszego profesora) „jako rzeczy i instrumentalności". Oto świat, oczekujący nowego Ikonoklasty.

*Michelangelo Buonarroti* pruje wolno fale Oceanu, unosząc na swym pokładzie wpatrzonego w siną i bezkresną dal młodzieńca.

## NAGŁA EKSTRODUKCJA

„Ekstrodukcją nazywał Diego Baldassar końcową fazę Procesu Artystycznego którego był Wynalazcą i Mistrzem, czyli *defaecatio*. W tym wypadku jednak chodzi o wyprowadzenie z książki o Nim".

Tak miał się zaczynać ostatni rozdział biografii Baldassara. Ale nie dojdzie doń z przyczyn, o których powiemy w zakończeniu naszego *post-scriptum*. Ugo Trebisan nie napisze swej Ekstrodukcji wieńczącej godnie dzieło całego życia, gdyż uprzedzimy ją naszą Nagłą Ekstrodukcją. Zanim zostanie wyjaśnione dlaczego, wypada uczcić trud niefortunnego biografa oficjalnego podając w największym bodaj skrócie plan jego niedokończonej biografii.

Urwał ją u progu amerykańskiej podróży przyszłego twórcy Merd-Artu. W Ameryce Diego Baldassar zabawi dwa lata, zajęty raczej igraszkami młodzieży artystycznej, niż sztuką *sensu stricto*. Podczas jednej z takich igraszek w Greenwich Village, zatytułowanej *Grand Prick 1965*, otrzyma pierwszą nagrodę w uznaniu dla rozmiarów tej części ciała, którą w sali wypełnionej po brzegi publicznością umyślono premiować na wniosek Jury płci obojga, złożonego z członków (!) ABC *(American Bizarre Corporation)*. Laur ów przysporzy mu wiele rozgłosu i uczyni go bohaterem powieści *Stoi wiercąc góry*, sławnej w annałach literatury i z tego że samą tylko formą jednego zdania wydłużonego jak soliter na dwieście stronic odda pełną sprawiedliwość poruszonemu tematowi (i organowi). Diego wszakże straci niebawem smak do podobnych czczych krotochwil, do podobnej czczej famy, oraz do

niczego nie podobnych Amerykanek szukających na gwałt (!) jego towarzystwa. Ogarnie go nostalgia. Poczuje też jaśniej niż kiedykolwiek dotąd, że jego prawdziwym powołaniem jest Sztuka. Wróci tedy do Wenecji. Zastanie tam ojca powtórnie ożenionego z osiemnastoletnią Desiderią Gaspari-Melchiorri. Błyskawicznie zdobędzie serce młodej macochy, aby do spółki (!) z nią wyprawić na tamten świat ojca, zżeranego zazdrością i rażonego w końcu (!) w łożnicy małżeńskiej wylewem krwi do mózgu. Spieniężywszy pokaźny spadek i wraz z towarzyszką ojcobójstwa-mężobójstwa przeniesie się do Rzymu. Kupi sobie pracownię na Via della Noia (dawna Via Margutta) i sposobiąc się do definitywnego wstąpienia w szranki (vide Rosenberg) Sztuki, zarazi się od pozostałych malarskich mieszkańców ulicy chorobą stulecia, czyli Alienacją. Straci poczucie otaczającego go świata, nie będzie odczuwał żadnego kontaktu ze stojącą na stole szklanką, znienawidzi białe i puste wciąż płótna, dosięgnie dna (!) nierealnej Nudy w codziennych i conocnych figlach nudystycznych z kochanką. „Jak się z rzeczonej (?) Alienacji wydobyć?" — zada sobie któregoś dnia pytanie, dumając po sutym obiedzie na sedesie. Pochyli sennie głowę ciężką od wina i wtem jego wzrok, pobłądziwszy między rozkraczonymi nogami, natknie się na zawartość muszli. „Eureka!" — krzyknie, przypomni sobie swój występ na Biennale w Wenecji (gdyż jego wyznania autobiograficzne z dzieciństwa i wczesnej młodości były jednak pawim puszeniem się *ex post),* i zerwie się z sedesu nie zapinając nawet spodni. Desideria przyjmie jego i jego odkrycie (!) z otwartymi ramionami (i nie tylko ramionami). Tak powstanie Merd-Art. Odtąd Substancja wynalazcy pokrywać będzie dzień w dzień płótna, kartony i mury pracowni (jej zastosowanie do techniki fresków objaśni niebawem wynalazca w zwięzłym traktacie *Minima Muralia).* Pierwszy merdisaż Mistrza odbędzie się w zbudowanej przez niego galerii na Via Appia Antica w Noc Sylwestrową 1970 roku. Podzieli on prasę, widzów i malarzy na dwa obozy: zaciekłych admiratorów i równie zaciekłych wrogów. Wśród tych ostatnich znajdzie się *Osservatore Romano,* co Baldassara skłoni do powierzenia swemu przyjacielowi i biografowi misji (zresztą nieudanej) zdobycia Substancji członków Kolegium Kardynalskiego w celu odnowienia malarstwa religijnego. Wkrótce Merd-Art rozpadnie się na dwie szkoły: na zwolenników *merdolu,* czyli preparatu chemicznego utrwalającego jedynie Substancję na płótnach i freskach; oraz na zwolenników *antimerdolu,* czyli preparatu łączącego właściwości utrwalania z właściwościami neutralizowania zapachu. Pierwsi, z Mistrzem na czele, będą uważać drugich za „falsyfikatorów Natury". Nie zrażony przeciwnościami i atakami krytyków, poświęci się bez reszty jedzeniu, czyli pochła-

nianiu Presubstancji, tyjąc z roku na rok w sposób pantagrueliczny. Takie samo zadanie powierzy Desiderii. Stopniowo dzieła Merd-Artu zaczną przenikać do salonów mieszczańskich i do innych galerii sztuki. Powstanie bogata literatura teoretyczna i filozoficzna kierunku, a dawny *marchand* ustąpi miejsca nowemu *merdchand,* niepomiernie bardziej zręcznemu w przetwarzaniu (po myśli dawnych alchemików) Substancji na złoto. W Ameryce opanuje całkowicie giełdę malarską lokalna odnoga (!) Merd-Artu pod nazwą Poop-Art. Nawet w bloku sowieckim, a mianowicie w Warszawie, narodzi się lokalna odnoga (!) Merd-Artu pod nazwą Pup-Art. Rosjanie powitają najpierw rewolucję artystyczną pogardliwym artykułem w *Sowietskom Iskusstwie* pod tytułem *Na bezpticzu i żopa sołowiej,* skierowanym oczywiście przeciw dekadencji i degeneracji Zachodu. Wkrótce jednak i w Moskwie powieje przychylniejszy wiatr (!) w imię ściślejszej koegzystencji, jak również pod wpływem raportu drugiej sowieckiej ekspedycji księżycowej, która w roku 1980 odnajdzie na srebrnym globie złotawe budowle i monumeta, ulepione zdaniem ekspertów z ekskrementów lunarnego (i wymarłego już) gatunku ludzkiego. Ponieważ inwencja twórcza Baldassara zależeć będzie wyłącznie od dobierania coraz to nowych składników Presubstancji w dążeniu do uzyskania coraz to nowych walorów malarskich Transformacji Eskatologicznej, przekroczy on wreszcie granice wytrzymałości żołądka. W roku 1985, w wieku lat trzydziestu pięciu, zje całego żywego homara ze skorupą (zafascynowany tonacją jej koloru), po czym umrze w okrutnych męczarniach skrętu i krwotoku kiszek z historycznym okrzykiem *Mehr Merde!* na ustach, nie doczekawszy ujrzenia homarowej Substancji. Zostanie pochowany pod Rzymem, w przerobionej na mauzoleum galerii na Via Appia Antica, a co roku tysiące jego uczniów i miłośników jego Sztuki składać będą wokół jego grobu kupki własnej Substancji zamiast wieńców i kwiatów. Droga do Sztuki Wszystkich dla Wszystkich stanie otworem.

Daremny galopie wyobraźni, nie wyprzedzisz na długo biegu wypadków realnych! Powstrzymujemy rękę biografa oficjalnego po napisaniu dwóch pierwszych rozdziałów, i usuwamy go przedterminowo w cień za pomocą Nagłej Ekstrodukcji, pobici w wyścigu fantazji z rzeczywistością. Gazety donoszą, że zmarły niedawno malarz mediolański Piero Manzoni został uhonorowany w swym mieście rodzinnym wystawą pośmiertną. Zaprezentowano na niej publiczności kilkadziesiąt przygotowanych przezeń za życia słoików z własną Substancją. W katalogu wystawy czytamy między innymi: „Mediolan jest miastem Manzonich. Po Aleksandrze Piero. O ileż więcej od *Promessi sposi* warte są słoiki z ekskrementami!". „Alessandro Manzoni jest jednym z największych

pisarzy włoskich — tak Encyklopedia Garzanti określa zdegenerowanego potomka Cesare Beccaria. Ale jeśli nazwisko Manzonich przetrwa w pamięci ludzkiej, stanie się tak nie dzięki Aleksandrowi, autorowi najbardziej służalczej i anonimowej powieści XIX wieku, lecz raczej dzięki rzadkim zaletom Piera, umysłu *par excellence* wolnego i niezależnego, który zbyt wcześnie opuścił te nasze Włochy BB (burżuazyjne i bigoteryjne)". „Jego sztuka jest triumfem tajemnicy niewyrażonego: *defaeco ergo sum*".

Biedny Ugo Trebisan: nie doczeka się powołania na fotel członka (!) honorowego dwóch co najmniej Akademii! Biedna Desideria: nie dożyje później starości otoczona czcią i bogactwem, odwiedzana codziennie przez setki merdchandów i merdartystów, zamieniona w pomnik największej rewolucji malarskiej naszych czasów! I biedny Diego Baldassar: nie otrzyma pośmiertnie osobnej sali w pięciu co najmniej Muzeach Sztuki Nowoczesnej i poczesnego miejsca w piwnicach Galerii Tretiakowskiej! *Requiescant in pace*. Nie będzie zapomniane ich śmiałe spojrzenie w przyszłość. Gdybyż Jonathan Swift znał był prostą prawdę, że

DEFAECO ERGO SUM!

1964

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI




Tel: FRE. 7888

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

# Zapiski bywalca

Było to na początku listopada, zostałem zaproszony na pewien pogrzeb.

— Żyjemy pod presją nerwów — mówił niedawno wieloletni Prezes, na pogrzebie Weterana.

Więc wtedy umarł Weteran, a teraz jakaś Polka. Przypuszczam, że była ex-wojskową, ale prasa tego nie podała. Rozpisywała się natomiast o jej młodości i urodzie. Miała być bardzo piękna. Została nawet Królową Piękności w pewnych postępowych kołach, ale na bardzo krótko, bo to długo nie trwa. Za szybkie jest u nas tempo życia. Młodość wypiera młodość! Dziwny świat.

Dobrze jednak, że prasa przypomniała ten fakt. Będzie prawdopodobnie na pogrzebie więcej ludzi. Rodzina się ucieszy. Kilka tygodni temu, gdy umarł były Generał, rodzina jego okropnie zalewała się łzami, ale — jak mówiono — nie po Generale, lecz że już wszyscy o nim zapomnieli. Nikt nie przyszedł na pogrzeb. To smutne.

Wyznaję ze wstydem, żem sam przeoczył ten obrzęd, nie wiem więc jak tam dokładnie było? Może rodzina przesadzała? Ludzie są czasami zbyt wymagający, zwłaszcza rodziny wyższych wojskowych, w stosunku do nas — niższych. Jakaś grupka musiała się chyba uzbierać? Choćby statutowo, od Weteranów, z Legionu i Kombatantów. Wszystko razem, powinno było dać mały tłumik. Nie powiem zaraz, że całą kompanię, ale choćby skromny plutonik. Komu tu więc wierzyć? Ludzie jednak twierdzą, że rodzina trochę przesadzała. Może go jednak kochali, bo na miłość można się jeszcze czasami, tu lub tam, natknąć.

No a prasa, też nie zawsze jest hermetyczna. Zwłaszcza w obliczu śmierci. Jej zależy na gromadzeniu się nas, bo to okazja

prenumerat, lub zainkasowania zaległych. Gdyż nikt wtedy nie odmawia. Ludzie jak zahipotyzowani wpatrują się w kamień z datami: urodził się i umarł, można z nich wtedy ściągnąć ostatnią koszulę. Dobro doczesne traci na wartości, nawet pieniądz! Wyciągają kiesy i rzucają, tak jakby spychali z piersi kamienie młyńskie. Nazywa się to „kolekta", ale dla mnie jest to akt symbolicznego samooczyszczenia. Do łez wzusza mnie on, choć się potem wstydzę trochę mej słabości. Bo jest się przecież mężczyzną!

Ile to myśli przychodzi człowiekowi do głowy przy jednym takim zaproszeniu? Co kraj, to obyczaj. Staram się jednak siebie kontrolować i nigdy o nich nikomu nie wspominam. Absolutnie! Żeby zaś siebie doprowadzić do pełnego porządku, idę za pokutę na jakąś podniosłą uroczystość. Najczęściej na pogrzeb.

— Po grób — krzyczał kiedyś małych wymiarów Major, tubalnym głosem. Wyglądał przy innych jak orzech. Ale głos miał niesłychanie demonstracyjny, z miechowatym zadęciem. Przemawiał na pogrzebie owego Weterana, zaraz po Prezesie, ale nie należał sam do weteranów, tylko do kombatantów. Mówili potem, że się wyrwał, że go poniosło. To ma być bardzo dzielny człowiek, tylko że taki mały. Za to medale na jego piersi wyglądają, jakby były bite w cieplarniach. Można przysiąc, że są większe od normalnych. Drobniusieńka pierś i ogromne medale, to wygląda imponująco. Zwłaszcza że wiszą wszędzie, na piersi i poza.

Zadowolony jestem nawet, że wtedy Major wyrwał się. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Gdy zakrzyknął, nie tylko jego pierś, ale i drzewa sypnęły echem. W medalach powstał zamęt, te na rękawie omalże nie zagłuszyły mówcy. Okazało się wtedy, że ma ich więcej niż przypuszczałem, że powierzchnia piersi jest zbyt szczupła, ukazała się bowiem druga ich warstwa, z wojen poprzednich. Strasznie mi się chciało podejść i pogrzebać w nich, ale wiem że tych rzeczy nie robi się publicznie, więc poniechałem.

W drodze przyszło mi do głowy, że jednak Major wygląda młodo, zacząłem w myśli liczyć daty ubiegłych wojen, i tak przeszedł mi czas.

Za to wyrwanie się miał on potem duże przykrości, zlikwidowano je po cichu, ale wiem że zasiadał Sąd Koleżeński i że zapadł wyrok zawieszający, gdyż kapitan od weteranów, Sążeń, miał wtedy przemawiać zaraz po Prezesie i dlatego wniósł na Majora skargę do Sądu Koleżeńskiego.

Osobiście, uważałem że wyrok był niesprawiedliwy. Major zawsze jest przed Kapitanem, a Kapitan po Majorze. Nigdy *vice* do przypomnienia, że czytelnictwo upada, do zdobycia nowych

*versa!* Ale sądy ostatnio nie stoją na wysokości zadania. Sędziowie nie odświeżają sobie Paragrafów i dlatego popełniają błędy. Brak reedukcji. Do tego wściekła, pękata w sobie żona sierżanta, baba ogromnie pyskata lecz z dużą oświatą, powiedziała kiedyś publicznie na pikniku:

— Pani kochana, sąsiadeczko złota, jak ten kieliszeczek trzymam w dłoni, przysięgam paniusi że w tym Sądzie, to są same niepiśmienne indywidua. Ni czytaty, ni pisaty — powiedziała znacząco — i wszyscy wiedzieli, co ten zwrot lingwistyczny miał określać.

— Mają tylko „mony" w kieszeni, ot co! — Ale potem wszystko się wyjaśniło, był u niej w domu dowódca jej męża, a po wizycie ukazał się list, że nie pamięta co mówiła na tym pikniku. I sąd dalej pracuje nad wyrokami. Nie wiem tylko dlaczego prasa jest niekonsekwentna, gdyż był drugi list, nawet podpisany, w którym autor dowodził, że baba ma mocny łeb. Ale się nigdy w druku nie ukazał, natomiast krążył w odpisach. A potem przestał. Mówiono, że autor jego gdzieś wyjechał. Może z misją, może nadawać pogadanki do radia, trudno było ustalić, gdyż te dziedziny naszego życia jeszcze dziś podlegają tajemnicy wojskowej. Naszej i obcej. Wszyscy ją szanujemy, nawet kobiety i dzieci.

Kiedy przyszło zawiadomienie, wcale nie byłem nim zaskoczony. Jestem już na wszystko przygotowany i to nie od dziś i nie od wczoraj. Siedziałem właśnie przy oknie i rozcinałem książkę. Tak, ostatnio zacząłem uprawiać czytelnictwo. I to systematycznie! Nie tylko w domu, ale gdzie się da. Nawet w tramwaju. W ten sposób poznałem już wszystkie ważniejsze firmy w naszym mieście. Daruję sobie drobne sklepiki, ostatecznie człowiek jest tylko człowiekiem. Więc rozcinałem książkę, a przez uchylone okno wpadała wrzawa ulicy. Po drugiej jej stronie był duży handlowy dom z instrumentami muzycznymi. Ktoś właśnie próbował radia. Miękki głos wszedł w mrok piosenką z filmu „Jesienne liście" z Joan Crawford i wydało mi się, że Polka która właśnie odeszła od nas miała takie same piękne oczy.

Ale ten pisarz, którego książkę rozcinałem. Wydaje mi się on czasami jakiś szczególny, a czasami nieszczególny, bo mówiąc prawdę, to tę książkę o bezwstydzie napisał on dla siebie. Bo są pisarze, co piszą tylko dla siebie i nic na to nie można poradzić. Lecz ten zaczynał inaczej, jakby od podszewki. Język miał lekko zmaltretowany, ale to dziś jest w modzie, psychologia była z okresu kamienia łupanego lecz i to można mu było wybaczyć, gdy jednak przyszło do treści, to pożal się Boże, prawdziwy groch z kapustą i mętlik, jak w znanym u nas zakładzie na ulicy Królowej pod numerem 999. Niby wszystko w niej było zamierzone, lecz i nie zamierzone. Psychologia pożarła treść, a na polu walki

pozostały tylko zdania pełne chuci. Bo i seks został zawojowany przez chuć, o co u Polaków nie jest trudno. Seks zamiast miłości, chuć zamiast seksu, wiwisekcja zamiast psychologii itd. itd. Jak jest w polskim łóżku, tak i w polskiej polityce!

Ale nie powinienem go całkowicie dyskwalifikować. Gdyż skazany na samotność, musi on strasznie cierpieć. Jak wielu z nas skazanych na emigrację. Ale on skazany jest również i na wielkość, a takich nie jest dużo, tylko że robią okropny szum wokół swoich osób, stąd ich przewaga nad nami. Trochę jest w tym i naszej winy, gdyż kiedy bardzo jest nam źle z naszą małością, to czujemy potrzebę wejścia w Nich, w ich wielkość.

Rozcinanie książki jest żmudnym zajęciem, człowiek musi mieć świętą cierpliwość, a i tej w naszych warunkach czasem mu brak, choć tę ostatnią rozcinałem z przyjemnością. Może była to zaleta papieru, a może noża, który pochodził od mojej dawnej paryskiej znajomej. Bardzośmy się wtedy lubili, potem jednak los nas rozdzielił, ale pozostał nóż.

Pisarz musi chyba uświadamiać sobie rolę słowa, musi je brać pod światło, zanim położy na papier? A cały język, jak siebie umiejscowić w nim? Czy tylko korzystać z form historycznych, czy z fermentów jemu współczesnych, bełkotu dnia, czy ukryć się przed wzrokiem ludzi i w samotności burzyć, by potem budować?

Zaproszenie miało niezgrabną formę, to już wina tutejszej sztancy dziennikarsko-polonijnej, gdzie wszystko jest w tradycji i to złej. Roiło się od niepotrzebnych słów, wśród których z trudem doszukałem się nazwiska osoby zgasłej. Wszystkie inne szczegóły uciekły mi z pamięci, a pozostał jedynie gąszcz złej pisowni. Miesiące jesienne nie robią już na mnie wrażenia, mam jakiś uraz do nich, są poza mną. Nie z powodu pogrzebów, które w naszych warunkach dają mi nawet pewne wyczucie rzeczywistości. Trochę jest ich za dużo, ale mój Boże, to już nie zależy od nas. Przyjemniej oczywiście byłoby iść na wesele, ale obrzęd ten zupełnie wśród nas zanika. Ludzie przestali się żenić. Mówię o nas, emigrantach, bo inni się nie liczą.

Kiedyś, było to chyba po wzlocie pierwszego Sputnika, czytałem w ich gazetach o potrzebie większej płodności i o naszym udziale w niej. Ale szybko się połapali i pozostawili nas w spokoju. Teraz, oni to oni, a my to my. Kraj tu, jak wiadomo, jest duży i pusty, rząd ma różne plany i pisze o nich szeroko, ale co to nas obchodzi? Jesteśmy tu przecie chwilowo i o tym trzeba pamiętać. My żyjemy według naszych, szczegółowych planów, gdzie jest powiedziane, że po ostatniej wojnie ma być jeszcze jedna, ale mała i zupełnie nie groźna, po której nastąpi nasz powrót. Nie wszyscy jednak pragną nawet minimalnie małej woj-

ny, wracać natomiast zwyczajnie po cywilnemu nie wypada. Co na to powiedziałby Kraj? Im też coś się należy od nas?

Osobiście, boję się wszelkiego szczęku oręża, inni jednak śmieją się ze mnie i nie tylko mówią, ale nawet śpiewają: wojenko, wojenko! Zwłaszcza na piknikach, gdzie im więcej się je i pije, tym więcej się śpiewa, a sama wojna jest wtedy romantyczna, piękna, ułańska, ukwiecona, łagodna jak baranek. Tylko mnie się wydaje inaczej, dlatego Generał zabronił mi przyjeżdżać na pikniki. Przestałem więc jeździć i zabrałem się do czytania. Ale na swój sposób jestem również generałem i często snuję prywatne, dalekosiężne plany. Niepokoi mnie emigracja i myśl, czy przetrwamy? Nie dla celów, o których mówią nam księża na ambonie i generałowie sprowadzani na nasz koszt z Głównej Składnicy w Londynie? Czy przetrwamy jako czytelnicy Sienkiewicza lub Gombrowicza, albo choćby dziadowskiej Konopnickiej?

Ambicje są zbrodnią postępu. Zauważyłem to, badając życiorys światłego w naszej historii Męża, którego nazwisko wypsnęło mi się z pamięci. Swego czasu przywodził on różnym średniowiecznym umysłom w Polsce i byłby może zaszedł daleko w tym cofaniu się, gdyby nagle nie zjawił się rozumniejszy od niego Pan w Starszym Wieku, powszechnie potem przez nas, dziatwę, Zwany Dziadziem. Odszedł więc, pozostawiając po sobie inicjały czcigodnego rodu, powszechnie dziś zapomnianego.

Chciałem pisać o sobie, a piszę o polityce, choć zgoła inne upodobałem sobie półko, na którym jak mówią moi przyjaciele (ci z Maisons-Laffitte) nie bez wdzięku radlę i melioruję. Z perspektywą na kwiatek, choć właściwie w dobie dzisiejszej bazowanie na kwiatku jest minimalizowaniem samego siebie. Lasy wprawdzie jeszcze nie płoną, gdyż nie odrosły po ostatniej wojnie i mógłbym pozwolić sobie na uboczny bluszczyk, ale w imię wyższych racji wolę hodować rośliny, być rolnikiem a nie ogrodnikiem. A jednak wydaje mi się, że moja grządka jest grządką wyjątkową i o tej wyjątkowości chciałbym komuś coś kiedyś napisać, ale co i komu? Myślałem nawet o założeniu na naszej Półkuli jakiegoś Związku wspólnych Dusz, który zająłby się rolniczym zaniedbaniem wśród nas, zapoznał z systemem postępowych Agronomów, o których napisano tyle niesprawdzonych cudów? Tyle ciśnie się na usta pytań, każde z nich kończy się ślepym milczeniem.

Wieczorem, ulegając słowiańskiemu impulsowi, zadzwoniłem do swojej bliskiej znajomej, byłej aktorki. Jest to jeszcze młoda twarz, ale ciało — lepiej nie mówić, choć serce pełne ogni mickiewiczowskich. Zdaje się że wyjechała na Mickiewiczu jeszcze w szkole, co bardzo dobrze chyba o niej jako Polce świadczyło, ale rzuciło poważną skazę na jej talent. Potem szybko zaczęła się

kończyć, choć ona — przeciwnie — myślała że się rozwija, że zdobywa, jak mówiła „nowe horyzonty". I z tymi horyzontami przyjechała do nas. Ja zawsze ją lubiłem i robiłem co mogłem by ją wywindować. Społeczeństwo jednak okazało się zbyt ciemne i nie pomogły nawet moje perswazje. Zadzwoniłem więc!

— To ty, Kochanie?

— Ach ty świńtuchu!

— Co znowu się stało?

— Jeszcze się pytasz?

— Jak Andersa kocham, nie wiem o co ci chodzi?

— Nie wiesz, ty kłamczuchu! I do tego szargasz jeszcze emigracyjne świętości!

— Bo mówię prawdę. Daję ci słowo, że nie wiem o co ci chodzi?

— A dlaczegoś nie zadzwonił po ostatniej mojej bibce?

— Byłem zajęty — powiedziałem niepewnie — i zaczęło mi świtać w głowie, że ona wszystko wie.

— Pewnie że wiem — zareplikowała, jakby odgadując moje myśli.

— Przecież nic złego się nie stało? Czy Ktoś się skarżył, zapytałem sondującym głosem?

— Skarżył, zawołała ze złością, przecież to się działo w mojej własnej sypialni, na oczach wszystkich!

— No, wszyscy byli wtedy w salonie, powiedziałem podkreślając słowo „wszyscy", gdzieście w tym czasie tańczyli przy pogaszonych światłach. I nie wiem po raz już który przypomniała mi się owa scena, jakby żywcem wzięta z *La Dolce Vita,* w polskiej przeróbce, z warszawskimi dodatkami i upiększeniami. Ładne ciało, pachnące jeszcze Wisłą, któreśmy powoli i z rozsadzającą nas rozkoszą, obierali z kolorowych płatków sukienki, a potem jedwabnej bielizny. Robiliśmy to lepiej niż w filmie, gdzie pełno było egzystencjalnego ekshibicjonizmu, gdy u nas wyglądało to na patriotyczną komunię.

Nie będę wchodził w szczegóły, gdyż wydaje mi się, że i tak powiedziałem za dużo, dość że udało mi się jakoś załagodzić całą sprawę i dziś znów jesteśmy w bliskiej komitywie. Okazało się nawet, że owa piękność, dziś już w stanie spoczynku, była na owej bibce, tylko jej nie zauważyłem.

— Znałaś ją — zapytałem?

— No oczywiście, że tak, odparła aktorka.

— Czy dobrze? Nie otrzymałem jednak odpowiedzi. Usłyszałem zgrzyt klucza w jej drzwiach i równocześnie głos aktorki:

— On przyszedł, powiedziała szybko i odłożyła słuchawkę.

Nieraz potem ów wieczór przybierał w mojej wyobraźni różne warianty. Raz czy dwa nawet, wydało mi się, że jestem właści-

cielem intymnego teatru, że robię objazdową turę i za śmiesznie małą cenę pokazuję ów spektakl elicie emigracyjnej w ważniejszych miastach Stanów. Że miałem udaną prapremierę w swoim pokoju na dziesiątym piętrze, pod nieparzystym numerem, kończącym się na dziewiątkę, która zupełnie przyćmiła inne, pokrewne memu, teatry, gdyż jak można było się domyślić, miałem najbardziej integralną obsadę. Otwierając drzwi przed czołówką intelektualną naszego miasta, byłem taki szczęśliwy, taki szczęśliwy. Nie przyszła tylko poetka B. gdyż tego dnia była zajęta strofowaniem męża. Ale to nic!

Tym kończy się pierwszy rozdział moich zapisków z którego czytelnik niewiele się dowiedział, ale mógł się dowiedzieć jeszcze mniej.

*Wacław IWANIUK*

**TOM CXII — BIBLIOTEKI « KULTURY »**

**WITOLD GOMBROWICZ**

# KOSMOS

Po *Ferydurce*, *Trans-Atlantyku* i *Pornografii* — Kosmos. Tytuł jest „kosmiczny". Czy treść odpowiada tytułowi? Czy zawartość tego utworu zakrojona jest rzeczywiście na skalę kosmiczną? Czytelnik sam się przekona. Tutaj wystarczy powiedzieć, że jest to powieść prawie kryminalna, o akcji żywej i postaciach plastycznych, dramatyczna, liryczna, miejscami humorystyczna. Wpatrzony w rysy i plamy sufitów, ścian, pochylony nad śmietnikami bohater-detektyw szuka „znaków", którymi rzekomo ktoś go osacza... i to doprowadza go do zdumiewających zdarzeń, przygód rozpaczliwych, do „wezbrań" szalonych i bolesnych „rozpadów" rzeczywistości. Rzecz dzieje się w Zakopanem. Tatry, ta „burza ryczącą materii", wdzierają się w akcję.

Str. 144 Cena egz. 9 F (13/-; $ 2,00)

# Po egzaminie

Uczyłyśmy się całe lato i już po prawdzie zaczęło mi to wyłazić bokiem. Lato jak lato monachijskie było chłodne i dżdżyste, więc nie straciłyśmy wiele siedząc w pokoju Helki. Pokój był brzydki, duży, nieforemny, o dziwacznych kątach i panował w nim wieczny półmrok. Okno wychodziło na Feilitschstrasse. Powiedziałam Helce, że Feilitschstrasse to najbrzydsza ulica w Monachium. Wzruszyła ramionami. — Dużo mi na tym zależy — mruknęła — niech będzie.

— A najładniejsza jest Briennerstrasse — dodałam jeszcze, żeby na chwilę oderwać ją od wkuwania. Ale nie zareagowała. Tyle ją akurat obchodziło to miasto, choć mieszkała tu już kilka lat.

Rano przychodziłam około dziesiątej. Witała mnie zawsze tak samo. Jeśli padał deszcz, a padał prawie codziennie, mówiła: — Żeby tych Niemców diabli wzięli. Jaką oni mają psią pogodę. — A o ile świeciło słońce: — Żeby tych Niemców diabli wzięli. Widzisz jaką mają ładną pogodę. — W ręce trzymała papierosa. Stale się niby odzwyczajała od palenia.

W południe jechałyśmy do „kuchni". Czasem jechałyśmy ósemką, a czasem dla rozrywki, choć była to droga okrężna, szóstką. W „kuchni" obiad był zasadniczo między dwunastą a drugą, ale niektórzy siedzieli nawet do czwartej. Nie było się do czego śpieszyć. Zajmowaliśmy tylny pokój. Prawie wszystkie monachijskie restauracje mają taki tylny pokój i nie wiedzą co z nim począć. Więc nie trudno było dostać ten pokój dla Związku.

Była to ostatnia stołówka Związku Studenckiego, ta na Schillerstrasse. Przedtem byliśmy gdzie indziej, ale pokłóciliśmy się z gospodarzem. Mówił, że nie może nam już sprzedawać obiadów po marce, nawet jeśli jest nas jakaś trzydziestka. Drożyzna, ceny

idą w górę, inflacja. Ale Heniek, który był wtedy prezesem Związku utrzymywał, że gospodarz, gruby i dostojny Bawar, jest antysemitą. — No jak w dodatku do wszystkich twoich kalkulacji będziesz jeszcze szukał filosemity — zauważył Janek — to właściwie Związek może już zrezygnować ze stołówki. — Heniek, rzeczywiście, ogląda wszystko z semickiego punktu widzenia. Sprawy nabierają dla niego dopiero istotnego znaczenia w związku z żydostwem. Więc, powiedzmy, pytasz Heńka, czy czytał Buddenbrooków Manna. A Heniek pewnie powie, że tak i doda, że Mann miał żonę Żydówkę. I tak będzie ze wszystkim aż do znudzenia.

Więc teraz byliśmy na Schillerstrasse. Na zewnątrz padał deszcz, świeciło słońce, sople lodu zwisały nad wąskim oknem zasłoniętym brudną batystową firanką. Cud gospodarczy porykiwał trąbkami samochodów, zgrzytał hamulcami na pobliskim rogu. Latem do tej wrzawy dochodziły jeszcze głosy dzieci goniących się po wąskim chodniku. Okno było uchylone, kurz osiadał na talerzach.

— Słyszycie jak się bawią — powiedział któregoś dnia Edek mieszając łyżką cienką zupę. — A nasze dzieci ziemię gryzą.

Na chwilę zrobiło się cicho, ale potem znowu wszyscy zaczęli mówić naraz. Janek opowiadał, że kelnerka z „kuchni" była już u niego w domu.

— Gdzie pies ma dom — mruknął Edek.

— Jakby tę jego budę mógł nazwać domem, to by jej wcale nie prosił — wtrącił się Heniek.

Helka się widocznie skrzywiła, bo Heniek nagle zwrócił się do niej i zauważył, że jak na przyszłą lekarkę jest bardzo delikatna.

— Dużo słyszę, co wy tam gadacie. Krzywię się, bo mnie ząb boli — rozgniewała się.

Roman, który kończył właśnie dentystykę — nazywał ją elegancko stomatologią, — zaczął jej coś doradzać, ale ona machnęła tylko ręką. — Ach dajcie mi już wszyscy wreszcie święty spokój!

— Ledwo usta otworzyłem a już się na mnie rzucasz — zauważył słusznie Roman. Był trochę dotknięty, ale nie bardzo. Natychmiast jakby zapomniał o Helce i jej zębach, bo zwrócił się znowu do chłopców.

— Może coś wezmę na ten ból zęba — powiedziała Helka, ale tym razem już nikt jej naprawdę nie słuchał.

Było nas w tym okresie w Związku tylko trzy dziewczyny na dwudziestu kilku chłopców. Nie zajmowali się nami zupełnie jako kobietami. Mieli swoje przygody miłosne hotelowe, barowe, nieromantyczne i dla nas niezrozumiałe. Czasem nam o nich opowiadali, czasem dopytywałyśmy się same o szczegóły okazując

ni stąd ni zowąd przelotne i powierzchowne zainteresowanie. Tłumaczyli nam cierpliwie, kiwałyśmy głowami myśląc już o czymś innym. Zawsze mówili o tych sprawach między sobą przy nas nie krępując się. Byłyśmy dla nich bezpłciowe. Nie potrafiliby pewnie powiedzieć czy byłyśmy ładne czy brzydkie.

Ta trzecia, najstarsza z nas Marta, odeszła pierwsza. Studiowała farmację i po egzaminach końcowych zaczęła gdzieś w Monachium praktykować. Nie chciała powiedzieć w której aptece. Nikt zresztą nie nalegał, bo co tam. Nie to nie.

Ale raz przyszła do „kuchni" i siedząc przy długim stole oświadczyła, że wychodzi za mąż. Mnie i Helki nawet przy tym nie było. Chłopcy dali jej kilka praktycznych rad, ale Marta podobno nawet się nie zaczerwieniła. A potem dopiero jak to zwykle u nas bywa, pierwsze zawsze na ostatku, pytali za kogo. I wtedy Marta powiedziała, że za Niemca. To znaczy nie powiedziała, że za Niemca, tylko że za doktora Eberhardta, który był docentem medycyny. Ale oni już wiedzieli, że za Niemca, bo znali tego Eberhardta, a zresztą wszyscy Żydzi monachijscy wiedzieli o sobie nawzajem aż nazbyt dokładnie.

I tego dnia od nas odeszła. Była w tym mieście, ale równocześnie jakby jej już wcale nie było, jakby nie istniała więcej, jakby zginęła i nigdy jej tu w „kuchni" nie było. Przestaliśmy o niej mówić. Ale to nic nie znaczyło, bo nie wspominaliśmy także i tych, którzy wyemigrowali do Stanów czy do Izraela, czy gdzieś się po prostu zapodziali i przestali do „kuchni" przychodzić. My byliśmy tutaj w pokoju za restauracją, między dwunastą a drugą sami dla siebie w wieczności i w próżni.

Zostałyśmy w ten sposób już tylko obie z Helką wśród tych chłopców i Helka oznajmiła mi, że po egzaminie albo się zakocha w Edku albo pojedzie do Izraela. Rozważała te dwie możliwości siedząc na wyświechtanej kanapie w swoim brzydkim pokoju. I ciągle dodawała, że po egzaminie się zobaczy.

W ogóle te dwa słowa „po egzaminie" nie schodziły z jej ust. Jakby to był jakiś kres, jakby tutaj się coś kończyło i coś zaczynało. Powtarzała to stale w „kuchni", choć tam nikt nikogo nie słuchał uważnie i nikt się niczemu nie dziwił. I zawsze w ciągu lata przyrzekała, że jutro weźmie termin. Potem znowu chłopcy jej powiedzieli, że można dostać specjalny termin, o ile się ma zaświadczenie, że się jest rejestrowanym na emigrację. Namówiła mnie, żebyśmy się tym zajęły. Jednego popołudnia, prosto z „kuchni" pojechałyśmy na Bogenhausen po to zaświadczenie.

— Na co ci to? — pytałam jeszcze w tramwaju. Ale ona tak się już zapaliła do tego projektu, że właściwie na moje pytania nie odpowiadała. — Nie będziemy zdawały z nimi — cieszyła się — będziemy zdawały tylko we dwójkę.

Nie widziałam w tym wiele sensu, ale co tam. Skoro się zdaje na niemieckim uniwersytecie, u profesora Niemca, nauczywszy się poprzednio z niemieckiego podręcznika... Ostatecznie było mi wszystko jedno. Wymyśliła, niech się cieszy. A ona, widziałam, miała złudzenie, że zajmuje się czymś, że robi coś, co do czegoś prowadzi. Znałam doskonale te żydowskie interesy, które bardzo realną krzątaniną zmierzają zawsze do jakiegoś wymyślnego celu „na niby".

W emigracyjnym urzędzie były pustki. W maleńkim przedpokoju za drewnianą barierką siedział kwaśny woźny czy urzędnik i rozwiązywał krzyżówkę. Helka mu zaczęła wyłuszczać sprawę, naprzód po niemiecku a potem po polsku, bo woźny naturalnie był dipisem, a ja wyglądałam oknem. I tak pewnie był zły, a teraz Helka go oderwała jeszcze od tej krzyżówki i był wściekły. Za oknem małe szare podwórko. Nic ciekawego. Potem zajechał jakiś jeep. Helka wciąż gada, a tamten nie chce jej widocznie wydać tego świstka.

— Na co to pani? — pyta podejrzliwie.

A ona mu tłumaczy po raz setny, że nie chce zdawać z nimi. Ziewam.

— A pani? — zwraca się do mnie woźny.

— Nic mi na tym nie zależy. Nic a nic.

— Bo ludzie tu ciągle przychodzą po jakieś zaświadczenia. Nie wiem po co. Do czego im są potrzebne?

— Oni też nie wiedzą. Niech się pan tym nie martwi.

Spojrzał na mnie z wściekłością i zaczął wystukiwać to zaświadczenie na maszynie. Przyglądałam mu się z sympatią, bo ja też bardzo źle piszę na maszynie. I w ogóle marne musiał mieć życie.

Wyszłyśmy wreszcie. Na schodach Helka przystanęła i powiedziała rozmarzona. — Pamiętasz, jak to było, kiedy dawali papierosy? Te wszystkie przydziały, szmaty, puszki, pamiętasz?

Pamiętam, oczywiście że pamiętam. Rozumiem nawet do czego tak wzdycha i za czym tak tęskni. Bo życie wtedy jakby dokądś szło, posuwało się w jakimś niewiadomym kierunku. Ale przecież to w końcu było złudzenie. Więc nie odzywam się nic. Dużo ona miała z tych papierosów, skoro sama pali jak wariatka.

W dwunastce jest ścisk. Wracają już chyba z pracy. Obce życie toczy się dookoła, przewala się obok i poza nami. Tramwaj dzwoni, piszczy, zgrzyta, szarpie, konduktor gniewa się na kogoś przy drzwiach. Helka mówi. — Ja się stąd jeszcze wydobędę. Zobaczysz. A po egzaminie nie będę więcej chodzić do „kuchni".

Teraz, mimo mojego roztargnienia, nareszcie pojęłam, że ona chce tylko dociągnąć do egzaminu. Że to ma być równocześnie koniec naszego wspólnego uczenia się, koniec „kuchni", że ona

odchodzi. Nie wiem dokąd i nie pytam. Wątpię czy ona wie. Tak bardzo w to nawet nie wierzę. Jest jesień, semestr się zacznie za kilka tygodni, trzeba iść po termin. Potem są jeszcze inne egzaminy, ale podobno ten pierwszy jest decydujący.

Z czarnego zegara nad starym pudłem pianina, na którym nikt nie gra, tykają niepotrzebne godziny. Wskazówki przesuwają się pilnie z nikąd do nikąd ponad jednostajnym gwarem. Na zewnątrz, na Schillerstrasse, opony rozpryskują szarą wodę kałuż. Nie wiemy sami czy jesteśmy tu, czy jesteśmy teraz, czy byliśmy tylko kiedyś, czy naprawdę przeżyliśmy. Nikt nigdy nie rozwiąże tej zagadki. Mokre szyby dzwonią żałośnie w jesiennej plusze.

Poszłyśmy po termin. W instytucie było ciepło i jasno, a sekretarka powiedziała uprzejmie, że ponieważ jak wynika z zaświadczenia, mamy emigrować, więc owszem, możemy zdawać, kiedy chcemy, tylko nie w piątki. W piątki pan profesor ma ważne zajęcia. Uśmiechała się do nas i życzyła powodzenia. Na pewno wszystko doskonale umiemy, zauważyła bez żadnej ironii.

— Miła panienka — pochwaliła Helka.

Kiedy przyszłyśmy, musiałyśmy czekać jakieś piętnaście minut, i miła panienka zapewniała nas, że mamy szczęście, bo studenci nieraz czekają na pana profesora godzinami. Helka się okropnie denerwowała. Wyjęła z swojej przepastnej torby jakiś skrypt i coś tam sobie jeszcze na prędce powtarzała. Wierciła się przy tym niemiłosiernie na krześle i stukała obcasem w podłogę, czego żywiołowo nie znoszę.

— Helka, czy pamiętasz akcje w getcie? — spytałam.

Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem i mamrotała dalej.

— Czy się wtedy bałaś?

— Pewnie że się bałam.

— A jak się wtedy bałaś — zapytałam z tryumfem — to jak się możesz bać teraz?

Tym razem popatrzyła na mnie zupełnie przytomnie i już widziałam, że za daleko zabrnęłam. I właściwie to ta kwestia mnie tylko interesowała zasadniczo, a w tej chwili była mi zupełnie obojętna.

Ale ona spojrzała na mnie tym razem całkiem przytomnie i powiedziała bez wahania. — To jest proste. Gdybym się teraz nie bała, dlatego, że wtedy się bałam, to byłabym przecież wariatką. — Coś tam sobie jeszcze powtarzała, ale tym razem bez skryptu, który wcisnęła byle jak do torby.

Nawet nie obejrzałyśmy się jak do pokoju wszedł mężczyzna w białym kitlu, a tu słyszymy jak sekretarka mówi do telefonu, że przyszedł doktor Eberhardt. Spojrzałyśmy po sobie a potem na niego. Helka nawet mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Tak jak bym nie wiedziała, że to mąż Marty. Przeglądał jakieś papiery, żartował z sekretarką, a potem ujął słuchawkę i kogoś tam przepraszał, wylewnie, na niemiecki sposób, że nie może przyjść, bo żona się źle czuje. Kiedy wyszedł Helka powiedziała patrząc w sufit. — Ale się kryguje. Czy ja wiem, może dobrze zrobiła.

Zawsze tak mówiła: „czy ja wiem". Czasem mnie to nawet irytowało. — Przynajmniej już nie musi być z nami — ciągnęła — to też coś warte. — Źle się czuje! Marta jest zdrowa jak koń. I taka silna. Ktoś, kto z nią był w obozie, mówił mi, że wszystkie kobiety jej zazdrościły tych sił.

— Ach co ludzie gadają — mruknęłam niechętnie, bo zrobiło mi się nie wiedzieć czemu żal Marty. I rzeczywiście, co ludzie wszystko wymyślą. I nagle jakoś równocześnie, obok siebie, zobaczyłam baraki obozowe i tamtą Martę, której przecież wcale nie znałam i tę Martę i jakieś mieszkanie z perskimi dywanami, z kanarkiem w klatce czy nawet pieskiem. Nigdy, rzecz prosta, nie byłam u Marty w mieszkaniu i nawet nie jestem pewna, czy wiem jak wygląda perski dywan. Strasznie głupi i niepotrzebny balast — wyobraźnia.

Z bliska profesor wyglądał inaczej niż na wykładach, bardziej po ludzku. Uśmiechał się do nas, był w wyśmienitym humorze. Pytał życzliwym tonem, skąd jesteśmy. Zaraz się zresztą domyślił, że z Polski. Do Helki powiedział, że dobrze zna jej miasto rodzinne, Łódź. Cały egzamin trwał najwyżej dziesięć minut. Było się w ogóle czym przejmować! Postawił nam jedynki, umiałyśmy rzeczywiście, jak się wtedy wyraziła sekretarka, doskonale.

Na schodach powiedziałam. — Co on tam, myślisz, robił w Łodzi?

I natychmiast tego pożałowałam, bo to jest takie właśnie ględzenie, którego sama strasznie nie lubię. Nic dziwnego, że Helka zaraz na mnie wsiadła. — Czego chcesz ode mnie. Czy ja to mogę odrobić, co on tam robił?

Była godzina dwunasta. Od Sendlinger-Tor placu szedł zimny, porywisty wiatr. Stałyśmy przed instytutem.

— Chodźmy do „kuchni" — powiedziałam. — Chłopcy się ucieszą, że nam tak dobrze poszło.

Spojrzała na mnie i nic nie odpowiedziała. A potem nagle potrząsnęła energicznie głową, na znak, że do „kuchni" nie pójdzie.

Prosiłam ją, żeby zmieniła zdanie całą drogę aż na Sonnenstrasse, ale się zacięła. Właściwie nic nie mówiła, tylko potrząsała raz po raz głową i dlatego biegłam za nią nie mając pojęcia czy argumenty moje były trafne czy nie; nawet nie wiem dokładnie

czy słyszała wszystko, co mówiłam. W końcu, już na Sonnenstrasse powiedziała, że pójdzie do kina.

Zdziwiłam się. — Do kina o dwunastej w południe?

— Jest już po dwunastej. O pierwszej otworzą. — Nie proponowała mi, żebym z nią poszła.

Przestraszyłam się nie na żarty. Teraz dopiero uwierzyłam.

— Chodź ze mną — prosiłam. Chodź do „kuchni". A co z Edkiem?

Popatrzyła na mnie jak na wariatkę. — Chyba wiesz, że to był taki sobie nieudany kawał.

Stałyśmy teraz przed jakimś kinem, już blisko Stachusa. Przed kasą tworzyła się nawet kolejka, widocznie miała rację i otwierali tam o pierwszej. Chciałam jej jeszcze przemówić do rozsądku, przedłużyć tę chwilę, szukałam jakiegoś ważkiego słowa, które by ją zatrzymało. Bałam się, że zniknie w tym kinie na zawsze. Pociągnęłam ją nawet za rękaw, co nie jest moim zwyczajem.

Stanęła w kolejce, kątem oka widziałam, że grali tam jakąś bawarską komedię. Więc jeśli chciała iść na taki film, to już nic nie pomoże, chciała się widać ode mnie odczepić. Powlokłam się wobec tego dalej. Helka jeszcze mi kiwnęła ręką na pożegnanie, ale nie odpowiedziałam. Było już przecież po egzaminie.

Teraz już byłam całkiem sama. Odeszła Marta, odeszła Helka. Mogłam tam z nimi siedzieć, ale dzisiaj mi się nie chciało. Czułam się zgnębiona. I tak nikt nie zauważy, jak nie przyjdę. Pójdę jutro. Trochę byłam głodna, ale to nic. Czytałam na pewno z milion razy, że jak się ma zmartwienie, to się zapomina o głodzie. Obudziła się we mnie nadzieja, że może ona jutro przyjdzie. To było wcale możliwe. Już tam tak nieraz bywało z różnymi ludźmi. Odchodzili i wracali i nikt na to nawet nie zwracał uwagi. Czasem ktoś powiedział „aha jesteś" i tyle.

Skręciłam z Stachusa w Neuhauserstrasse. Tego roku były modne rude włosy, i mijały mnie ciągle rudowłose elegantki. Zrobiło się zimno, kilka płatków śniegu zawirowało przede mną w powietrzu. Pomyślałam, że nadchodzi zima.

Szłam ciągle na wschód. Skończył się luksus, zamiast rudych elegantek przechodziły koło mnie kobiety w chustkach. Płatki śniegu kręciły się uparcie nad chodnikiem. Myślałam że idę tędy, właśnie ja i właśnie tędy i że to jest jakoś dziwne. I że śmieszne jest życie, które okrężną i zawiłą drogą zdąża do prostego i dobrze znanego celu, jakim jest śmierć. I że był tamten świat a teraz jest ten i na odwrót, że jest ten świat a był tamten i że tego nikt nie potrafi pojąć, ale że to nic nie szkodzi, bo mało kto się przecież nad tym zastanawia. A potem przypomniałam sobie dużo twarzy i dużo wypowiedzianych słów i sam nastrój grozy różnych sytuacji, ale to było właściwie bez znaczenia.

A po chwili te myśli się rozpierzchły, jakby się gdzieś zawieruszyły i z kolei przypomniały mi się inne rzeczy. Rzeczy błahe, ale bardziej określone. Jak uczyłam się do matury i jak uczyłam się angielskiego płacąc za lekcje papierosami z przydziału i jak zbierałam mozolnie pieniądze na kupienie nart, i jak kochał się we mnie w Berchtesgaden, na wycieczce studenckiej, gdy miałam lat osiemnaście, słynny narciarz, zawodnik olimpijski i chciał dla mnie znowu zdobyć złoty medal. Do tego ostatniego wspomnienia nawet się w myślach uśmiechnęłam, bo oczywiście jedynie złotego medalu brakowało mi do szczęścia. I wiedziałam o tym narciarzu, bo mi sam powiedział, że w lecie jeździ motorówką po Königsee i zabiera ze sobą turystów. A poza tym, oprócz nart i motorówki zajmuje się pozłacaniem kościelnych ornamentów. I myśląc o nim czasem, takim go właśnie widziałam. Nie pędzącym zygzakiem po białym zboczu, nie prującym błękitną taflę jeziora, ale właśnie zawieszonym niejako pod kościelnym stropem, pozłacającym tajemnicze kadzidlane wnętrza, niedościgłym, nieosiągalnym w pogodnym półmroku wiejskich kościółków ponad niewidzialnym rusztowaniem, którego można się było tylko domyślać. Ale nie myślałam o nim teraz już prawie nigdy, choć twarz jego wyzierała ku mnie czasem z Abendzeitung w tramwaju i odpływała w niepamięć, kiedy sąsiad przewracał stronę. I szukałam chwili, w której wszystko to, co tu wyliczyłam i inne podobne sprawy przestały mnie interesować, w której ten entuzjazm do życia, entuzjazm chyba tylko z rozpędu oswobodzenia załamał się i stałam się nieodłączną częścią „kuchni" jak zegar, jak pianino, jak batystowa firanka. Ale nie umiałam znaleźć tego punktu, choć głowiłam się nad tym całą drogę aż do Isar-Tor placu. Bo zdawało mi się teraz, że gdybym potrafiła go odnaleźć, mogłabym coś naprawić i coś odzyskać.

Koło Deutsches Museum przystanęłam na moście, ażeby spojrzeć na Isarę. Miałam ochotę splunąć do tej wartko dokądś toczącej się szarej wody i przypomniałam sobie znowu, jak Edek raz powiedział, że obóz był światem izolowanym i dlatego pod wieloma względami nie dorośliśmy tam, pozostaliśmy dziecinni. I pewnie dlatego chciałam splunąć do wody jak smarkula, a przecież miałam już dwadzieścia trzy lata i byłam prawie lekarką. Ale teoria Edka mogła być całkiem mylna. A na myśl o Edku przypomniało mi się, że on się nigdy nie dowie, jak to Helka go odrzuciła i że gdyby wiedział, nic by mu i tak na tym nie zależało. A w końcu patrząc jeszcze na chmury i na rzekę i na bure o tej porze roku trawniki w dole myślałam, że głupia była ta nauka i ta medycyna i to miasto i małżeństwo Marty i jeszcze mi nieznany wyłom Helki. I że jedyną prawdziwą i mądrą rzeczą była „kuchnia", w której tacy ludzie jak my spotykali się ze sobą i

widzieli nawzajem w sobie odbicie własnych majaków i wizerunek pusty, martwy, bezdenny, złudy a może prawdy. Ale że był to wizerunek nicości, więc nie warto się było tym zajmować, czy była ona złudna czy prawdziwa, bo nicość jest zawsze i nigdy taka sama. I postanowiłam, że będę chodziła codziennie na Schillerstrasse do tylnego pokoju i będę tam siedziała z nimi, aż ostatni z nich odejdzie. A o tym, co się wtedy ze mną stanie nie chciałam na razie myśleć, bo przecież była nas tam w pokoju za restauracją jeszcze wcale pokaźna liczba.

*Jadwiga MAURER*

**ROZGŁOŚNIA POLSKA**
**RADIA WOLNA EUROPA**

**POSZUKUJE MŁODYCH KANDYDATÓW**

**na stanowiska redaktorów, lektorów („speaker'ów") oraz sekretarek.**

Zgłoszenia z życiorysem kierować należy na adres:

**POLISH BROADCASTING DEPARTMENT**
**RADIO FREE EUROPE**
**ENGLISCHER GARTEN 1**
**(8) MUNCHEN 22**

# Królestwo

DRAMAT W DWÓCH AKTACH

*Był czas świętych królów, królów tyranów, królów wizjonerów, czas wspaniałości i okrutnej baśni. Nadszedł czas królów urzędników, płaconych rocznie. Wielkość napięta bogami, lustrami, krwią i szumem proporców zmarniała i mizdrzy się dzisiaj przed obiektywem lada reportera.*

*Kto jeszcze potrafi królować? Może panna młoda, rozpięta boleśnie na woalach, zdążająca powoli w miłość? Może papież w blasku łacińskiego pancerza, chwiejący się nad tłumem? Może miesiąc w pełni, oglądany ciemnymi oczami emigranta?... Ale na pewno konie. Konie stąpające. One jedne noszą jeszcze w sobie wyniosłość i dumę! Na ich cześć wydaję dziś bankiet patetyczny! Na roścież bramy królestwa!*

OSOBY DRAMATU

LUDWIK II-GI,
król Bawarii

KRÓLOWA-MATKA

WAGNER

ELŻBIETA,
Cesarzowa austriacka

ZOFIA,
jej siostra,
narzeczona Ludwika II-go

GRUBY STWÓR

STWÓR NA CZTERECH ŁAPACH

PRZYJACIÓŁKA WAGNERA

MIESZCZANIE

POSŁANIEC KRÓLEWSKI

RYSZARD HORNIG,
Koniuszy Jego Kr. Mości

ŻANDARM

KTOŚ

MURARZE

LOKAJ

BARONOWA VON LEONROD

ARCHITEKT

MALARZ

MINISTER SKARBU

PAROBCY

SZEF GABINETU

MINISTROWIE

MIN. STOPKE

LEKARZE-ALIENIŚCI

Za panowania Najjaśniejszego Ludwika II-go,
króla Bawarii.

## AKT PIERWSZY

*Ogromna scena teatru. Światło wyjawia, jedną po drugiej, postacie. Za sceną milkną okrzyki: „Niech żyje król!".*

LUDWIK II-GI *(stoi na podwyższeniu, na środku sceny, jak posąg)*
Pusta, bezduszna i syta...
nieruchoma, z podagrą za przyszłość
Bawaria... Ani w nią morze klinem lodu
ani jęzorem gorącym wpada... ani wybrzeża tu,
skąd by wypatrywać łabędzia...
*Słabe okrzyki tłumu: „Niech żyje nasz król, Ludwik II-gi!"*
Kraina pusta, o której brzegi
piwo uderza rubaszną ciemnością...
I żaden zamek nie rozbrzmiewa
instrumentami Ryszarda.
Ale
królestwo we mnie rosło, urosło
pionowe i w ogniu krojone,
nie do zgaszenia i nie do spłaszczenia,
jak noc świętojańska!
Po szafirowym gościńcu
niech tu zjedzie
w metalu skrzydlatym i śpiewie
Wotan opatrznościowy!
Korona moja na niebo wstępuje
i rdzę już lęk przepełnia...
Światło dzienne jak demon pierzcha,
Króluję!
I nic mnie już nie zatrzyma!
*Światło przesuwa się na KRÓLOWĘ-MATKĘ*

KRÓLOWA-MATKA Synu, skoro już ucichł dzwon i płacz...

LUDWIK II-GI *(poprawia ją)* Królu, Królowo-Matko.
Po długim, zbyt długim synostwie
czas inny nastał;
z nim inne słowa...

KRÓLOWA-MATKA Synu... królu! Chciałam...
myślałam, że razem, że...
że wspólnie się dziś zasępimy
i pozwolimy płynąć do woli
rodzinnej żałości...
Że zechcesz wrócić na grób święty ojca,
że znajdziesz chwilę śród godów przyjaźni...

LUDWIK II-GI Królowo-Matko, dziękuję...
za miłą pamięć i za odwiedziny...
choć nie oczekiwane... owszem,
pogrzeb się udał nadspodziewanie...

nawet się marzec nienajgorzej spisał;
śniegu nie było, deszcz nie padał,
po suchych ulicach raźnie szło się,
czarne i godne było Monachium.
I bandy mieszczan wyfraczonych
za kruki były... bo grzebano trupa.
No i księża... na czarno i złoto... owszem,
owszem...

KRÓLOWA-MATKA Synu! Królu i synu! Ojciec twój
godzien jest innych słów!
Jeszcze się krypty wieko nie zawarło,
a ty już bluzgasz bluźnierstwami!
Jeszcześ cieniowi królewskiemu
nie dorósł — pamiętaj, synu!
*głucho*
Opamiętaj się, synu!

LUDWIK II-GI Królowo-Matko, żywy król,
jedyny król, król na Bawarii,
daruje ci... śmiałość.
Możesz powrócić do swych komnat.

KRÓLOWA-MATKA Boże!

*Światło na niej gaśnie, a wyjawia WAGNERA. Na jego widok LUDWIK II-GI traci swą hieratyczność, poprawia sobie włosy...*

WAGNER Niech Jego Królewska Mość zechce przyjąć najniższy pokłon artysty... jego wdzięczność wzruszoną... O wszystkim i o wszystkich jużem był zwątpił! Zgarbiony i lichy, biegałem na oślep, żeby znaleźć kawałek dachu nad głową... kąt jaki, choćby stęchły... Bóg? Wysoko, za wysoko... a ludzie? Bo nie wiedziałem, że za górami, za lasami, pośród zamków siwych od legend zaczęło się, narodziło się Nowe Królestwo! Że kamień — w marmur! Że miedź — w złoto się nagle przemieniła! Że baśnie, górne i piórne, szumne i nierozumne... zapłonęły wstydem dziewiczym... bo rzeczywistość okazała się ponad nie arcybaśniowa i romantyzmem najprawdziwszym przepojona i uskrzydlona... Po łabędziemu! Nie inaczej! Tak... tak... Montsalvat, Montsalwat... kielicha królewskości trzeba strzec... Rycerze Graala obrońcy niewinności i samotnych... wyrastają jak spod ziemi... Kto wie? Kto wie? Pod lichą skorupą człeka napotkanego być może Lohengrin żywie?... Zygmunt? Zygfryd? Wotan?... Gość... gościnność... Stokrotna bogów odwdzięka... Toteż pokłon oddaję hojnemu choć tak młodemu monarsze... i dzięk pokorny składam za słowa, którychem nie godzien... no a rubin w pierścieniu... rozświetli najgęściejszy mrok zwątpienia! No a... zakończenie listu... krew mą ziemską złotem królewskim obramowało! Złotem, sobolami... że choć na chwilę poczułem się... dobytym z upadku... ale cóż... los zawsze czyha... Przychodzę, stawiam się na rozkaz, na każde zawołanie... człek niegodny... muzyk nadworny, z sercem co kornie przed królem się chyli *(chce objąć LUDWIKA II-GO pod kolana).*

LUDWIK II-GI *Nie pozwala na gest, sam ściska Wagnerowi obie ręce, z wylaniem*

Nie... nie w tę stronę słowa te winny były popłynąć...
i nie z ust pana... Mistrzu, witam cię,
utęskniony i wypatrywany
z tych brzegów bawarskich... którym brak morza
bretońskiego, co rodzi nadzieje i żagle...
Wypatrywany spoza gór, na których
dęby niegodne by w nich tkwił miecz
po jelce zaryty...
Witaj, wypatrywany przez mgłę
martwych szyb zamkowych
Przyjacielu!
Budzicielu bogów i czystej miłości!
Witaj i otocz mnie swą promieniującą opieką,
brzmiąca spiżami, dzwoniąca mieczami,
i krwią stuleci kipiąca — Wielkości!
Oby moja górska kraina okazała się godną
triumfalnego wjazdu Lohengrina,
Gotfryd, cudem uratowany, prosi: nie odchodź!
Pozostań! Swoimi hymnami-huraganami
kopuły rozsadzaj i pioruny zbrój!
Zorze zapalaj i gdzie chcesz rozwieszaj!
Królestwo ci otworem,
zwiastunie i piastunie mój!

*Światło po mału gaśnie na nich a wynurza z mroku ELŻBIETĘ i ZOFIĘ, a może i zarys zamku książąt bawarskich.*

ELŻBIETA ...to nie ma żadnego znaczenia... po prostu... a raczej niestety, ludzie odwykają od... prawdziwej królewskości... królewskość widzą i sądzą coraz częściej na podstawie brudnej brody lada jakiego księcia, co to je i śpi...

ZOFIA Taak... ale mówią, że nie potrzebuje nikogo, że potrafi sam godzinami wypatrywać nie wiadomo czego z balkonu, że... za motylami jak dziecko ugania... i, że najchętniej żyje w nocy, jak nietoperz. Zresztą to jego przesiadywanie w teatrze, sam... w głębi widowni...

ELŻBIETA Wiem... kaprys królewski.

ZOFIA Tak, ale von Kalkstein... w środku arii wybuchła płaczem spazmatycznym. Zlękła się pustej widowni, „w której coś się w głębi nagle poruszyło".

ELŻBIETA Histeryczka.

ZOFIA No a te rozmowy z Wagnerem? Trzy razy dziennie... godzinami... Albo, ni stąd ni zowąd, rozkazuje w nocy zaprzęgać karocę i — ciemno że oko wykol! burza nie burza, śnieżyca że wilka nie spotkasz, konie drogi nie widzą... a król liczy... puchające puchacze!

ELŻBIETA No — i co z tego? Jedni wolą słuchać burzy, leżąc pod pierzyną, bo dla nich „noc jest do spania"... Inni zaś znają noc, rozumieją noc i kochają jej obszar stokroć większy od białego dnia...

ZOFIA Jak dotychczas... król nie zdradził najmniejszego zainteresowania dla którejkolwiek z księżniczek...

ELŻBIETA Bo... bo nikt... bo żadna z nich nie potrafiła go... zainteresować.

Wierz mi, nasz kuzyn tęskni do kogoś, kto mógłby mu towarzyszyć w jego królewskim życiu... ale ten ktoś musiałby do tego życia *(gest)* dorość... Bo bez wspólnej wiary, bez wspólnego entuzjazmu...

ZOFIA On ciebie, kochana darzy zaufaniem... sympatią...

ELŻBIETA O... to co innego. Po prostu staram się rozumieć jego troski. Rozumiemy się... Cóż, ja choćbym i chciała... nie mogę mu pomóc.

*Słychać trąbki radosne, robi się jaśniej, złociściej...*

ELŻBIETA *(podniecona)* Słyszysz?! O wilku mowa...

*Słychać gwar i rozkazy.*

LOKAJ *(wchodzi od prawej)* Jego Królewska Mość Król Bawarii!

ELŻBIETA *(podchodzi na spotkanie)* Witaj, drogi kuzynie! *(Podaje mu rękę do pocałowania).*

LUDWIK II-GI Dobry wieczór, piękny wieczór i wonny wieczór, Elżbieto! Dobry wieczór, uroczy wieczór i świeży wieczór, księżniczko Zofio! Już wczoraj rano moi poddani nagle zaprzestali pracować! Kowale, drwale, piekarze i murarze, wszyscy stanęli, jak wryci! Tak samo mieszczanie. Ale nie ministrowie, bo ci nie musieli niczego przerywać — oni nigdy nic nie robią! Wszyscy zadarli nosy w stronę jeziora i z tak zadartymi nosami trwają... I jeden szept, jeden szum idzie: „Co się stało, że róże, róże, róże pachną jak nigdy?!"

Tylko ja jeden wiedziałem o przyjeździe pań i wiedziałem dlaczego róże naraz zapachniały *(kłania się ELŻBIECIE)* po dwakroć mocniej, *(kłania się ZOFII)* po trzykroć gęściej, wspanialej... więc przybywam tu specjalnie i proszę o zdjęcie czaru z mego ludu, żeby życie mogło potoczyć się zwykłym trybem .. *(groźnie)* Jeśli nie — duchy na pomoc zawołam!

*(Śmiech ELŻBIETY i ZOFII)*

ELŻBIETA Dziękujemy za tak misterny komplement. Niegodne jesteśmy, królewski kuzynie, tak pięknej mitologii... tym bardziej, że wiemy iż w tych stronach wszystko przemienia się i staje za sprawą kogo innego... dopiero co mówiłyśmy o tym... Oddajmy, droga Zofio, ukłon komu się należy! *(gest)*

*LUDWIK II-GI wybucha śmiechem, a wraz z nim ELŻBIETA i ZOFIA. W głębi sceny coś przebiegło przez aleję.*

ELŻBIETA *(zdziwiona)* Co to?

LUDWIK II-GI Co? Gdzie?

ELŻBIETA No.. tam! Już się schowało... ale... zaraz... chyba mi się nie przywidziało? Ktoś przebiegł przez ścieżkę.

ZOFIA *(cofa się)* Och! Znowu coś przeleciało! To dzik! Na pewno dzik. Widziałam go. Cały najeżony, stary, siwy dzik!

LUDWIK II-GI To nie dzik, to duch!

ELŻBIETA Tu nie ma duchów.

LUDWIK II-GI Zobaczymy. *(woła)* Duchu błąkający się, kim jesteś?

*ELŻBIETA i ZOFIA wybuchają śmiechem. Z głębi alei wychodzi mały, gruby STWÓR.*

STWÓR Choć-em król,
To bym tyko jadł i pił
I Lolke bym, panietego, kąpał w szampanie!
Grunt, że tu *(klepie się po brzuchu)* jest on, mój przyjaciel, co lubi takie wołowe panowanie!
My razem, panietego, zadowoleni,
Bo nam, tak we dwójke, to frajda!
Cygaro w buzie! I modro, jak w jesieni!
A Lolka-Hiszpanka na ręke mi siada,
jak sikorka w czarnych majtkach!

ZOFIA Fee! Obrzydliwość!

*STWÓR znika, ale w tej samej chwili znowu coś przebiegło.*

ZOFIA Oooch!

LUDWIK II-GI Nie chowaj się, księżniczka cię widziała! Powiedz kim jesteś! Wyłaź z chaszczy!

STWÓR NA CZTERECH ŁAPACH *(mężczyzna imitujący żeński, piskliwy głos)* Jestem Królowa-Matka, mać wszystkich królów, którzy kiedykolwiek królowali a pomarli. Jestem Matką-dobrej-rady.. Broniłam i bronię królewien i królewiczów przed mezaliansami, żeby krwi wysokiej, co jak chmiel, gnój nie umurdzał i nie oblazł... nie oblazł... nie oblazł...

LUDWIK II-GI *(wściekły)* To wszystko?!

STWÓR NA CZTERECH ŁAPACH Aha... pomazał... Czasem, jak małżonek królewski zasnąć nie mógł i z boku się na bok przewracał, dawałam mu wywaru z ziołek pachnących... a do nich czasem czego takiego innego troszki dolewałam... żeby miał letki sen... A... że sie czasem nie obudził... trudno... sny różne bywają. Nie wiadomo nam, cośmy z tej strony, jak tam jest w środku... w środku... w śro...

LUDWIK II-GI To wszystko?!

STWÓR NA CZTERECH ŁAPACH *(przerażony)* Acha... w dzień, jak tylko syn mój, król, opuści pałac, ja w dyrdy do sali tronowej, żeby siąść na tronie... żeby pohuśtać się, żeby poczuć jak sie pode mną aksamit ugina... a w nocy, tak chodze jak teraz *(bije łapami o ziemię)*, od pałacu do pałacu *(ciszej)*, od alkowy do alkowy... i wącham, wącham! Raniutko, jak młodzi wyjdą z łóżnicy, ja siedze cichutko nad jakim haftem dla opata i siwe włosy i siwe nici, srebrne nici, złote nici...

ZOFIA Okropne! Ohydne! Chodźmy stąd!

LUDWIK II-GI Dość, bydle! Precz stąd! *(STWÓR znika).*

ZOFIA Co to wszystko znaczy?

ELŻBIETA Jak magnes przyciąga żelazo, tak samotni królowie przyciągają duchy... zamawiają je, nie wiedząc, że zamawiają tym samotność. Szłam kiedyś łąkami i nie mogłam się nadziwić pięknu liliowych ziemowitów... trującemu ich pięknu... Lato było, był przepych lata... koniec lata... jakby natura musiała z siebie wydalić gorycz, co ją zatruwa... nim zima czysta przyjdzie...

ZOFIA Zimno mi... straszne to! Chodźmy stąd!

LUDWIK II-GI *(zdejmuje płaszcz i okrywa nim drżącą ZOFIĘ)* Dziękuję ci, Elżbieto, za... za ziemowity. Od dziś, od tej nocy, będę innymi na

nie patrzył oczyma... A duchy, księżniczko Zofio, lubię za to, że jak salamandry mokre są od snów i od nocy. Że na swej lepkiej skórze, z błota wylazłszy, kawałki piekieł jeszcze mają przylepione... Ale dzień, który je wita — brudniejszy jest od nich! Nie ziemia, nie te drzewa, pałace i kwiaty — ale ministrowie! Trutnie, co brzęczą, pękate a niechlujne i brzuchami o złoto się trą! A z nimi — mieszczaństwo! Każda okazja dobra dla nich! Narodziny na zamku — już są! Wyfraczeni, cuchnący piwem, gęb nie otarłszy po blutwurszcie, są! I jak chomiki, wąchają! Jak psy! I pcha się to do pałacu „swego króla". Tak jak się to pchało, żeby obwąchiwać kostniejącego na kredowo trupa mego ojca... każę przygotować wapna, kipiątku białego, wrzątku palącego i chlasnąć z balkonu na to czarne, wyfraczone robactwo, nim pierwszy próg oblezie! Ach... uciec od tego świata, znaleźć nieskalaną, cienistą, żywiczną, modrzewiową, pełną szafirowego cienia ścieżkę... iść nią aż w granity i śniegi, gdzie w nieśmiertelnej poświacie i w świętej krwi stoi i głowę swą trzyma nieżywą cudna królowa, prawdziwa matka moja: Maria-Antonina! A pod jej stopy morzem skłębionym, ogniem huczącym jak bór: muzyka Ryszarda bije... Z nią w Glorię i w Blask! I w Królestwo niepokalane! *(Sztywnieje, światło gaśnie wpierw na ELŻBIECIE i ZOFII, potem na LUDWIKU).*

*W „Hotelu Gotham". Plusze, złocenia i żyrandole. Półmrok zatracający szczegóły. Światło na WAGNERZE i PRZYJACIÓŁCE.*

WAGNER ...jakby ci to wytłumaczyć... nie... nie można tego opisać słowami, na zimno... wyobraź sobie, że posyła po mnie dwa razy dziennie czasem i trzy! Za progiem salonu czeka na mnie z wyciągniętymi rękoma!

PRZYJACIÓŁKA *(oschle)* Jak na kochanka!

WAGNER Tak... nie mylisz się... jak na kochanka. Z tym że... rozumiesz, znasz mnie dosyć, żeby nie myśleć że... zresztą gdybyś widziała oczy młodego króla, gdybyś widziała ile w nich uduchowienia i czystości, tak, czystości — pojęłabyś zaraz na jakich zawrotnych wyżynach odbywają się nasze spotkania... jest coś mistycznego w oddaniu królewskim... a on sam, mówię ci, nie jest z tego świata!

PRZYJACIÓŁKA *(ziewa)* Może... ale wygląda to tak, jakby zaczęły cię bawić nowe przysmaki...

WAGNER *(z ogniem)* Przestań! Nie słyszysz naszych rozmów. Król zna na pamięć moje dzieła... pojmuje każdą myśl moją, każdy nowy pomysł... daje mi wszystko czego mi trzeba *(z uśmiechem biorąc do ręki naszyjnik PRZYJACIÓŁKI)*... i nawet więcej. Żebym tylko mógł tworzyć i wystawiać moje dramy. Za to wszystko żąda jednego: żebym był jego przyjacielem. *(rozczulony)* Wczoraj wieczorem, ciebie nie było, posłaniec. Przynosi list. Słuchaj *(cytuje z pamięci)* „Uczynię wszystko co w mojej mocy, ażeby panu wynagrodzić bóle minione... pragnę, aby w przyszłości" *(gubi wątek)*... W każdym razie, moja droga, mieszkam, jak widzisz wspaniale: żyrandole projektował sam król! A Ryszard Wagner sunie przez miasto we własnej karocy... czwórką koni... pocztylioni w liberii... *(przypomniał sobie c.d. listu)*... zaraz... mam... „pragnę, aby bez prze-

szkód mógł pan realizować potężne zamysły swego geniuszu, w czystym eterze boskiej swej sztuki". Coo? Co ty na to?

PRZYJACIÓŁKA Pięknie, ale tego wszystkiego nie powtarza ci w kółko macieju trzy razy dziennie w ciągu dwugodzinnych wizyt?

WAGNER *(rzeczowo)* Skądże! Czytam mu nowonapisane sceny... król słucha, robi uwagi *(z zapałem)*, ale gdybyś widziała jego cudowną twarz, jak się w niej odbijają na przemian radość najwyższa i ból najgłębszy, w zależności od tego jakim słowem, jakim akordem w jego duszę uderzę... boski jest! Ja jestem jego Wotanem — on moim Zygfrydem! Pisze mi: „Budzę się z myślą o moim świętym i ubóstwianym przyjacielu"... słyszysz? — „od którego doznaję radości, które Bóg jeden mógłby mi zesłać". Coo? Co ty na to?!

PRZYJACIÓŁKA Wszystko to prawie anielskie... ale jak was ludzie w zęby wezmą — to nie daj Boże! Podobno już sykają...

WAGNER Ludzie?! Jednakowo gardzimy tłumem. I on i ja! I wystarczy, żebyśmy sobie długo spojrzeli w oczy, żeby zapomnieć o szczekających mieszczanach, tępych ministrach i o całym świecie... na którym ty, kochanie, jesteś oczywiście wyjątkiem! *(szepce)* Chodź! *(Światła powoli gasną, jeszcze słychać przez mrok)* Ale musisz być ostrożna i... o tym wszystkim ani słowa! Bądź dyskretna, jak gdyby chodziło naprawdę o sprawy sercowo-alkowiane.

*Przed „Hotelem Gotham". Przez okna, otwarte i pełne jarzących się żyrandoli dobiegają śmiechy i muzyka. Czasem czyjaś sylwetka zarysuje się na moment na tle jasnego prostokąta. Na dole, CIENIE MIESZCZAN.*

CIEŃ I Nie ma jak to artystom! Wiedzą że żyją. W dzień śpią, a w nocy hulają. Szampan pod sufit, kobitki w czarnych koronkach drzwiami i oknami!

CIEŃ II Nie wszyscy... trzeba trochę szczęścia.

CIEŃ III Raczej „daru słowa"... paść przed kim trzeba i zacząć we łzach *(imituje)* „Strzęp jestem ludzki, wygnaniec Boga i ludzi, oddaleniec jestem... społeczeństwo, nieczułe i syte, odtrąca mnie, jak trędowatego... na nic moje tony i moje harmonie, na nic moje pienia... cóż... już tak mi przyjdzie zginąć... chyba że... Nie. Nie, na pewno umrę z głodu".

CIEŃ IV *(wpada w ton protekcjonalny i dostojny)* „Ooo... nigdy, przenigdy, w tym królestwie artyście, człekowi bożemu, zginąć nie damy! Naród mój was kocha, naród mój was szanuje i... chcąc uczestniczyć w waszym bólu, ofiarowuje panu:"

CIEŃ III Karocę na przykład.

CIEŃ IV Cztery białe konie. Pocztylionów w liberii.

CIEŃ V Pałacyk na dodatek.

CIEŃ III ...i pełne utrzymanie, kope kochanek, wszystko na koszt... ludu!

*Śmiechy*

CIEŃ II Królowie ubóstwiają muzykę.

CIEŃ III A muzykantów nade wszystko.

CIEŃ IV Młodych muzykantów.

CIEŃ V Ooo... także i starszych panów muzykantów.

CIEŃ III Zależy jak leży.

*Śmiech, CIENIE zadzierają głowy do góry w obawie czy kto nie usłyszy.*

CIEŃ IV Muzykanci ubóstwiają zaś urodę majestatu.
CIEŃ III Pod każdą postacią.
CIEŃ V Albo... w każdej postaci.
CIEŃ III Zależy jak leży.
CIEŃ I Kto? Madame von Bül-Bül? *(wącha głośno)* Kaczka w pomarańczowym sosie? Perfumy? Tokaje? Po pańsku tu pachnie, ale co?
CIEŃ IV Rogi! Rogami tu czuć!
CIEŃ III Niech żyje Wagner, rogów przyprawiacz!
CIEŃ II Kto wie jaka jest największa cnota męża-rogacza?
CIEŃ V Uśmiechać się, jak gdyby nigdy nic.
CIEŃ II Nie. Drzeć w pasy anonimowy list przed żoną, całując ją tuż po tym w czoło, ze słowami: „kochanie, że też ludzie mogą być aż tak podli!"

*Odgłos zbliżającego się galopu.*

GŁOS Rozstąpić się! Posłaniec Jego Królewskiej Mości do pana kapelmistrza nadwornego.

*Słychać dzwonek u drzwi, scena ciemnieje całkowicie.*

CIEŃ III *(jedynie jeszcze widoczny)* Majestat tęskni! Nie samą melodią człowiek żyje, ale i...

*W pałacu królewskim. Światło, rodząc się, obejmuje kręgiem LUDWIKA II-GO i WAGNERA, trzymających się za ręce.*

WAGNER Z jakąż ulgą, radością, wyrwałem się z ciżby natrętów... rzuciłem gwar i swar, żeby tu przybiec, żeby odetchnąć wysokościami i do nóg żeby upaść królowi mojemu! *(chce się schylić)*
LUDWIK II-GI *(nie pozwala)* Zygfryd smutny jest gdy widzi
niebo pełne pustki po Wotanie...
Zamek, pokoje i krużganki
odda za szałas na dnie boru,
gdzie go otoczy i ukoi
włochata pierś Wotana...
WAGNER Wiele do zawdzięczenia mam memu królowi
najjaśniejszemu... wczorajsza rozmowa
lotek mi w skrzydła nawbijała nowych,
burzowych, nawałnicowych... i nuty biegły mi spod pióra,
lizały czarnym ogniem papier...
LUDWIK II-GI Gdy wracałem od ciebie, Przyjacielu,
noc mi się wonnie otwierała,
Akordy, arie tuż nad głową
towarzyszyły mi szumiące
i ulica się po ulicy prostowała...
Mijani ludzie, pod lampami,
myśleli o mnie: „ktoś szczęśliwy".
A dziś znowu godziny rozgałęziły się nieznośnie,

minuty kłuły pamięć, jak osty szroniste.
W samotni mej, zmarznięty na sercu,
czekałem na ciebie, Ojcze mój...
miłością czekałem, co kręgi zatacza
w coraz gorętszy znak oddania...
Widziałem... i widzę, czyjaś ręka ogromna
ujmuje mnie czule jak dziecko
i aż do gwiazd unosi,
przez złotem dymiące kolędy...
Drżę... i kruchość nachodzi me członki...
Ręko, co bogów prowadzisz i losy,
przez morza i mroki, nad którymi... Graal!
Zgarnij mą glinę, niech szczęścia zazna!
Niech tobą przejdzie!
Do łona przyciśnij,
osadź ją! Utwardź i spal!

WAGNER We wszystkim co jasne i wiecznie młode... zawsze i wszędzie odnajdywać będę profil Mego Króla Najpiękniejszego! Wieki legną na wiekach popiołem i gruzem, ale muzyka ma bić będzie coraz wyższą, coraz czyściejszą falą... I starzy młodym pokazywać będą przez toń — połyskujący, nienaruszony kryształ naszej niepokalanej przyjaźni! Łabędź jest piękny — bo czysty!

LUDWIK II-GI Wotanie, między dłońmi twymi, Wotanie,
chcę być ziarnem orzecha miażdżonym...
Czuć przemoc, jak mnie stapia
w jedno z twoją boskością...
Miłość słowa mi dławi,
rozdygotany i niepomny,
płonę i krew twą podpalam;
zmiłuj się, muskularny Wotanie! *(czyni krok w stronę WAGNERA)*

WAGNER *(cofając się o krok)* Łabędź wybiera zawsze kolor glorii!
Ustawię go na niebieskim złocie mego dzieła.
Najjaśniejszy! Widzę, jak na płask przed tobą
padają larwy tego świata i zmory,
nowe królestwo promieniuje!
Nad Europą korona się rozwinęła...
Jak irys więdnie czar człowieka,
co krwi nie ugasił i płonie,
ale jak Orion w nieśmiertelnych rosach
czar tego, co się wyrzeka...

*Scena przygasa*

*W Possenhofen, o północy, na schodach zamku książąt bawarskich.*

ZOFIA Nie broń ich!

ELŻBIETA Wcale ich nie bronię, ale mógł był Wagner nie pchać ludziom w oczy codziennie nowych prezentów.

ZOFIA Królowie zawsze obdarowują śpiewaków, muzyków, poetów... tylko że ci monachijczycy!

ELŻBIETA Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Gdyby ten cały Wagner był nie balował bez przerwy, nie chlapał przez okno perfumami, nie świecił w oczy mieszczanom coraz to nowymi brokatami... i kochankami — byłby sobie mógł komponować, wystawiać, operę po operze... a tak...

ZOFIA Ale tak nie zrobił.

ELŻBIETA Bo... gdyby tak był zrobił, nie byłby Wagnerem! Zresztą nic się takiego nie stało.

ZOFIA Jakto nic? Obrazili króla! Gwizdali na palcach, kiedy przejeżdżał przez miasto!

ELŻBIETA Ale... nikt po kamień nie sięgnął. Te rzeczy od pierwszego kamienia się zaczynają... Wracał od Wagnera... tamtego dość już mieli, a tu jeszcze i król, jakby manifestował po czyjej jest stronie... ostatnia kropla... rozumiesz! I przelało się. Wagner da sobie radę, nie bój się! Zawsze na cztery łapy spadnie... ale martwi mnie Ludwik... Jego, i tak już samotnego, cała ta historia jeszcze bardziej oderwie od ludzi...

ZOFIA Nie wolno go zostawić samego! Jedźmy do niego! Albo nie... tu go zaprośmy... są przecież bale... teatr... żeby tu zjechał ze swoich pustkowi... On lubi blask i przepych i piękno, tym bardziej, że nikt mu *(przerwała)*.

ELŻBIETA Mam dokończyć? „nie dorówna". *(Patrzy na ZOFIĘ)* Moja siostra jest makiem... różą, coraz większą różą i... piwonią jest!

*Scena gaśnie, kiedy poświata jasnej nocy powraca, jesteśmy nadal przed zamkiem. LUDWIK II-GI przypłynął swoim „Tristanem". Teraz wstępuje na pierwszy stopień.*

LUDWIK II-GI *(woła)* Dobry wieczór! *(zdziwiony)* Dobry wieczór! *(głośniej)* Dobry wieczór!! *(cofa się przed schody tyłem, znowu wstępuje na pierwszy schód i woła jeszcze głośniej)*. Dobry wieczór! Dobry... *Światło zapala się w jednym z okien. Za chwilę, na najwyższym schodzie, ukazuje się w białym płaszczu ZOFIA.*

ZOFIA To ty, Ludwiku? *(wyciąga ku niemu ręce)* Daruj, ale nie mogłam się obudzić. Słyszałam twój głos, ale dobiegał z daleka... miły, ale jakby smutny...

LUDWIK II-GI *(z wyrzutem)* Izolda nie czekała na swego Tristana? Nie pamiętała, że noc jest jego porą? Że nic tak melancholii nie słodzi, jak nocne spotkania... nad wodą, na krużganku, kiedy zza lasu księżyc powoli wyrasta, albo gdzie szałas pasterski zaklęcia tajemne liściem skromnym okrywa...

ZOFIA Daruj... czekałam, czekałam, ale noc przyszła rześka po dniu bez powietrza — i zasnęło mi się.

LUDWIK II-GI Sen Izoldy powinien być lekki, z muślinów tkany motylich... by oddech róży, bądź szepty źródła zbudzić ją potrafiły...

ZOFIA Może i znużenie po balu było powodem zaśnięcia?... Cudowny był

bal. Nóg nie czułam od walców! Jeszcze nigdy nie widziałam tylu szczęśliwych twarzy, podziwiających swego króla.

LUDWIK II-GI Wiesz, Elzo-Elżbieto-Izoldo... Brunhildo... musimy się podzielić naszym szczęściem z kimś, kto jest daleko... kogo małość i złość ludzka wygnańcem uczyniły... Napiszemy wspólny list. Ryszardowymi imionami podpiszemy... bo myśmy z niego! Z jego boskiego geniuszu. Nieprawdaż?

ZOFIA Taaak... oczywiście... Wiesz? Ambasador francuski był zachwycony... atmosferą, światłami i „lekkością walca"...

LUDWIK II-GI ...bo czym bylibyśmy bez Niego, bez jego miłości ojcowskiej?! Gdy pomyślę, że był czas, że Ryszard odwiedzał mnie i trzy razy dziennie! A dziś...

*Scena gaśnie, wpierw całkowicie, po czym rozjaśnia się na tyle, że można dostrzec sylwetki stojących aktorów. Światło wyraźne, ukazujące postać, daje znak do czytania listu.*

WAGNER *(z emfazą i zadowoleniem)* „Najdroższy Wygnańcze! Ludzie nikczemni i ślepi, co mają czelność mówić o twej niełasce, nie wiedzą i nie mogą mieć pojęcia o tym, czym jest nasza miłość! Równocześnie donoszę ci że znalazłem Elzę-Izoldę-Ewę-Brunhildę-Zofię..."

ZOFIA „Z głębi mej miłości pozdrawiam Cię, Droga Elżbieto-Elzo-Izoldo-Ewo-Brunhildo... kocham panią, jak pełną czułości siostrę..."

WAGNER „O Przyjacielu mój, chociaż położenie w które nas zepchnięto okrutne jest i ciężkie, nie skarżę się jednak, mam bowiem Przyjaciela, Jedynego!"

ZOFIA „Proszę, niech pani czym prędzej napisze do Wagnera (dlaczegoż by nie jutro rano?). Wiem, że będzie szczęśliwy, gdy otrzyma list pani. Wie pani dobrze, że Ryszard Wagner, Ryszard Wagner, Ryszard Wagner (ileż brzmienia w tych dwu słowach!) jest bogiem mego życia".

WAGNER „Płaczę i zaklinam cię! Nie trać nadziei! Żyć dla ciebie, dla ciebie jedynie! Przyjacielu najukochańszy! Moje wszystko-co-mam-najdroższego! Przysięgam raz jeszcze: dla ciebie jedynego chcę żyć i umierać. Dla ciebiem urodzony, wybrany dla ciebie".

*Scena gaśnie. Światło opuszcza wpierw ZOFIĘ, potem WAGNERA. Po chwili, światło powraca, rzęsiste jak nigdy dotychczas! LUDWIK II-GI schodzi ku nam ze schodów. Za nim, w odległości, dwie, trzy osoby świty. Słychać trąbki pocztylionów. Od prawej, wbiega, jak gdyby nie dotykał ziemi, blondwłosy, smukły i męski, RYSZARD HORNIG.*

RYSZARD HORNIG *(kłania się)* Ośmielam się zapytać, którego z koni Jego Królewska Mość raczy dzisiaj dosiąść?

LUDWIK II-GI *(uderzony jego pięknością)* Jak się nazywasz?

RYSZARD HORNIG Ryszard Hornig, do usług Jego Królewskiej Mości.

LUDWIK II-GI *(w zachwycie)* Jak się nazywasz?

*Świta patrzy po sobie*

RYSZARD HORNIG Ryszard Hornig, syn wielkiego koniuszego Jego Królewskiej Mości.

LUDWIK II-GI *(powtarza w zadumie i aż do dna imię)* Ryyyszard... Ryyy-

szard! *(podchodzi do HORNIGA; chwila zachwyconego i żenującego patrzenia)* Siodłaj... czekaj... dwa konie siodłaj! Dla mnie „Łabędzia"... a dla siebie... „Orła" dla siebie siodłaj! I w drogę! Do Eisenach! Do Eisenach! Do Wartburga! Odszukiwać echa głosów Waltera i Wolframa. W drogę! Maj nie mógł być zieleńszy! *(patrzy po niebie)* Takiego słońca jak żyję nie widziałem!

*Schodzą obaj, ramię w ramię, ku widowni. Scena gaśnie powoli.*

Koniec AKTU PIERWSZEGO

◆

## AKT DRUGI

*W pałacu królewskim. KRÓLOWA-MATKA siedzi, LUDWIK II-GI przemierza salę dużymi krokami.*

KRÓLOWA-MATKA Synu... królu, nie... raczej synu... Ludwiku,
nie odłożysz przecież po raz trzeci ślubu...
Dwory się dziwią... listy krążą...
pałac... ministrowie...
Z Paryża wieść jakoby doszła...
widziano cię... i w hotelu...
w towarzystwie tego...

LUDWIK II-GI Dość! Ani słowa! Król rozkazuje!
I... wara od królestwa. Wszystkim!
Matce-królowej, czy ojcu Zofii...
List? Tak się pisze do króla???!
Do króla Bawarii tak się pisze?!
Natrętnie, wścibsko i płasko!
Insynuacje...
Jak do oficerka, co na posag dybie!

KRÓLOWA-MATKA Słyszałam, że list był godny... ojcowski...

LUDWIK II-GI Godny — ministra! Kupczyka! Mieszczucha co piwem cuchnie — ale nie króla! Każę go ukarać! Skórę przetrzepać i to na środku miasta! Ordynus skończony!

KRÓLOWA-MATKA Ludwiku, panuj nad sobą... to ojciec twej przyszłej żony... królowej.

LUDWIK II-GI Coo?! Byłej! Niedoszłej! Z winy ojca i ludzi! Z powrotem wtrąconej w pajęczynę dziewic staropanniejących! *(woła)* Ryszard! Tutaj!

*Pukanie. Wchodzi RYSZARD HORNIG, kłania się i czeka przy drzwiach. LUDWIK II-GI zasiada do biurka i pisze kilka słów.*

KRÓLOWA-MATKA Błagam cię Ludwiku... królu... powiedz co piszesz?

LUDWIK II-GI *(z kpiącą emfazą) Na kopercie* — adres. Do rąk własnych księżniczki Zofii, a w środku co następuje: rodzice pani pragną zerwania naszych zaręczyn, przyjmuję ich propozycję. Podpisano: Ludwik II-gi.

KRÓLOWA-MATKA *(zrywa się)* Nie! To nieprawda!

LUDWIK II-GI Te słowa, Królowo-Matko, ubliżają majestatowi! *(zgina list i podaje go dobiegającemu w mig RYSZARDOWI HORNIGOWI)* Ryszard, doręczysz ten list księżniczce Zofii, ale z jednej nogi!

*RYSZARD HORNIG kłania się i znika.*

KRÓLOWA-MATKA Tylko nie on! To znaczy... Boże!...

LUDWIK II-GI *(twardo)* Królowa-Matka zapomina, że jest również... poddanką. A co najwyżej... żoną mego poprzednika. Koniec audiencji.

*Scena gaśnie*

*O tej samej porze na ulicach Monachium. Tłum gapiów czeka na próbny przejazd orszaku ślubnego, mającego wkrótce wieźć tędy królewskich młodożeńców, króla Ludwika II-go i księżniczkę bawarską Zofię. Gwar daleki i bliski.*

GŁOSY GAPIÓW

I ...że też nikt nie pomyślał, żeby ulice polać wodą!

II Wrzesień zawsze taki... rano chłódek, rosa gruba jak śliwki, a w południe, jak ci kark słonko przypali, to, brachu, do piwnicy uciekaj!

III Jak tak dali pójdzie, to im sie ta karoca z miętkiego złota roztopi!

IV Na ślub — bądź pan spokojny — poleją ulice; dziś próba.

*ŻANDARM przesuwa się bokiem przed tłumem, jak figurka z szopki.*

ŻANDARM I wyrównać mi tu! I nie pchać sie. Każdy bedzie móg zobaczyć... Widok bedzie dla wszystkich. Noo? panie... cafnąć sie! Jeszcze. O krok! I Panie starszy, co się panu zebrało na porządek... człowiek sie dusi z gorąca...

II ...a do tego nic nie widać.

ŻANDARM Rozkaz taki... bo dzieci. Dzieci tu stać bedom.

V Same? Kto to wymyślił?! Poduszą je tu!

ŻANDARM Ja nie powiedział „siroty". Ja powiedział „dzieci". One tu dla kwiatków bedom. Kwiatki bedom sypać.

III No... ale dziś, jak ich nie ma, to możemy trochę się wychylić... niech się pan nie gniewa, panie starszy, ja kroczek tylko zrobie... jak zajączek... tyciuni...

ŻANDARM *(tupie)* Nie wolno! Dzieci nima bo za gorąco, dwa razy je tu ciągać, ale plac dla nich trza trzymać, żeby ludzi przyzwyczaić! Ślus z gadaniem!

*Rozkracza się, wybrzusza i ostentacyjnie staje przed ludźmi.*

VI *(jak nie wrzaśnie straszliwym głosem nad uchem ŻANDARMA)* Jjjjeedzie!! *Wszyscy podskakują, ŻANDARM się zląkł.*

ŻANDARM Staaać! *(odwraca się)* Gdzie jedzie? Kto mówi że jedzie?

VI Tam... o tam... od Kaizersztrasy coś sie zaruszało... i tego... i przestało jechać.

ŻANDARM Spokój! Jak co bedzie jechać — to powim.
II Ćśśśicho! *(gwar milknie)* Ci-cho. Nie szurać nogami! *(śpiewa)* Tyr-tyr-tyr! Tyr-tyr-tyr! Tyyyyr! Jedzie! *(podskakuje)* Niech mie dzika kaczka kopnie, że jedzie.

*Słychać turkot.*

III Żeby tylko nie za prędko, bo na taki gorąc... ośka może nawalić.
VI Nie bój sie — ośka nie kuśka! Naoliwili jak sie patrzy!
II Dobrześ pan widział! Od Kaizersztrasy jadą. Ale ruch!
III Ale szum! Co to bedzie, jak naprawde pojadą!
IV Teraz tyż „naprawde" — tyle że na próbe.
ŻANDARM Spokój! Jadą! Patrzeć sie, a nie gadać!

*Podniecenie.*

II Joj! Prawdziwy ślub! Prawdziwa karoca! Dwa... cztery... sześć... osiem! Osiem koni! Ali ci konisie! Ali koniusie! Białe, bielutkie... owsik to chrupie!
III Wykarmiooone to! Wymuskaaane to!
IV Patrzcie! Patrzcie sie! Tam! Tam!
I Na co? dzie?
IV No tam, na głowy! Strusiowe mają głowy! Jak kobity na balu! Przysięgam Panu Bogu! A jak nimi ruszają!
III Czują że parada! Wiedzą co ciągną!
V Złote ma koła. Jak Boga kocham, koła ma złote! Złoto sie kręci!
II Pusta jedzie... szkoda że pusta.
III Mogli byli tam choć księdza w ornacie wsadzić dla pozoru...
IV Złota jak ołtarz! Aż w oczy bije! Aaa — jak muzyka zagra! Aaa — jak sypną kwiatkami! Aaa — jak królowa rączką pokiwa...

*Zachwyt powszechny.*

V Istna procesja! Boże Ciało! Rezurekcja!
VI Tylko we dzwony bić!
III Saa-mo złoto! Nic ino złoto i śkło i złoto; Śkło jeziorne a odłyskliwe, złoto łabędziate i liściate i koroniate! I wszystko — do góry! Wywijasami i plątasami i zakwita — rozkwitasami!
V Szkoda, że po ziemi takie cudo sie rusza... Zaciąć by tych osiem białasów i haj-da! Całą złotością do nieba niebieskiego walić!

*Jeden okrzyk zachwytu wzbija się od ulicy, którą przejeżdża majestatycznie niewidoczna z widowni karoca. Gapie podskakują, klaszczą w dłonie i krzyczą:*

Niech żyje!
Vivat!
Niech żyje nasz król!
Sto lat!

*KTOŚ dobiega od tyłu.*

KTOŚ Warto popatrzeć. Bo to pirszy i ostatni raz!
*Jeden po drugim, wszyscy się odwracają.*

I Co takiego?
KTOŚ Po ślubie! Zerwane zaręczyny!

*Otaczają go półkolem. ŻANDARM przez chwilę sam nadstawia ucha, po czym wycofuje się na palcach.*

I Kto zerwał?
II Dlaczego?
III Co sie stało?
IV A ta karoca? A ta parada? To dla pucu? Wszystko gotowe... Niczego nie mogli zerwać!
V Czekaj... (do KOGOŚ), mów coś słyszał!
KTOŚ Tylem słyszał, że do pałacu posłaniec z listem od ojca księżniczki przyjechał... i że król po tym liście rozgniewał sie... Królowa-Matka była... i w pałacu, że bieganina.
III Może znowu odłożyli? Do wiosny?...
II Do świętego Dygdy, co go nima nigdy!
I Co sie mogło stać?

*Patrzą po sobie, nikt nie chce zacząć mówić, ale w końcu ośmielają się. Wszyscy osłaniają usta ogromną dłonią nieufności.*

III Może dlatego, że... pokrewieństwo za bliskie?
IV Może... aktor powrócił? Może kapelmajster nie dał... błogosławieństwa?

*Podśmieszki*

II Może obawa... przed grzechem przeciw naturze?

*Śmiech*

I Co wy wygadujecie? Co tamtym do ślubu?
II Ha-ha! Za dużo mężów! Aż się ćmi w oczach! I to sama ostra kawaleria! *(nuci)* „Lanca do przodu i przez błoń! Wroga z ziemi naszej goń! Lancę w prawicę dziarską chwyć! I repetuj w samą..."

*Śmiech*

I A czego to?
IV Widać żeście... człek raczej wsiowy...
I Nie, ja z miasta.
II No to... ze sprawami królestwa nie bardzoście jakoś oblatani...
I Panowie, powidzcie, kto popsuł ślub?
III Jakby mu to wytłumaczyć?... Bo trzeba... od tamtej strony zacząć. Ale żeby spał spokojnie... koniuszy-od-duszy.
I Od czego, przepraszam?

*Dopiero śmiechy, grupa rozpada się, motyw karocy, tyr-tyr-tyr, ale trupio-jarmarczno-czerepowaty, napełnia scenę i nacicha. Wszystko gaśnie.*
*Ogród królewski pełen tarasów i fantastycznie powyginanych drzew-nie-drzew. MURARZE, klęcząc, wygładzają coś przy ziemi.*

LUDWIK II-GI Gotowe?

MURARZ Gotowe, wystarczy, żeby Jego Królewska Mość zważyła tę rączkę *(pokazuje)*.

LUDWIK II-GI *(milcząco wskazuje MURARZOM wyjście. Wychodzą, wchodzi LOKAJ)*.

LOKAJ Baronowa von Leonrod.

LUDWIK II-GI *(przyzwala skinieniem głowy)*.

BARONOWA VON LEONROD *(kłaniając się)* Skoro Jego Królewska Mość łaskawie pozwala mi...

LUDWIK II-GI *(nie podając jej ręki)* Witam panią, pani jedna była ze mną w te dni, ohydne, bezczelne. brudne, ale... Bogu dzięki, okropność mnie ominęła! Oddycham! Oddycham, jakbym z choroby wstał, jakbym po raz pierwszy wyszedł na świat umyty z kurzu, z lepkiego brudu, na świat gdzie wszystko jest wolnością! Koszmar co mnie dławił — sczezł!

BARONOWA VON LEONROD Cieszę się z honoru, jakim jest zaufanie królewskie. Poddanka, jednego tylko pragnę: szczęścia króla i wielkości Bawarii... Jak tu cicho... ni ludzi, ni ptaków... Samo piękno.

LUDWIK II-GI Zaprosiłem panią jedynie, zamiast tysiąca gości, którzy mieli zjawić się w tym ogrodzie, wracając z katedry, po ślubie... Ale nie przyjdą tu!! Blutwurszt mają i piwo! *(znowu opanowany)* Pani jedna mnie rozumie... że być królem... to być nim coraz bardziej... Pani rozumie... kamień w marmur, marmur w śnieg... a... a... Nie im oglądać królewskość z bliska! Ani z daleka! Koniec! Ministrowie — to moje rękawiczki. Brudne rękawiczki. Nimi dotykam wstrząsanego popiwną czkawką narodu!

BARONOWA VON LEONROD Całe Monachium szeptało o tym ogrodzie... domysły różne, fantazje...

LUDWIK II-GI Acha... otóż to... niech pani tu stanie... albo nie... niech się pani pochyli nad strumieniem... nad korytem strumienia... *(obniża rączkę niewidocznie; słychać szum rodzących się wodospadów i pieniącego się potoku)*.

BARONOWA VON LEONROD Och! *(przestraszona chce uciekać)* Powódź idzie!

LUDWIK II-GI *(śmieje się)* Niech się pani nie boi... to mój potok do nóg mi płynie.

BARONOWA VON LEONROD *(nachyla się)* Woda przeźroczysta... *(dotyka)* zimna...

*LUDWIK II-GI* Kazałem ją odczepić od lodowca, żeby do nóg przybiegała na każde zawołanie *(waży rączkę do końca, szum rośnie, słychać toczące się kamienie)*.

BARONOWA VON LEONROD *(cofa się)*... tak jakby prąd toczył kamienie?... *(szum trwa)*.

LUDWIK II-GI Niech pani rękę zanurzy.

BARONOWA VON LEONROD Nie... boję się... jeszcze mi...

LUDWIK II-GI Nie pożałuje pani.

*Szum cichnie.*

BARONOWA VON LEONROD *(zanurza rękę i wyciąga garść kamyków; podnosi je do oczu)* Kamyki górom wydarte... czyste... *(już chce je rzucić z powrotem i nagle)* Och! Kryształ! Sam blask! *(ogląda lepiej)* Nie! To nie... to... to szczere złoto *(chce je z powrotem upuścić do wody).*

LUDWIK II-GI Niech pani to zatrzyma... na pamiątkę...

BARONOWA VON LEONROD Nigdy nie zdołam wyrazić mej wdzięczności za tyle szczęścia... Jaka szkoda, że uroczystości nie odbyły się według planu... Wieki wiekom przekazywałyby rzeczywistą baśń o potoku złotodającym... z rozkazu królewskiego.

LUDWIK II-GI Koniec z tamtym. Oddycham teraz. A to... ha-ha! Ja ich jeszcze tu „zaproszę" i będą klęczeć tu — i ręce trzymać w wodzie... tu! I muł każę lać w górny bieg potoku... a oni nie odważą się nawet skrzywić! Muł, kał, zabite gęsi, pocięte w pasy! Rączki dzieci, piersi kobiece... będą czerpać... ha... będą podziwiać... i oko podnosić ku mnie po psiemu...

*Wchodzi RYSZARD HORNIG*

RYSZARD HORNIG Architekt, Jego Królewska Mość.

LUDWIK II-GI Niech zaczeka (do BARONOWEJ VON LEONROD) Listy pani są ukojeniem... i przede wszystkim są czyste... czy-ste... *(żegna ją skinieniem głowy).*

BARONOWA VON LEONROD *(wycofuje się w głębokim ukłonie, za nią RYSZARD HORNIG).*

*Scena gaśnie.*

*LUDWIK II-GI w sali audiencyjnej. Wchodzi ARCHITEKT z rulonem w ręku. Niski ukłon.*

LUDWIK II-GI A model?!

ARCHITEKT Plan przynoszę, szkic raczej... Jego Królewska Mość raczy darować... przez całą noc pracowałem... model zbuduję, jak tylko Jego Królewska Mość łaskawie zadecyduje o formie ostatecznej.

LUDWIK II-GI *(oburzony)* Formie ostatecznej?! Mam trupa zatwierdzać?! Kamień ma spleśnieć nim go murarz dotknie?! *(Bierze z rąk ARCHITEKTA arkusz, rozwija go i uśmiecha się)* Taak... dobrze... ale ta wieża musi być biała... wie pan... czysta... przeczysta! Tu las dziewiczy, gęsty, jodłą na podle zagęszczony do arcygęstości: bór, puszcza... nie, las... zielony, czerwony... a z lasu naraz — wieża wyrastająca z...

ARCHITEKT ...z dziedzińca.

LUDWIK II-GI Nie! Nie! Nie! Spod mchów, spod głazów omszonych! Jak grzyb z macierzystego podziemia świdrująca dzień *(gest)* od świtu po noc! Pan rozumie?! Księżyc zahacza o wieżę — a ona stoi i błyszczy... mokra od rosy majowej... i biała... przede wszystkim biała.

ARCHITEKT Upatrzyłem już kamień.

LUDWIK II-GI *(nie zwracając uwagi na słowa ARCHITEKTA)*... mury też białe... ale zębate, zacięte... i most zwodzony!! Król na zamku;

*(naraz do ARCHITEKTA).* A malarze? Naradził się już pan z malarzami?

ARCHITEKT *(z wahaniem)* Taak... zresztą mistrz Färbner też czeka na audiencję...

LUDWIK II-GI Pamiętać! Ostre mury... schody — na szczyt wieży... ponad szczyt! Spiralą, wciąż wyżej! *(Daje głową znak ARCHITEKTOWI, że może odejść. Wchodzi RYSZARD HORNIG).*

RYSZARD HORNIG Mistrz Färbner, Jego Królewska Mość.

LUDWIK II-GI *(nerwowym ruchem przyzwala, wchodzi MISTRZ FARBNER)* A szkice?! Wracaj po papiery! To lekceważenie! Obraza!

MISTRZ FARBNER Jego Królewska Mość raczy łaskawie darować... ja dziś miałem dopiero otrzymać wskazówki... dotyczące tematów... i w ogóle...

LUDWIK II-GI Aaa... tak... no dobrze... w jadalni, mają być widoki z Wartburga, ale rze-tel-ne... bo ja tam znam każdy listek! W moim pokoju wymaluje pan życie w miłości Tristana i Izoldy... ale kryształowe życie... pełne czystej, niezkazitelnej melancholii. ...tak jak było! Niczego nie dodawać! Nie łgać! Samą prawdę! A w głowach mego łoża — obraz Matki Bożej... Färbner, słyszy pan?... Matki szczodrej, Matki przepysznej, przepysznej ... tak, Marii Antoniny. A w salonie — łabędzie! Ale bia-łe! Bia-łe, bo Färb-ner-krew-sie-po-le-je!... I z życia Waltera von der Vogelweide niech pan co piękniejsze momenty wymaluje... ale nie łgać! Malować jak było!... I życie Parsifala, las wokół... smoki się wiją... jaszczury zwijają się, smukleją i zielone — kwitną! Tak samo, Färbner, ptaki... ale nie ptaszki! Ptaszury! Ptachy! A czym wyżej ich śpiew, czym dłużej ku górze ich szyja... tym bielszy ich kwiat... pulchny... biały...

MISTRZ FARBNER *(jakby chciał coś powiedzieć, ale nie śmie).*

LUDWIK II-GI No? Co tam?! Nie potrafi pan? Król kazał! Święte. Odejść! *MISTRZ FARBNER wychodzi, wchodzi RYSZARD HORNIG.*

RYSZARD HORNIG Minister Skarbu prosi o audiencję.

LUDWIK II-GI Wpuść go!

*Mijają się w drzwiach.*

MINISTER SKARBU *(kłania się nisko).*

LUDWIK II-GI Ministrze, kazałem panu przyjść, gdyż królestwo zaczynało znowu szarzeć... tak-tak... zaczynało matowieć. A wie pan, jak lud zauważy, że królestwo blask swój traci — po wszystkim! Po królestwie! I... po panu! A jak lud widzi, że przepych, że festyny, że... girlandy, ogrody, zimowe ogrody, wie pan, sztuczny księżyc... ale że nikt nie pozna że sztuczny... światła weneckie, mostki... jak lud widzi, że pałace, że zamki rosną, wtedy w królestwie — szczęście! Pan już na pewno zrozumiał o co mi chodzi... Architekt zaniósł panu plany... chodzi... o... żeby jak najprędzej zacząć!

MINISTER SKARBU Ośmielam się prosić Jego Królewską Mość o wyrozumiałość, ale... chwilowo... przynajmniej narazie... trudno byłoby mi... nasz skarb w tej chwili... trudno byłoby bez uszczerbku dla...

LUDWIK II-GI *(krzyczy)* Milczeć! Za drzwi! I stać tam! *(MINISTER SKARBU wychodzi pośpiesznie).*

LUDWIK II-GI *(podchodzi wolno do drzwi, puka i woła)* No?! Ministrze? Ma pan dla króla dobrą nowinę? Tylko mi bez wykrętów! Tak, albo nie! Innych słów zabraniam, zakazuję używać!

MINISTER SKARBU Jego Królewska Mość raczy...

LUDWIK II-GI Milczeć! Nie pozwalam! *(chwila ciszy)* A teraz — rozkazuję panu wejść z powrotem! Natychmiast!

*MINISTER SKARBU wpada i staje na baczność.*

LUDWIK II-GI *(łagodnie)* Mój drogi ministrze Skarbu... kochany Fryderyku... wszyscy mnie opuszczają... zamki się starzeją, szarzeją, murszeją... nowych budować mi nie wolno, *(ze smutkiem)* żyć nie mam po co... po co mam żyć? Przyjdzie mi albo uciec z tego ponurego kraju, albo skończyć ze sobą... tak skończyć ze sobą.

MINISTER SKARBU Najjaśniejszy Panie! Ja tylko chciałem dać do zrozu...

LUDWIK II-GI *(przerywa mu boleśnie)* Ani słowa, kochany Fryderyku... wiem.. pan po prostu nie kocha wielkości swego króla... Bawaria, góry, lasy, lud — to pan kocha. Ale króla?! Zamki? Królestwo? Nie! Pan by wolał, żeby w ogóle nie było ani zamków, ani wież, ani kościołów, ani dzwonów ani procesji, ani króla żeby nie było!

MINISTER SKARBU *(wstrząśnięty)* Niech architekt przedstawi mi dokładny kosztorys, ja jeszcze w tym tygodniu...

LUDWIK II-GI Dlaczegoby nie jutro! Jutro. Oczywiście że jutro! Tylko bez ociągania się! Hornig! *(tenże zjawia się w drzwiach)* Audiencja skończona.

*Scena gaśnie.*

*Wioska u stóp zamku. Półmrok letni. Parobcy oparci o domy, siedzący na przyzbach. Ktoś nuci, gdzieś akordeon lekkimi palcami dotykany... LUDWIK II-GI i RYSZARD HORNIG incognito.*

RYSZARD HORNIG *(głosem uchamionym)* Śpita chłopy? Jak nie, to pohecujma! W dupaka, abo w ciuciubabe! Kto trzy razy zgadnie — temu talar! Cyk!

*Poruszenie*

No? Kto wali? Ty? Jak ci?

CIEŃ Jaśku.

RYSZARD HORNIG No to jazda! Cyk! Czekaj, oczy ci zawiążę!

*Zaczyna się bieganina, szamotanina, piskanie złapanych a wyrywających się.*

CIEŃ *(woła)* Aaaa! mam cie! *(Balet cieni zatrzymuje się)* A to kto! Ta to...

RYSZARD HORNIG Cicho! *(zawiązuje oczy LUDWIKOWI II-MU)*

*Zabawa coraz gorętsza, gesty, trącania, wyrywanie się dyszących...)*

GŁOSY

I Aj!

II Puść!

III Hi-hi-hi...

IV dzie łapiesz!

LUDWIK II-GI *(zatrzymuje się, odbiega od PAROBKÓW i RYSZARDA HORNIGA na brzeg sceny, zrywa dramatycznym gestem przepaskę; słychać jego głos rozpaczliwy)* Nie wolno... nie wolno... lilio królewska, biała i czysta, pomóż mi! Święta pamięci królowej męczennicy, wspomóż mnie! Będę czysty! Król musi być czysty! Król jest czysty! Ani gestu! Ani słowa! Ani żadnej myśli! Królestwo absolutne! Królestwo biało-niebiesko-złote!

*Scena gaśnie.*

*A kiedy rozświetla się znowu, LUDWIK II-GI siedzi sam w jadalni zamkowej. Przed nim popiersia Marii Antoniny i Ludwika XIV-go.*

LUDWIK II-GI *(woła)* Służba! *(wchodzi LOKAJ i kłania się).*
LOKAJ Jego Królewska Mość rozkaże?
LUDWIK II-GI Prędzej! Pośpiech! Łaskawi goście czekają, a półmiski jeszcze w kuchni!

*LOKAJ wycofuje się i wraca natychmiast, niosąc półmisek.*

LUDWIK II-GI Jak śmiesz! *(zdziwienie przerażone LOKAJA).* Jak śmiesz *(syczęco)*, bydlaku stawać chamskimi plecami do świętej królowej! *(LOKAJ ogląda się i robi krok w prawo).* Teraz przed Jego Wspaniałością Ludwikiem XIV-ym to samo robisz! Won stąd! Wyjdź mi stąd i raz jeszcze wchodź! *(LOKAJ wychodzi z półmiskiem, wraca, ale obchodzi stół z drugiej strony, kłania się i opuszcza jadalnię).* Nno... nareszcie! *(zwraca się do popiersi)* Proszę darować... więcej się to nie powtórzy. A gdyby się powtórzyło... to w kajdany każę zakuć! O chlebie i wodzie! *(je).* Coraz ciężej być królem... *(do Ludwika XIV-go)*... prawdziwym królem... Królestwo jest we mnie, jest, pełne i wspaniałe... ale wystarczy, żebym je na krok z siebie wyłonił... brud! Brud je osacza, brud je zalewa! Muchy je obłażą ciemne, ale bez koloru, tak... białociemne muchy ludzkiej przeciętności... Nikt nie szanuje progu, za którym jestem ja, Król! Naumyślnie, złośliwie włażą mi tu zabłoconymi buciorami! Chcą żebym u r z ę d o w a ł jako król! Razi ich, że sprowadziłem na nich królestwo, że je rozrastam, że każdą wieżą, każdym mostem zwodzonym odtrącam tępe granice... *(głośniej).* Na słońcu nie ma miejsca dla chmur! Ja wiem kto przede mną błyszczał pełnią blasku i brzasku *(skłania głowę w stronę Ludwika XIV-go, słychać pukanie, wchodzi LOKAJ).* Co znowu?! Nie słyszysz, błaźnie, że rozmawiamy!? Cooo?! *(zrywa się)* Śmiałeś spojrzeć w oczy królowi?! Królowi patrzysz w oczy!! Postaw kawę i wyjdź. Od dziś... do śmierci nosić masz czarną maskę! *(LOKAJ wycofuje się przerażony, król zwraca się do Marii Antoniny)* Wasza Królewska Miłość miała na pewno takie same kłopoty z nieudolnością, z prostactwem, z arogancją, z hardością, z grubijaństwem i chamstwem służby? *(chwila milczenia).* I ministrów! Wczoraj minister finansów ośmielił się donieść mi o... deficycie! To jego brudne sprawy — nie moje. Tu, do pałacu, wlazł mi z tymi brudami. Skalał próg, próg był niebiesko-złoty, aż biały... i czysty... czysty... a ten wieprz utytłany w rynsztoku... i teraz każę próg myć, myją i domyć się nie mogą... trzeba będzie kamień progowy wyrąbać i nowy próg położyć.

Madame, donoszę o tym Jej Królewskiej Mości, żeby wiedziała o dzisiejszych trudnościach królów... Wiem, że spotkam się z pełnią zrozumienia i że słowa me padną na grunt czuły... macierzyński *(gorąco)*. Składam głowę... synowską głowę składam na kolanach Twych, święta, prześwięta królowo... tulę się do łona Twego, męczeńskiego, przenajświętszego, zakrwawionego, ale ciepłego. zakrwawionego, ale białego, ale czystego...

*Scena gaśnie.*

*W sali lustrzanej. Noc przedwiosenna.*

RYSZARD HORNIG Zamknąłem okna, bo przeciąg świece gasił...
LUDWIK II-GI Dobrze, Ryszardzie, ty jeden mnie rozumiesz,
Ty jeden rozumiesz potrzebę blasku
niezachwianego... bo ty pamiętasz
Paryż oglądany z balkonu.
co nas unosił rytmem krwi
nad nocą wiszącą na światłach...

Ryszardzie, tyś mnie uratował...
Maj był tak jasny... że do dziś pamiętam
ogromne słońce. Znad gór przyświecało
porankowi naszej pierwszej podróży...
RYSZARD HORNIG Do Eisenach, Najdroższy Panie!
LUDWIK II-GI *(poprawia go czule)* Ludwiku... tak, do Eisenach...
A bałem się, bałem się, że mnie
już nic nie uratuje, że nuda,
szpetota, szkarada
zatopią mnie, zdławią mnie, że
aa... czyhali! Skradali się...
paście zastawiali, niskie i lepkie... aa...
króla malowanego chcieli mieć,
co głową by im kiwał z balkonu,
palce do góry podnosił, że kocha ludek,
co od piwa wstał i po brzuchu się klepie...
A tyś mi, Ryszardzie, obronić się pomógł
przed ich syczącą nikczemnością.
Czas płynie, ale twa wierność, Ryszardzie,
nie mija...

Ty jeden mnie kochasz, kochasz to co czynię,
Ty jeden biegłeś ze mną po murawach Bawarii
za paziem królowej, któremu
obciąłem skrzydła na kwadratowo,
żeby zobaczyć jak nań spojrzy
pierwszym spojrzeniem przerażonym
lilija wklęsła, gdy w nią spadnie
cudowny kaleka...

Tyś, pośród lata, którego?
Nie wiem już... Parnego! Tak,

pośród parnej z najparniejszych nocy,
tyś ze mną śpiewał kolędy białe,
na przekór światu, a na chwałę nam!
Królestwo karmię, Ryszardzie,
mlekiem i miodem takich nocy,
jak ta... ale słyszę:
już się podnoszą szumowimy!
Już powódź rośnie i o zamki
bezczelnym czołem uderzy!
Nie abdykuje król. Król pada!
Jak drzewo, kolumna, maszt,
ranione, rażone udarem-pożarem...
A tłum otoczy „widowisko"
i zadrwi...

Każdym gestem, do którego
żaden z nich nie jest zdolny,
czyniłem i czynię królestwo...
I pruję czas... ja, łabędź biały,
nietknięty mułem tego świata,
korab niepokalany...

*gorąco*

W nieugaszonym święcie piór,
na otwartych skrzydłach sunę,
czekający nowego cudu,
oczekujący orła silnego,
mocarnymi wiatrami wyrzeźbionego
i którym pyszni się twarde niebo!
Niech zstąpi z wyżyn, niechaj runie
i gwałtem przez krew mą się szerzy!
Ryszardzie, orła kręgi już niskie są!
Orła kręgi żelazne już są!
Burza wokół wieży,
ktoś mi głowę w turban pąsowy zawija...
Ostra i słodka śmierć nadciąga;
łabędź otwarty i wilgotny,
niech orzeł uderzy!

*Słania się, światła marnieć zaczynają, RYSZARD HORNIG podbiega i unosi zemdlonego w stronę coraz gorętszego mroku.*
*W powracającym świetle widać grubych MINISTRÓW. Siedzą.*

SZEF GABINETU *(wstaje)* Panowie... nie wiem co mam o tym sądzić... od trzech godzin czekamy tu na odpowiedź Jego Królewskiej Mości. Delegacja powinna była już dawno być z powrotem...

*pukanie do drzwi*

Wejść!

*wchodzi LOKAJ, zdziwienie*

Co to znaczy?!

LOKAJ *(grubym głosem)* List mam od Jego Królewskiej Mości.

SZEF GABINETU Coo?! A delegacja?! Gdzie są ministrowie?!

*poruszenie, gestykulacja obecnych*

LOKAJ Uny klęczą na grochu, bo były niegrzeczne...

SZEF GABINETU Co?! Milcz, łajdaku! To znaczy, mów! Co ty wygadujesz!

GŁOSY MINISTRÓW

I Skandal!

II Znowu to samo!

III Bimba sobie z parlamentu i rządu!

IV Policzek!

III Kpiny w żywe oczy!

I Zaraz, zobaczmy list!

SZEF GABINETU Daj tu list! Opowiadaj!

LOKAJ *(oddając list)* Jego Królewska Mość wypędził ministrów z sali audiencyjnej, bo jeden z ministrów podszedł do Jego Królewskiej Mości na meter — a nie wolno! Wolno na półtora. Król zakazał i trza o tym pamiętać. Ja pamiętam. I wtenczas...

GŁOSY MINISTRÓW

I Tegojużdość!

II Abdykacja, bezwarunkowa i absolutna!

*tumult krzeseł*

SZEF GABINETU Mów dalej!

LOKAJ ...i wtenczas Jego Królewska Mość wygnał ministrów za drzwi... To oni zaczęli pokazywać jakiś papier. Wtenczas Jego Królewska Mość mówi do mnie: „Klapke, zobacz co tam stoi napisane"? A wtenczas jeden z ministrów, taki maluch, chciał to sam przeczytać... i to najbardziej rozgniewało Jego Królewską Mość. Zaczął krzyczeć „na klęczki! na klęczki"! I jeszcze przy tym różne inne słowa... I klęczą.

SZEF GABINETU *(w zdenerwowaniu)* „Od dziś, t.j. od 5-go maja 1886-go roku. Rocznica, symbol majowy, słońce ogromne, rozkazem królewskim króla królującego królestwu, ministrowie: Stopke, Pupke, Lampke, Pischinger i Kischinger i w ogóle wszyscy inni, którzy kiedykolwiek ministrowaniem się zajmowali, tracą wszystkie prawa do noszenia tego zaszczytnego tytułu. Osobników zaś, którzy mieli czelność stawić się przed nami dziś rano, skazujemy na trzygodzinne klęczenie w kącie na suchym grochu. Po czym, o suchym chlebie, pójdą do ciupy na nie-suche barłogi! Równocześnie decydujemy i kategorycznie ustanawiamy co następuje: wobec zniknięcia z życia publicznego wyżej wspomnianych indywiduów, my, Ludwik II-gi, król Bawarii, mianujemy nadzwyczajnym dekretem nową radę ministrów. Szefem gabinetu zostaje zasłużony i oddany fryzjer Hopke..."

GŁOSY

I Hańba!

II Hańba! Kompromitacja!

SZEF GABINETU ...„do pomocy przydzielamy mu obywateli kuchennych,

a gdyby trzeba było, stajennych". *(kładzie papier na stole i zwraca się do stężałych z oburzenia ministrów)* Panowie... panowie... sytuacja jest dramatyczna... ale i ostateczna...

LOKAJ Ja musze iść. Uszanowanie i kłaniam się panom ministrom.

GŁOSY *(jakby zbudzonych ze snu)*

II Hańba!

I Nie mówiłem?! Wariat.

II Kaftan!

III Pomału... pomału, panowie!

IV *(z ironią)* Taaak... niech i nam na grochu każe klęczeć!

I Aresztować! Destytuować! Detronizować!

*Drzwi raptownie otworem! Wpada jak bomba B. MIN. STOPKE. LOKAJ, korzystając z tego, ucieka.*

I Stopke!

II Jak pan wygląda!

III Niech pan mówi. Sam?!

IV Gdzie reszta?

V A reszta?

B. MIN. STOPKE *(zdyszany)* Uciekliśmy strażnikom!

B. SZEF GABINETU Od początku. Proszę, niech pan kolega opowiada. Panowie, proszę siadać. Słuchamy.

B. MIN. STOPKE *(skrobie się gwałtownie w jedno, następnie w drugie kolano)* Proszę mi darować... ale to... tego...

GŁOSY

I Wiemy.

II Wiemy!

III Trudno...

B. MIN. STOPKE *(zażenowany)* To nie upadek... i nie rana...

GŁOSY

I Wiemy, niech się pan nie boi.

II Wiemy, i rozumiemy, ale na głos nie powiemy!

B. MIN. STOPKE *(uszczęśliwiony, ale jeszcze zdyszany)* Uciekliśmy strażnikom... Tak... ale przedtem... więc... prowadzą nas, prowadzą... pytam: „dokąd nas tak prowadzicie?" A jeden z nich, bo dwóch ich było, starszy i młodszy, ten starszy nawet nie brutal... mówi: „do kazamat". Na to ja: „wstydźsię! Ty się Boga nie boisz! Boguduchawinnych ludzi do kazamat!" A wtenczas strażnik zaczął się skrobać w głowę... skrobie się... zamyśla...

B. SZEF GABINETU Panie kolego, do rzeczy!

B. MIN. STOPKE No — i uciekliśmy!

GŁOS Ale jak?

B. MIN. STOPKE Prędko!

GŁOS A reszta?

B. MIN. STOPKE Pewnie są w drodze.

*Drzwi na roścież! Wpadają gęsiego, drobnym truchcikiem, B. MINISTROWIE PUPKE, LAMPKE, PISCHINGER i KISCHINGER)*

GŁOSY B. MINISTRÓW *(świeżo przybyłych)*
I Wstyd, kolego Stopke!
II Wstyd! Tak się nie robi!
III Elementarny brak poczucia solidarności!
I Przysłowie niedźwiedzie, najlepszych przyjaciół poznajemy w biedzie!
IV To jest kultura?!

B. MIN. STOPKE *(przybity)* Panowie koledzy... ja po prostu miałem więcej szczęścia w ucieczce... to wszystko... ja pamiętałem o solidarności, ale co mogłem poradzić... problem szybszych nóg... nogi same mnie niosły... to się już nigdy nie powtórzy.

B. SZEF GABINETU *(patrzy po obecnych)* Kolego Stopke... przyjmuję wyrazy skruchy... incydent uważam za zamknięty. *(w stronę drzwi)* Proszę wprowadzić komisję lekarską!

*Drzwi otwierają się, wchodzą i stają, tworząc chór LEKARZE-ALIENIŚCI.*

B. SZEF GABINETU Witam panów doktorów... witamy... czas nagli... moment jest nieprzyjemny, ale historyczny! Prosimy więc. Do rzeczy. każda minuta jest droga.

CHÓR DOKTORÓW-ALIENISTÓW
W wyniku konsylium, my tu zebrani,
jednomyślnie orzekamy co następuje:
Umysł Jego Królewskiej Mości w stanie
bardzo poważnego zaburzenia się znajduje.
Jego Królewska Mość cierpi na
przewlekłą a nieodwlekłą chorobę,
innymi słowy: paranoja
nawiedziła królewską osobę!
W tych warunkach, władza
nie może pozostać
w ręku Jego Królewskiej Mości,
ani dziś, ani jutro, ani tym bardziej
— co podkreślamy — w przyszłości!

B. SZEF GABINETU W imieniu Rady Regencyjnej dziękuję!

*Od lewej, w kaftanie, trzymany przez dwóch PIELĘGNIARZY-BRUTALI, wkracza LUDWIK II-GI. Staje w pośrodku.*

CHÓR DOKTORÓW-ALIENISTÓW *(mściwie)*
Chłopami z drągami, jak psami, wczoraj nas szczuł,
a teraz — Jego Królewska Mość — w pieluszkach!

*Szarpnięcie się LUDWIKA II-GO*

Spokojnie, dziubku, nie wierzgaj jak muł,
bo *(ruch ręką)* linijką pac! po paluszkach!

B. MIN. LAMPKE *(wypina piersi, bierze krzesło i siada przed LUDWIKIEM II-IM, klepie się po udach z zadowoleniem)* „Obrzydliwy"... „ohydny"... „klęczeć mi tu". Kto? Kto „ohydny"?! Ja sie pytam. I za co? Zmieniło sie! Cooo? Odwróciło sie! Cooo? A-a-a, kotki dwa...

B. MIN. FRYDERYK PUPKE *(wypina piersi, z krzesłem przy dupie podchodzi i siada przed LUDWIKIEM II-IM)* „Za drzwi!" „I stać mi tam!" Jak psa... Za co? Za to, że ci odmówiłem pieniędzy, któreś trwonił, rozrzucał, rozflażał i szastał?!

B. MIN. PISCHINGER *(wypina piersi etc.)* „Lokaj, wypędzić go! Ten łajdak ośmielił się podejść bliżej niż na półtora metra!" A teraz??? Obwiązali sznureczkiem? Coo? Jak blutwurszcik? I „łajdak" mógłby podejść i na pół metra... gdyby *(palcami ściska nos)* nie smród!

*Reszta B. MINISTRÓW, z krzesłami przy dupie, dosiada się do trzech poprzednich i, śmiejąc się, klepie się po udach. Wchodzą MIESZCZANIE, stają symetrycznie do grupy MINISTRÓW, po tej samej stronie.*

CHÓR MIESZCZAN *(wskazując naraz palcem)*

Kto jest ten pan, co go trzymają?
Ten pan o tęgiej kibici?
My go nie znamy. Góry go znają,
góry i chmury, zamki, marmury,
perfumy i faworyci!

*Postępują o dwa kroki w stronę LUDWIKA II-GO.*

Koniec bajeczki, co kieszeń nam piła,
bańki mydlane puszczając pod rządek;
Nareszcie się hańba kupiectwa skończyła!
Górą Monachium, już wraca mu siła!
Niech żyje handel i zdrowy rozsądek!

*Jawi się Cesarzowa austriacka ELŻBIETA; wszystkie głowy w jej stronę.*

ELŻBIETA

Pozdrawiam cię, kuzynie królewski...
Nie... po raz ostatni witam cię,
królu!
Nieskończony, choć zatrzymany
na siódmym schodzie...
Ręce me wiedzą, że nie mają po co
biec na spotkanie twoich...
Nie masz już rąk.

Witam cię, królu jedyny i żegnam...
Jak starsza siostra miałam przystęp
do brzegu snów twych i do oczu twoich.
Tego, co widziałam, nachylona,
starczy na tysiąc piekieł
czerwonolistnych i
na tysiąc niebios perłowych...
Spojrzałabym ci po siostrzyńsku w oczy,
ale... nie masz już ócz.

Za to jabłko twe złote
obrastać w blask nie przestanie!
Na skrzyżowaniu snów i baśni
i na rozstajach samotności
wybuchać będzie
pawiem szczerozłotym!
Z tego wieku — tyś najjaśniejszy!

*Staje blisko LUDWIKA II-GO*

LUDWIK II-GI *(straszliwym głosem)*
Nie! Nie! Królestwo moje,
gwałcone, zbite, do cna już zmarniało!
— Brzuch matki — księżyc grynszpanowy!
Chamstwo łabędziowi pióra obłamuje,
i na bezbronnego plwa...
Złoto — po rdzeń sparszywiało!
Krróóól? — Żyjec! Kałdun
wrośnięty kałem w noc kloaki,
rzyganiem w światło dniaaaa!

*Łamie się, głowa opada mu na piersi. Światła dogasają na CHÓRACH DOKTORÓW i MIESZCZAN, na MINISTRACH, nawet na cesarzowej ELŻBIECIE, ukazując jeszcze LUDWIKA II-GO, podtrzymywanego przez dwóch PIELĘGNIARZY-BRUTALI. Z daleka nadchodzi BARONOWA VON LEONROD, mija wszystkich i z brzegu sceny tak mówi:*

BARONOWA VON LEONROD *(jakby do siebie)*
Lubiłam jego — raj na ziemi,
coraz bardziej szarej
i pospolitej,
okrutny raj, ale tęcze w nim były prawdziwe.

Kochałam jego ręce, palce, którymi
architektury żywił momentalne,
białe i śmiałe od krzyku,
urzekająco niepotrzebne...

Ponad czeluścią świata wrogiego,
pająk wniebowzięty,
snuł nić niebieską;
motyle niebu rzucał nowe,
artystom — pierścienie rubinowe,
oprawne w miłość królewską...
A mnie, starej kobiecie,
otwierał furtę do swego
królestwa wiszącego... i cieszył się,
kiedy z zapartym oddechem, jak dziecię,
patrzyłam na cud...

*ze smutkiem*

tylko ostatniej obietnicy
nie było mu danem dotrzymać... *(naśladuje ton króla)*
„Zobaczy pani, między czerwiec i lipiec,
wbiję siwą zimę!
Ciągnioną przez białe niedźwiedzie...
Klinem ją wbiję skrzypiącym od mrozu...
Dzwonki sanek... błazenady
masek pawiookich, łyżwiarzy,
przerażą zboża w miedzi gorącej stojące
i obiadujących żniwiarzy... spadnie śnieg".
Nie... inaczej mówił: „Śnieg się puści z niebios,
śnieg suty, sowity, królewski...
I będziemy patrzeć, jak śród wioski,
pierwszy kolędnik nos pokaże, zmylony"...

Nie stało króla...
I czerwiec wedle swawoli
zielenie miękkie rabuje
i rzeki na rudo wypala,
aż syczą!

*Z nieba, zrazu po mału potem gęsto i oślepiająco, puszcza się śnieg sowity. BARONOWA VON LEONROD przeciera oczy, ze śniegu? z łez?, podnosi ręce w górę i tak trwa, przy gasnącej scenie i rosnącej już od chwili muzyce Wagnera.*

Koniec

*Marian PANKOWSKI*

W najbliższych tygodniach ukaże się nowa książka

**Mariana PANKOWSKIEGO**

**KOZAK I INNE OPOWIEŚCI**

w nakładzie 250 numerowanych egzemplarzy. Cena egzemplarza — 100 fr. belg., 2 dol., lub równowartość w innej walucie. Należność można przesyłać na adres: **M. Pankowski „Banque de la Société Générale de Belgique" Nr. 420.870 Bruxelles 5. (W Belgii, na C.C.P. Nr. 8174. 88).**

# Wiersze

***

*Objąłem te ramiona i zerknąłem*
*na kogoś, kto poza mną nagle stanął.*
*Tak, to przed siebie wysunięty stołek*
*zlewał się z jasno oświetloną ścianą.*
*Żarówkę mocniej biały prąd rozżarzył,*
*uwydatniając zdartych mebli starość,*
*kanapie było w kącie nie do twarzy*
*z obiciem, które zżółkło i spłowiało.*
*Lśniła posadzka. Podkreślała biedę*
*pustka na stole. Zakurzony pejzaż*
*tkwił w ciemnych ramach. Tylko jeden kredens*
*swym ożywieniem złe wrażenie zmniejszał.*
*Lecz po pokoju krążył motyl zwiewny*
*i wzrok zastygły mój na siebie zwrócił.*
*A jeśli upiór tu mieszkał, na pewno*
*dawno porzucił ten dom. Tak — porzucił.*

***

*Ogrodnik wylazł niby drozd*
*na gałąź po drabinie chyżo,*
*tym samym przerzuciwszy most,*
*który ku ptakom nas przybliża.*

*I nagle plecy przeszył dreszcz,*
*bo oto w górze, miast szczebiotu,*

*tak dobrze znany słychać dźwięk:*
*dwóch ostrzy zgrzytający dotyk.*

*Właśnie dlatego raz po raz*
*z ptakami konflikt nasz się tworzy,*
*(fizycznie też widoczny w nas)*
*że, otworzywszy dzioby nożyc,*

*w czas zimy, na konarach drzew*
*zgrzytamy, zamiast śpiewać zgodnie...*
*Niegodny ludzi ptasi śpiew?*
*Czy ludzie ptaków są niegodni?*

*Przez błogi śpiew, przez spokój gniazd*
*byt krótkotrwały pomnożywszy,*
*znajdziemy, śmiem zapewnić was,*
*w tym świecie miejsce najwłaściwsze.*

## NA OGRODOWY PARKAN

*O zmierzchu śniegiem coraz szerzej,*
*pod światłem latarenki węziej.*
*W konarów rozwidleniu leży,*
*śnieży się biało wśród gałęzi.*
*Nie to że bielej — raczej jaśniej.*
*I zda się (parkanowi na złość),*
*przez korę wnętrze drzewa właśnie*
*naraz przebije się jak światło.*

*Od dawna ściętej sosny kłoda*
*podaje mu wymowny przykład,*
*że w odróżnieniu od ogrodu*
*biel parkanowi jest niezwykła.*

*Bo parkan tylko wewnątrz biały.*
*Mróz w deskach trzaska przeraźliwy,*
*nie czuje płot, że śniegu zwały,*
*że białość całkiem go pokrywa.*
*Ale martwotą parkan straszy.*

*Bez życia leżą śnieżne stoki*
*ponad jeziorem.*
*Tylko kaszel*
*może ożywić ich krwotokiem.*

## OBÓZ

*Im więcej cieni wkoło rośnie,*
*tym wozy skrzypią głośniej.*
*Im dalej od ścierni po żniwie,*
*tym skrzypią przeraźliwiej.*
*Wśród kolein splątanych*
*hałasują jak hamany,*
*łąki dalej, krzaki gęściej —*
*hałasują jak nieszczęście.*

*Pożółkłej brzozy wierzchołek,*
*olchy smutne i gołe*
*widzą, jak w nieba stropy*
*spoglądają związane snopy,*
*czując ciarki w kolanach.*
*Znowu kłoda wykarczowana.*
*Drzewa słyszą: ptaków ani-ani,*
*tylko skrzypią wozy, a na nich*
*klną ordynarnie furmani.*

*Josef BRODSKIJ*

*(Przełożył z ros. Józef Łobodowski)*

## 1. NIEBO

*Moje niebo mieści się za szafą,*
*Jest w niej trochę wspomnień,*
*Stara lalka, pantofel,*
*Pamiętnik, parę łez....*
*Już nie wiem co w niej jest.*

*Tylko wiem, że tam,*
*Za szafą dzieciństwa —*
*Całe niebo bez chmur,*
*Niebieskie, jak farbka do prania*
*I lepkie, jak cukierek,*
*A lody wciąż się topią*
*I kapią na podłogę.*

*Tylko za którą szafą?*
*Tyle było szaf!*
*Otwierałam je wszystkie*
*Z kluczem i bez klucza*
*I szukałam szafy,*
*Tamtej szafy dzieciństwa,*
*Za którą było niebo.*

*Tamta szafa skrzypiała*
*I wspomnienia dzieciństwa,*
*Lekko pokryte kurzem,*
*Leżały w szufladach —*
*Stary anioł bez skrzydła,*
*Pierwszy złapany motyl,*
*Jakieś myśli skrzydlate,*
*Wlepione do albumu*
*I zasuszona łza.*

*Tylko w której szafie?*
*Tyle było szaf!*
*Niebo tonie w chmurach,*
*A lody wciąż się topią*
*I kapią na podłogę, jak łzy.*

*A może nie było nieba?*
*Był tylko stary anioł.*

*Kto mu złamał skrzydło?*
*Czemu ten anioł płakał*
*Jak wyglądają zasuszone łzy?*

*A może nie było szafy,*
*Skrzypiącego klucza, szuflad!*
*Może mi się zdawało, że*
*Że byłam kiedyś dzieckiem?*
*„Bo to było dawno*
*I przy tym nieprawda".*
*A lody wciąż się topią*
*I kapią na podłogę, jak łzy.*

## 2. PIEKŁO

*O piekle nic nie powiem.*
*Piekło miało twarz*
*I krzyczało, jak dziecko.*
*Kto upadł? Czemu upadł?*
*Czyja twarz? Czyja krew?*
*Kto biegł po schodach, krzycząc?*
*O piekle nic nie powiem.*

*Piekło pachnie jak szpital*
*I nie smakuje niczym.*
*I tylko tam godziny*
*Upływają jak życie*
*Mierzone biciem serca.*
*I tylko tam minuty...*
*Lęk... schody...*
*Światło... krew...*
*Coraz więcej głosów,*
*Coraz większy lęk*
*I wpółotwarte okno,*
*Za którym nie ma nic.*

*O piekle nic nie powiem,*
*Bo się boję głosów,*
*Bo się boję duchów,*
*Bo już tam byłam, widziałam*
*I nie chcę nigdy więcej.*

*Więc zamykam oczy jak najmocniej*
*I zamykam drzwi na klucz*

*I nie pójdę więcej do szpitala,*
*Do żadnego szpitala... nigdy więcej,*
*Ani do doktora-znachora,*

*Po schodach przykrytych dywanem.*
*Tyle papierosów... krzyk...*
*Krew... ból...*
*U doktora-znachora*
*Jest piekło w popielniczce*
*I nie pójdę tam więcej.*

*Już nic więcej nie powiem,*
*Piekło jest pogrzebane,*
*Piekła więcej nie będzie,*
*Ani białych fartuchów,*
*Ani rosnących głosów,*
*Ani wielkiej pustki,*
*Za wpółotwartym oknem.*

*Irena Danuta BIEŃKOWSKA*

**OSTATNIE WIADOMOŚCI**

**Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec**

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

**Redakcja, administracja, drukarnia:**
**Mannheim-Schoenau,** Lilienthalstr. 301

# Zjednoczenie Niemiec i Europy a Polska

Czytelnicy, którzy interesują się piłką nożną wiedzą, że drużyny piłkarskie należą do różnych lig. Przejście z jednej ligi do drugiej wymaga pewnej ilości zwycięskich spotkań.

W porównaniu z obu super-mocarstwami, tj. Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim — wszystkie państwa europejskie należą do „drugiej ligi". W dawnych czasach państwo „drugiej ligi" miało możliwości wejścia do „pierwszej ligi". Najczęściej odbywało się to na drodze „zwycięskich spotkań" jak w piłce nożnej. Niemcy po-wersalskie z samego dna tabeli ligowej przedzierzgnęły się z czasem w championa „pierwszej ligi".

System nie był idealny — wiemy to dobrze z bolesnych doświadczeń. Lecz dziś nie ma w ogóle żadnego systemu gry.

Jest naiwnością przypuszczać, że można zamrozić historię i utrwalić podział Europy.

Gdyby nie było NRD — pozycja Gomułki byłaby niepomiernie silniejsza niż jest dzisiaj. Niemcy zjednoczone po Odrę i Nysę byłyby również państwem „drugiej ligi" natomiast w Europie nie istniałaby tzw. „kwestia niemiecka". Amerykanie i Rosjanie narzuciliby Niemcom uznanie obecnej granicy polsko-niemieckiej a Europę wschodnią odpisaliby na straty. Nikt by już więcej nie mówił o podziale Europy a „żelazna kurtyna" byłaby nowym wydaniem carskiej granicy. Zachodnim Europejczykom owa granica wydawała się dziwna i egzotyczna lecz ją akceptowali.

Podział Europy oznacza podział Niemiec. W tej sprawie nie należy mieć żadnych złudzeń. Z naszego punktu widzenia jest korzystne, że przywódcy sowieccy odrzucają wszystkie koncepcje czysto niemieckiego rozwiązania. Przesunięcie bowiem „żelaznej kurtyny" na granicę Odry i Nysy utrwaliłoby ją — być może — na dziesiątki lat.

Marksiści stale głoszą, że oni jedni odczytują właściwie procesy historyczne. Gdyby tak było, Gomułka i jego doradcy musieliby uznać za pewnik, że wcześniej czy później Niemcy zostaną

zjednoczone. Podziału Niemiec na dalszą metę nie da się utrzymać i wskutek tego polityki opierającej się na podziale Niemiec nie da się również utrzymać. W rzeczywistości w ramach polityki podziału Europy nie można skutecznie walczyć ani o międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie, ani nie można wypracować systemu zabezpieczającego nas przed Niemcami.

Gomułka w swym wrocławskim przemówieniu stwierdził, że skoro obecnie Niemcy nie uznają granicy na Odrze i Nysie — zjednoczone Niemcy tym bardziej by jej nie uznały. Skoro obecne, podzielone Niemcy są militarystyczne — zjednoczone Niemcy byłyby jeszcze bardziej militarystyczne.

Tego typu stopniowanie doprowadziłoby nas do planu Morgenthau'a, który przed dwudziestu laty proponował przemianę Niemiec w kraj pastwisk i mleczarń. Można było również rozparcelować Niemcy na trzy lub cztery państewka. Lecz dziś na tego typu plany i inicjatywy jest za późno.

Ostatnie 50 lat historii europejskiej stanowią rejestr prób akomodacji Niemiec w ramach Europy. W rezultacie, po upływie dwóch dekad od dnia zwycięstwa, które zakończyło drugą wojnę światową — nie w Azji lecz w Europie stoją na przeciwko siebie dwie armie dysponujące najstraszliwszymi broniami znanymi w dziejach.

Nie będzie trwałego pokoju w Europie dopóki kwestia niemiecka nie zostanie rozwiązana i dopóki Niemcy nie zostaną włączone w nowy system zjednoczonej Europy.

Podstawowy błąd jaki w ocenie zagadnienia niemieckiego popełniają polscy dogmatycy komunistyczni — polega na identyfikacji interesów polskich i rosyjskich vis à vis Niemiec.

Rytuał jest ten sam lecz interesy są różne. Tak w Moskwie jak i Warszawie mówi się w kółko o imperializmie, militaryźmie i odrodzonej potędze Niemiec zachodnich. Tak w Moskwie jak i w Warszawie rozwiązanie kwestii niemieckiej ustawia się rytualnie w ulbrichtowskiej perspektywie. Lecz na tym analogie się kończą.

Rosja jest super-mocartswem atomowym a Polska jest średniej wielkości państwem satelickim. Celem Sowietów nie jest de gaulle'owska Europa po Ural — tylko rozciągnięcie wpływów sowieckich aż po Atlantyk. Zbliżenie z Francją rozluźnia i tak już „rozwodnione" NATO lecz jest pozbawione praktycznego znaczenia.

Głównym i jedynym celem zainteresowań Rosji w Europie są Niemcy. Gdyby Sowiety dobrowolnie wycofały się z NRD — spacyfikowały Europę. NATO zbankrutowałoby jako bezcelowa instytucja. Znikłyby wszystkie agencje, Free Europe, radiostacje — cały gigantyczny aparat zimno-wojenny zakwaterowany w Niemczech. Sowiety otrzymałyby wszystkie możliwe gwarancje dotyczące „od-atomizowania" Niemiec, a Europa wschodnia zostałaby ochoczo uznana za wieczyste lenno Rosji. Mężowie stanu i prasa zachodnia prześcigaliby się w sławieniu wielkodusznej pokojowości Rosji.

Dlaczego Rosjanie nie podejmują inicjatywy w powyższym kierunku? Wymienić należy trzy przyczyny: 1) Sytuacja ideologiczna nie sprzyja tego typu posunięciu, 2) NRD jest poważnym dostawcą przemysłowym, 3) Związek Sowiecki nie chce pozbyć się najistotniejszego atutu jakim dysponuje w grze o Europę.

Powtarzam jeszcze raz. Gdyby Rosja nie miała określonych planów w stosunku do Europy a chciała jedynie zabezpieczyć swe zdobycze — mogłaby „cesją" 17 milionów Niemców zalegalizować swe władztwo nad 100 milionami wschodnich Europejczyków.

Rosjanie zdają sobie sprawę, że dopóki „kwestia niemiecka" nie jest załatwiona — w Europie wszystko jest prowizorium. Jak wiadomo prowizoria wykazują czasem zdumiewającą trwałość. Dzieje się to wówczas, gdy toczy się walka o nowy system, który prowizorium miałby zastąpić.

Dalekofalowym celem Rosji jest porozumienie z Niemcami i wyparcie Amerykanów z kontynentu.

„Podwójna hegemonia" (Sowiety plus Stany Zjednoczone), podział państw według „klucza ligowego", rosnący wpływ wydarzeń w Azji na politykę super-mocarstw w stosunku do Europy — wszystko to powoduje, że należy unikać operowania sztancami w rodzaju Rapallo, które należą do innego świata. Skojarzenia i analogie, które owe sztance ewokują utrudniają obiektywną analizę.

Związek Sowiecki potrzebuje pomocy wielkiego, wysoko uprzemysłowionego mocarstwa w celu „doścignięcia Ameryki". Zjednoczone Niemcy byłyby idealnym partnerem, który za cenę otwarcia rynków rosyjskich dopomógłby Związkowi Sowieckiemu w dokonaniu drugiej rewolucji przemysłowej.

Niemcy w przeciwieństwie do Amerykanów nie wysuwają nigdy żądań ideologicznych tylko terytorialne. Z chwilą gdy znaleziono by formułę umożliwiającą zjednoczenie obu niemieckich republik — nowe Niemcy z punktualnością i dokładnością wykonywałyby swe zobowiązania wynikające z umów i kontraktów — nie domagając się od Moskwy ani liberalizacji ani dopuszczenia zachodnich książek, ani dyskusji w sprawach kulturalnych. I z tego punktu widzenia Niemcy byłyby również idealnym partnerem.

„Od-amerykanizowanie" Europy możliwe jest tylko poprzez porozumienie rosyjsko-niemieckie. Sojusz z Francją nie daje tych możliwości. Natomiast „oś" Berlin-Moskwa zapewniałaby kontynentowi pełną stabilizację. Byłoby to również rozwiązanie logiczne ponieważ hegemonię sprawowałyby dwa najpotężniejsze narody europejskie.

Po Monachium Hitler doszedł do wniosku, że jeżeli Europa ma być rządzona przez Europejczyków to tymi Europejczykami muszą być Niemcy. Od Stalingradu stało się oczywiste, że jeżeli Europa ma być rządzona wyłącznie przez Europejczyków — to tymi Europejczykami muszą być Rosjanie i Niemcy.

Zawsze i wszędzie rządzą najsilniejsi i przed tym faktem nie ma ucieczki. Gdyby Amerykanie pewnego dnia wynieśli się z

Europy — w krótkim czasie doszłoby nie do wojny niemiecko-rosyjskiej, lecz do porozumienia niemiecko-rosyjskiego.

Hasło: „Europa dla Europejczyków" — jest hasłem antypolskim. W Europie rządzonej przez dwa najpotężniejsze narody europejskie tzn. Rosjan i Niemców, byłby być może ład i bogactwo lecz niepodległej Polski nie byłoby z całą pewnością.

Zarówno w mojej książce pt. „Ewolucjonizm" jak i w dziesiątkach artykułów — podkreślałem, że nasze stosunki z Rosją posiadają kardynalne znaczenie dla naszego losu i polityki. Nie zjednoczone Niemcy lecz Polska winna być czołowym partnerem Rosji.

Polityka bilateralna 2-gą Rzeczpospolitą doprowadziła do katastrofy. Satelictwo to jest bilateralizm doprowadzony do monopolitycznej perfekcji.

Gomułka i jego doradcy nie rozumieją, że obecność Amerykanów w Europie jest nieodzowna, by zapewnić nam możliwość osiągnięcia pozycji pełnoprawnego partnera Rosji. W Europie „europejskiej" bez Amerykanów partnerem Rosji Nr 1 będą Niemcy.

W wieku 19-tym wszystko co działo się w Azji było determinowane polityką stolic europejskich. W drugiej połowie bieżącego stulecia — wydarzenia w Azji w coraz większym stopniu wpływają na politykę europejską. Być może o zjednoczeniu Niemiec przesądzi polityka Pekinu.

W kontekście europejskiej polityki Niemcy nie mają żadnych możliwości nacisku w stosunku do Sowietów. Lecz należy odnotować pewne przemiany. W okresie pierwszej dekady powojennej w Niemczech panowały nastroje pacyfistyczne. Dziś armia niemiecka jest 8-krotnie większa od armii brytyjskiej. Dulles i Adenauer dokonali re-militaryzacji Niemiec.

Niemcy są drugą po Ameryce gospodarczą potęgą świata Zachodu. Lecz w przeciwieństwie do Anglosasów, Niemcy nie umieją jeszcze potęgi przemysłowej przemieniać na efekty polityczne. Przyjdzie jednak moment, że i tego się nauczą.

Na terenie europejskim Niemcy w stosunku do Sowietów są bezsilni — lecz poprzez politykę azjatycką mogliby wywierać na Moskwę możny wpływ.

Chiny potrzebują obrabiarek, instalacji fabryk, nowoczesnej aparatury technologicznej, doradców i specjalistów od „cudów gospodarczych". Niemcy mogłyby to wszystko zaofiarować Pekinowi w znacznie lepszej jakości niż Sowiety, bez jakichkolwiek ideologicznych komentarzy i konsekwencji. Chiny są wysokoatutową kartą, którą Niemcy dysponują w grze z Rosją.

Ulbricht liczy, że Rosjanie z uwagi na Pekin nie zechcą sprzedać go *over the river*. Rosjanie liczą, że Niemcy zachodnie z uwagi na Waszyngton — nie podejmą polityki zbliżenia z Chinami. Lecz ów system wzajemnej asekuracji gra tylko do czasu. Może przyjść chwila że Niemcy, rozczarowani „zjednoczeniową polityką" Zachodu, dadzą Moskwie do zrozumienia, że albo Kreml zmieni radykalnie swe stanowisko w sprawie zjednoczenia Nie-

miec albo Niemcy zmienią radykalnie swą politykę w stosunku do Chin.

Dla Rosji zbliżenie niemiecko-chińskie jest kombinacją polityczną innej kategorii niż sojusz amerykańsko-niemiecki. W tym miejscu dotykamy najsubtelniejszego problemu europejskiego. Dopóki Niemcy nie są sojusznikiem Rosji — Amerykanie w Europie są z punktu widzenia Moskwy nieodzowni jako kontrolerzy Niemiec. Kontrolerzy amerykańscy nie dopuszczą do pełnej atomowej emancypacji Niemiec, nie dopuszczą do zbliżenia Bonn z Pekinem, nie dopuszczą do demonstracji w Berlinie itd.

Ideałem rozwiązania problemu Europy byłoby doprowadzić do zjednoczenia Niemiec (bez czego nie może być zjednoczonej Europy) zatrzymując równocześnie na kontynencie Amerykanów jako sojuszników-kontrolerów zjednoczonych Niemiec. Alternatywą jest czysto europejska Europa, co w praktyce musiałoby oznaczać porozumienie rosyjsko-niemieckie z wszystkimi jego konsekwencjami.

W polityce i w historii nie ma cudów. Na dalszą metę w Europie możemy uniknąć hegemonii dwóch najpotężniejszych narodów europejskich, tj. Rosjan i Niemców, tylko wówczas, jeżeli powiedzie się nam wbudować na stałe Amerykę w system europejski.

Zjednoczenie Niemiec oraz trwałe włączenie Amerykanów w system naszego kontynentu — to są dwa problemy, które zadecydują o losie Europy i Polski.

Zakończmy te rozważania wyodrębnieniem najistotniejszych punktów:

I. Niemcy wcześniej czy później zostaną zjednoczone. Kto myśli inaczej nie myśli historycznie. Zjednoczenie Niemiec może przynieść albo znaczną poprawę sytuacji polskiej — albo stać się grobem wszystkich naszych nadziei. Gdyby zjednoczenie nastąpiło w konsekwencji zbliżenia niemiecko-rosyjskiego — położenie Polski uległoby katastrofalnemu pogorszeniu.

II. Polacy — zarówno marksiści jak i nie marksiści — przywykli do lakmusowej analizy: białe albo czarne — nie rozumieją dialektyki „podwójnej hegemonii". Rosjanie w Europie liturgicznie są anty-amerykańscy lecz w rzeczywistości w pełni oceniają funkcję czynnika amerykańskiego w obecnym układzie europejskim. Amerykanie są sojusznikami-kontrolerami Niemiec i Rosjanie zdają sobie doskonale sprawę, że Waszyngtonowi bardziej zależy na pokojowej koegzystencji z Rosją w Europie, niż na zjednywaniu sobie Niemiec. Im zobowiązania i zaangażowania Ameryki na terenach poza-europejskich wzrastają, tym Waszyngton i, z analogicznych przyczyn, Moskwa dążą do umocnienia poprawnego *modus vivendi* „podwójnej hegemonii" na terenie Europy.

III. Ci wszyscy, którzy — jak piszący te słowa — są zwolennikami trwałego porozumienia polsko-rosyjskiego na rozsądnych warunkach — popełniają często kardynalny błąd

identyfikując interesy Rosji w stosunku do Niemiec z analogicznymi interesami polskimi.

Rosjanie mają w stosunku do Niemiec alternatywę, której my nie mamy. Rosja jest tak potężnym mocarstwem, że kiedyś może się pokusić o zastąpienie w Niemczech kontrolerów amerykańskich kontrolerami rosyjskimi. Kontrolując Niemcy, Moskwa kontrolowałaby całą kontynentalną Europę. Oznaczałoby to pełną realizację sowieckiego planu atlantyckiego. Oczywiście dla Niemców zmiana kontrolerów musiałaby oznaczać wydatne zyski terytorialne, być może z rewizją granicy na Odrze i Nysie włącznie. (Kto mógłby wówczas mieć pretensje do Rosji? To tylko Polacy uważają, że naczelnym obowiązkiem amerykańskich czy brytyjskich mężów stanu jest dbać o polskie interesy. Po śmierci Churchilla wszystkie artykuły w prasie emigracyjnej były napisane wyłącznie pod tym kątem widzenia. Rosjanie są w pełni uprawnieni by dążyć do takiego rozwiązania problemu Europy, które by zaspakajałoby w pierwszej linii rosyjskie a nie polskie interesy).

IV. Zjednoczenie Niemiec leży w polskim interesie pod warunkiem, że oznaczać będzie zjednoczenie Europy bez zmiany systemu „kontrolerów". Innymi słowy zjednoczone Niemcy muszą być albo neutralne albo pozostać sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Zjednoczenie Europy nie może oznaczać likwidacji systemu równowagi rosyjsko-amerykańskiej tylko przeciwnie, pełne jej utrwalenie. Los Europy w ostatecznym rozrachunku zależy od współpracy dwóch peryferyjnych superpotęg, tj. Rosji i Ameryki. Ewolucyjna erozja „żelaznej kurtyny" w sensie ideologiczno-ustrojowym nie może wyrazić się w ewakuacji Amerykanów z kontynentu europejskiego. Ameryka niezbędna jest w Europie nie jako agencja anty-komunistyczna lecz jako atlantyckie mocarstwo, utrzymujące naturalną równowagę sił. Bez Amerykanów równowaga zostałaby zastąpiona przewagą czyli hegemonią.

V. Dialektyka „podwójnej hegemonii" — w sensie ideologicznym zawsze konfliktowa — w sensie politycznym na pewnych odcinkach światowego frontu działa konstruktywnie. Ponieważ tak w Moskwie jak i w Waszyngtonie obowiązuje liturgia ideologiczna — Polakom komunistom i nie komunistom niezawsze przychodzi łatwo odróżnić plewy propagandy od ziarn polityki.

W naszej sytuacji pro-rosyjskość nie może oznaczać anty-amerykańskości, ponieważ tylko Amerykanie są w możności stworzyć warunki (w Europie) dla racjonalnej polskiej pro-rosyjskiej orientacji. To może się wydać paradoksem tylko tym, którzy nie rozumieją mechaniki „podwójnej hegemonii" — będącej — należy to podkreślić — instytucją bez precedensu w historii świata. Ameryka musi kontrolować Niemców, by Polska miała szansę zdobycia statusu pełnoprawnego partnera Rosji.

VI. Od konferencji w Monachium Europa jest niezdolna do wytworzenia czysto europejskiego systemu „równowagi sił".

Przez zjednoczenie Europy należy rozumieć: a) zjednoczenie dwóch republik niemieckich, b) zniesienie „żelaznej kurtyny", c) utrwalenie europejskiego systemu *balance of power* pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi.

Przez zniesienie „żelaznej kurtyny" nie należy rozumieć wygaśnięcia ideologicznego konfliktu, co jest mrzonką — lecz odrzucenie przez obie strony postaw dogmatyczno-likwidatorskich.

Przez zjednoczenie Europy nie należy rozumieć uniformizmu w sensie ustrojowo-ideologicznym lecz współpracę państw o różnych ustrojach i ideologiach. Konflikt jest elementem twórczym pod warunkiem, że przez konflikt obie strony rozumieją współzawodnictwo a nie likwidację przeciwnika.

VII. Zjednoczona Europa jeżeli ma uniknąć hegemonii jednego mocarstwa — względnie hegemonii dwóch najsilniejszych narodów europejskich — musi pozostać na stałe domeną aktywnych wpływów zarówno rosyjskich jak i amerykańskich.

Europa zunifikowana ustrojowo i kulturalnie — poddana jednolitej politycznej hegemonii — zatraciłaby swój charakter pola starcia ideologii i cywilizacji i przestałaby być Europą w przeciągu 20-tu lat.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

# Kronika angielska

## POTRÓJNA REWOLUCJA

Czy kwestia murzyńska posiada jakieś punkty styczne z cybernetyką? Socjologiczne aspekty programu kosmicznego? Czy zmierzamy ku rządom cybernetyków?

Na powyższe pytania starają się odpowiedzieć autorzy studiów wydawanych przez „Center For the Study of Democratic Institutions" — Santa Barbara, California.

Na specjalną uwagę wśród licznych prac i rozpraw jakie ogłoszono w ostatnich miesiącach — zasługuje krótkie memorandum złożone prezydentowi Johnsonowi zatytułowane „The Triple Revolution". Cytowane memorandum podpisało 35 wybitnych reprezentantów społeczeństwa amerykańskiego. Wśród podpisanych nie brak laureatów Nagrody Nobla, znanych uczonych, działaczy społecznych, polityków. „Potrójna Rewolucja" mimo, że liczy zaledwie 12 stron druku — jest niewątpliwie najbardziej rewolucyjnym dokumentem

jaki czytałem od czasu zakończenia wojny. Rewolucyjny jest nie opis badanych zjawisk, lecz wnioski.

Przy opracowywaniu niniejszej notatki opierałem się również na studium Donald N. Michael'a pt. „Cybernation — the silent Conquest".

Ponieważ ani piszący te słowa ani większość naszych Czytelników nie są cybernetykami zacznijmy od przedstawienia idealnego przykładu totalnej cybernetyzacji. Wyobraźmy sobie bank, w którym nie ma ani jednego urzędnika. Klient pragnąc podjąć pieniądze, nie podpisuje czeku lecz odciska na nim kciuk prawej ręki. Daktyloskopijne klisze kciuków wszystkich klientów są „zaparkowane" w komputorach. Wszystko zostaje automatycznie sprawdzone — autentyczność odcisku palca, wysokość konta, obciążenia, zobowiązania itd. Na podstawie tych wszystkich danych „mózg elektronowy" pobiera decyzję czy czek w żądanej wysokości należy honorować czy nie. Elektronowy kasjer bierze również pod uwagę zaprogramowane poufne informacje o kliencie — tak, że odmówi wypłaty jeżeli cokolwiek nie jest w idealnym porządku.

Cybernetyzacja oznacza system, który łączy w jedną całość automaty i komputory — innymi słowy, jest to automatyzacja plus „komputeryzacja".

Autorzy omawianego memorandum mówią o trzech rewolucjach, których widownią są Stany Zjednoczone: rewolucji cybernetycznej, rewolucji nuklearnej i rewolucji wolnościowej.

Przez rewolucję wolnościową autorzy rozumieją nie tylko ruch Murzynów amerykańskich walczących o pełnouprawnienie w Ameryce, lecz rosnące na sile przekonanie, że wolność człowieka bez względu na kolor skóry jest kardynalnym prawem, które nie może być gwałcone ani przez rządy ani przez ideologię.

Rewolucja nuklearna posiada dwa aspekty. Bronie atomowe pozbawiły wojnę charakteru instrumentu politycznego. Wypracowanie „bezwojennego" systemu światowego stało się głównym zadaniem ludzkości.

Przemysł zbrojeniowy i program kosmiczny (astronautyka) — pochłaniają 10% amerykańskiego dochodu narodowego. Na skutek zamówień obu cytowanych programów, tj. zbrojeniowego i kosmicznego — istnieje możliwość zatrudnienia 6 do 8 milionów ludzi. Ponad 8 milionów ludzi pracuje w przemysłach i w instytucjach związanych pośrednio ze zbrojeniami i astronautyką. Ocenia się, że 16 do 18 milionów ludzi zawdzięcza swą pracę — pośrednio lub bezpośrednio obu tym programom.

Rewolucja cybernetyczna z jednej strony zwiększa niezmiernie możliwości produkcyjne — z drugiej strony powiększa bezrobocie. W wielu wypadkach zainstalowanie automatyzacji kosztuje mniej niż wynoszą roczne zarobki pracowników wykonujących daną pracę.

Autorzy omawianego memorandum wyrażają pogląd, że bezrobocie w Stanach Zjednoczonych w rzeczywistości jest znacznie większe niż wykazują statystyki, ponieważ wielu ludzi nie szuka pracy, wiedząc dobrze, że jej nie znajdzie. Bezrobocie wśród Murzynów jest dwukrotnie większe niż wśród białych. W rezultacie wytwarza się klasa społeczna, która żyje poza nawiasem *affluent society*, w warunkach graniczących (w perspektywie amerykańskiej) z nędzą. Do tej zubożałej klasy należy w ocenie autorów memorandum około 38 milionów Amerykanów, a więc niemal jedna piąta ludności Stanów Zjednoczonych.

Co stanowi przyczynę owego rosnącego bezrobocia? Odpowiedź nie nasuwa

dziś trudności. Maszyny ewoluują szybciej niż ludzie. Sekretarz Stanu w Departamencie Pracy, W. Wirtz, oświadczył niedawno, że produkowane obecnie w Ameryce maszyny cybernetyczne przeciętnie dysponują umiejętnością stanowiącą ekwiwalent dyplomu uniwersyteckiego.

Poza tym maszyny nie należą do związków zawodowych, nie strajkują, nie domagają się podwyżki płacy, pracują dowolną ilość godzin i nie popełniają błędów i katastrof wypływających z „ułomności natury ludzkiej". Walka z tego rodzaju konkurentem jest wręcz niemożliwa.

Tak oto dramat: człowiek kontra maszyna — urasta w Stanach Zjednoczonych do problemu stulecia. Nie ulega również wątpliwości, że Amerykanie pierwsi na naszej ziemi muszą wypracować nowy model gospodarczo-społeczny, który rozwiązałby zagadnienia potrójnej rewolucji.

Paradoks sytuacji polega na tym, że rosnącemu bezrobociu towarzyszą rosnące możliwości produkcyjne. Cybernetyzacja przemysłu stwarza niemal nieograniczony potencjał możliwości produkcyjnych. Jednak owe 38 milionów Amerykanów, którzy tworzą klasę zubożałą, są siłą faktu minimalnymi konsumentami. Najróżnorodniejsze towary nie są produkowane, bo rynek zbytu na te dobra pomniejszony jest o 38 milionów konsumentów. Klasa minimalnych konsumentów powoduje w konsekwencji wzrost bezrobocia a bezrobocie produkuje wzrost liczebny klasy minimalnych konsumentów... i tak w kółko.

W ramach klasycznej ekonomii to są problemy nie do rozwiązania. W obecnym modelu obowiązuje niewzruszenie schemat: praca — zarobek — konsumpcja. Sowiecka zasada: że kto nie pracuje ten nie je — jest w gruncie rzeczy kanonem kapitalizmu. „Welfare State" złagodził powyższe prawo i bezrobotni w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach Zachodu — jedzą do syta choć nie pracują. Lecz choć nikt nie głoduje — kto nie pracuje i nie zarabia należy do klasy minimalnych konsumentów. Minimalni konsumenci są „martwymi duszami" w odniesieniu do procesu produkcyjnego, ponieważ nie tylko nie zwiększają zapotrzebowania na towary wysokowartościowe lecz przeciwnie, zapotrzebowanie to obniżają.

Ideałem czysto kapitalistycznej gospodarki jest sytuacja gdy popyt jest większy od podaży, gdy konsument szuka towaru a nie towar konsumenta. Rewolucja cybernetyczna spowodowała odwrócenie tego procesu. Nie ma żadnych trudności w olbrzymim zwiększeniu produkcji — jest natomiast coraz trudniej zwiększyć popyt i konsumpcję.

Wydaje się czymś absurdalnym, że w chwili kiedy technologia amerykańska mogłaby zapewnić dobrobyt dla wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych — około 38 milionów ludzi należy do klasy minimalnych konsumentów.

Postępu technologicznego nie można zatrzymać. Nie można anulować ani energii atomowej ani cybernetyki ani automatyzacji. Trzeba natomiast wypracować nowy model społeczno-gospodarczy, który uwzględniałby radykalnie zmienione warunki.

Autorzy memorandum w rozważaniach na temat nowego modelu — wychodzą z rewolucyjnego założenia. Głoszą mianowicie, że należy zerwać tradycyjną więź pomiędzy pracą zarobkową *(job)* a konsumpcją. Bogactwo produkowane przez maszyny jest również bogactwem i jest przeznaczone dla ludzi a nie dla maszyn. Autorzy memorandum domagają się by rząd i Kongres na drodze ustawodawczej zapewnili każdemu mieszkańcowi Stanów

Zjednoczonych stały, wystarczający dochód roczny. Taka pensja stanowiłaby konstytucyjne uprawnienie każdego obywatela bez względu na pracę zarobkową (czy jej brak).

Prawo do konsumpcji musi być ustawodawczo zagwarantowane na równi z innymi kardynalnymi uprawnieniami obywateli amerykańskich.

W tym miejscu należy podkreślić, że we wszystkich projektach „cybernetycznego społeczeństwa" prawo do konsumpcji jest oderwane od pracy zarobkowej. Wszyscy autorzy wprowadzają rozróżnienie pomiędzy pracą *(work)* a zarobkowaniem *(job)*.

W cybernetycznym społeczeństwie przyszłości ludzi bezpośrednio związanych z produkcją będzie bardzo niewielu. Znakomita większość będzie dysponowała ogromną ilością wolnego czasu. Dla tych ludzi trzeba stworzyć nie tylko możliwości rozrywki lecz i pracy *(work)*. Możliwości pracy — naukowej, artystycznej, społecznej itp. są nieograniczone. Natomiast możliwości zdobycia pracy zarobkowej *(job)* są już dziś ograniczone, a w przyszłości ulegną jeszcze większym ograniczeniom.

Lecz to nie jest temat odrębny. Chciałem tylko podkreślić, że kapitalistyczne „małżeństwo" zarobku z konsumpcją znajduje się niewątpliwie w przede dniu historycznego rozwodu. Należy przypuszczać, że model amerykański — wcześniej niż model sowiecki — urzeczywistni zasadę: „każdemu według jego potrzeb".

Wydaje mi się, ze z socjologicznego punktu widzenia różnica pomiędzy maszyną a człowiekiem polega na tym, że maszyny nie są konserwatywne, a ludzie, zwłaszcza w postaci dostojnych zgromadzeń (parlamenty, senaty), są konserwatywni do szpiku kości. Lecz konserwatyści zawsze i wszędzie toczą z góry przegraną bitwę.

Logika maszyn jest nieubłagana. Urocze domy z czerwonej cegły skazane są na wymarcie ponieważ maszyny „wolą" budować bloki mieszkaniowe z konstrukcji żelazo-betonowych. Maszyny służą człowiekowi, lecz służą mu na swoich własnych warunkach. Scybernetyzowany przemysł może zapewnić dobrobyt dla wszystkich, lecz za cenę rewolucyjnych przemian nie tylko gospodarczo-społecznych. Przemianom ulegnie to co ogólnie określamy „skalą wartości". Przemianom ulegnie system rządów — a tym samym cała struktura tradycyjnej demokracji.

Donald Michael w cytowanym już w tym artykule studium — jako bezpośrednią konsekwencję rewolucji cybernetycznej przewiduje rządy cybernetyków. Już dziś Pentagon jest w całości scybernetyzowany. Gry wojenne prowadzą komputory. Rząd Stanów Zjednoczonych posiada środki finansowe oraz największą w Ameryce sieć administracyjną umożliwiającą zbieranie szczegółowych informacji. Wprowadzenie pełnego systemu cybernetycznego (co już następuje stopniowo) pozwoli na wielką redukcję personelu administracyjnego i pociągnie za sobą nieuchronną centralizację.

Każdy rząd posiada informacje, których nie ujawnia nawet przed członkami parlamentu. Do tej pory tajnością objęte były tyko sprawy dotyczące bezpieczeństwa państwa i problemy pokrewne, jak energia atomowa, astronautyka itp. Wszystkie inne zagadnienia dyskutowano jawnie, zarówno w parlamentach jak i na łamach prasy poszczególnych krajów.

Z chwilą jednak gdy większość problemów gospodarczych, administracyjnych, społecznych itp. zostanie przełożona na język cybernetyczny — sztuka rządzenia dla 90% obywateli stanie się sanskrytem.

Nie mamy alternatywy ponieważ przed postępem technologicznym nie ma ucieczki. Jeżeli nie wysadzimy w powietrze naszej planety setką bomb wodorowych — nie nasze wnuki lecz nasze dzieci żyć będą w społeczeństwie cybernetycznym. Zasadniczą cechą współczesnego postępu technologicznego jest oszałamiająca szybkość.

Gdy jako niewinne dziecię stawiałem pierwsze kroki na podhalańskiej ziemi — w dalekim Londynie wydano przepis, że przed samochodem musi iść człowiek z czerwoną flagą. Szybkość 18 mil na godzinę wydawała się ludziom zabójcza. W chwili gdy piszę tę notatkę nadeszła wiadomość, że mjr. Edward White — przyczepiony nylonową liną do swego statku kosmicznego płynął w przestrzeni z szybkością 18 tysięcy mil na godzinę. I nikt nie niósł przed nim czerwonej flagi.

## EWOLUCJA „EWOLUCJONIZMU"

Gdy zebrać wszystkie artykuły które ukazały się w prasie emigracyjnej na temat „Ewolucjonizmu" — powstałaby książka licząca kilka razy więcej stron niż „Ewolucjonizm".

Do tej pory uważałem, że wydawanie artykułów publicystycznych, uprzednio drukowanych, w formie książkowej jest operacją pretencjonalną i bezcelową. Okazuje się, że nic dalszego od prawdy. Artykuły zebrane w formie książki nabierają innego statusu społeczno-politycznego. Książka jest rzeczą serio, natomiast publicystyka i dziennikarstwo — jak słusznie zauważył Walter Lippmann — traktowane są z pobłażliwym lekceważeniem. Lippmann twierdzi, że dziennikarze mają jeszcze daleką drogę przed sobą jeżeli chcą kiedyś stać wyżej na drabinie socjalnej niż... fryzjerzy.

Radio „Wolna Europa" poświęciło „Ewolucjonizmowi" dwie 30-minutowe dyskusje, w których wzięło udział czterech wybitnych i wygadanych panów. Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że nie byłoby owych dyskusji gdyby artykuły o „Ewolucjoniźmie" nie ukazały się w formie książkowej. Książka jest szacowną instytucją, natomiast artykuł dziennikarski jest efemerydą gasnącą po jednym dniu lub po jednym tygodniu.

Lecz wróćmy do istoty dyskusji. Zafascynowała mnie pewna charakterystyczna sprzeczność poglądowa u moich oponentów. Tak zwolennicy jak i przeciwnicy „ewolucjonizmu" są za zjednoczeniem Europy. Po tej stronie barykady za zjednoczeniem Europy są wszyscy — ponieważ wszyscy pragną obalenia muru Ulbrichta i „żelaznej kurtyny".

Jak można być równocześnie zwolennikiem zjednoczenia Europy i przeciwnikiem ewolucjonizmu?

Gomułka zajmuje logiczne stanowisko w tej sprawie jest bowiem przeciwnikiem zjednoczenia Niemiec, zjednoczenia Europy i ewolucjonizmu. Ewolucjonizm nie jest mu potrzebny ponieważ Gomułka dąży nie do przemian, lecz przeciwnie do zachowania *status quo*.

W swym przemówieniu w Wrocławiu szef polskiej partii komunistycznej stwierdził z naciskiem: „uznanie zaistniałego w Europie *status quo* stało się nieodzownym warunkiem pokoju i bezpieczeństwa". Gomułka zapomniał natomiast dodać, że jednym z elementów owego *status quo* jest brak międzynarodowego uznania granicy na Odrze i Nysie.

Ewolucjonizm został po raz pierwszy napiętnowany przez Gomułkę w jego przemówieniu wygłoszonym na III Plenum KC PZPR:

„...pozbawić kraje socjalistyczne tej podstawy, rozluźnić jednoczące je więzy sojusznicze zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim — to skazać je na słabość, oddać na „ewolucyjny" żer wrogom socjalizmu".

Skłonny jestem przypuszczać, że do tej pory nikt pisząc czy przemawiając w języku polskim nie użył przymiotnika „ewolucyjny" w takiej składni i kontekście. „Ewolucyjny żer" brzmi niewątpliwie nieco surrealistycznie.

Gomułka jest przeciwnikiem ewolucjonizmu, ponieważ jest obrońcą *status quo*, którego fundamentem jest „żelazna kurtyna". Szef polskiej partii komunistycznej wnioskuje logicznie, że ani on sam, ani klasa rządząca, którą reprezentuje — nie przeżyliby upadku „żelaznej kurtyny".

Nie są natomiast w zgodzie z logiką ci, którzy są równocześnie przeciwnikami ewolucjonizmu i zwolennikami rewizji *status quo* z likwidacją „żelaznej kurtyny" włącznie.

Jeżeli odrzuca się ewolucjonizm jako metodę stopniowego złagodzenia przeciwieństw — trzeba sformułować program alternatywy. Krytykować ewolucjonizm jest łatwo — przeciwstawić mu program alternatywny w moim zrozumieniu — jest rzeczą niemożliwą. Z tych przyczyn likwidatorzy nie mają żadnego programu politycznego i pędzą żywot pogrobowców polityki „wyzwolenia".

I jeszcze jeden punkt bardzo charakterystyczny. Likwidatorzy — bardziej rozgarnięci — przyciśnięci do muru oświadczają z rozbrajającym uśmiechem: „różnice pomiędzy nami sprowadzają się w gruncie rzeczy do semantyki. Pan — by brzmiało to oryginalniej — likwidację komunizmu nazywa ewolucjonizmem — my zaś nazywamy rzecz po imieniu, tzn. nazywamy likwidację komunizmu — „likwidacją komunizmu".

Pogrobowcy polityki „wyzwolenia" mają identyczny pogląd na ewolucjonizm jak Gomułka — tzn. sądzą, że jest to zamaskowany program likwidatorski.

Wyobraźmy sobie człowieka cierpiącego na poważną i przewlekłą chorobę. Likwidatorzy oceniają, że choroba jest nieuleczalna, tzn. można ją zlikwidować tylko łącznie z pacjentem. Ewolucjoniści natomiast uważają, że należy zlikwidować nie pacjenta tylko przyczyny choroby.

Likwidatorzy, jak podkreślałam to wielokrotnie, są stalinowcami *à rebours*. Omawiając książkę Michela Gardera — „Dziennik Polski" napisał z zimną krwią, że „destalinizacja jest katastrofą dla ZSSR".

Penicilina jest katastrofą dla bakterii powodujących zakażenie krwi, lecz jest błogosławieństwem dla pacjenta, któremu na skutek zakażenia grozi śmierć. Destalinizacja jest katastrofą tylko i wyłącznie dla stalinizmu — jest natomiast błogosławieństwem dla ustroju sowieckiego otwiera bowiem możliwości podjęcia racjonalnych reform. Innymi słowy otwiera drzwi ewolucjonizmowi. Od zasięgu i szybkości destalinizacji zależeć będzie czy Związek Sowiecki zdoła uniknąć katastrofy w rolnictwie i na wielu innych polach.

Likwidatorzy jako skrajni anty-komuniści utożsamiają komunizm ze stalinizmem. Ponieważ komunizmowi odmawiają zdolności do ewolucji — upadek stalinizmu oceniają za katastrofę komunizmu.

Różni nas nie tylko semantyka.

*LONDYŃCZYK*

# Ankieta « Kultury »

Już tylko kilka tygodni dzieli nas od rozpoczęcia końcowej sesji II Soboru Watykańskiego, a kilka miesięcy od roku 1966, który otworzy drugie tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce. Chwila więc wydaje się szczególnie odpowiednia do zastanowienia się nad rolą religii w świecie współczesnym, nad zagadnieniami, które Kościół katolicki przed sobą stawia i usiłuje wyświetlić w wielkiej debacie soborowej, i nad położeniem kościoła i katolicyzmu w polskim życiu narodowym.

W tym celu zwracamy się do szeregu pisarzy, publicystów, uczonych z zaproszeniem do wypowiedzenia się na wymienione tematy. Ankiety tej jednak nie chcemy bynajmniej ograniczać do grona znanych ludzi pióra. Jest otwarta dla wszystkich czytelników „Kultury".

Zamieszczone poniżej pytania — w których prosimy widzieć podnietę tylko, a nie ramy — są tak ujęte, że możliwa jest na nie zarówno krótka odpowiedź jak i obszernie uzasadniona wypowiedź. Jedne i drugie będą dla nas cenne. Liczne, choćby lakoniczne — poszerzą dyskusję, obszerne — ją pogłębią. Pytania nie narzucają ani założeń ani wniosków.

Mamy nadzieję, że w ankiecie obok wierzących wezmą również udział niewierzący, którym religia jako zjawisko społeczne nie jest obojętne bez względu na ich osobisty do niej stosunek. Rzecz jasna, nie zacieśniamy ankiety do katolików, zapraszając do udziału czytelników innych wyznań.

Zależy nam na odpowiedziach podpisanych, ale przede wszystkim — na bezwzględnie szczerych i otwartych. Chętnie przyjmiemy więc odpowiedzi z zastrzeżeniem nieujawniania nazwiska autora, a nawet anonimowe. Dotyczy to zwłaszcza czytelników krajowych. Niezmiernie pożądane są dane osobiste o uczestniku

ankiety: jego wiek, wykształcenie, zawód, czy jest wierzący i praktykujący, czy i jakie odebrał wychowanie religijne itp.

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 30 września br. Będziemy drukować w całości lub w wyjątkach głosy nadesłane, które wydadzą się nam szczególnie ciekawe.

Obszerniejsze przyjęte do druku będą honorowane. Opracowanie rezultatów ankiety ukaże się w jednym z dalszych zeszytów „Kultury".

## PYTANIA

### I.

1) Wiele się dzisiaj mówi o de-chrystianizacji świata naszej kultury. Niektórzy myśliciele (jak Arnold Toynbee) twierdzą, że weszliśmy w erę „po-chrześcijańską". Czy to uzasadnione? Zmierzch czy kryzys chrześcijaństwa?

2) Czy konflikt pomiędzy wiedzą a wiarą uległ w naszej epoce zaostrzeniu czy złagodzeniu?

3) Czy równocześnie z procesem de-chrystianizacji nie jesteśmy dziś świadkami cofania się racjonalizmu i materializmu? Czy nie umacnia się przekonanie że możliwości wiedzy są ograniczone, że są pewne ważne pytania, na które nie może ona dać odpowiedzi?

4) Czy chrześcijaństwo jest ideologią współzawodniczącą z komunizmem? Ideologią demokracji w jego sporze z totalizmem komunistycznym? Czy jest nią istotnie a na ile jest tylko deklamacyjną fasadą?

5) Jeśli odpowiadający na ankietę nie zalicza się dziś do wierzących albo i praktykujących, jakie są główne przyczyny jego odejścia od wiary i praktyk? Co go od nich odepchnęło i odpycha?

### II.

1) Czym dla Kościoła i świata był pontyfikat Jana XXIII i zwołany przez niego Sobór Watykański?

2) Czy zmiany i reformy dokonane lub projektowane w trzech poprzednich sesjach były słuszne?

a) Reforma liturgii (język narodowy zamiast łaciny, czynniejszy udział świeckich w nabożeństwach kościelnych)?

b) Dążenie do ekumenizmu. Próby zbliżenia do innych wyznań chrześcijańskich, do innych religii, do niewierzących?

c) Jaką wagę ma zmiana stosunku Kościoła do Żydów i jakie wnioski powinni z niej wyciągnąć katolicy z tych zwłaszcza krajów, gdzie katolicyzm szedł nieraz w parze z antysemityzmem (czy tak było istotnie?)?

d) Czy indeks i inne formy cenzury kościelnej stały się anachronizmem? Czy i jakimi metodami władze kościelne i organizacje katolickie powinny walczyć z demoralizacją w dziedzinie kultury, zwłaszcza masowej, bez uszczerbku dla wolności myśli i swobody wyrazu artystycznego?

e) Czy Kościół może i powinien zrewidować swoje wskazania w sprawie życia płciowego, a w szczególności w sprawie regulacji urodzin?

3) Jakich dalszych reform należałoby się spodziewać?

4 Czy dogmaty religii katolickiej sprawiają specjalną trudność współczesnemu człowiekowi? Czy istnieje możliwość i potrzeba ich reinterpretacji?

5) Czy kult maryjny nie przybiera niekiedy form bałwochwalstwa albo wielobóstwa?

6) Czy i w jakiej postaci możliwy i pożądany jest pacyfizm chrześcijański?

7) Czy społeczne doktryny Kościoła nie powinny być zrewidowane, sprecyzowane i rozszerzone? Czy miały i mają one wpływ na sytuację świata pracy?

8) Dlaczego w najwyżej uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych Kościół stracił masy robotnicze i stał się poniekąd kościołem bogatych?

9) Jakie byłyby środki dla pozyskania proletariatu? Dlaczego Rzym zahamował akcję misyjną księży-robotników?

10) Czy byłoby wskazane zniesienie celibatu duchowieństwa katolickiego?

## III.

1) Czy Polska podlega procesowi de-chrystianizacji na równi z innymi krajami europejskimi? Czy proces ten jest u nas opóźniony i powolniejszy? Czy nieunikniony?

2) Czy „laicyzacja" życia polskiego jest faktem? Jeżeli tak, w jakim stopniu jest narzucona, a w jakim jest wynikiem przyczyn niezależnych od rządów komunistycznych? Czy propaganda ateistyczna jest w Polsce skuteczna?

3) Czy właściwe jest obecnie mówienie o prześladowaniu Kościoła w Polsce, czy też raczej należałoby mówić o krępowaniu go lub szykanowaniu?

4) Jaką rolę odgrywa Kościół w oporze przeciw sowietyzacji Polski? Czy z tą jego rolą wiążą się niebezpieczeństwa dla religijności polskiej?

5) Czy polityka Kościoła polskiego wobec komunistcznych rządów jest właściwa, czy też zbyt nieprzejednana lub zbyt ugodowa?

6) Czy i jakie strony dodatnie i ujemne ma tradycyjne ścisłe powiązanie katolicyzmu polskiego z partiotyzmem i nacjonalizmem?

7) Słyszy się nieraz, że katolicyzm polski jest na ogół płytki,

sentymentalny, mało intelektualny, powierzchowny, zacofany... Ile w tym słuszności? Czy kult maryjny przybrał w Polsce przesadne rozmiary?

8) Jaką rolę polityczną odgrywają w Polsce Ludowej takie ugrupowania katolickie (lub podające się za katolickie) jak „Znak", „Pax" i inne?

9) Jaki jest udział intelektualistów katolickich w życiu umysłowym dzisiejszej Polski? Jak wypada porównanie współczesnej katolickiej literatury i prasy w kraju z przedwojenną?

10) Czy na emigracji istnieje żywy polski umysłowy ruch katolicki, a jeśli nie, dlaczego go nie ma? Dlaczego np. emigracja nie utrzymała żadnego czasopisma katolickiego, które można by uważać za odpowiednik „Znaku" lub „Tygodnika Powszechnego"?

11) Jak dalece Kościół przyczynia się do spoistości i zachowania narodowej odrębności skupisk emigracyjnych?

12) Czy poziom duchowy, intelektualny, kulturalny duchowieństwa polskiego, w kraju i za granicą, jest dostatecznie wysoki? Czy kościół polski odgrywa wybitną rolę w życiu Kościoła powszechnego? Jak ważny i cenny był wkład biskupów polskich w prace soborowe?

13) Czy należałoby sobie życzyć, aby papież mianował jeszcze jednego lub kilku kardynałów polskich?



# Adwokatura po roku - czyli zbędni ludzie w służbie przemocy

**„Gdzie rząd łotrów używa za swoje narzędzie, tam sądzony cnotliwszy aniżeli sędzie".**

Uwagi te publikuję w związku z wywiadem Godlewskiego, Prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej P.R.L., udzielonym korespondentowi czasopisma „Prawo i Życie" (Nr 2 z 17.I.1965), wywiadem o jego — Stanisława Godlewskiego — „adwokaturze po roku". Powszechnie wiadomo, że adwokaci w każdym kraju cywilizowanym stanowią zawodową grupę społeczną, w której liczba predestynowanych na działaczy społecznych i przywódców, z racji wykonywanego zawodu jak i powołania, jest stosunkowo największa. Rodzime i obce władze w każdym ustroju w pełni zdają sobie z tego sprawę. To jest przyczyną szczególnego zainteresowania władz państwowych adwokaturą. W Polsce, gdzie wolność słowa jest mitem, zainteresowanie to było szczególnie wszechogarniające. Zaczęło się już w 1945 roku, od uroczystych zapewnień o zachowaniu normalnych warunków pracy. W rzeczywistości potrzebny był dłuższy okres czasu na zebranie możliwie najszczegółowszych *dossiers* każdego adwokata i założenia kartotek, by można było wreszcie w latach 50-tych wprowadzić w życie nowy ustrój adwokatury. Dotychczasowy, i tak już w znacznej mierze ograniczony, samorząd adwokacki, poddano dyktatowi państwowej administracji. Po raz pierwszy zostały wprowadzone Zespoły Adwokackie. Miały być one wyrazem uspołecznienia adwokatury, w rzeczywistości stały się jedną z form nacisku administracji i źródeł antagonizmów wewnątrzśrodowiskowych. Ale i po raz pierwszy w dziejach adwokatury polskiej w sposób tak cyniczny, bo niemal jawny i oficjalny, sięgnięto po środki prowokacji i szantażu, aby złamać choćby i domniemanych

opornych. W ramach tzw. akcji weryfikacyjnej adwokatów, z punktu widzenia ich „rękojmi wykonywania zawodu zgodnie z celami Polski Ludowej" (ustawa z dn. 27.6.50 o Ustroju adwokatury), poddawano badaniom każdego adwokata, z reguły proponowano współpracę z U.B., wykorzystując każdą trudność życiową adwokata-kandydata na konfidenta. Grożono wysiedleniem, odmawiano weryfikacji. Znękani często do ostatnich granic warunkami okupacji i ciężkich pierwszych lat odbudowy, ci i owi wyrażali na to zgodę, reszta wstępowała do Zespołów, gwarantujących... prawo do zniżonego komornego i odpowiedni metraż lokalowy. Oczywiście nie potrzebna była aż tak duża ilość konfidentów, sama już jednak zgoda na współpracę stanowiła gwarancję posłuszeństwa i podstawę do szantażu, w razie jakiejkolwiek próby oporu. Poddano środowisko adwokackie takiej infiltracji konfidentów, donosicieli i służalców, jakiej nie znały dzieje tej instytucji. Aby zaś ją ostatecznie poniżyć, wpisano na listę adwokatów, mocą decyzji ministra Sprawiedliwości, nieposiadających w ogóle wykształcenia prawniczego, rzekomo wyrobionych społecznie działaczy w tej dziedzinie. Na tym tle ukute zostało powiedzenie, że najskuteczniej jest bronić klienta nie tyle z artykułów kodeksu, ile z artykułów w prasie rządowej. Nadeszły oto jednak tzw. październikowe dni, które po ośmiu zaledwie laty, w świetle zaszłych w tym okresie zmian politycznych, w świetle narastającego wciąż terroru, wydają się być już tylko snem-baśnią o krainie szczęśliwego dzieciństwa. Jeszcze ludzie nie zdążyli podźwigać się z normalnego pohańbienia, wygładzić na sobie ludzkie oblicza, rozprostować kości, a oto człowiek, który stał się naówczas z woli całego narodu symbolem niemal suwerennych jego aspiracji, sam wolność swoją i przywrócenie godności państwowo-politycznych, nie mówiąc już o godności ludzkiej narodowi zawdzięczający, z pogardą odwrócił się od tego narodu. Że jest to pogarda bankruta i impotenta politycznego to inna sprawa. Aby więc utrzymać się przy władzy sięgnął on do metod swoich znakomitych poprzedników, tylko że je udoskonalił. Hańbą było już to, że tylko kilku z nich postawił na uboczu życia publicznego. Nadzieją, że pociągnie winnych przedpaździernikowych zbrodni do odpowiedzialności, jak to był zapowiedział. Pociągnął jednak tylko trzech, stanowiących w istocie tylko ślepe narzędzie w rękach hersztów, do dziś pobierających wysokie renty, zajmujących luksusowe apartamenty, mających adiutantów i urzędowe samochody, jak np. Franciszek Jóźwiak. Z pozostałą, olbrzymią większością, poszedł na kompromis przetasowawszy ich tylko na stanowiskach rządowych lub posadach, jak karty w grze. Nic tedy dziwnego, że wyspecjalizowani w systemie kultu jednostki i w poczuciu swojej niezbędności i bezkarności, spra-

wując swoje urzędy kontynuują stary system z tą tylko różnicą, że kult ten koncentruje każdy wokół swojej własnej osoby. Przed wszelkim ryzykiem z tego tytułu chroni ich dotąd nigdzie w krajach satelickich nieznany i niepraktykowany immunitet praworządności. Jest to nowa zdobycz tego reżymu, a zarazem nowa udręka milionów obywateli. Istota tego immunitetu polega na tym, że w imię przywróconej rzekomo przewrotem październikowym praworządności i wprowadzenia w życie realizacji, nikomu (i przestrzega się tego na ogół konsekwentnie) nie wolno ingerować w poczynania danego organu czy urzędu, który wykonywując swoją „autonomiczną" władzę, na zasadzie jemu tylko dostępnej interpretacji przepisów prawa, dopuszcza się w istocie grubego naruszenia prawa. A kiedy znękani, wydani na pastwę złośliwego losu lub tępego biurokraty obywatele szukają ratunku, zwłaszcza w obliczu scentralizowanego systemu kolegialnych a więc anonimowych decyzji, (który to system doskonale chroni przed wszelką odpowiedzialnością co sprytniejszego urzędnika, nie mówiąc już o zajmującym wysoki stolec „hierarchu"), szukając ratunku u czynników najwyższych, spotykają się wówczas z pełną godności odprawą: „przysługuje obywatelowi prawo odwołania na drodze instancji, obowiązuje obecnie w Polsce praworządność".

Jesteśmy bowiem obecnie świadkami nowego przegięcia pały w PRL: systemu odgórnych, bezapelacyjnych i bezprawnych jednostkowych decyzji bonzów partyjnych z okresu stalinowskiego w stronę „nieingerencji". Nikt dziś w Polsce nie weźmie w obronę obywatela przed tak rozumianą praworządnością, choćby działa mu się nie wiadomo jaka krzywda.Każda zaś instancja zaopatrzona w ów, jak go nazwaliśmy, immunitet praworządności, czyli nie lękając się ingerencji z góry, rządzi się własnymi prawami. Instancja zaś broni instancji na tej samej zasadzie. I w ten to więc najprostszy ze sposobów spełnia się dziś w Polsce nowy system rządzenia, system oparty o mit praworządności. Mit ten jednak znacznie skuteczniej spełnia funkcję trzymania ludzi w kleszczach bezustannego lęku a zatem i posłuszeństwa, niż prymitywny, brutalny system stalinowskiego terroru UB. Że zaś od czasu do czasu, w wyniku podstępnych gier klik walczących o władzę, pewna ilość urzędników niskiego raczej szczebla zostaje pociągnięta do odpowiedzialności, a pewna ilość kacyków partyjnych wyrzucona z siodła, nie zmienia to w niczym samej zasady. Mit praworządności święci swoje triumfy przy dźwięku fanfar urzędowej propagandy, przy zachowaniu pełnego ceremoniału, wszelkich akcesoriów i godeł, należnych Temidzie. Ale nie trzeba być dzieckiem, aby widzieć, że król nie tylko jest nagi ale i cyniczny. Ujawniło się to w całej swojej ohydzie w związku z ostatnio

przeprowadzoną reformą ustroju adwokatury, która na tle wyżej zarysowanych tendencji i panującego klimatu moralno-politycznego, stanowiła oazę, która nie mogła być dłużej przez reżym tolerowana. Naturalnie że ze środowiskiem o dużych tradycjach wolnościowych, wysokim poziomie inteligencji i wyrobionym zawodowo należało było poczynać sobie ostrożnie. Toteż na zewnątrz zachowano wszelkie pozory praworządności, rozumiejąc, że nieskrępowana, brutalna likwidacja typu stalinowskiego, mogłaby, mimo wszystko, wywołać niepożądany odruch społeczeństwa lub gwałtowny protest opinii środowisk kulturalnych świata. Korzystając z pretekstu pobierania przez niektórych adwokatów nadmiernych honorariów w stosunku do wynagrodzeń innych, nie mających z różnych przyczyn klienteli, a nawet innych grup zawodowych, rozpoczęto kampanię zohydzania zawodu, podnosząc — oczywiście dla pozoru — znaczenie jego jako całości. Osiągnięto w ten sposób dwa cele: rzucono przeciwko sobie i skłócono ze sobą całą konfraternię i uzyskano pozory aprobaty dla reform ze strony społeczeństwa. Zwłaszcza wiele starań i wysiłków poświęcono temu ostatniemu zabiegowi. Czerpiąc hojną ręką z arsenału prowokacji i donosicielstwa zainaugurowano prawie w jednym czasie około 70-ciu procesów adwokatów. Treścią tych procesów czarownic, jak je nazwało społeczeństwo, były zarzuty przekupstwa sądów lub prokuratur (za cenę owych wysokich honorariów) lub rzekomego pospolitego oszustwa, którego przesłanką były owe honoraria. Zdołano w ten sposób wprowadzić w błąd część opinii społecznej, a nawet i młode pokolenie adwokatury, któremu nie znane są „dobre" tradycje stalinizmu i reżymu. Kilku zmaltretowanych adwokatów targnęło się na życie w celi więziennej (np. adw. Ketling), kilkunastu zrujnowano materialnie i moralnie długotrwałymi procesami i doprowadzono do samobójstwa czy śmierci (np. adw. Hoff z Katowic). Szczególną inicjatywę w tępieniu adwokatury przejawił min. Sprawiedliwości M. Rybicki, zakompleksiały na tle stosunku do inteligencji, zyskując sobie miano czołowego hitlerowca ustawodawstwa polskiego lub gubernatora Franka w polskim wydaniu. Na tak przygotowanym gruncie zasiano nową odmianę rośliny — nowe zespoły adwokackie, których podstawową cechą ustrojową jest równość podziału dochodów. Nie byłoby w tym ostatecznie nic sprzecznego z zasadą społecznej sprawiedliwości, gdyby nie to, że kosztem utalentowanych żyją niecnoty, które nadto skaptowane lub zaszantażowane przez reżym stanowią czynnik konfidencyjny w stosunku do opornych lub wyróżniających się niezależnością opinii oraz w stosunku do klienteli zmuszonej do powierzania swoich tajemnic w publicznych, zatłoczonych biurkami adwokackimi, lokalach zespołu.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianego na wstępie wywiadu p. St. Godlewskiego. Posłuży on nam jako ilustracja panujących obecnie w adwokaturze stosunków. Niestety nie podano w tym wywiadzie jego życiorysu, co jest nader charakterystyczne. Wiadomo jednak, że w pierwszym okresie swojej pracy zawodowej był sędzią wojskowym, a tajemnicą poliszynela jest powiązanie takich sędziów z organami realizującymi największe prześladowania Polaków, jakimi były urzędy informacji i bezpieczeństwa. Następnie p. Godlewski, pod kierunkiem obecnego podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, Stanisława Walczaka, pracował na wydziale prawa Uniwersytetu we Wrocławiu i tamże, pod tą samą opieką, uzyskał stopień doktorski. We Wrocławiu nasz prezes praktykował mało, zadawalając się stanowiskiem radcy prawnego kilku instytucji. Oczywiście od zarania jest członkiem partii. Po przeniesieniu do Warszawy, w dalszym ciągu pozostał bardzo mało znanym adwokatem. W zeszłorocznych, majowych wyborach do Warszawskiej Rady Adwokackiej, po raz pierwszy dokonanych przez odpowiednio dobranych delegatów, był zgłoszony jako kandydat na członka tejże Rady. Przy 162 obecnych delegatach otrzymał tylko 89 głosów i wskutek tego zaliczono go do zastępców. Lepiej mu się powiodło przy wyborach do Naczelnej Rady. Tam już wybierali sami pewniacy, a mianowicie 17 dziekanów wojewódzkich Rad wybrało 9-ciu pozostałych członków, a wśród nich p. Stanisława Godlewskiego. Przed wyborami tych 9-ciu członków oraz Prezydium przybył do siedziby Naczelnej Rady przedstawiciel partii, tow. Syty, i łaknącym dyspozycji wskazał kogo mają wybrać na członka, a kogo do Prezydium, a głównie kto ma być prezesem. W taki sposób najwyższy organ samorządu zawodowego jednego z najpoważniejszych zgrupowań w Polsce, przekształcono w mianowany ośrodek dyspozycyjny partii. Zgodnie z metodą stale i ogólnie stosowaną, za pewien czas będzie przeprowadzona ostateczna czystka według zasady: ci co zachowali godność człowieczą i zawodową, lub jej jakieś resztki, oraz dążenie do niezależności — muszą iść precz. Jeśli nie będzie innych sposobów zawsze pozostanie ten najprostszy, a zarazem najnikczemniejszy i najbardziej dezorientujący społeczeństwo, który polega na wplątaniu adwokata w osobisty proces karny. Przy obecnych restrykcjach wszelkiego rodzaju jest to niezmiernie łatwe. Tak więc — tow. Syty rozkazał, partyjni dziekani stanęli na baczność i rozkaz wykonali.

Naczelnym reprezentantem korporacji o wielowiekowej tradycji został były sędzia wojskowy z okresu kultu jednostki, bez żadnych zasług i bez szczegółowego dorobku zawodowego, p. Stanisław Godlewski — posłuszna kreatura, jedna z tych jakie

zajmują wszystkie kierownicze stanowiska w Polsce współczesnej. Dano mu do pomocy w charakterze zastępcy znakomitego mecenasa, Stanisława Garlickiego, który jest specem nielada w tępieniu resztek zawodowej niezależności i który ze względu na stare grzechy w stosunku do przedwojennych komunistów musi zasługiwać się podwójnie.

Jeśli dodać do tego, że wszystkie kierownicze stanowiska w adwokaturze współczesnej są stosunkowo dobrze płatne — obraz będzie całkowity. Stwarza to przecież dodatkową zależność materialną. Plan ostatecznej eksterminacji reprezentantów resztek niezależności jest już w pełnym toku. Towarzysz minister sprawiedliwości przyszedł już w sukurs ogłaszając rozporządzenie o postępowaniu dyscyplinarnym przeciwko adwokaturze, a w nim sprzeczny z zasadami ogólnie obowiązującymi w świecie cywilizowanym, sprzeczny z pkt. 2 art. 53 Konstytucji, poręczającym prawo do obrony i sprzeczny z zasadami Kodeksu Postępowania Karnego — pkt. 5, par. 25 — głoszący, że niestawiennictwo obwinionego lub jego obrońcy, nawet usprawiedliwione, nie wstrzymuje rozpoznania sprawy. Zatem uspołecznienie adwokatury jest w rzeczywistości całkowitym uzależnieniem jej od kierownictwa partii, zaś zapewnienie minimum zapłaty zmierza do zapewnienia miernotom, które obok łajdaków są główną podstawą reżymu, minimum egzystencji kosztem utalentowanych, zdolnych i pracowitych kolegów. Niedolę pogłębiają niskie i nieracjonalne normy honorariów, które przecież zasadniczo są anachronizmem w każdym wolnym zawodzie. Społeczeństwo z obrzydzeniem odnosi się do instytucji zespołów, w których ludzie muszą się zwierzać ze swoich sekretów na ogólnych salach, w atmosferze urzędu administracyjnego. Taki na ogół jest teraz obraz adwokatury w naszej Ojczyźnie, adwokatury po roku od wprowadzenia w życie nowej ustawy o jej ustroju.

*Gaston de CERIZAY*

# Młoda inteligencja Polski i jej stosunek do Zachodu*

Dzisiejsza młodzież polska, młoda inteligencja, studenci szkół i uniwersytetów stanowią właściwie już drugie pokolenie wychowane i ukształtowane w warunkach państwa dominowanego przez partię komunistyczną i podporządkowanego Rosji. Za pierwsze

* Artykuł dyskusyjny.

pokolenie powojennej Polski uznać należy tych, którzy mieli w 1945 roku 8 — 16 lat, którzy nie wzięli jeszcze czynnego udziału w wojnie i w ruchu oporu i których poglądy zaczęły kształtować się w ustawicznej konfrontacji całkowicie przeciwstawnych sobie poglądów, filozofii, całej rzeczywistości, jaka zapanowała w Europie wschodniej w 1945 roku, po jej zajęciu przez Armię Czerwoną.

Z jednej strony dominujący wpływ na to pokolenie miał dom, nacjonalizm wzmożony walką z okupantem niemieckim i powstająca legenda tej walki, bardzo silny w Polsce kościół katolicki, istniejące wciąż żywe kontakty z Zachodem, głównie z Anglią, z której czynną kampanię antykomunistyczną prowadziła duża emigracja wojenna, tam pozostała. Z przeciwnej strony wpływ szedł przez szkołę, coraz poważniej kontrolowaną przez państwo, przez partię marksistowską, przez szereg organizacji i instytucji w tym celu powołanych, radio, prasę... Komuniści starali się wykorzystać naturalną ideowość młodego człowieka, jego bezkrytyczność, a zarazem naturalny w młodym wieku opór w stosunku do domu, rodziców, ugruntowanych autorytetów, kościoła. Starali się go przyciągać hasłami wolności tzn. odcinania się od zakorzenionych tradycji i mieszczańskiego obskurantyzmu kraju zacofanego jak Polska, uniezależniania się od kościoła i prymitywnego kleru prowincjonalnego, wzywali do czynnego udziału w reformach do jakich przystępowali i z których wiele kraj rzeczywiście potrzebował: reformy rolnej, unowocześnienia wsi, elektryfikacji, nacjonalizacji przemysłu, do walki z analfabetyzmem, a przede wszystkim do odbudowy zniszczonego wojną kraju. Komuniści otwarli możliwości szybkiego awansu społecznego, szkół, przed masami biednej młodzieży robotniczej i chłopskiej, na którą szczególnie mogli liczyć.

Organizacje czysto komunistyczne jednak, takie jak Związek Walki Młodych, nie były wciąż popularne w latach powojennych i znacznie więcej młodych ludzi zapisywało się do TUR-u, organizacji młodzieżowej Partii Socjalistycznej, programowo nie tak radykalnej. Wyciągając z tego faktu wnioski, partia rządząca stworzyła nową organizację pod nazwą Służba Polsce, do której teraz należeć musiał każdy i w której hufcach musiał odpracować co najmniej 2 miesiące, zwykle wakacyjne, przy odbudowie Warszawy i innych miast, dróg, mostów, kolei, czy przy żniwach.

Związek Harcerstwa Polskiego, który był wciąż organizacją najliczniejszą po wojnie, ze wspaniałą kartą walki okupacyjnej i skupiał przede wszystkim młodzież miast i pochodzenia inteligenckiego, był najpoważniejszym czynnikiem oporu i hamowania komunizacji na odcinku młodzieży. Ponieważ nie mógł zająć oficjalnego stanowiska politycznego, zarzucano mu bezideowość, ponieważ tysiące jego instruktorów i starszyzna należały do Armii Krajowej, zarzucano mu antykomunizm, nacjonalizm, tendencje prozachodnie, tradycje imperialistyczne, szarpano ustawicznymi procesami o współpracę z zachodnim wywiadem i szpiegostwo.

ZHP liczył się z tradycjami, kościołem, operował doskonałymi metodami wychowawczymi, stąd jego zlikwidowanie stało się dla komunistów niezbędne. W 1948 roku związek ten został przymusowo zreformowany, członkostwo ograniczone do wieku 8-14 lat, drużyny podporządkowane kierownikom szkół i kierownictwu partii, instruktorzy zastąpieni nauczycielami, płatnymi za te dodatkowe funkcje. Zbiórki, obozy, gry i ogniska zaczęły odbywać się teraz wyłącznie pod czułym okiem partii.

Niedługo potem, po zjednoczeniu partii komunistycznej z socjalistami stworzono Związek Młodzieży Polskiej, wszechpotężną organizację ogarniającą całą młodzież, do której nienależenie zaczęło grozić niemożnością dalszego kształcenia się, awansu, otrzymania pracy po ukończeniu studiów i tysiącami podejrzeń. Z drugiej strony organizacja ta zmonopolizowała w swych rękach obozy i wędrówki, wymianę międzynarodową i wszystko co mogło pociągać młodego człowieka. Partia komunistyczna nie szczędziła na to funduszy, zwłaszcza że w nowej organizacji indoktrynacja i upolitycznienie marksistowskie stało się chlebem codziennym i rutyną.

◆

Okres największego nasilenia stalinizacji w Polsce, lata 1948-53 były na odcinku młodzieży, na odcinku kształtowania młodej inteligencji najbardziej wyrachowane, bezwzględne i konsekwentne w realizacji. Procent młodzieży na wyższych uczelniach popierających rząd i partię szybko wzrastał, nie tylko w danych oficjalnych. Wprawdzie o ile chodzi o czynnych, najbardziej ideowych aktywistów, procent ten był mały, jednak gros studentów starało się coraz bardziej pokazywać na zebraniach, dyskusjach, na paradach, w manifestacjach i w różnych masowych akcjach politycznych. Takim wykazywaniem się np. było w szkołach artystycznych przygotowywanie coraz większych portretów i plakatów na każdą rocznicę i nową uroczystość, stwarzanie niesamowitych karykatur ośmieszających zachodnich polityków i mężów stanu (ulubionymi postaciami byli generał McArthur, prezydenci Truman i Eisenhower, gen. Ridgway, Churchill, Adenauer, Ku Klux Klan etc.). Studenci szkół teatralnych i filmowych przygotowywali i wystawiali polityczne sztuki i paszkwile wymierzone w Zachód, młodzi poeci pisali wiersze na cześć Stalina, Bieruta, Pięciolatek i komunistycznej odbudowy. Atmosfera ta przypomina to wszystko co dostrzega się na zdjęciach, w reportażach, w filmach napływających z dzisiejszych Chin.

Nastroje antyzachodnie, prostalinowskie sięgały w Polsce szczytu w okresie wojny koreańskiej i pewnego pogotowia wojennego, które dawało się wyczuć. Służba w armii i dla armii, praca w tajnych instytutach i laboratoriach politechnik, skierowanie pracy do fabryk przemysłu zbrojeniowego było najlepiej płatne, dawało największe przywileje i premie, mieszkania, a nawet samochody. Tysiące młodych inżynierów walczyło o te

rzeczy (dla niewiedzącym podam, że najbardziej skuteczne „ulepszenie" zagłuszające audycje radiowe z Zachodu zostało w tym czasie stworzone przez polskich, młodych inżynierów). Humaniści, pisarze, naukowcy dostawali premie, mieli otwarte drukarnie za tworzenie, rewidowanie i przepisywanie nowej historii, literatury, filozofii i życiorysów przywódców partii, za czynny udział w propagandzie na wewnątrz i zewnątrz, radiu, pismach, w pracy dla zwoływanych stale kongresów międzynarodowych, konferencji pokojowych, festiwalach młodzieży.

Inne tysiące, te które starały się opierać, krytykować, czy sabotować, wyrzucano z uczelni pod byle pretekstem, a nawet wtrącano do więzień. W takim wypadku wystarczał podejrzany list z Zachodu, „zdemaskowanie" przy okazji jakiegoś zebrania, na których obowiązywała samokrytyka, jakiegoś okupacyjnego czy powojennego powiązania z antykomunistycznym podziemiem, ba, sam fakt świadomości istnienia czegoś takiego i niedoniesienie o tym władzom, sympatie okazane emigracji na Zachodzie, słuchanie radia zachodniego, powtarzanie takich wiadomości, opowiadanie kawałów ośmieszających rząd i partię. Od tych, na których padało podejrzenie lepiej było odsuwać się jak najszybciej i jak najdalej. Tajna policja i współpracujący z nią agenci znajdowali się na każdym wydziale, w każdej klasie, na każdym zebraniu. W okresie stalinowskim coraz mniej było biernych. Bierność oznaczała trudności w ukończeniu studiów, niezakwalifikowanie do 2-go stopnia i robienia doktoratów, dawała słabe perspektywy na przyszłość, słabe zarobki w fatalnym stanie ekonomicznym kraju komunistycznego. Ludzi nie umiejących się pchać, biernych, wysyłano do miast prowincjonalnych, do ośrodków kraju najbardziej zacofanych, prymitywnych, gdzie nie było mieszkań i warunków bytowych jakie znajdowali ci wszyscy, którzy mogli się czymś „wykazać".

W tych warunkach dominującą cechą pokolenia nr 1 w Polsce po wojnie stawał się coraz bardziej brak wszelkich skrupułów, myślenie o własnym interesie, o sobie za wszelką cenę. Cóż jednak mówić, mieć pretensje do młodych ludzi, gdy w poszukiwaniu dobrobytu coraz trwalszej rzeczywistości, do współpracy z partią i komunistami dołączali się najbardziej znani pisarze, poeci, naukowcy, profesorowie starszej generacji. Część ich umiała zachowywać godne milczenie, lub udzielać się w mniejszych, mniej politycznych imprezach, pokazywano jednak i widziano tych, którzy składali hołdy Stalinowi, wyjeżdżali na placówki dyplomatyczne i konferencje międzynarodowe, podpisywali dokumenty i deklaracje zjazdów reprezentując Polskę Ludową. O wszystkim co przeszłe, przedwojenne, stare, zawsze mówiono z krytycyzmem, ironią, do nowego przyzwyczajano się i zaczęto usprawiedliwiać, nawet przed sobą. Błędy, wypaczenia, obozy koncentracyjne uważano za konieczność, zwłaszcza w obliczu walki Wschodu z Zachodem, groźby wojny, sabotażów, szpiegostwa, rewolucji! Młoda inteligencja zaczęła przekonywać się wzajemnie, że terror, prymitywne metody, złagodnieją, zmienią się

z chwilą gdy sytuacja międzynarodowa ulegnie poprawie, a w każdym razie gdy coraz więcej ludzi z wykształceniem będzie wchodzić do aparatu politycznego i partii, zacznie go przejmować z rąk tych bez przygotowania, wykształcenia, od tego „pierwszego pokolenia rewolucjonistów". Takimi nowymi oczami zaczęto też spoglądać na Rosję, na ten kraj, który przeszedł o ileż straszniejszą gehennę rewolucji, błędów kolektywizacji, walki często na ślepo, często nawet z cieniami kontrrewolucji (tak np. dyskutowano wielkie czystki i procesy Stalina przed 1939 rokiem), wykrwawienie się w straszliwej wojnie z Niemcami, wyniszczającej jego kadry i inteligencję.

Oczywiście wiele spraw było wciąż niezrozumiałych, tajemniczych, niebezpiecznych. Młodzi ludzie woleli jednak takich spraw nie poruszać, lub tłumaczyli ich nieujawnianie i konieczność maskowania przez partię, sprawami taktycznymi. Przede wszystkim koniecznością aktywnej, bojowej propagandy za wszelką cenę, walki o wpływ i dominowanie nad masami. Przyznanie każdego błędu w sytuacji takiej ofensywy byłoby przyznawaniem się, rozpamiętywaniem porażek, słabości, a na to nie było czasu. Jedną z tego rodzaju spraw w Polsce była np. wciąż powracająca przy różnych okazjach sprawa Katynia. Nieoficjalnie zdawano sobie sprawę, że Katyń był akcją sowiecką. Rozumiano jednak, że najmniejsza słabość, brak stanowiska w tym wypadku może stworzyć niesłychany zamęt w Polsce dając jakże potężny argument antysowiecki Zachodowi. Kłamstwo oficjalne było najlepszym wyjściem, zwłaszcza, że było ono już tak ugruntowane. Tej sprawy nie odważył się nawet postawić Gomułka w 1956 roku, prawdopodobnie ze względu na rosnący autorytet Chruszczowa. No, a sam fakt rozstrzelania kilkunastu tysięcy oficerów polskich przez Rosjan uważano za rzecz coraz bardziej naturalną w warunkach „rewolucyjnych". Identycznie postąpił Lenin z oficerami carskiej armii w 1918 roku, gdy nie było pewności czy nie zwrócą się oni w pewnej chwili przeciwko państwu komunistycznemu. Wszystkie rewolucje wymagają krwi, pociągnięć radykalnych, bezwzględnych, nieliczenia się z jednostką, z całymi klasami. Taki charakter miała cała Rewolucja 1789 roku, Komuna Paryska...

Tak więc zadaniem np. młodego historyka było stwarzanie życiorysu bohatera w który można by wierzyć, na którego wzór można by patrzeć. Odbrązawianie i analizę naukową pozostawiano następnym pokoleniom. Ten prąd wydarzeń, życia, dyskusji, konfliktów porywał wielu, którzy nabierali głębokiej wiary, przekonania w słuszność ostatecznego celu i dążeń komunistycznego rządu w Polsce. Pamiętam np., kiedy jeden z moich kolegów, student medycyny i aktywny w tym czasie członek komunistycznej organizacji młodzieżowej, poszedł na 5 lat do obozu pracy (kamieniołomy) za fakt należenia do nielegalnej grupy harcerskiej, powiązanej z AK w 1946 roku. Wprawdzie w 1946 roku miał tylko 16 lat, ale faktu swej przynależności nie ujawnił do 1951 roku. Wyrok przyjął z głębokim poczuciem własnej odpowiedzialności i surowość kary tłumaczył niezbędną koniecznością walki „o

nowe, o socjalizm!" Gdy rozmawiałem z nim o Stalinie i jego dyktatorskich metodach, „błędach", tłumaczył je faktem wieku Stalina oraz otoczeniem ludzi prymitywnych, często nieodpowiedzialnych, karierowiczów. Cóż mówić o moim koledze, kiedy przykład szedł z góry. W „walce" wydawało się, poświęcano najlepszych ludzi winnych jakichkolwiek przewinień, odchyleń, karanych dla przykładu, ludzi którzy po upadku z najwyższych stanowisk przyznawali się do win z pełnym ich zrozumieniem, przyjmowali najcięższe wyroki skazujące z wiarą w ich słuszność.

Tak tłumaczyć można było wszystko. Sobie i innym.

◆

Cały stosunek do Rosji sowieckiej ulegał szybkim przemianom, wśród młodej inteligencji tego pokolenia. Rosjanie byli widziani niechętnie w 1945 roku. Byli brudni, gwałcili kobiety, przypatrywali się z drugiego brzegu, biernie, walce samotnej Warszawy, rabowali, zabrali Wilno i Lwów, wywieźli wszystko z Ziem Zachodnich przed oddaniem ich administracji polskiej, kontrolowali przemysł, eksport węgla, całą ekonomię, nie mówiąc o policji i armii. Rosjanie jednak jako ludzie, prości żołnierze nie byli źli. Nie było w nich poczucia wyższości rasowej Niemca-okupanta, można z nimi było żartować, wypić jak z nikim, robiło się z nimi małe interesy (zwłaszcza w okresie szabru Ziem Zachodnich), na których zawsze gorzej wychodzili, można ich było łatwo przekupić i jakże łatwo udobruchać, uprosić o byle co. Byli często jak dzieci, które widzą pierwszy raz rower, zegarek, klozet ze spuszczaną wodą. Im więcej było z nimi kontaktów, im dalej rzeczywistość powojenna następowała w kraju, tym lepiej rozumiano ich problemy, niepokoje, obawy przed terrorem. Zwolna zaczęto odczuwać z nimi wiele wspólnego. Byli oni wytworem tego samego co następowało w Polsce. Specjaliści, doradcy, żołnierze rosyjscy ze swej strony nie dawali specjalnie odczuwać swej wyższości, nawet władzy. Zlecenia odgórne, partia, policja, kontrola były dla nich samych równie groźne jak dla Polaków. Starali się wykonywać swoje obowiązki, zachowywali się w pracy często sztywno i ciężko, ale poza zajęciami lubili i szukali kontaktów z wszystkimi, którzy chcieli ich zapraszać, gościć i poznać. O ile tych kontaktów często nie mieli, to dlatego że Polacy uważali się za coś wyższego i lepszego od nich. Doły, robotnicy, młodzież z awansu społecznego zżywała się z nimi coraz lepiej. Coraz lepiej też rozumiała się wzajemnie inteligencja obu krajów. W roku 1949 zaczęły się wyjazdy na studia do ZSSR, tak zresztą jak i do innych krajów „Demokracji Ludowych". W Moskwie, Leningradzie, Kijowie dawano wyjeżdżającym wspaniałe warunki, stypendia i co ważniejsze, po studiach tych zapewniano im najlepsze stanowiska w kraju. Kandydatów ubiegających się o te wyjazdy były tysiące, partia wybierała setki, najlepszych jej zdaniem.

Rosjanie przyjeżdżali uczyć się do Warszawy, zaczęli budować

Pałac Kultury (który znacznie później uznano za dar niefortunny i tylko ze względu na architekturę), przysyłali artystów, teatr, grupy baletowe i śpiewacze. Piosenka rosyjska stała się tak popularna jak polska. O ile dawało się odczuwać pustki na zbyt wielu i zbyt nudnych, produkcyjnych filmach radzieckich, to bilety teatralne wyprzedawano na tygodnie naprzód; chór Aleksandrowa, Armii Czerwonej biły rekordy frekwencji, występowały na największych stadionach. Pieśń o Wołdze, Moskwie, pieśni wojenne, o Syberii, Bajkale, pionierach, stały się przebojami w Polsce, popularnymi do dziś. Zresztą Polska miała Mazowsze, Śląsk, chór Armii Polskiej i, identycznie, nasze tańce i piosenki były i są masowymi przebojami od Berlina po Pekin.

O ile chodzi o armię i Rokossowskiego, to atmosfera w związku z przejęciem przezeń dowództwa nie była najgorsza. Mówił po polsku, był doskonałym specjalistą i zastępował niepopularnego i pogardzanego Żymierskiego. Rokossowski dbał o żołnierzy, poprawił w armii wiele, czego jednak młodzież nie mogła mu przebaczyć, to wprowadzenia okrągłej czapki na miejsce rogatywki. Ciekawe jest przywiązanie narodu do tradycji własnego żołnierza i jego znaków. Opór i niezadowolenie z powodu czapki był tak silny, że pomimo planów ujednolicenia mundurowego wszystkich armii bloku sowieckiego, w tym okresie munduru nie zmieniono tylko w Polsce. Komunistyczna armia polska do rogatywki też chyba prędzej czy później wróci.

Sprawa Wilna i Lwowa, żywa nazajutrz po wojnie, stawała się sprawą coraz dalszą, coraz bardziej przeszłą, minioną, straconą. W miarę zagospodarowywania terenów zachodnich i wzrastających perspektyw tych terenów w Polsce, sprawa wschodniej części Polski, przyłączonej do Rosji już we wczesnych latach 50-tych przestała być problemem nawet dla propagandy reżymowej, gdyż zbyt wielu pogodziło się całkowicie z utratą. Dotyczyło to zwłaszcza młodego pokolenia. Tym jednak większą rolę zaczęto teraz przywiązywać do Wrocławia, Szczecina i Gdańska. Każde zebranie ziomkostw w Niemczech zachodnich, każde przemówienie polityków niemieckich dotyczące tych terenów, każda nieuwaga któregoś z przedstawicieli Zachodu odbijały się szerokim, wręcz histerycznym echem po całej Polsce. Komuniści potrafili wykorzystywać każde najmniejsze głupstwo w tym względzie i tutaj sukces ich był i jest do dziś nieomal całkowity. Pamięć wojny, Oświęcimia jest wciąż niesłychanie żywa, przekazywana i pokazywana. W tym wypadku łączy ona nie tylko pokolenie powojenne, ale ludzi starszego wieku, masy, dzieci najmłodsze. Niechęć do Niemca zaszkodziła i powołanej do życia później Niemieckiej Republice Demokratycznej, z którą kontakty polskie i zrozumienie młodzieży w porównaniu do innych krajów bloku sowieckiego, było i jest najgorsze, mimo pewnych wysiłków komunistów w kierunku poprawienia tego zrozumienia.

W 6, 7 lat od uchwycenia Polski przez komunistów, poważna część młodej inteligencji znajdowała się nie tylko pod wpływem rządu ówczesnego, ale faktycznie dla tego rządu i jego programu

coraz czynniej zaczęła pracować. Sam komunizm i rozszerzanie wpływów sowieckich wydawały się wówczas nie mieć granic. Chiny znalazły się w rękach Mao, armia amerykańska bezradnie szamotała się na półwyspie koreańskim, Francja traciła Wietnam, rewolty wybuchały na Bliskim Wschodzie, w północnej Afryce, lada chwila oczekiwano ognia w reszcie Afryki, a nawet w Ameryce Łacińskiej. Zachodnie partie komunistyczne, zwłaszcza włoska i francuska, wydawały się rozsadzać najbliższe zaplecza NATO, Stany Zjednoczone dały odebrać sobie monopol broni atomowej i pod administracją Eisenhowera zachowywały się jak chory, stary słoń.

Czekanie na pomoc Zachodu i łudzenie się jego antykomunizmem słabło w Polsce w miarę jak zdawano sobie sprawę ze znaczenia Jałty, bezsilności emigracji, sytuacji rządu w Londynie, kiedy zakończyła się powojenna fala powrotów z Zachodu do kraju, kiedy widziano jakże często harmonijną współpracę na terenie Niemiec Amerykanów z Rosjanami, kiedy po zlikwidowaniu PSL-u i ucieczce Mikołajczyka zaczęła się bezkarna rozprawa komunistów ze wszystkim co nacjonalistyczne, prozachodnie i antysowieckie. To pierwsze pokolenie młodzieży dorastało w momencie tego rozgoryczenia i rozczarowań i trudno je winić za to, że mając do wyboru matury, otwarte uniwersytety i nieograniczoną ilość czekających posad, wybrało to ostatnie.

◆

O Ameryce nazajutrz po wojnie nie wiedziano w Polsce zbyt wiele. Wiedziano o Francji, której mit historyczny prysnął w 1940 roku, stąd przez cały okres wojny patrzano jak w tęczę w Anglię. Anglia powojenna jednak, labourzystowska, była coraz słabsza, sprawiała zawód po zawodzie, imperium brytyjskie znajdowało się w okresie najgorszego fermentu i waliło się w ruiny. Marksiści udowadniali słabość systemów zachodnich, kolonialnych, przepowiadali dalszą ich ruinę, wewnętrzne słabości i upadek. Jednocześnie młodzież polska pozbawiona swobodnych kontaktów z Zachodem gościła, oglądała, dyskutowała, spotykała tysiące przedstawicieli tego Zachodu odwiedzających Polskę. Były to delegacje parlamentarzystów i burmistrzów miast angielskich, studentów francuskich i skandynawskich, łaknących poznania tajemniczej Rosji, wędrujących na wschód całymi stadami. Pokazywano im wszystko od najlepszej strony, tłumaczono braki, wzbudzano ich podziw. Do Polski zjeżdżali naukowcy i intelektualiści, dla których odbywały się kongresy, tysiączne rzesze działaczy pokoju, ludzie o sympatiach prokomunistycznych, przerażonych najmniejszą myślą jakiegoś konfliktu międzynarodowego, krytykujących ustawicznie swe rządy i Zachód, podpisujących protesty i gotowych na każdą formę współpracy z Rosją i komunistami. Kto w tych latach bardziej gloryfikował i bił pokłony Stalinowi jeśli nie elita kulturalna Francji? Na małym, ciasnym, ogrodzonym dość szczelnie podwórku polskim każdy taki apel,

akcja, hasło prokomunistyczne, zwłaszcza na Zachodzie, odbijało się tysięcznym echem i waliło jak obuch w tych, co starali się wewnętrznie opierać, postępować po swojemu, myśleć inaczej. Można było popełnić samobójstwo jak np. Borowski, trudno jednak mieć pretensje do całego pokolenia za to, że nie popełniło go w całości.

O powojennej, nowej fali antykomunistycznej na Zachodzie i w Ameryce, o ocknięciu się społeczeństw zachodnich, o ich wzrastającym dobrobycie zaczęto dowiadywać się w Polsce później, nie na długo przed śmiercią Stalina. Do codziennych programów BBC, które tak działały na kraj w okresie wojny, ale których efekt osłabł po 1945 roku, doszły programy Voice of America, Radio Free Europe, pomijając mniejsze jak Paryż, czy niezbyt poważne jak Madryt, Ankara, Watykan, etc.

Do głośników siadali początkowo rodzice, starsi, pokolenie wojenne, ustępujące, spychane, zgryzione stratami i klęskami, wszyscy ci odsuwani od studiów, posad, zsyłani na prowincje, znajdujący się w ustawicznym zagrożeniu, podejrzeniu, wyczekujący wciąż pomocy z nieba, odwrócenia cudem świata zachodniego przeciw komunizmowi. Programy, zwłaszcza te wielogodzinne, trafiały na dobry grunt, grunt wciąż świeży i niepewny pod nogami nowej klasy. Teraz dopiero po raz pierwszy dowiadywano się czegoś więcej i lepiej o USA, polityce, armii, ustroju tego kraju, zaczęto rozumieć jego sprawy, zżywać się z nimi, dostrzegać takie czy inne tendencje polityczne, cele antykomunistyczne uważać za swoje. Cieszono się ze wspaniałego manewru taktycznego McArthura pod Inchon, zaczęto znów liczyć na niektórych przywódców amerykańskich, niektórzy obiecywali sobie wiele po twardej postawie Dullesa i fali antykomunistycznej McCarthyzmu w Ameryce (McCarthyzm tłumaczono zawsze w Polsce jako dowód prężności antykomunistycznej Kongresu). Programy zachodnie zaczęły przemawiać do robotnika polskiego, który miał radio, ale który za swoje zarobki nie mógł ubrać siebie i dzieci, przekonywały gospodynie i matki stojące w ogonkach po mięso i chleb, docierały do katolickiego chłopa, któremu zabierano ziemię, zmuszano do przymusowych dostaw i zabraniano pielgrzymek na Jasną Górę, dawały ustawicznie porównywania z Zachodem, ze stopą życiową krajów Europy Zachodniej, zaczęły stwarzać nowe mity, potrzebne dla opierania się zalewowi nudnej, prymitywnej na prowincji prasy codziennej i audycji radia krajowego. Nastroje stały się radośniejsze, zaczęły krążyć kawały, te z Kabaretu Hemara i inne, lokalne. Partia, Rosjanie, nie mogli ich początkowo zrozumieć i nie od razu pojęli grozę odwracającej się sytuacji. Potem zaczęły nadlatywać baloniki z materiałami antykomunistycznymi. Niewiele ich docierało do Polski i dostawało się do rąk ludzi, ich efekt psychologiczny jednak był niesamowity.

Młode pokolenie, inteligencja, ludzie na dobrych stanowiskach, w Warszawie i innych dużych miastach, studenci, przeciwstawiali się całej tej fali początkowo tak, jak im kazano i tak jak do tego

byli przyzwyczajeni. Kłócili się z rodzicami, wyszydzając ich naiwną wiarę w Zachód, wyłączali głośniki, zorganizowali własny program, słynną „Falę 49", udowadniali beznadziejność samej tylko krytyki polskiej rzeczywistości bez przeciwstawiania jakiegoś realnego programu, co cechowało ton propagandy zachodniej, widzieli często bezpodstawność niektórych audycji, ich czysto propagandowy charakter, nie rozumieli też, tak jak pokolenie starsze, ducha, atmosfery, nawet języka ludzi przemawiających przez mikrofony Monachium, N. Jorku i Londynu. Wobec nawału wydarzeń, konfliktów światowych, wiadomości radiostacji zachodnich były jednak bardziej obiektywne, prawdziwe, komentarze bardziej trafiające do przekonania niż to wszystko, co podawano do wierzenia na wschodzie. Trudno było ich nie szukać coraz częściej, mimo organizowanej i ulepszanej na gwałt sieci zagłuszań. Zwolna zaczynało się więc nowe gloryfikowanie Zachodu i teraz w pierwszym rzędzie Ameryki, zaczęły się też nowe ryzykanckie ucieczki przez żelazną kurtynę, tych zwłaszcza co mogli dostać samolot, lub pracujących na statkach.

Przy wszystkim tym gospodarcza sytuacja Polski była ciężka. Kraj odbudowywał się z trudem, nie zyskał wiele z odszkodowań niemieckich, na których łapę położył Stalin, Rosjanie wywozili na wschód węgiel, gnębiona kolektywizacją wieś nie była w stanie wyżywić pęczniejących powojennym rozrostem miast, brakowało ubrań, latami wyczekiwano mieszkań, komunistyczne plany załamywały się i nie były wykonywane, obiecanki złotych gór po przeprowadzonych reformach były dalsze niż kiedykolwiek. Co gorsza, wzrastał terror, podejrzenia, nieufność, warstwa uprzywilejowanych w rządzie w Warszawie stawała się coraz mniejsza i odgradzała się coraz szczelniej od reszty, rozumiała kraj coraz gorzej. Stypendia na studia wobec inflacji nie starczały na podstawowe potrzeby, domy akademickie były coraz pełniejsze, a z braku remontów w coraz gorszym stanie, pensje młodych lekarzy, prawników, nauczycieli, inżynierów nie starczały na minimum egzystencji i zakładanie rodzin, coraz więcej ludzi spychano na prowincję, gdzie stawali wobec ciężkiej rzeczywistości i braków, którym im kazano radzić, stawali wobec argumentów ludzi tam żyjących, na które nie miał odpowiedzi nikt. Odpowiedź tu na wszystko miał tylko Zachód i jego propaganda radiowa.

Gdy odszedł Stalin i elita na Kremlu zaczęła się chwiać, gdy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej brakło Bieruta, nastąpił rozkład. Przedtem jeszcze proces ten ogarnął Związek Młodzieży, w którym przestano przestrzegać dyscypliny, opuszczano zebrania, na których nie miano o czym dyskutować, a na mówienie prawdy nie było tu miejsca. W międzyczasie radiostacje zachodnie zaczęły podawać zeznania Światły, które odarły partię z reszty autorytetu, a młode pokolenie pozbawiły reszty złudzeń.

◆

Pokolenie to jednak było zbyt już odległe, inne, od pokolenia poprzedniego by rozumować i identycznie spoglądać na świat.

Nawrót do przeszłości zawsze jest trudny, zwłaszcza w sytuacjach takich, jaka zaistniała w Polsce w 1955 i 1956 roku. Stąd młodzi ludzie zaczęli gorączkowo organizować kluby i koła dyskusyjne, na których jawnie lub pół jawnie wymieniano spostrzeżenia, dyskutowano sytuację międzynarodową i rzeczywistość polską. Tworzyły się grupy radykalne, prozachodnie i grupy prosowieckie z tych najbardziej związanych materialnie z reżymem. Większość jednak szukała jakiegoś „złotego środka", nie dopuszczała możliwości nagłego upadku ustroju socjalistycznego w Polsce, uważała jednak za niezbędne daleko idące reformy polityczne, a nawet obalenie monopolu partii komunistycznej i konieczność systemu wielopartyjnego. Nade wszystko zaś ludzie przy każdej okazji przytaczali przygniatające dowody beznadziejności gospodarczej, do jakiej doprowadziły rządy stalinowskie. Pismem dnia stało się *Po Prostu*. Zamieszki w Poznaniu, ślepe miotanie się komunistów i Komitetu Centralnego partii, rozbicie podobnymi debatami aktywu, powiększyły ferment. Na bieg wydarzeń coraz większy wpływ zaczęły mieć teraz słabo już kontrolowane masy niezadowolonego społeczeństwa. Rozkaz strzelania do tłumów w Poznaniu zaważył na nastrojach armii. Wojsko, elewowie szkół oficerskich, zaczęli dołączać się masowo do dyskusji i politykowania. Wizyty sowieckiego politbiura, naciski i pogróżki zwróciły ogólne nastroje przeciwko Rosji, w której teraz dopatrywano się przyczyn wszelkiego zła. Zaczęto myśleć o pomocy Zachodu, jej realności w świetle wypowiedzi J.F. Dullesa. Co przezorniejsi wzywali do ostrożności, liczenia się z potęgą i desperacją sowiecką. Gdyby jednak nie Budapeszt i walki na Węgrzech, które ostudziły nieco zapały, do wybuchu doszłoby w Polsce z całą pewnością. Wybuch ten mógł był nastąpić lada dzień z lada okazji, zwłaszcza takich jak presje sowieckie i fermenty w fabrykach czy armii polskiej. Szczęśliwa w wyniku, acz najbardziej ryzykowna wizyta Chruszczowa i towarzyszy w dniu 19-go października 1956 r. i ustępstwa poczynione Gomułce odroczyły groźbę tragedii. Potem sam Gomułka zaczął od niezwykle silnych akcentów antystalinowskich i antysowieckich, od oficjalnego wydalenia wszystkich doradców sowieckich z Polski, od odmowy wysyłania węgla do Rosji. Czołgi sowieckie w Budapeszcie, zasadzka na Pal Maletera, a przede wszystkim całkowita bierność zaskoczonego rozwojem wydarzeń Zachodu i propagandy zachodniej, dokonały reszty. Rozgoryczeni byli nie tylko Węgrzy. Co najgorliwsi młodzi ludzie w Polsce zaczęli organizować pomoc lekarską i żywność ludności węgierskiej. Transportom na większą skalę przeszkodziła Czechosłowacja. Dyskusje odbywały się w dalszym ciągu. Wzrastał jednak cynizm. Nieudolność interwencji Sueskiej, a zwłaszcza nacisk Ameryki na Anglię wobec pustych gróźb Chruszczowa stały się dodatkowymi dowodami tego, że na Zachód i USA, tak jak i w 1945 roku, nie można liczyć. Fakt ten zrozumiała nie tylko młodzież, ale tym razem już całe społeczeństwo, wszyscy ci, co wierzyli jeszcze w intencje wyzwolenia Europy wschodniej od komunizmu przez Amerykę przy pierwszej

nadarzającej się sposobności. Jakiejże lepszej okazji Zachód mógł się jeszcze spodziewać?

Do końca 1957 roku obawiano się jeszcze w Polsce nawrotu stalinizmu. Zamknięte zostało *Po Prostu*, wprowadzać zaczęto cenzurę, zabroniono działalności organizacji młodzieżowych powstałych w okresie tzw. Polskiego Października, oraz szeregu klubom dyskusyjnym, rozproszono kilkakrotnie demonstracje studentów protestujących przeciw tym niepopularnym krokom władz. Reorganizacja policji wpłynęła jednak na zelżenie terroru i możliwość dalszego swobodnego wypowiadania się. Strajki górników na Śląsku, tramwajarzy w Łodzi, stoczniowców w Gdańsku kończyły się na perswazjach, zniesienie przymusowej kolektywizacji i rozwiązanie większości istniejących „wspólnot" poprawiło sytuację na rynku. Rząd rozpoczął umiejętne manewrowanie pomiędzy Wschodem i Zachodem, wykazywał pewną niezależność w ONZ, zawarł nową umowę gospodarczą oraz w sprawie repatriacji z ZSRR, otrzymał pożyczkę z USA, zezwolił na wyjazdy turystyczne na Zachód, oraz zaczął wydawać więcej paszportów tym, którzy mieli rodziny na Zachodzie. Mimo kilku pierwszych, masowych ucieczek przy okazji tych wyjazdów, chętnych opuszczenia na stałe kraju okazało się być wkrótce mniej niż można się było tego spodziewać.

◆

W 15 lat po wojnie i w okresie Października zaczął dochodzić do głosu w Polsce drugi rzut powojennej młodzieży. Pokolenie to zdawało matury i zaczęło zapełniać uczelnie wyższe w okresie upadania tzw. „mitu Stalina", czy „kultu jednostki", oraz w okresie rodzącego się nowego „realizmu polskiego". Młodzież ta nie odczuła już w takim stopniu terroru i była od samego początku bardziej praktycznie przystosowana do marksizmu i jego doktryn, potrafiła jeszcze lepiej manewrować, poruszać się i oddychać w systemie komunistycznym. Partia, organizacje społeczne i polityczne, a nawet tajna policja dla ludzi tych nie były już groźną koniecznością, ciałem obcym, narzucanym z góry jak były nim dla poprzedniego rzutu inteligencji, a czymś naturalnym do czego przynależność traktowano jako konieczność, czy nawet korzyść w określonych wypadkach i czego można wypróbowanymi metodami unikać. Takie zwłaszcza organizacje jak ZMS młodzież ta starała się na własną rękę formować, reorganizować i dostosowywać do własnych potrzeb jak sport, turystyka, zabawy. Sam ZMS nie zabrania do dziś wielu rzeczy, jak to czynił kiedyś ZMP (jazz, moda zachodnia, mówienie o krajach kapitalistycznych, wyjazdach na Zachód etc.) toleruje swobodną wymianę poglądów i dyskusje, nie zmusza członków do większych akcji społecznych i prac wakacyjnych. Mało tego, panując nad sytuacją w stopniu nieporównanie większym niż kiedyś, młodzież dyskusji politycznych na ogół unika, nie lubi ich, przedkłada zabawę, taniec i *parties*. Za to z drugiej strony, ponieważ w Polsce jest coraz mniej posad i wymagania fachowe wzrastają, o dostaniu się na

uczelnie, o studiach, dalszej pracy naukowej coraz bardziej decydują same zdolności, wyniki egzaminów i nauki, a nie, jak kiedyś, przede wszystkim pochodzenie społeczne, postawa polityczna, czy przynależność organizacyjna. Pokolenie dzisiejsze ma też lepszych nauczycieli, stoi na wyższym poziomie, daje wyraz większym potrzebom, wymaganiom materialnym, czy kulturalnym.

Obalenie w 1956 roku mitów stalinowskich i stworzonych przez komunistów autorytetów doprowadziło do atmosfery lekceważenia wszelkich w ogóle autorytetów odgórnych, programów politycznych, haseł, czy planów produkcyjnych. Te rzeczy są do dziś dla młodych ludzi w Polsce propagandą, „mydleniem oczu", czymś, czym nie warto poważniej zawracać sobie głowy poza biurem czy uczelnią. Sama partia i jej ideolodzy znajdują się wciąż w okresie kryzysu; niemożność stosowania starych szablonów, dogmatycznego interpretowania każdej sprawy, konieczność operowania rzeczowym argumentem, dyskutowania podstawowych spraw, odpowiadania na ustawiczne zarzuty o doprowadzenie do tak fatalnego stanu ekonomicznego, odbiera partii moralną inicjatywę. Co gorsza, komuniści w Polsce utracili w 1956 roku gros współpracującej już z nimi inteligencji i intelektualistów; pisarze, naukowcy, nawet dziennikarze, o ile nie krytykują w dalszym ciągu bardziej lub mniej otwarcie partii, są w większości swej wobec niej bierni. W swej bezsilności partia Gomułki zamyka bez przerwy coraz to bardziej „radykalniejsze", czyli krytyczne wobec porządku marksistowskiego pisma, węszy za kontaktami i bezpośrednimi wpływami kulturalnymi Zachodu, organizuje procesy przyłapanych na przewożeniu takiej, czy innej „niebezpiecznej literatury", czy co gorsza eksportujących to, czego wydawać w kraju nie pozwala, przeprowadza różne demonstracyjne szykany wobec tych grup, które przeciwko „przykręcaniu śruby" protestują podpisując apele, wysyłając listy na Zachód etc. W każdym razie stosuje też politykę niepublikowania przez państwowe domy wydawnicze niczego tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób się „narazili".

Tego rodzaju szykany różnią się jednak dalece od terroru sprzed 15-tu lat, kiedy za najmniejszy sprzeciw groziły obozy przymusowej pracy, a za posądzenie o współpracę z Zachodem nawet wyroki śmierci. Teraz na antyintelektualizm partii odpowiadać można kawałami, otwieraniem nowych, początkowo praworządnych pism, stosowaniem tysięcy tricków. Ponadto w tej walce, dyskusji, poszukiwanie nowych, realnych programów, nowej filozofii, czy „nowego oblicza socjalizmu" odbywa się w Polsce bez przerwy. Identyczne procesy daje się odczuwać w całej Europie wschodniej; jedne społeczeństwa są w tym procesie bardziej zaawansowane, inne mniej, co najważniejsze jednak ideologiczna presja Rosji i skostniałego kiedyś komunizmu sowieckiego na te społeczeństwa osłabła do tego stopnia, że przed poszczególnymi krajami tzw. Demokracji Ludowych otwarła się po raz pierwszy od wojny szansa własnego kształtowania swych wewnętrznych spraw. Mało tego, w procesie zmian ekonomicz-

nych, „dyskusji" ekspertów marksizmu, dogmatyczny, stalinowski do niedawna Związek Sowiecki wyprzedza niejednokrotnie szereg swych krajów satelickich. Rodzime partie komunistyczne w tych krajach, nie mogące liczyć na oddolne poparcie własnych społeczeństw, są ostrożne w eksperymentowaniu, obawiają się nieoczekiwanych efektów najmniejszych reform, no i, bazując na starym aparacie stalinowskim, właściwie nie są w stanie inicjowania reform. Rozdźwięk między partią a młodym pokoleniem, młodą inteligencją, studentami uniwersytetów, czy szkół wyższych polega głównie na tym, że partia rządząca, komuniści, nie wiedzą teraz jak przyciągnąć i pozyskać to pokolenie w takim stopniu, jak zrobili to zaraz po wojnie. Młodzież dzisiejsza ma sama więcej doświadczenia i wiedzy o socjaliźmie, potrzebach kraju, błędach i wypaczeniach, okresie stalinizmu i o innych krajach bloku wschodniego, niż często przeciętny aktywista partyjny. Młodzież ta ma własne zdanie i własne poglądy na te sprawy. Prymitywne metody komunistów ośmieszają ich w oczach młodej inteligencji i obecny rząd uważa się po prostu za fatalny, nieudolny, za coś, co prędzej czy później musi być zastąpione, o ile sytuacja ma się rzeczywiście poprawić.

Inny jest oczywiście stosunek tych ludzi do samego socjalizmu, pewnych zasad gospodarki planowej i tych wszystkich reform i przemian, które stały się w Polsce po 20-tu latach faktem dokonanym. Pokolenie wyrosłe w tych 20-tu latach dyskutuje na temat dalszych zmian i reform systemu, ale nie wyobraża sobie np. przekreślenia wszystkiego, nieposiadania otwartej dla wszystkich edukacji wyższej, powszechnej służby zdrowia, tanich książek, ba — komunikacji miejskiej czy mieszkań. Narzeka ono na braki, będzie robić w najbliższym czasie wszystko, by poprawić sytuację mieszkaniową, polepszyć zaopatrzenie rynku, obalić instytucje hamujące wzrost produkcji towarów konsumpcyjnych i ich rozprowadzanie, będzie walczyć o przywrócenie inicjatywy prywatnej na większą skalę w rzemiośle, drobnej wytwórczości, handlu detalicznym, nie mówiąc o wsi, która w największym stopniu oczekuje z wejściem na rynek na nowe, odgórne, liberalne decyzje. Nade wszystko zaś przed pokoleniem Polaków, dziś biorących w swe ręce losy kraju, staje jak nigdy dotąd konieczność odwrócenia się na Zachód i czerpania stamtąd tego wszystkiego, co doprowadziło kraje Europy zachodniej do obecnego rozkwitu i dobrobytu.

Nikt nie zmusza już teraz w Polsce specjalistów i studentów, naukowców do ślepego naśladowania Rosji. Odwrotnie, każdy widzi, że ta sama Rosja robi teraz wszystko, by jej stosunki z Zachodem były jak najlepsze.

Hasło koegzystencji oznacza dla Polski nie tylko zielone światło do coraz liczniejszych wyjazdów turystycznych i „zawodowych" do krajów zachodnich, ale oznacza otwarcie możności wymiany kulturalnej, staranie się o stypendia na uczelniach zachodnich, wysyłanie studentów, naukowców i pisarzy na Zachód, przekładanie wszystkiego co się da z literatury zachodniej, lite-

ratury pięknej i fachowej, nadrabianie wieloletniego zamknięcia spowodowanego wojną, żelazną kurtyną i wszystkimi z tym związanymi konsekwencjami.

Mimo zahamowań, ustawicznego gryzienia się z czynnikami urzędowymi i aparatczykami o wizy, wstrzymywania różnych programów jak Rockefellera czy Forda oraz starania partii o faworyzowanie za wszelką cenę i wysyłanie własnych ludzi — w dzisiejszej Warszawie jest coraz więcej identycznie kolorowych nowoczesnych domów co w Turynie czy pod Paryżem, widzi się często znacznie ulepszone modele zachodnio-niemieckich czy szwajcarskich elektrowozów na kolejach, wzory skandynawskich mebli, nie mówiąc o odzieży, modzie damskiej, obuwiu. Z drugiej strony coraz liczniejsi malarze polscy wystawiają na Zachodnie, przyjeżdżają tu nie tylko Mazowsze, ale i teatry; wyroby CEPELII, dywany, ceramika, znajdują coraz większy zbyt w Danii i Szwecji, a o ile jest tego wciąż mało — odczuwa to dzisiejsze pokolenie w Polsce dość boleśnie jako dyskryminację „ich" Polski i ich własnych wyrobów. Bo to pokolenie do tego stopnia już utożsamia się ze swoim krajem między Odrą i Bugiem, że w spotkaniach z przyjeżdżającymi z kraju można znaleźć wspólny język krytykując rząd, partię, propagandę i całą fatalną gospodarkę wschodnio-europejską, ale trudno dojść do czegokolwiek próbując „naruszania" takich rzeczy jak literatura, film, sport polski, wykształcenie akademickie (zwłaszcza techniczne), czy produkty ludowe, eksportowane źle i za słone ceny przez reżymową CEPELIĘ.

◆

Jak wygląda ostatnio, jak kształtuje się teraz stosunek tej młodzieży do Zachodu?

— Tak jak w okresie Renesansu Italia, później Francja, a w okresie ostatniej wojny Anglia, tak dziś z krajów zachodnich — tych wzorów państwowych i gospodarczych — krajów przede wszystkim dobrobytu na czoło wyszła... Ameryka.

Złożyło się na to szereg przyczyn. A więc upadek Francji w 1940 roku i prestiżu mocarstwowego Anglii w latach powojennych, świadomość pomocy udzielonej przez Amerykę po wojnie Europie Zachodniej i świadomość tego, co Polska straciła odrzucając w 1947 roku Plan Marshalla, dalej świadomość przetrwania potęgi amerykańskiej nad agresywnością sowiecką nie dzięki sile militarnej Ameryki — z niewykorzystania której w 1945 roku, potem w okresie Blokady Berlina, ofensywy ochotników chińskich znad Jalu, czy powstanie w Budapeszcie zdaje sobie sprawę każde dziecko na wschodzie — ale dzięki potędze ekonomicznej tego kraju. Taki chociażby dolar od czasów wojny stanowił walutę, środek najlepszego lokowania oszczędności. Kto miał dolary w butelce, zakopane w piwnicy, czy „pod gruszką" w ogrodzie, mógł śmiało spoglądać na piętrzące się trudności. Dolarem handlowano, według niego obliczano wszystko co miało wartość w

okresach załamujących się pięciolatek stalinowskich i wszystkich reform finansowych w stałej inflacji złotego, dolary przesyłane na specjalne konta PKO oznaczały nieosiągalne na rynku lekarstwo, możność dostania mięsa i tłuszczu w okresach największych braków, potem możność przyzwoitego ubrania się, kupienia dziecioin cytryn czy kilku pomarańczy; dolary oznaczały remont walącego się dachu, czy możność kupienia cegieł na podkarpackiej wsi, opierającej się kolektywizacji, nie mówiąc już o jakże pożądanych scooterach, samochodach, czy wyjazdach turystycznych i w „odwiedziny" na Zachód, możliwych przede wszystkim za przesłane waluty obce. Posiadanie dolarów w bankach zachodnich oznacza dziś dla Polaka coś, na co mogą oficjalnie sobie pozwolić tylko niektórzy pisarze, inżynierowie sprzedający tu czy tam jakieś patenty, architekci wygrywający jakieś konkursy, czy studenci i naukowcy uzyskujący stypendia na Zachodzie.

Prestiżu Ameryce dodało przyjęcie w 1956 roku tysięcy uchodźców z powstania węgierskiego, udzielenie pomocy gospodarczej Polsce, budowa szpitala dla dzieci pod Krakowem, nie mówiąc o Polonii amerykańskiej, której charakter, liczbę i wpływ na politykę USA w stosunku do Polski wciąż się w kraju przecenia.

Po Eisenhowerze, który swą prezydenturą zawiódł Europę Wschodnią i szczególnie Polaków, prezydentura Kennedy'ego stała się szybko błyszczącą gwiazdą. Błyszczała ona dzięki ustawicznemu przeciwstawianiu prezydenta i jego żony bombastycznemu Chruszczowowi i jego Ninie, starającym się robić furorę po świecie. Chruszczow, którego autorytet w Polsce starały się za wszelką cenę ugruntowywać czynniki oficjalne, wzbudzał śmiech i był powodem powstawania tysięcznych anegdot. Kennedy zdobył sobie szacunek szeregiem znanych posunięć, nie mówiąc o jego umiejętnym rozstrzygnięciu kryzysu na Kubie. Śmierć Prezydenta w Dallas odczuł każdy niemal Polak jak śmierć osoby najbliższej, najdroższej i w zamachu tym do dziś podejrzewa się w Europie Wschodniej spisku komunistycznego.

Nic więc dziwnego, że wizyty wszystkich przedstawicieli USA w Polsce; Boba Kennedy'ego, min. Gronouskiego, każda wystawa w ramach wymiany kulturalnej, pawilon amerykański na Targach Poznańskich etc., cieszą się tak olbrzymią popularnością i są tak oblegane. Kiedyś, w okresie najbardziej ponurych dni stalinowskiego terroru, flaga amerykańska powiewająca codziennie na gmachu ambasady USA przy Alejach Stalina (obecnie znów Ujazdowskich) dla wielu była symbolem antykomunizmu wolnego świata. Ludzie chodzili na nią popatrzeć z daleka, niektórzy jadąc w autobusach do pracy zdejmowali przed nią czapki, jak to czyni się wciąż w Polsce przed kościołami. Dzisiaj ta flaga symbolizuje państwo o najsilniejszym ustroju gospodarczym, w którym ludzie mogą nabywać samochody, nie mają kłopotu z ubieraniem się, znalezieniem mieszkania, mięsa w sklepie, czy setek innych rzeczy i drobiazgów. Flaga ta symbolizuje kraj, w którym żyją miliony dobrze prosperujących rodaków, z których wielu spotyka się w sezonie letnim przyjeżdżających w odwiedziny do Polski. Wyjeż-

dżający do Ameryki na stypendia i z wizytami wracają zawsze doskonale zaopatrzeni i opowiadają cuda. A o ile opowiadają coś innego, czy krytykują, nie wierzy się im, jak nie wierzy się oficjalnej propagandzie antyamerykańskiej. Prestiż Ameryki jest zbyt potężny w tej chwili w Polsce. I zbyt ludziom potrzebny.

Oczywiście znacznie więcej Polaków wyjeżdża, widzi kraje Europy Zachodniej, ale może dlatego spogląda na te kraje bardziej krytycznie. Zresztą o Europie Zachodniej wciąż każdy wie, że wszystko co ma, zawdzięcza Ameryce, a kierunek przemian do jakich zmierza — Wspólny Rynek, plany i pociągnięcia de Gaulle'a — są w Polsce jeszcze zbyt mało odczuwalne, niezbyt jasne. Tak Francja, jak i Włochy wciąż są dla ludzi na wschód od Łaby krajami politycznie nieustabilizowanymi, ponadto wciąż żyje obawa Niemiec zachodnich i wzrostu ich niekontrolowanej potęgi militarnej. Entuzjastyczne artykuły niektórych publicystów emigracyjnych o jednoczeniu się Europy Zachodniej nie wiele tu pomogą, iluż ludzi je bowiem w Polsce może czytać?

◆

Dla komunistów obalenie mitu USA w Polsce, jakże niebezpiecznego dla nich, stało się teraz zadaniem naczelnym. Nie będąc w stanie przeforsowywać własnych ludzi na wyjazdy stypendialne i wymianę kulturalną oraz na kontrolę tych programów, czynniki rządowe wybierają wyrzeczenie się obiektywnych korzyści, płynących z darowanych funduszy. Rząd Gomułki wyrzekł się, uniemożliwił, korzystanie z jakże potrzebnej krajowi amerykańskiej pomocy ekonomicznej i pożyczek, przywrócił ostrą cenzurę listów i wszystkiego co płynie, zwłaszcza z Ameryki. Z drugiej strony stara się on maksymalnie i na niesłychaną skalę rozpowszechniać wszystko to, co godzi w dobre imię tego kraju, w jego instytucje, ustrój społeczny i ekonomiczny, pokazuje w jak najczarniejszym świetle konflikty wewnętrzne. Aparat propagandowy, prasa reżymowa, audycje radiowe, telewizja, wszelkie najbardziej prowincjonalne publikacje, pełne są tego rodzaju wiadomości o Ameryce i nawet korespondencji z Ameryki, od specjalnych wysłanników, stałych korespondentów, czy agentów przemycanych w ramach „wymiany kulturalnej". Każde dziecko w szkole w Polsce wie natychmiast o każdej demonstracji i proteście związanym ze sprawami rasowymi, ogląda zdjęcia przedstawiające najmniejsze zamieszki w Harlemie, jest zmuszane do dołączania się do protestów z powodu każdego zabójstwa na tle rasowym, czy podciąganego pod sprawy rasowe (ostatnio np. do statusu Lumumby awansował Malcolm X). Akcje liberałów amerykańskich, krytyczne wypowiedzi intelektualistów, pisarzy, czy dziennikarzy z W. Lippmanem na czele, wszystko to, co jest w najmniejszym stopniu opozycyjne w stosunku do posunięć politycznych Rządu Federalnego, amerykańskiej polityki zagranicznej, Wietnamu, Chin, Konga, Kuby, Panamy, jest podawane *in extenso* i niesłychanie sprytnie interpretowane. Na wschodzie Europy komuniści

stwarzają teraz obraz Ameryki jako kraju olbrzymich sprzeczności; z jednej strony dobrobytu, z drugiej wzrastającej, niemożliwej do opanowania nędzy i bezrobocia. Statystyki komunistyczne podają wzrost kosztów utrzymania, ilość strajków, wzrastanie podatków, biurokracji, nędzy, analfabetyzmu, porównują cyfry wydatków budżetowych np. ostatniej kampanii przeciwko nędzy z cyframi wydatków na zbrojenia. W okresie wyborów prezydenckich w USA propaganda komunistyczna rozpętała histeryczną kampanię przeciwko B. Goldwaterowi przedstawiając go jako nowego Hitlera, nową groźbę powstającą nad światem, groźbę nowej fali rasizmu i wojen, etc.

Szereg argumentów i posunięć antyamerykańskich jest prostackich i obliczonych na zbyt krótką metę, by mogły mieć efekt. Są jednak inne, bardziej zręczne, lepiej wyzyskujące fakty i głosy krytyczne z Zachodu, stwarzane przez inteligentniejszych ludzi. Jednym z takich starych, antyamerykańskich i antyzachodnich tricków propagandowych jest np. wyzyskiwanie sprawy popierania i zbrojenia przez USA Niemiec zachodnich, oraz nieuznawanie *de facto* przez Zachód granicy na Odrze i Nysie. Polskie powiedzenie „nie jesteśmy na kółkach" najlepiej odźwierciadla tu stosunek do tej sprawy ludzi w kraju, ich obawy i nieufność nawet w stosunku do NATO. Sprawa granic polskich jest zagadnieniem wyjątkowo trudnym do postawienia w ramach kampanii zachodniej i antykomunistycznej. Niemniej Zachód w tej walce o „dusze", zmieniające się wciąż dusze, posiada stale więcej atutów i możliwości do wykorzystania. A więc przede wszystkim szerokie rozpowszechnianie i tłumaczenie wszystkiego, co złożyło się na powstanie potęgi USA. Ci co słuchają w Polsce programów zachodnich, dostają do ręki różne pisma zachodnie, „Amerykę", chcą wiedzieć jak najwięcej prawdy o instytucjach politycznych, ustroju oraz sprawach codziennych tego kraju.

Dla polskiego studenta, młodego polskiego inżyniera, naukowca, lekarza, sportowca, dla tych którzy wyjeżdżają sami na Zachód i dla tych co stykają się i rozmawiają z tymi którzy z Zachodu dopiero co wrócili, nie wystarcza już samo wyśmiewanie i krytykowanie komunistów, marksizmu i ustroju w Polsce. O błędach tego ustroju, danych statystycznych, wypaczeniach, brakach, charakterze aparatu partyjnego, „nowej klasie", o policji, o skandalach na rynku wie dziś w Polsce każdy, najczęściej szybciej i więcej niż jakakolwiek radiostacja zagraniczna. To już nie okres, kiedy mimo braku mięsa i chleba na rynku, w Polsce nie wolno było o tym pisnąć i należało się wpatrywać w dane statystyczne wzrastającej na papierze produkcji, w stek sloganów i haseł. Satyra Hemara, dowcipy mające kiedyś taki oddźwięk w kraju, dziś są często nudne, puste i niezrozumiałe. Nowi młodzi ludzie, wyrośli w innych warunkach, w innej epoce, mają o ileż lepsze własne dowcipy, powiedzenia i satyrę, która coraz bardziej zaczyna płynąć w odwrotnym kierunku — z kraju na emigrację, najlepiej ukazując charakter tego nowego pokolenia i jego codziennych spraw. W Polsce dziś, dzięki ustawicz-

nym kontaktom z Zachodem, stałym wyjazdom, dzięki przyjaciołom jakich coraz więcej mają Polacy wśród cudzoziemców, w inny sposób szuka się odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące sprawy „my i oni", czy „Wschód i Zachód". Przede wszystkim szuka się jak najbardziej rzeczowych odpowiedzi i łaknie nade wszystko faktów. Stąd np. dzisiejsi słuchacze radiostacji zachodnich chcą jak najwięcej wiadomości, normalnych dzienników i komentarzy politycznych z tym związanych. Ci co znają obce języki wolą często nastawiać radio, czy nawet telewizor na oryginalne dzienniki w języku angielskim, francuskim czy niemieckim, czy — charakterystyczne — mając do wyboru prasę emigracyjną, wolą jakże często przeglądać pisma zachodnie jak *The New York Times, Le Monde,* londyński *The Guardian.* Dokonał się niejako fakt porozumienia i coraz lepszego rozumienia się nowego pokolenia Polaków z ich rówieśnikami na Zachodzie z pominięciem w dużej mierze byłej emigracji politycznej.

Literatura polska na Zachodzie, publikacje emigracyjne i na emigracji, artykuły, książki, pamiętniki, nie mówiąc o najważniejszych — programach radiowych w języku polskim, są wciąż jak najbardziej potrzebne w kraju, czytane, słuchane i poszukiwane.Mogą też odgrywać olbrzymią rolę na odcinku kształtowania się stosunków pomiędzy Wschodem i Zachodem, o ile nie będziemy zapominać do jakiego stopnia młode pokolenie polskie — dzisiejsza inteligencja — wyrosło, jest związane, a nawet niejednokrotne dumne ze swej ojczyzny, jej osiągnięć na polu kulturalnym, w literaturze, teatrze, filmie powojennym. Tylko nieliczni z tego pokolenia zamierzają opuścić swój kraj na stałe, emigrować, czy uciekać w nieznane. Odwrotnie, chcą oni wiedzieć jak najwięcej o krajach zachodnich, których ustroje, zdobycze, systemy ekonomiczne, technika są jak najbardziej godne naśladowania w przyszłości w samej Polsce. W dziedzinie spraw międzynarodowych polskie pokolenie nie wierzy w jakieś wyzwolenie Europy wschodniej przez Zachód i Amerykę.

Dzisiejsza inteligencja polska chce zmian politycznych i zrobi wszystko by doprowadzić do zmiany obecnego ustroju, ustroju *de facto* komunistycznego, ortodoksyjnego, znajdującego się wciąż w rękach ludzi prymitywnych. Ale zmiany te widzi przede wszystkim na drodze ewolucji i powolnego procesu, jakiemu ulega cały kompleks sowiecki.

Smutna jest rzeczywistość dzisiejszej Polski. Młodzi ludzie ciężej tam pracują, uczą się, wchodzą w nowe zawody, zarabiają mniej niż gdziekolwiek na Zachodzie. Ci młodzi ludzie zaczynają jednak zdawać sobie sprawę, że liczyć mogą przede wszystkim na samych siebie.

*B. ZAPOROWSKI*

# W oczach Londynu

Artykuł Wacława Zbyszewskiego pt. „Przyszłość emigracji w Anglii" określony jest przez Redakcję jako „dyskusyjny". Podejmujemy wyzwanie, choć większość twierdzeń, hipotez i obserwacji nie nasuwa zastrzeżeń a wiele zaskakuje trafnością i świeżością ujęcia. Fakt, że autor przebywa przez dłuższe okresy poza Anglią uzasadnia i tłumaczy zajęte przez niego stanowisko obserwatora niezaangażowanego osobiście w powolny tok wydarzeń tutejszego środowiska. Nie oznacza to bynajmniej by traktował je jako nijaki segment emigracji: porównanie z przedwojennym Krakowem (str. 28) jest niewątpliwym komplementem. Ale właśnie ono nasuwa pierwszą uwagę polemiczną. Poziom intelektualny Krakowa był rezultatem procesów toczących się od stuleci, ich ostatnim aktualnym stadium. Uniwersytet i Polska Akademia Umiejętności, wsparte muzeami i wyższymi uczelniami specjalnymi (takimi jak np. Akademia Górniczo-Hutnicza) skupiały zaokrąglające się wzajemnie grona fachowców ogarniające w sumie z grubsza całokształt wiedzy, zwłaszcza w obrębie humanistyki. Tego właśnie „zaokrąglenia" na gruncie wieloletnich tradycji brak i Londynowi i emigracji angielskiej w ogóle. Historycy mogli stworzyć nad Tamizą żywe środowisko naukowe nie tylko dzięki uporowi i talentom organizacyjnym gen. Kukiela ale i dlatego, że było ich wielu. Bliscy ich „krewni" historycy literatury nie mogli zdobyć się na bliźniaczą organizację nawet w okresie żywiołowego powoływania do życia instytucji różnego autoramentu — w okolicy r. 1947. Skutki tego odczuwamy obecnie boleśnie: brak nam dobrych nauczycieli-polonistów, krytyków i recenzentów literackich i kandydatów na objawiające się stale w najbardziej nieoczekiwanych punktach świata stanowiska lektorów czy wykładowców na wydziałach slawistycznych.

Dlaczego tak się stało, długo by trzeba wyjaśniać. Rację ma Wacław Zbyszewski, domagając się wszechstronnego i naukowego zdefiniowania, kim jesteśmy i co właściwie reprezentujemy. Wiele

wskazuje na to, że taki rachunek sumienia wypadłby dla polskiej społeczności w Anglii korzystnie a gospodarzom pomógłby do uświadomienia przyjemnej dla nas prawdy, że od dawna przestaliśmy być kłopotliwymi gośćmi i balastem. P. Zbyszewski przeoczył pewne podjęte w tym kierunku próby a w szczególności prace Jerzego Zubrzyckiego i Sheili Patterson-Horko. W „katalogu" pytań pominął jedno, niemniej od innych ważne: wielkość wkładu polskiego do gospodarki angielskiej i swoistą pionierskość tego wkładu wyrażającą się np. mnogością patentów uzyskanych przez Polaków, rozbudową pewnych dziedzin czy metod produkcji itp. Polish University College Association Ltd. wysunęła przed dwoma laty postulat opracowania poloniców angielskich z tej właśnie dziedziny; mimo gotowości pokrycia części związanych z gromadzeniem materiałów wydatków nie znaleziono dotąd naukowca-socjologa interesującego się tym zagadnieniem.

Badania te wykazałyby niewątpliwie zmianę typowych kierunków studiów młodzieży wstępującej na wyższe uczelnie. Exwojskowi rozpoczynający studia po r. 1945 mieli, z przyczyn oczywistych, zwężony wybór zawodów: na życiowe ich decyzje wpływały czynniki ekonomiczne nakazujące wybór zajęć praktycznych, opłacalnych i „międzynarodowych" oraz, wspierający niewątpliwie ten punkt widzenia, wachlarz możliwości stypendialnych. Dlatego mamy dziś tylu wybitnych techników, architektów czy lekarzy i tak nielicznych humanistów.

P. Wacław Zbyszewski dzieli emigrantów polskich w Anglii na dwie zasadnicze klasy, odpowiadające brytyjskim *lower middle class* i *working class*. W zakończeniu omawiającego ten problem rozdziałku przyznaje się do małej znajomości grupy robotniczej. Gdyby znał ją lepiej byłby niewątpliwie zaskoczony niską liczebnością jej przedstawicieli. Posądzić go także można o niedostateczną znajomość angielskiej *lower middle class*, która nie jest ani wyraźnym ani przybliżonym odpowiednikiem naszej inteligencji a nawet ambitnych polskich *self made* specjalistów i samouków wszelkich kategorii. Różni ich od Anglików o podobnym poziomie zarobków i stanowisk przede wszystkim żądza awansu społecznego jeśli nie dla siebie samych, to dla dzieci, znacznie żywsze zainteresowania polityczne i społeczne, ciekawość świata i, b. często, jasno sformułowana postawa życiowa, wierność przekonaniom i odwaga cywilna.

„Deklasacja", najwyraźniej dochodząca do głosu w Londynie, wiąże się nietyle z brakiem możliwości utrzymania się na poziomie czy awansu, ile z bardzo słowiańską postawą „czekania na siebie", jak genialnie ujął to Norwid w wierszu pt. „Słowianin". Pewien, na szczęście niezbyt liczny, odsetek emigrantów załamał się u progu egzystencji innej niż urzędnicza i wojskowa, nie zadał sobie trudu opanowania języka i nowego zawodu — i pokornie a nawet z domieszką satysfakcji towarzyszącej samoudręczaniu pogrążał się w zatrutych rozkoszach „deklasacji". Można by przytoczyć wiele przykładów ilustrujących te postawy. Tak

np. nie „zdeklasował się" śp. Jakub Hoffman, przedwojenny redaktor „Rocznika Wołyńskiego" i poseł na sejm, choć pracować mu wypadło w fabryce, ani profesorowa L., choć zarabiała jako krawcowa, łącząc pracę dla chleba z pilnym uczęszczaniem na wieczorne wykłady uniwersyteckie. Z drugiej strony nie trzeba udawać się do szpitala dla nerwowo chorych, by zetknąć się z manifestacjami postawy odwrotnej, wyrażającej się pretensją bądź do całego świata, bądź do poszczególnych jednostek czy środowisk — o zmarnowane życie i możliwości. Pewną odmianą tej postawy jest przecenianie zdobytych ongiś a dziś już przedawnionych lub „zardzewiałych" wiadomości. Jednym z częściej spotykanych konfliktów między przedstawicielami generacji przed — i powojennych jest brak wspólnego języka we wspólnej pozornie dziedzinie i, jak określają to „młodzi", „pycha" panów z dyplomami nieodświeżanymi ani lekturą ani praktyką laboratoryjną czy zawodową. Innym źródłem konfliktów są odmienne metody pracy naukowej i ujmowania na piśmie wyników badań. „Młodzi" nie wytrzymują gadulstwa ani pod postacią staromodnych referatów z namiastkami dyskusji naukowej ani publikowania prac „naukowych" czy utworów literackich nie odpowiadających pewnym powszechnie przyjętym założeniom metodycznym. Żałosną formą „deklasacji" jest taka właśnie degrengolada uczonego, pisarza czy wreszcie krytyka lub jurora publikującego lub obdarzającego nagrodami prace pozbawione wartości naukowej lub artystycznej. „Moralnie nienaganna" karta przyznana emigracji przez p. Zbyszewskiego splamiona jest, niestety, niejednym ekscesem w dziedzinie stosowania „taryfy ulgowej".

P. Zbyszewski pominął inne, poza „klasowymi" podziały emigracji. Dotyczą one specyficznych powiązań datujących się ze szczególnie trudnych lub ważnych okresów życia, a więc np. obozów koncentracyjnych, jenieckich, więzień itp. a przede wszystkim służby wojskowej w pewnych gatunkach broni czy oddziałach, wspólnych studiów uniwersyteckich (PUC, Szkoła Architektury, Wydz. Lekarski itp.) a nawet szkolnych (kadeci ze Środkowego Wschodu, wychowankowie szkół polskich w Afryce itp.). W latach ostatnich zarysowała się wyraźna tendencja opracowywania zarysów historycznych działalności tych wyraźnie zdefiniowanych grup. Odsłonią się w ten sposób całe niezmiernie ciekawe rozdziały losów dużych grup emigracyjnych dochodzących dziś coraz bardziej do głosu („młodzi") lub schodzących z areny (pamiętnikarze starszych roczników, autorzy historii pułkowych itd.).

Jeśli obserwować będziemy frekwencję na zebraniach i spotkaniach towarzyskich ogłaszanych w drobnych anonsach „Dz. Polskiego" okaże się, że są to skupiska zadziwiająco żywe i zwarte. Zebrania o charakterze politycznym wykażą przedziwny fenomen: bardziej jesteśmy skłonni do ostrych utarczek słownych na temat Dmowskiego, Piłsudskiego czy Sikorskiego niż rozważań nad aktualnymi zagadnieniami politycznymi. Sprawa stosunku do Niemców i towarzysząca jej dyskusja jest wyjątkiem

odosobnionym, niepokojącym jako jaskrawy przykład braku tolerancji dla przekonań wyłamujących się spod stempla.

P. Wacław Zbyszewski nie jest, choćby dlatego że przebywa często poza Anglią, świadkiem działalności organizacyjnej owych stosunkowo drobnych a bardzo licznych grup „specjalnych", niezawsze zresztą apolitycznych a z reguły deklarujących stanowisko niepodległościowe bez bliższego precyzowania przynależności „egzekutywnej" czy „zamkowej". Szkoda, że ich nie dostrzegł. Ogarniają one w sumie znacznie liczniejsze zespoły ludzkie niż udało się to kiedykolwiek politykom. Stąd rosnące z każdym rokiem znaczenie Zjednoczenia Polskiego (prezes: red. Hęciak), które skupić zdołało kilkadziesiąt poważnych organizacji i przekształca się z powodzeniem w centrum kształtowania się społeczno-kulturalnej ideologii emigracji angielskiej. Dowiódł tego b. ciekawy i żywy ostatni zjazd Zjednoczenia w lutym rb., obesłany przez rekordową ilość delegatów. Jest zjawiskiem na pewien sposób pocieszającym, że „politycy" nie zejdą do grobów bezpotomnie: część ich prac, bardzo istotną dla utrzymania polskości, przejąć może i właściwie już przejmuje Zjednoczenie.

P. Zbyszewski nie dostrzegł także objawów działalności stosunkowo młodego Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (prezes: prof. R. Wajda). Jest to — o dziwo! — organizacja nie tylko nie skłócona z poprzednią, ale dopełniająca ją na niezmiernie ważnym odcinku stworzenia podstaw gospodarczych dla kluczowych placówek Emigracji. Ośrodek dąży konsekwentnie do stworzenia Centrum polskiego w Londynie w skali realnej i w oparciu o istniejące ale często „uśpione" a jeszcze częściej rozdrobnione i rozproszone zasoby. Ma już za sobą pierwsze osiągnięcia na odcinku Ośrodka Młodzieży, który otrzyma w najbliższym czasie dostatnio urządzony lokal w domu PUCAL'u na Cromwell Road. Ma rosnący z każdym tygodniem kapitał zaufania społecznego i stale rosnący zastęp członków, wśród których nie brak nazwisk na emigracji najszanowniejszych. Gdyby nie biurokracja angielska hamująca uzyskanie praw tzw. *charity* Ośrodek miałby za sobą dorobek znacznie efektowniejszy — zasadnicze trudności są już jednak przezwyciężone i liczyć się należy z wyraźnym przyśpieszeniem tętna prac w najbliższych miesiącach.

P. Zbyszewski dostrzega na terenie Londynu jedynie tendencję do „beznadziejnej zgody, do klepania tych samych frazesów, do jednakowej świętej bezmyślności". Pomyłki bezsprzeczne w każdym z tych określeń! O brak zgody, którą p. Zbyszewski określa jako „beznadziejną" rozbiła się góra polityczna i autorytety tych, którzy do niej dążyli, jako przywódcy lub mediatorzy. Brak nie tylko jednomyślnej zgody ale nawet prymitywnego porozumienia i normalnej wymiany poglądów uniemożliwia załatwienie wielu istotnych i pilnych problemów. „Klepanie tych samych frazesów" jest istotnie cechą raczej irytującą, niż godną naśladowania. Tak się jednak składa, że z owych pozornie oklepanych frazesów: o potrzebie jedności, zgody, utrwalania polskości, troski o młodzież etc. złożyć można dekalog

ideologiczny emigracji — i to dekalog pełnowartościowy i aktualny. „Święta bezmyślność", istotnie godna potępienia, nie jest „jednakowa": nie ma chyba odcinka, na którym emigracja wykazałaby większą różnorodność wyszukanych form otępienia — od „po nas choćby potop" do interesujących skądinąd wariantów beztroski o własne często dobre imię czy przyszłość spraw skądinąd danej jednostce bliskich.

Zbyt optymistycznie wypadła u p. Zbyszewskiego ocena stosunku do Kraju, mimo wielu słusznych i trafnych uwag. Jesteśmy w trakcie przeżywania b. ostrego kryzysu zaufania do Narodu ( — z klasycznego odróżnienia Narodu od Reżymu — ). Nieliczni odwiedzający nas (za pozwoleniem władz) prowadzą z nami rozmowy typu „gęś z prosięciem", korespondencja z przyjaciółmi z dawnych lat albo urwała się po trzecim lub czwartym liście zapaskudzonym odbitkami brudnych paluchów cenzora albo zeszło do poziomu wojennych *„messages"* Czerwonego Krzyża: „jestem zdrów", „czy jesteście zdrowi", „mamy paskudną pogodę" itp. Sprawa trzydziestu czterech i będące jej dalszym ciągiem kontredanse poglądów w większości nietwórczych twórców nabiły jeszcze jedną blachę na Żelazną Kurtynę, stwarzając wrażenie, iż od Kraju dzieli nas nie tylko reżym ale i słabość tych, w których „współbrzmienie" i odwagę cywilną wierzyliśmy. P. Zbyszewski dostrzega trafnie aspekty gospodarcze kontaktów z krajem — przechodzi w milczeniu nad sprawą znacznie ważniejszą — wspólnoty pewnych podstawowych prawd i postaw. Śmierć Dąbrowskiej, która wagę tej wspólnoty dostrzegała, jest w tych warunkach niemal końcem epoki.

W zakończeniu artykułu marzy się p. Zbyszewskiemu polski Giannini lub Forte. Skład przyszłego *Establishment*'u ma u niego wydźwięk pozytywistyczno-stańczykowski: pracujmy, dorabiajmy się, przeciwstawiajmy się polskiej nędzy. Nie! To wielkie i krzywdzące nas uproszczenie! Przeciwstawiajmy się tendencją do rozsądnie pojętego awansu społecznego, mądrymi ambicjami, kształceniem młodych za wszelką cenę, swobodą i poziomem prasy, wolnością słowa, odwagą wypowiedzi i działania. Pieniądz i wielcy mecenasi mogą i powinni ułatwić niektóre z tych zadań. Nie w ich mocy jest kształtowanie charakterów i „rząd dusz".

*(m.l.d.)*

# Skromna, malutka wojna

*Naszym czytelnikom nie potrzebujemy przedstawiać Adolfa Bocheńskiego. Znają go z działalności publicystycznej sprzed wojny lub z legendy wojskowej Narwik-Tobruk-Ankona. Ten niedrukowany dotąd tekst był napisany na początku kampanii włoskiej i ofiarowany przyjacielowi i koledze pułkowemu, Andrzejowi Tarnowskiemu, zaś dzięki jego uprzejmości znalazł się w naszych archiwach.*

*Ile razy patrzę z pewnej perspektywy na dotychczasową działalność „Kultury" zawsze ostro odczuwam brak w naszej pracy Adolfa Bocheńskiego, najbliższego mego współpracownika z okresu „Buntu Młodych" czy „Polityki". Umiał on, jak nikt, łączyć zimny realizm swej świetnej publicystyki z romantyzmem w życiu, z wiernością dla swych poglądów i przyjaźni. Wierność i poczucie odpowiedzialności były w pewnym sensie przyczyną jego tragicznej śmierci pod Ankoną.*

*„Skromna malutka wojna" jest bezpretensjonalnym szkicem, napisanym dla zabawy w niektórych „pustych" chwilach życia liniowego żołnierza. Przyjaciele i znajomi znajdą w nim jednak Adolfa z jego humorem i skromnością.*

*REDAKTOR*

## *I. Wojna Primaaprilisowa*

Pierwszego kwietnia br. autor tych słów, a jednocześnie dowódca plutonu wsparcia 2-go szwadronu Pułku Ułanów Karpackich, udał się po obiedzie, swoim stałym zwyczajem — datującym się jeszcze z czasów ponikiewskich — na spacer w góry otaczające San Massimo.

Pomimo, że tego samego dnia wieczorem miał się odbyć uroczysty apel szwadronu z okazji rocznicy założenia pułku, która przypada na 2 kwietnia i nie zanosiło się na nic ciekawego, wyrzuty sumienia nie dawały mu spacerować za długo i czym prędzej powrócił do swojej uroczej kwatery z balkonem i widokiem na Monte Militto.

Istotnie, wkrótce potem wybuchła bomba. 3-ci szwadron otrzymał zadanie zamknięcia luki między 15 i 14 baonem na drodze z Filignano do Atiny, w odległości około 30 km na północny wschód od Cassino. Ponieważ pluton wsparcia z 3-go szwadronu pod dowództwem porucznika Lickindorfa był bardzo słaby i składał się w ogromnej większości z niedawno przybyłych do pułku junaków, Dowódca Pułku polecił, aby z 3-cim szwadronem wyjechał pluton wsparcia 2-go szwadronu.

Nad ranem cały 3-ci szwadron razem z naszym plutonem przybył w rejon Pantano, gdzie zatrzymał się, a dowódca szwadronu z oficerami udali się na rozpoznanie przyszłych stanowisk. Rozmieszczenie szwadronu miało wyglądać w ten sposób, że rzut gospodarczy pozostawał w Pantano, gros szwadronu wysuwało się o pięć km dalej drogą w rejon m. Cerresuolo, jeden pluton wozów pancernych pod dowództwem porucznika Wołyńskiego stał w Cerregrosso, które było ostatnim miejscem na drodze, nie będącym pod obserwacją npla, wreszcie pluton wsparcia miał stać w m. La Selva, widocznej jak na dłoni z gór Selva Pianura i Monte Croce, obsadzonych przez Niemców. La Selva była oddalona o około 750 m. w linii powietrznej od poprzedniego skraju naszych pozycji. Odległość z La Selva do Wołyńskiego w Cerregrosso wynosiła około 3 km. Od Wołyńskiego do gros szwadronu dalszych 3 km.

Miejscowość La Selva zasługuje na dokładniejszy opis, gdyż zdaje się, iż jest ona niezmiernie charakterystycznym przykładem stanu, w jakim znalazł się pas Apeninów położony w pobliżu frontu w zimie 1943-44. Ani jeden dom nie był cały. Wszystkie były rozbite przez artylerię względnie przez moździerze. Prawie wszystkie drzewa — a były bardzo liczne — rosnące w miejscowości i dookoła, były ścięte przez pociski. Dookoła leżało wiele zabitych i rozkładających się mułów, rozbrojone miny i olbrzymia ilość kabli najrozmaitszego gatunku. Pośrodku miejscowości znajdowały się dwa cmentarze: niemiecki i francuski.

Niemiecki zawierał około 15 grobów, w tym groby żołnierzy pochodzenia polskiego, jakiegoś Franciszka Moskwy i innego. Francuski zawierał same groby muzułmańskie z półksiężycami, na których widniało nazwisko poległego Marokańczyka i piękny napis: *Mort pour la France.*

Aby opisać koszmarną La Selva nie wystarczy powiedzieć, że wszystkie domy były zniszczone przez pociski. Były one poza tym kompletnie zdemolowane. Wszystkie okna i drzwi powywracane i spaczone, prawie wszystkie meble, z wyjątkiem żelaznych siatek na łóżka, porąbane, pokoje, w których spali żołnierze, pozamieniane w latryny. Załatwianie się i spanie w jednym pokoju

nie zdawało się sprawiać żadnych trudności naszym sprzymierzeńcom francuskim. Wreszcie kolosalna ilość opakowania wystrzelonej amunicji i puszek od konserw, dopełniała ponurego obrazu. Na ścianach widniały napisy: *Vive la France,* albo *Demain Berlin* oraz mniej lub więcej nieudolne i pornograficzne rysunki. Pobyt w La Selva musiał jednak ujemnie wpływać na apetyt naszych marokańsko-francuskich sojuszników. Jedyną pozytywną stroną ich działalności na tamtejszym terenie było pozostawienie około 200 puszek z doskonałym konserwowym gulaszem amerykańskim. Nie potrzebuję dodawać, że puszki te zostały dokumentnie wyjedzone przez naszych ułanów. Ostatni cios zadali im podporucznik Tarnowski i porucznik Ludwik Popiel po powrocie z frontu w ciągu ich bezsennych nocy.

## *II. Lewy sąsiad*

W La Selva miało się znajdować 6 żołnierzy z łączności 5 Brygady 5 Dywizji Kresowej.

Prowadzili oni w tym miejscu wysuniętą centralę telefoniczną. Kiedy jednak przybyliśmy w południe z rotmistrzem Stryjewskim na piechotę do La Selva — ruch kołowy w ciągu dnia był zamknięty począwszy od Cerregrosso — nie mogliśmy przez długi czas odnaleźć tej centrali.

Okazało się wreszcie, że mocno wystraszeni łącznościowcy siedzą zakonspirowani w jakiejś piwnicy i wolą nie wystawiać głowy w czasie światła dziennego. Istotnie schowali się tak dobrze, że Niemcy gdyby nawet zajęli La Selva prawdopodobnie przez cały tydzień nie mogliby ich odnaleźć.

Po odnalezieniu ich prosili nas usilnie, aby nie chodzić w ciągu dnia po miejscowości, gdyż na prostopadłej ścianie górskiej, rozpoczynającej się na 500 m. na północ od miejscowości, znajdują się liczne posterunki nieprzyjaciela. Gdy zauważą jakiś ruch w La Selva, jutro miejscowość będzie znów ostrzeliwana.

Dowódca łącznościowców był do tego stopnia przerażony że na moje polecenie, aby obszedł ze mną miejscowość, schował się jeszcze głębiej w czeluści swej piwnicy.

Cały ten nastrój wpłynął na mnie ujemnie tak, że zwiedziłem tylko pobliże La Selva, nie zapuszczając się dalej w kierunku npla.

Rezultat tego był o tyle smutny, że trochę dalej znajdowały się doskonałe stanowiska z ogromnym polem obstrzału, gdy te. które zostały wybrane, dawały horyzont niebywale krótki. Z punktu widzenia wygody było to jednak bardzo korzystne dla żołnierzy, gdyż znajdowali się bliżej kuchni i kwatery.

Stanowiska w La Selva zajął pluton w nocy, około godziny pierwszej kazałem włożyć hełmy i sam manipulowałem r.k-emem w moim *scout car'ze,* spodziewając się nagłego napadu Niemców. Zajęliśmy razem 5 stanowisk z rk-emami z tym, że przy rk-emach znajdowało się stale 12 ludzi, połowa czuwających i połowa śpiących. Reszta tymczasem odpoczywała przez 24 godzin w La Selva. Ogólny stan plutonu wynosił ze mną i z moim zastępcą wachmistrzem Juraszkiem 27 ludzi.

Najpilniejszą rzeczą było nawiązanie kontaktu z sąsiadami, a przede wszystkim z sąsiadem lewym — lewoskrzydłowa kompania 15 baonu — którego prawe skrzydło stało w Cupido, na szosie Atina Gerregrosso, szosę tę my także mieliśmy zamykać. Po stelefonowaniu się z nim, wziąłem więc plutonowego Wojaka i kaprala Jakubika, którzy zgłosili się na ochotnika na tę wyprawę która wtedy jeszcze wydawała się nam dość niepokojącą i szybkim krokiem podążyliśmy na szosę.

Dochodząc około 2-ej w nocy do naszej piechoty w Cupido zaczęliśmy co chwila wpadać na jakieś potykacze z dzwonkami i druty kolczaste. Narobiło się tyle hałasu, że na pewno, gdyby nieprzyjaciel był blisko, można by w ogóle zaprzestać dalszych środków ostrożności, gdyż dom, w którym znajdowała się placówka, byłby wykryty. Wartownik na placówce przyjął nas stłumionym, niemniej z lekka histerycznym, psykaniem, a sympatyczny choć szeptający podporucznik Colwer dodał nam podchorążego Forysia jako przewodnika do dowódcy kompanii.

Podchorąży prowadził nas prawie biegiem po jakichś niemożliwych wertepach. Tłumaczył się, że nie możemy iść porządną ścieżką, gdyż Niemcy wszystko widzą i będą zaraz bili z moździerzy. Chciałem mu odpowiedzieć cytatą z „Zemsty" Fredry: „a któżby tam nastawał na waścine marne życie", ale gonił tak błyskawicznie, że nie zdążyłem mu tego zaaplikować. Po drodze rozbiłem sobie nogę, przechodząc przez jakiś potok, klęliśmy razem z Wojakiem i z Jakubikiem 5 Dywizję w ogólności, a jej piechotę w szczególności, kiedy po przekroczeniu dalszych kilku koncertin i potykaczów z dzwonkami, znaleźliśmy się nareszcie w obliczu kapitana (daje się, że nazywał się Świerczak) dowódcy 3 Kompanii 15 baonu. M.p. kompanii wyglądało na jaskinię zbójców. Ogromna, zniszczona Masseria (duża zagroda po włosku). W słabo oświetlonym pokoju, otoczonym ze wszystkich stron workami, kilkunastu uzbrojonych ludzi rozwalało się na ławkach i pryczach, oczekując dalszych wydarzeń czy natarcia npla.

Dowódca kompanii zrobił na mnie wrażenie konsekwentnego i zdecydowanego człowieka, który postanowił za wszelką cenę uchronić swą kompanię od strat, godząc się jednocześnie z fak-

tem, że niczego nadzwyczajnego nie dokona. Opowiedział mi, że zabronił surowo żołnierzom strzelenia w jakimkolwiek bądź wypadku.

Gdyby nawet Niemcy nacierali na stanowiska, należało się bronić bagnetem i w żadnym wypadku nie używać broni palnej. Taktyka kapitana zdawała się w zupełności odpowiadać zaleceniom Kazimierza Delavigne z „Warszawianki" — „Hej kto Polak na bagnety". Bagnetów chciał użyć jednak tylko w obronie, o ile bowiem mogłem wywnioskować z tego co mówił, rozpoznanie poszło jak dotąd bardzo płytko, mało co za wysadzony most, położony w odległości około 100 m. od plutonu stojącego na szosie w Cupido. Szef kompanii przyznał się jednocześnie w rozmowie z plutonowym Wojakiem, że posuwają się w rozpoznaniu o jeden metr naprzód dziennie.

Wszyscy zdawali się być pod wrażeniem potęgi ognia artyleryjskiego i dążeniem kapitana było przede wszystkim uchronić swych podwładnych od skutków tego ognia. Mówił mi, że Niemcy są tak świetnie wstrzelani w szosę, że kiedy biegł po niej pies strzelali do niego osiem razy i w końcu zastrzelili: „leci pies po drodze, ogonem wywija, o niczym nie myśli, szczęśliwa bestya". Wobec powyższej sytuacji dowódca zdawał się rozmyślnie podtrzymywać wśród swych żołnierzy atmosferę niepewności i niepokoju. Kiedy wprowadził mnie na punkt obserwacyjny, na strychu swojej kwatery, moja sylwetka przesłoniła księżyc i wywołała cień na przeciwległej ścianie. Kapitan ściągnął mnie gwałtownie, obawiając się widocznie, że Niemcy zobaczą ten cień. Później, na podstawie naszego rozpoznania okazało się, że Niemcy stali najmniej o dwa kilometry od tego punktu i w ogóle nie wychodzili ze swych stanowisk. Stanowisko dowódcy kompanii miało swoje dobre i swoje złe strony. Dobrym jego skutkiem były stosunkowo minimalne straty w porównaniu do sąsiadów, złą stroną był zupełny brak rozpoznania i okoliczność, że z dwóch żołnierzy kompanii, którzy zostali ranni, jeden najprawdopodobniej sam do siebie strzelił. Jego postępek był wynikiem atmosfery lęku, którą wytworzył w kompanii dowódca.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że miał on niebywałe szczęście. Ta najbardziej chyba nieruchawa kompania jaka stała na froncie włoskim, wzięła w czasie swego pobytu tamże ośmiu jeńców niemieckich. Byli to mianowicie tyrolczycy, którzy sami zgłaszali się na placówki polskie i poddawali się ku największemu przerażeniu naszych „beefów z 5 DK". Po drugie, szczęściem jego była zupełna nieruchawość i pasywizm Niemców. Gdyby bowiem Niemcy chcieli rozpoznać przedni skraj naszych pozycji, tak jakeśmy to potem zrobili z pozycjami niemieckimi,

stwierdziliby od razu, że między dowództwem kompanii a plutoñem prawoskrzydłowym na szosie w Cupido jest kolosalna luka (około kilometra) przez którą z największą łatwością można było przeprowadzić całą kompanię niemiecką i spokojnie zlikwidować nasze muły, artylerię i dowództwo baonu itd.

— Ileż razy miałem później przechodzić tamtędy, nie zauważony przez nikogo.

Noc była jeszcze zupełna, kiedy nasz kapitasza zaczął się denerwować, że zaraz będzie świt i że zdradzimy jego stanowiska. Przedtem zresztą bardzo uprzejmie włożył dużo wysiłku, aby przekazać mi wszystkie posiadane przez siebie wiadomości o przedpolu i sąsiednich.

Umówiliśmy się, że pojutrze pójdę z dwoma ułanami i z nimi na patrol, aby „praktykować" w tym terenie. Uchodziliśmy się z Wojakiem i Jakubikiem, zaczepiając nieskończoną ilość potykaczów z dzwonkami i wywołując przekleństwa przerażonych piechocińców. Unosiliśmy ze sobą — ja po raz pierwszy w życiu — solidny kawaleryjski kompleks wyższości.

## *III. Pierwszy patrolik we Włoszech*

Wtorek 3 kwietnia wypadł nam dość nieszczególnie. Mieliśmy nawiązać łączność z 13 baonem, który stał na prawo od nas. Tymczasem dowódca 3-go szwadronu zgubił jedyną mapę rejonu w skali 1:50.000, którą otrzymaliśmy i dzięki temu nie można się było zorientować w m.p. dowództwa lewoskrzydłowej kompanii, które było przez telefon określone według tej właśnie mapy. Wybraliśmy się na wszelki wypadek z podchorążym Daszewskim i z plutonowym Siemieniukiem, błąkaliśmy się przez dobre 4 godziny po terenie położonym na wschód od nas i nie napotkaliśmy tam ani żywej duszy. Okoliczność ta zdawała się zresztą rzucać dość ponure światło na głębokość naszego ugrupowania obronnego. Po drodze weszliśmy na jakieś stare niemieckie pole minowe, które szczęśliwie zauważył podchorąży Daszewski. Na drugi dzień dowiedziałem się, że właśnie w tym rejonie wyleciał jeden saper parę dni przedtem. Około północy wróciliśmy wściekli do domu, gdzie zastaliśmy wszystko we wzorowym porządku.

Na drugi dzień około południa podchorąży Daszewski zbudził mnie sensacyjną wiadomością. Tej samej nocy miała się odbyć zmiana 5 Brygady na 6 Brygadę. Zamiast 15 Baonu na nasze lewo skrzydło miał wyjść 16. Przyjąłem tę wiadomość z niekłamaną radością. Zmiana dawała nam okazję, aby wobec

nowych przybyszów wystąpić jako „starzy" znawcy przedpola. Zamiast nosić upokarzającą kuratelę nastraszonych piętnastaków. Postanowiłem koniecznie pójść na umówiony patrol tego dnia, niezależnie od tego co będzie robiła odchodząca kompania i zyskać w ten sposób pewien autorytecik. Niestety otrzymałem telefon z d-twa 3-go szwadronu, aby czekać wieczorem na przyjazd dowódcy, który miał nam przywieźć zadanie z dowództwa Brygady. Nie chcąc tracić jeszcze jednego bezcennego wieczoru, udałem się swoim krokiem, tj. prawie biegiem, do rejonu plutonu por. Wołyńskiego, i stamtąd *scout car*'em do Cerre Suolo. Wszystko razem zajęło około 20 minut, co uważam za rekord w swoim rodzaju. Dowódca szwadronu oraz moi przyjaciele Popiel, Nowakowski i Kurowski przyjęli mnie jak zwykle serdecznie, odnaleźli mapę i oświadczyli, że dowództwo brygady (6-ej) daje nam na dzień następny zadanie zorganizowania zasadzki w rejonie m. Geremia. Przyjąłem to zadanie z mieszanymi uczuciami, gdyż zawsze wolę działać z własnej inicjatywy, jak na rozkaz. Do tej Geremii kompatrioci Bismarcka i Moltkego mieli rzekomo dochodzić lub nawet przebywać w niej stale.

Około godziny 9-ej wieczorem zabrałem kaprala Dąbka i ułana Mickowskiego z sekcji, która została nam przydzielona z 3-go szwadronu na miejsce junaków, i poszliśmy drogą do dowództwa kompanii. Poszliśmy oczywiście bez kolacji, gdyż jedzenie przed patrolem jest zawsze mocno niepożądane. Tego dnia ustaliliśmy też nasz zwykły rozkład godzin. Około 8-9 wieczorem — patrol. Około 2-3-ej rano powrót z patrolu. Około 4-ej rano — kolacja. Potem solidna drzemka i śniadanie z obiadem jednocześnie o pierwszej popołudniu. O 8-ej wieczorem patrol itd. Ci, którzy nie chodzili danego dnia na patrol, jedli natomiast śniadanie o godz. 5-ej rano, a kolację o godz. 8.30 wieczorem. W ciągu dnia nie można było ani gotować ani łazić, aby nie zwracać uwagi obserwatorów npla.

W dowództwie kompanii zastałem dwóch kapitanów, starego i nowego. Nowy kapitan Kowalewski z 16 Baonu czynił odmienne wrażenie od swego poprzednika i zdawał się przejawiać o wiele więcej inicjatywy. Dawny kapitan oświadczył, że wobec zmiany żaden patrol nie pójdzie na przedpole i przyjął do wiadomości mój zamiar udania się tam samemu. Pokazał mi szkic pozostawiony mu przez naszych poprzedników i aliantów — Francuzów. Ze szkicu tego wynikało, że most wysadzony jest zaminowany przez nieprzyjaciela i że znajdują się w naszym rejonie dwa własne pola minowe. Jedno bezpośrednio na północ od plutonu na szosie w Cupido, drugie wysoko na górze na

zachód od Geremia. To pole miało być otoczone podwójną koncertyną i jeden dom miał być *maison minée*. Nasze rozpoznanie cofnęło się jeszcze w stosunku do francuskiego, gdyś nasi z 15 Baonu nie byli ani razu w Geremi, choć pierwsze domy tej miejscowości znajdują się zaledwie o 200 m. na północ od szosy. Osobiście przyjąłem za dobrą wiarę twierdzenia gallijskie, lecz jako człowiek doświadczony, czyli jak mawiał mój śp. ojciec „szpakami karmiony", postanowiłem te twierdzenie sprawdzić. O tym co się dzieje na szosie za wysadzonym mostem w ogóle nikt nie wiedział. Na moje pytanie czy są tam inne mosty, kapitan oświadczył, że nie ma żadnych. Prosił tylko serdecznie, abym się nie zbliżał do mostu, gdyż wylecę w powietrze. Pożegnałem więc tych panów i udałem się z Dąbkiem i Mickowskim na przełaj do wysadzonego mostu, spodziewając się lada chwila Niemców. Po przejściu przez najrozmaitsze wertepy, zbliżyliśmy się od południa do szosy i stwierdziłem, że znajduje się na niej jakiś most z rozwaloną poręczą. Sądząc, że to jest właśnie ten most wysadzony zbliżyłem się do niego, *avec des précautions infinies*, sam na czworakach i szukając min. Dąbek i Mickowski po moich śladach 30 m. z tyłu. Wreszcie wylazłem na szosę i stwierdziłem, że ten most w ogóle nie jest wysadzony, tylko cały. Przez chwilę przesądziłem głupotę naszych piechocińców i Francuzów i sądziłem, że ten most wysadzony w ogóle nie istnieje. Zawróciłem więc szosą prosto na wschód. Tymczasem Mickowski wynalazł jakiś rower damski w dobrym stanie, leżący koło domu w kupie gratów i chciał go zabrać. Nasłuchaliśmy się opowiadań jak takie przedmioty bywają zaminowane, wobec czego chcąc zrobić przyjemność Mickowskiemu, którego lubię, odesłałem ich obu na pewną odległość na drogę a sam zabrałem się do usunięcia rzekomych pułapek z roweru. Okazało się, że nie było żadnych wobec czego kazałem mu siadać na rower i jechać środkiem gościńca, a ja z Dąbkiem kroczyliśmy po bokach. Wiedziałem, że nic nam nie grozi od naszej placówki na szosie w Cupido, gdyż poczciwy kapitan w każdym razie zakazał jej strzelać, a chcieliśmy na pożegnanie trochę postraszyć tych ludzi.

Po drodze stwierdziłem, że w odległości 600 m. na wschód od mostu, przy którym znalazłem rower, znajduje się przecież most wysadzony w powietrze. Zdaje się, że od razu pierwszego dnia wysunąłem się 500 m. dalej jak 15 baon przez cały swój okres pobytu tamże. Dokoła mostu żadnych min nie znalazłem, pomimo intensywnego szukania. Natomiast przeprowadziłem z Dąbkiem fałszywą diagnozę wysadzenia, zdawało mi się bowiem, że most mogą nasze wozy pancerne objechać. Był to rezultat

mojego słabego zmotoryzowania i stał się przyczyną fantastycznych planów, które dalej snułem. Placówka na nasz widok dostała konwulsji i poszły meldunki, że „5 szwabów naciera". Śmiechu wśród nas trzech było co niemiara. Odesłałem Mickowskiego na rowerze do domu, a sam poszedłem z Dąbkiem wertepami do dowódcy kompanii, po drodze jeszcze raz zabłądziłem i musiałem się wracać do Cupido i wreszcie w dowództwie pomyliłem się i wziąłem na busoli kąt na południowy wschód zamiast na południowy zachód. Dzięki temu biedny Dąbek, rozpoznając wraz ze mną drogę na powrót do La Selva na przełaj, zmęczył się okropnie i nałożył drogi. Wreszcie, aby ukoronować tę tragedię pomyłek, podałem w meldunku do dowódcy szwadronu, że byłem na moście położonym o 500 m., za tym mostem z rowerem, podczas gdy w rzeczywistości miałem tam dojść w parę dni później, i że most wysadzony można objechać *Staghound*'ami. Wynikało to nie z mojej złej woli, gdyż chciałem złożyć meldunek jak najściślejszy, lecz ze zbyt małej ilości czasu, który poświęciłem na badanie mapy.

Na drugi dzień sprostowałem ten meldunek. Pierwszy patrol we Włoszech zostawił nam jednak, to znaczy mnie, Mickowskiemu i Dąbkowi miłe i zabawne wspomnienie.

## *IV. Nieudana zasadzka*

W środę 4.IV. byliśmy dość silnie obstrzeliwani przez artylerię i moździerze npla. Jeden pocisk dość złośliwie utrafił nawet w dom, gdzie zamieszkiwałem wraz z sekcją Siemieniuka, po uprzednim wyczyszczeniu stajni Augiasza, pozostawionej przez wojska Karola de Gaulle'a. Imponują mi swoim zachowaniem się Struś i Chołoń. Struś nie śpi ani w dzień ani w nocy, w nocy zresztą nikt nie śpi ale w dzień Struś zamiast się kłaść, siedzi na wozie i jak obłąkany przygląda się padającym dookoła pociskom. Chołoń natomiast jest najpilniejszym z wartowników. Stałby na ochotnika na posterunku cały czas: czuje się bowiem bezpieczniejszy na posterunku jak w łóżku. Aby mu dać stałe zajęcie i ulżyć strachu, zamianowałem go swoim ordynansem na czas pobytu w La Selva. Rano odwiedził mnie mój przyjaciel Daszewski, przynosząc hiobowe wieści. Mój dawny ordynans Myszka — ulubieniec Tarnowskiego — zaczyna przejawiać objawy wyraźnego rozstroju nerwowego. Ten może najbardziej milczący człowiek w pułku, ciągle coś peroruje na stanowisku, gestykuluje rękami i głową i w ogóle denerwuje się. Ten stan jednak szczęśliwie nie pogorszył się aż do końca na-

szego pobytu. Na ogół jednak wszyscy doskonale znoszą ostrzeliwanie, śpią, względnie jedzą konserwy. Nie wiedzą biedni, że artyleria długo nie trafia, ale pewien procent pocisków zawsze w końcu trafi. Jak się o tym przekonają, zaczną się bać trochę więcej. Poradziłem Strusiowi, aby w chwilach zdenerwowania śpiewał pieśń Hemara: „Albo mnie trafi, albo mnie nie trafi, a jak mnie nie trafi to wtedy do Naafi itd.". Przyjął tę radę z mieszanymi uczuciami.

W środę wieczorem wybraliśmy się do Geremia. Skład patrolu: ja, wachmistrz Juraszek (mój zastępca), plutonowy Wojak, st. ułan Szima, ułan Rydzik i ułan Żurnia. Oprócz tego ostatniego — sama „Karpacka Brygada", a Juraszek wsławiony działaniem w Polsce, gdzie zniszczył 7 czołgów pod rozkazami majora Zakrzewskiego, obecnego dowódcy pułku. Przed patrolem — jak to zwykle u mnie bywa — męczyłem się przez kilka godzin, przewidując najgorsze rzeczy. Wzięliśmy ze sobą wykrywacz min, aby przepisowo zbadać, czy są miny w pobliżu wysadzonego mostu.

Dochodząc do placówki w Cupido usłyszałem przejmujący okrzyk „czy to Adolf". Myślałem, że to co najmniej mój *cousin germain* tam przebywa i zdziwiłem się trochę na widok zupełnie nieznajomej twarzy. Okazało się, że to porucznik Chiliński z Propagandy — były adlatus naszego przyjaciela hr. Hutten Czapskiego — który się zgłosił na ochotnika do linii i pełni funkcje dowódcy plutonu w Cupido. Jeden z licznej rzeszy ludzi, którzy mnie znają (na ich nieszczęście), a których ja sobie nie mogę przypomnieć.

Podejście do Geremia było bardzo uciążliwe. Szedłem po ścieżce stromo w górę na czworakach jako pierwszy i z kolejno rozpoznawanych domów oczekiwałem w każdej chwili salwy ze Schmeissera prosto w twarz. W tym wypadku nic nie mogliśmy zdziałać, gdyż Juraszek ze względu na trudne przejście nie mógłby rozwinąć reszty plutonu. Prawdopodobnie mnie by Germanie zatłukli a reszta musiałaby się pośpiesznie cofać, aby uniknąć tego samego losu. Okoliczność, że to piszę, jest już jednak wystarczającym dowodem, że się tak nie stało. W Geremia zastaliśmy mnóstwo łusek po pociskach z moździerzy oraz opakowania tychże i stałe ślady pobytu wojska francuskiego, których nie będę opisywać. Nie odnaleźliśmy natomiast min wykazanych na szkicu francuskim. Owszem było ogrodzenie i concertiny i dom *minée,* ale kiedy z duszą na ramieniu wszedłem na czworakach w obręb tej concertiny i szukałem jakichś min względnie potykaczy, pomimo wysiłku nie udało mi się nic odnaleźć Siedzieliśmy tam około godziny czekając na npla, ponieważ i tak

z powodu concertiny nie mógł on tam dojść więc znudziłem się w końcu i zarządziłem ku ogólnemu zadowoleniu odwrót, zbliżając się zresztą mocno do rzekomego npla, tzn. skręcając na zachód w powrotnej drodze do szosy. Pan Bóg mnie wynagro dził za moją żyłkę rozpoznawczą, gdyż gdybym skręcił bardziej na wschód zamiast bardziej na zachód, byłbym prawdopodobnie trafił w samo pole minowe, nie oznaczone na żadnym szkicu francuskim, które parę dni później miała wykryć piechota z 16 Baonu.

W powrotnej drodze Juraszek, Szima i Rydzik zgłosili się na ochotnika, aby pójść nad ranem do Geremia, zostać tam cały dzień, obserwować co Niemcy robią na stoku w ciągu dnia i wrócić na drugi dzień do m.p. Zgodziłem się na to z entuzjazmem i ustaliliśmy, że wyjdą w piątek nad ranem i wrócą wieczorem. Rotmistrz Stryjewski tymczasem zachorował, a jego zastępca, w kołach pijackich Ludwiczkiem zwany, nie kładł żadnej tamy naszym inicjatywom.

Na razie odesłałem Juraszka z całym patrolem „do domu", a sam z ułanem Żurnią udałem się do kapitana Kowalewskiego, aby mu zakomunikować o wyniku negatywnym naszego rozpoznania. Kapitan w nagrodę za nasze czyny pseudo bojowe napoił nas obu z Żurnią doskonałym słodkim winem. Wyszliśmy więc obaj pod dobrą datą i po błądzeniu po wertepach, znaleźliśmy się na rogu szosy, gdzie czekał na nas dowódca lewoskrzydłowego plutonu 13 Baonu, wysmukły młodzieniec nazwiskiem Król. Człowiek ten musiał nabrać o nas dość dziwnego wyobrażenia, musiałem w ogóle bowiem robić największe wysiłki, aby nie gadać głupstw i perorować możliwie do rzeczy, tak mnie rozmarzyło na czczo to słodkie wino kapitaszy.

W Wielki Czwartek otrzymaliśmy od Niemców mniej pocisków, ale za to jakoś dziwnie gwiżdżące. Okazało się, że są to tak zwane pociski propagandowe pełne ulotek. Zapraszały nas one, aby się zgłaszać na placówki niemieckie z okrzykiem „do domu". Wtedy obietnica Führera i słowo honoru żołnierza niemieckiego „miało nam zapewnić pracę w domu". Ta ostatnia obietnica nie bardzo nam przemawiała do przekonania, gdyż rozleniwiliśmy się po tylu latach „zajęć wojskowych". Przez chwilę przeszło mi przez myśl, czy by nie wykorzystać tego hasła dla przejęcia jakiejś placówki niemieckiej, pomyślałem sobie jednak, że kawalerowi maltańskiemu nie wolno uciekać się do takich wybiegów.

Tego dnia wieczorem, tzn. 5.IV. wybraliśmy się na rozpoznanie grupy domów, która na szkicu nazywa się „Wielko Czwartkowa", gdyż rozpoznawaliśmy ją w Wielki Czwartek. Była to

kolonia złożona z kilkunastu domów, położonych na północ od szosy, w odległości przeszło pół km. na południowy zachód od Geremia. Z nastroju 15 baonu wnioskowałem, że Niemcy już chyba na pewno tam muszą być. Wyprawa więc była dość ryzykowna. Ponieważ z doświadczeń poprzedniego dnia wynikało, że, w razie odkrycia przez npla, wielki patrol i tak by nie wiele pomógł, więc zabrałem małe, ale dobrane towarzystwo złożone z mego przyjaciela Daszewskiego podchorążego i z ułana Gardziejewskiego. Muszę tu zupełnie obiektywnie stwierdzić, że podchorąży Daszewski wykazał zdumiewającą żywotność w czasie pobytu w La Selva. Pomimo bowiem, że właściwie ani razu nie spał w nocy, tylko pełnił służbę i odbierał telefony itp., znajdował jeszcze czas i fantazję, aby zbierać cenne wiadomości z całego świata, nawiązywać kontakty z tak cennymi osobami jak doktorzy, zastępcy dowódców baonów, z którymi przebywał wspólnie w Buzułuku, czy gdzieś tam i wreszcie *last but not least* rwać się na wszelkie patrole. Gardziejewski, prawnik ze Lwowa (właściwie z Kut, studiujący na Uniwersytecie Lwowskim), przeszkolony w armii sowieckiej, weteran jednej z kampanii sowieckich z Niemcami, przy tym niezwykle zdolny i pożyteczny ułan.

Wtedy dostaliśmy nasz włoski chrzest ogniowy z broni maszynowej, gdyż po dostaniu się do tej grupy domów i po jej rozpoznaniu musieliśmy widać za dużo hałasować tak, że czujka niemiecka, położona o paręset metrów wyżej na północ, otworzyła w naszym kierunku ogień prawdopodobnie ze Spandaua. Ogień ten pokrzepił nas na duchu i po stwierdzeniu, że w tych domach nie ma nic ciekawego, zeszliśmy na dół na szosę, mniej więcej 100 m. dalej na zachód od tego mostku, przy którym znalazłem rower dla Mickowskiego. Od mostku, o którym zameldowałem, że go rozpoznałem parę dni przedtem, byliśmy jeszcze ciągle oddaleni o 600 m. Podchorąży Daszewski chciał jeszcze zwiedzić jeden biały domek, położony paręset metrów dalej w kierunku npla na szosie, ale syt wrażeń (z powodu ostrzelania) zadecydowałem wrócić do domu, wstępując po drodze jak zwykle do dowódcy kompanii. Co do tego ostrzelania, to do dziś nie wiem, czy było ono naprawdę wymierzone przeciw nam, czy też raczej na wiwat. Skłaniam się jednak do ostatniej smutnej ewentualności. Kapitana znalazłem mocno zakłopotanego z rozkazem od majora Stańczyka w ręku. Major Stańczyk to dzielny żołnierz, były dowódca kompanii Ksawerego Pruszyńskiego pod Narwikiem, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i istotnie jeden z bohaterów walk w Norwegii. Wydał on kapitanowi Kowalewskiemu rozkaz, aby w dniu jutrzejszym rozpoznać, gdzie znajduje się przedni skraj pozycji npla, pola minowe

i porobić przejścia przez nie. Taki żołnierski rozkaz wywołał lekkie zaniepokojenie tych, którzy mieli go wykonywać. Już tego dnia — to znaczy w Wielki Czwartek — wyszedł patrol z kompanii położonej dalej na południe od naszego lewego sąsiada i miał rozpoznać m. Jiacunella, położoną bardzo daleko na zachód. Wyjście tego patrolu było nawet przyczyną dla której nie poszliśmy tego dnia po osi szosy, patrol wrócił nie przynosząc w ogóle nic. Nie można było ani określić dokąd doszedł, ani dlaczego zawrócił. Omówiliśmy z kapitanem, że na drugi dzień pracujemy razem. Kapitan zdradzał zresztą zupełnie innego ducha jak jego poprzednik. Saperów, którzy chcieli zakładać pułapki na jego terenie przegonił i wybrał się ze mną spacerowo *horribile dictu* — do wysadzonego mostu.

## *V. Nieszczęśliwy kabel*

Nad ranem Juraszek z dwoma akolitami wybrał się nad Geremia a ja oddawałem się przez dzień pracy z Morfeuszem. Pod wieczór Wielkopiątkowy Dowódca Pułku, major Stanisław Wysogota-Zakrzewski przybył do plutonu wraz z kapelanem, księdzem Janem Malinowskim i z dowódcą 3-go szwadronu rotmistrzem St. Stryjewskim. Dowódca Pułku wyglądał bardzo zmęczony i nie chciał się wybrać nad most wysadzony. Chciałem mu tam przedstawić projekty działania szosą na Atinę. Zdawało mi się wtedy, że wobec braku Niemców w sąsiedztwie mostu wysadzonego, można by skrycie podwieźć w ten rejon części mostu Bailey'a i wystawić taki most w ciągu godziny zanim by Niemcy mogli coś usłyszeć i wyrozumieć. Wtedy nasze *Staghound'y* w ciągu 10 minut mogłyby podjechać ze Selvy i przez zaskoczenie dokonać napadu na San Biagio i o ile możności dalej w kierunku na Atinę. Rozpoznanie dalsze wykazało fantastyczność mych planów, lecz do dziś dnia uważam, że oś San Biagio — Atina (ta ostatnia miejscowość położona 15 km. prosto na północ od Cassino) byłaby stosunkowo bardzo łatwa do sforsowania przez piechotę. W razie zjawienia się wojsk w rejonie Atina, możność dalszej obrony Cassino byłaby pod wielkim znakiem zapytania. Może jednak Aleksander lepiej wie.

Dowódca Pułku zwiedził nasze stanowiska i wysunął się nieco dalej naprzód, wskazując bardzo trafnie, gdzie właściwie powinny one się znajdować. Ze względu jednak na nikłość naszych zadań obronnych i na odległość tego przybytku, gdzie królował nasz nieoceniony Galiński, tzn. od kuchni, zgodził się na ich pozostawienie w dawnym miejscu. Dowódca Pułku zwrócił

mi ponadto uwagę na brak poważniejszych sukcesów naszych bratnich pułków kawalerii 15 i 12 (było to jeszcze przed pięknym sukcesem por. Wojciechowicza w 15) i wyraził życzenie, aby mój pluton działał energicznie, unikając przy tym strat w ludziach tak starannie wyszkolonych na wojnę ruchomą. Odpowiedziałem, że przygotowanie jakiejś akcji bojowej wymaga czasu. Mogę rozpoznać przedni skraj pozycji niemieckiej bardzo prędko, ze stratami. Jeżeli mam pojechać i zrobić bez strat, to muszę dalej działać swoim systemem czworakowym. Po dokładnym rozpoznaniu może się udać coś zrobić, choć to niepewne. Dowódca Pułku zgodził się z moim poglądem i obiecał w granicach swych możliwości jak najdłużej pozostawić pluton na froncie. W czasie rozmowy byłem trochę zdenerwowany, gdyż dochodziła godzina 10 wieczorem, a Juraszka nie było. W końcu jednak zjawił się Juraszek i Szima z Rydzikiem w doskonałych humorach. Dowódca Pułku i ksiądz Kapelan złożyli nam życzenia świąteczne, co zostało wdzięcznie przyjęte. Kapelan jeszcze zostawił papierosy i czekoladę dla plutonu, a ja zacząłem się wybierać na nowy patrol.

Wachmistrz Juraszek przyniósł bardzo ciekawe i ścisłe dane odnośnie do stanowisk npla na stoku góry, na północ od szosy. Okazało się, że były tam trzy stanowiska nocne i jedno dzienno-nocne. Z jednego z tych stanowisk zostaliśmy ostrzelani dzień przedtem. Z naszego punktu obserwacyjnego wszystkie miejsca, w których znajdowały się stanowiska, zostały dokładnie określone i ustalone. Poza tym zameldował, że widział o godz. 4.30 rano w bezpośrednim sąsiedztwie wysadzonego mostu, 9 Niemców, wychodzących z domu i idących do góry. Ponieważ jednak o tej godzinie było jeszcze wtedy zupełnie ciemno i ponieważ mógł to być także ten patrol piechoty, który ubiegłej nocy starał się dojść do Jiacunelli, więc nie przekazałem dalej tego ostatniego meldunku. Oświadczenia z dotychczasowych patroli i z następnych zdawały się zgodnie stwierdzać, że Niemcy są nieaktywni i w ogóle nie wychodzą ze swoich nor.

Teraz linia przebiegu pozycji niemieckiej zaczęła się jednak stawać dla nas coraz wyraźniejsza. Wybraliśmy się na patrol we czwórkę, ja, Gardziejewski, kapral Sufczyński z 3-go szwadronu i ułan Krasuski. Po drodze połączyliśmy się z patrolem piechoty pod dowództwem podchorążego Krukowskiego. Był to zdaje się „dziewiczy patrol" na wojnie. Podchorąży (bardzo przystojny chłopak) wyglądał trochę onieśmielony i oświadczył, że jego marzeniem było chodzić ze mną na patrole, prawdopodobnie nawiązywał do mojej działalności patrolowej w Tobruku. Zrobiło mi to pewną przyjemność. Powiedziałem podchorążemu,

aby sunął drogą za mną, aż do mostu, koło którego znalazłem rower. Tam on miał zostać ze swoimi na ubezpieczeniu i zaczekać aż ja osiągnę rejon domów Wielkoczwartkowych. Wtedy miał się bardzo powoli posuwać wzdłuż szosy na zachód, a my na północ od szosy. Wszystko odbyło się bez żadnych przeszkód ze strony npla. Chodziliśmy na północ od szosy, potem zeszliśmy na szosę w dół; ku naszemu największemu zdziwieniu w ogóle nie mogliśmy odnaleźć, gdzie się ona znajduje. Okazało się, że szosa jest kompletnie wysadzona w powietrze na długości około 250 m. w miejscu, w którym przebiega na stoku dość stromego jaru.

*Addios Machachas,* czyli do widzenia plany dywersji wozami pancernymi do San Biagio. Byłem pewny, że droga wysadzona jest również zaminowana, pomimo jednak energicznego obchodzenia jej na czworakach i szukania, żadnych min nie znalazłem. Nieprzyjaciel nie dawał znaku życia.

Na końcu zniszczonej drogi znajdowała się tylko tabliczka z napisem *Halten Verboten Feindeinsicht.* W odległości 200 m. od tabliczki znajdowała się grupa domów przy szosie. Przyznaję, że byłem pewny, że w tych domkach znajduje się placówka niemiecka. Wracając rozpoznaliśmy (nareszcie), ten most niesprawdzony, o którym meldowałem pierwszego dnia. Odległość od drogi wysadzonej od mostu wysadzonego wynosiła około 1500 m. i została dokładnie omierzona przez Gardziejewskiego. Po zbadaniu tego wysadzenia, zacząłem nareszcie rozumieć dlaczego Anglicy, Francuzi i inne sprzymierzone nacje tak powoli posuwają się we Włoszech. Jeżeli wszędzie rozpoznają jak na tej tak ważnej szosie do Atiny, to w ogóle nie wiedzą ani gdzie Niemcy są, ani co robią. Nie mogę sobie jednak przypisywać zasługi pierwszego rozpoznania tego odcinka wysadzonej szosy. Kiedy bowiem zjawiłem się z powrotem u kapitana Kowalewskiego, był już u niego podchorąży i dyktował mu raport właśnie o tym wysadzeniu. Obliczył tylko nieściśle długość wysadzenia na 30 m., gdyż doszedł tylko do miejsca, gdzie zaczynało się zniszczenie, a dalszy jego ciąg, był niewidoczny za zakrętem. Obiektywnie jednak rzecz biorąc, zdaje mi się, że zachęciłem podchorążego do bardziej energicznego działania, swoją obecnością na jego zagrożonym prawym skrzydle.

W nocy z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę, czyli z 8 na 9, zdawało mi się, przez chwilę że znaleźliśmy szukaną okazję. Ogólna sytuacja taktyczna zaczęła mi się wyjaśniać w łbie, a mianowicie że jakaś jednostka niemiecka znajduje się w miejscowości Rinaldo na stoku góry na północ od szosy, jakaś droga jest ubezpieczona na stoku stanowiskami, które do nas strzelały i

które widział Juraszek, jakaś droga komunikacyjna prowadzi do tej miejscowości i że to musi być ścieżka, idąca do San Biagio. Na tej ścieżce musiały niewątpliwie spacerować muły. Tam należało się przedostać. Z drugiej strony jednak, nie otrzymaliśmy żadnych zadań od naszych władz przełożonych, wobec tego, że ja jednak ułanów na patrol wyznaczałem, moja sytuacja zaczęła się stawać trochę drażliwa. Mogło się bowiem zdawać, że narażam ludzi bez żadnej widocznej potrzeby. Muszę stwierdzić, że przez cały okres czasu nie usłyszałem ani słowa skargi od żołnierza i morale był wspaniały. Oczywiście pomijam tu nieocenionego Galińskiego, który gotował przez 22 godziny, klął na czym świat stoi i narzekał na ból żołądka.

Taką on ma jednak już naturę, poza tym nadzwyczaj uczynny człowiek i świetny kucharz. Dobre nastroje nakładały na mnie jednak tym większy obowiązek oszczędzania ludzi, których z własnej inicjatywy ciągnąłem pod placówki niemieckie. Od tego czasu przeszedłem więc na system patroli ochotniczych. Stanowili ich skład: Henio Daszewski, Gardziejewski, plutonowy Wojak i kapral Jakubik. W Wielką Sobotę poza tym poszedł z nami ułan Piech. Chodziłem trochę niespokojny, gdyż Juraszek odjechał tego samego dnia do San Massimo na dwa dni urlopu, a w La Selva zostawał z podoficerów jedynie plutonowy Siemieniuk, na szczęście wyjątkowo sumienny człowiek.

Kapitan Kowalewski dodał nam jeszcze jednego podchorążego, tym razem małego, pękatego z wąsami, który coś tam miał rozpoznawać. Ponieważ widziałem, że biedak poci się okropnie, więc zaproponowałem mu, aby pozostał ze swoimi w domku zaznaczonym na mapie literą „D" (Dom imienia podchorążego Daszewskiego) i żeby tam czekał do naszego powrotu. Potem mieliśmy się podzielić meldunkiem. Podchorąży trochę protestował, ale wreszcie się zgodził.

Idąc północną stroną szosy, dostaliśmy się prosto na północ od tych zabudowań na szosie — za odcinkiem zniszczonym — w których według mych przypuszczeń mieściła się placówka niemiecka. W tym rejonie w sąsiedztwie górskiego potoku znaleźliśmy piękny nowy kabel telefoniczny. Narzucało się przypuszczenie, że jest to kabel łączący placówkę z miejscowością Rinaldo. Gardziejewski wpadł na pomysł, aby kabel przeciąć i czekać na niemiecki patrol telefoniczny, który go przyjdzie naprawiać. Uznałem projekt za genialny i przeciąwszy drut, przygotowaliśmy ładną małą zasadzkę. Ostatnie jej słowo miał stanowić kapral Jakubik, który pięścią w łeb zamierza unieszkodliwić Niemców. Po dwóch godzinach czekania ułan Piech zaczął ciągnąć przecięty kabel i okazało się, że jest on w sam raz 20 metrów długi.

Rozwścieczony postanowiłem rozpoznać grupę domów z wysadzoną szosą i stwierdzić, czy są tam Niemcy, czy ich nie ma. Zostawiłem więc patrol trochę na górze i sam zeszedłem na czworakach do domu. Stwierdziłem, że są równie puste jak kieszeń lamparta i rozpoznałem jeszcze jeden wysadzony most na szosie; po czym bez zachowania jakiejkolwiek ostrożności, wróciliśmy szosą, unosząc ze sobą tabliczkę z napisem *Halte verboten* itd. Piechociarze, kiedyśmy ich mijali w Cupido, już zaczęli gadać między sobą na nasz temat: „a to głupie buce, łażą i łażą, jeszcze nam jakieś nieszczęście naprowadzą".

U kapitana zastałem pękatego podchorążego, który już był się napił wina, przestał się pocić i twierdził, że ja jestem na moim trzystapięćdziesiątym patrolu, pomylił się o 293. Poza tym był tam również zastępca dowódcy baonu, kapitan Wyganowski, w stanie również podnieconym. Później okazało się, że to przyjaciel Henia Daszewskiego z Buzułuku. W czasie powrotu do domu Gardziejewski opowiedział mi, jak Myszka, biedny, przeżywa wszystkie nasze patrole. Podobno nie śpi aż do chwili kiedy nie wrócimy i bardzo się o nas niepokoi. Zdaje się, że jest naprawdę trochę do mnie przywiązany. Zrobiło mi to nawet przyjemność. Zresztą dał mi tego dnia dowód przywiązania wyczyściwszy po raz pierwszy od dwóch tygodni moje niemożliwie zabłocone buty.

W Wielką Niedzielę — *comme de raison* — zrobiliśmy pauzę z patrolami. Nie wypada chrześcijańskim rycerzom, za których się uważamy, czyhać w Wielką Niedzielę na naszych austriackich współwyznawców po tamtej stronie szosy. Noc była ciemna choć oko wykol, deszcz lał jak z cebra. Byłem pewny, że Niemcy będą się jakoś starali wykorzystać tę okazję, nie kładłem się więc spać i siedziałem przy romantycznym ogniu w kominie.

Po pewnym czasie zjawił się Henio Daszewski, który był w dowództwie baonu i dowiedział się od Wyganowskiego, że za parę dni mają nas zmienić Nowozelandczycy. Była to dla nas wieść naprawdę fatalna, gdyż nie mieliśmy ochoty opuszczać tej tak przyjemnej, samodzielnej, placówki w La Selva. Tego samego wieczoru otrzymaliśmy fatalną wiadomość o zranieniu w czasie nalotu w Cere Grosso porucznika Wołyńskiego, jednego z niewątpliwie najlepszych oficerów naszego pułku. Parę dni później mieli mu obciąć nogę powyżej kolana. Około północy Niemcy zaczęli gadać z gór przez obracalny mikrofon. Dezerter z 5 Dywizji śpiewał (bardzo licho) „O mój Rozmarynie" i namawiał nas do zgłaszania się na placówki niemieckie. Pomimo, że to wszystko nie miało żadnego sensu, ten głos z gór w ciemnościach robił dość przejmujące wrażenie. Około godz. 4 nad ranem

Niemcy wykonali swój nieudany wypad na brygadę włoską pod Monte Marone w naszym sąsiedztwie.

### *VI. Patrol niewykorzystanej okazji*

Na drugi dzień trochę podeschło i wybraliśmy się na patrol w tym samym składzie, tzn. ja, Henio, Gardziejewski, plutonowy Wojak i kapral Jakubik. Tym razem wobec niebezpieczeństwa zmiany mieliśmy silny zamiar wyjść na drogę łączącą San Biagio z m.p. kompanii niemieckiej w Rinaldo. Pierwszy szedłem jak zwykle ja, dopóki cierpliwość mi na to pozwalała i gdzie groziły miny (tzn. gdzieśmy jeszcze nie byli) na czworakach. Za mną Gardziejewski, potem Henio, potem Jakubik, jako ostatni — Wojak. Każdy miał obserwację w innym kierunku. Zaszliśmy najpierw bardzo daleko na zachód nad szosą, a potem skręciliśmy szosą prosto na północ pod górę. Idąc w ten sposób przed siebie musieliśmy się w końcu albo natknąć na nieprzyjaciela, albo wyjść na jego niechronioną linię komunikacyjną. Warunki atmosferyczne były sprzyjające, gdyż po pierwszym okresie bardzo ciemnej nocy (było to trzy dni po pełni) wyszedł księżyc i zrobiło się jasno. Osobiście zawsze wolę patrolować w noc jasną. Zobaczyć patrol — zwłaszcza w terenie górskim — jest niezmiernie trudno. Nasze kombinezony kompletnie zlewały się z poświatą księżycową. Kiedy oddalałem się na 30 m., Gardziejewski już mnie nie mógł zobaczyć. Natomiast nic łatwiejszego jak usłyszeć patrol. Otóż jest absolutną niemożliwością posuwać się cicho w górach, kiedy jest ciemno i kiedy jest błoto.

Teren natomiast był wybitnie niesprzyjający, wyszliśmy bowiem na stromy stok zasłany kamieniami, czyli tzw. piargą. Kamienie obsuwały się pod nogami, wywołując nieznośne dla ucha hałasy. Na szczęście dość obszerne doświadczenie patrolowe nauczyło mnie, że jedyną receptą na posuwanie się cicho, jest posuwać się bardzo powoli. Idąc więc noga za nogą, szczęśliwie nie byliśmy przez nikogo dosłyszeni. Wreszcie doszliśmy na jakąś obskórną ścieżkę górską, która szła wzdłuż kamienistego stoku w górę i na prawo. Skręciliśmy tą ścieżką i dalej do góry.

W pewnej chwili zbliżyliśmy się do szczytu, jeden szybszy skok i znalazłem się na wierzchołku siodła. Przede mną trochę w dół były wgłębienia, przez które przebiegała poszukiwana przez nas droga, potem znowu zaczynał się stok. Na prawo widać było jakieś domy, przed drogą w odległości jakichś 100 m. było słychać głośną rozmowę jakichś Germanów. Odniosłem w pierwszej chwili wrażenie, że posuwają się oni na drodze, zawróciłem

więc zaraz do tyłu, możliwie najostrożniej, aby przestrzec moich towarzyszy o sąsiedztwie nieprzyjaciela. W chwilę potem wyłonił się Gardziejewski, a następnie inni. Poświata księżycowa utrudniała zarówno Niemcom obserwację nas, jak i odwrotnie. Na podstawie obserwacji rozmowy, doszliśmy jednak do przekonanie, że nie mamy do czynienia z przechodniami, lecz z dwoma stanowiskami, które wzajemnie się asekurowały ubezpieczając jednocześnie drogę i wejście do Rinalda od zachodu. Niemcy nie spodziewali się niczego i głośno rozmawiali między dwoma stanowiskami, nawołując się po imieniu „Oswald", dialekt austriacki utrudniał nam zrozumienie co gadają.

Po dłuższym namyśle doszedłem do przekonania, że należy tych Niemców pozostawić w spokoju i odejść zadowalając się rozpoznaniem miejsca gdzie stoją. Powody rzeczowe, które skłoniły mnie do tej decyzji łączyły się ściśle z okolicznością, że zupełne zaskoczenie w tym terenie było niemożliwością z powodu piargi, która osypywała się przy każdym kroku. Ewakuacja rannych względnie zabitych po stoku, którym myśmy przyszli i pod ogniem, była niemożliwością. Wreszcie celem moim było złapanie nieprzyjaciela przechodzącego nie zaś leżącego z 1 k-emem.

Powodem psychologicznym była niewątpliwie obawa strat, a przede wszystkim straty własnej cennej osoby. Ze strony uczestników patrolu nie znajdowałem żadnego aktywnego ustosunkowania się do koncepcji natarcia na stanowiska. Podchorąży Daszewski ze wszystkich jeszcze najbardziej pozytywnie do czegoś takiego odnosił się, ale nie w sposób zdecydowany. Raz już w życiu przeszedłem przez podobne hamletyzowanie, a mianowicie w Tobruku, kiedy udało mi się przekroczyć linię drutów włoskich i wydostać się na ścieżkę prowadzącą z R6 do R7.

Ścieżką przechodziło dwóch żołnierzy włoskich. Ja leżałem o trzy metry od nich z granatem w ręku i hamletyzowałem, czy ich napaść, czy nie. W końcu zdecydowałem się ich przepuścić i zaatakować następnych po przejściu na drugą stronę drogi. W czasie przechodzenia wykryła mnie czujka włoska i cała linia dała takiego ognia, że musieliśmy czym prędzej zatrąbić na odwrót.

Ponieważ zanosiło się na deszcz, więc postanowiłem zaczekać godzinkę, gdyby bowiem zaczął padać ulewny deszcz, zdecydowany byłem zaryzykować *le coup de main*. Chwilę jednak siąpał i przestał. W międzyczasie podziwialiśmy wspaniały krajobraz. Naprzeciw naszego stoku roztaczała się góra Monte San Croce. Pociski naszej artylerii padały na jej zbocze. Co chwila widać było tam błyski wybuchów. Była to jak gdyby najwspanialsza scena z filmu wojennego. Wreszcie zarządziłem odwrót.

Bardzo znów ryzykowny — ze względu na osypujące się kamienie. Sam wychodziłem ostatni. Wojak protestował, gdyż z początku było powiedziane, że on ma iść ostatni. Nie przychyliłem się do jego protestacji, lecz ją przyjąłem wdzięcznie.

Przyznaję, że odchodziłem z tego patrolu wściekły i z wielkim *Katzenjammerem*. Do dziś dnia nie jestem pewny czy zrobiłem dobrze, czy źle, choć mój przyjaciel Daszewski tłumaczył mi, że dobrze, gdyż zaskoczenie było niemożliwe itd. Jednak jest rzeczą pewną, że *fortuna audaces iuvat*.

## *VII. La Queue de Poisson*

W międzyczasie wrócił z przepustki Juraszek i przywiózł naszych 6-ciu junaków. Zauważyłem junaków z papierosami w gębach, z łapami w kieszeniach jak włóczyli się przez cały dzień po śmietniskach i szukali niewypałów. Od razu pomyślałem, że spowodują wypadek i napuściłem na nich Juraszka. Postanowiliśmy jeszcze raz spróbować szczęścia. Względnie przesunąć nasze rozpoznanie dalej na południowy zachód, tzn. obejść odkryte wczoraj stanowiska niemieckie od zachodu. Wziąłem patrol w tym składzie, w jakim chodził dnia wczorajszego plus plutonowy Siemieniuk, Chołoń, Maciejuk i Jaroszę z 3-go szwadronu z rk.mem. Grupa Siemieniuka miała zostać w jednym z pustych domków i ewentualnie ubezpieczać nasz odwrót. Rozmaite czynniki złożyły się na niepowodzenie tej wyprawy. Przede wszystkim zapowiedź zmiany w dniu następnym działała na nas demoralizująco. Nikt nie ma ochoty przenosić się na tamten świat dzień przed końcem kampanii.

Miałem już dwa razy w życiu to uczucie, pod koniec kampanii wrześniowej i pod koniec kampanii francuskiej. Poza tym cały dzień padał znów ulewny deszcz i ziemia niemożliwie rozmokła. Dość powiedzieć, że idąc zgubiłem obie zelówki od moich trzewików. Dalej było ciemno choć oko wykol, gdyż księżyc coraz później wstawał. Kto nie chodził na długie patrole, nie wie jak w takich warunkach trzeba się wysilać, aby chodzić cicho. Rezultat był taki, że chodziliśmy tego dnia wyjątkowo głośno, zwłaszcza, że patrol był tak liczny i do tego jeszcze z Brenem.

Ta nasza ostatnia wyprawa wywołała wzmożone zainteresowanie dowództwa szwadronu oraz artylerii własnej. Pierwsze przejawiło się przez znaczny ubytek w konserwach, gdyż porucznik Ludwik Popiel przybył do Selvy, aby czekać na wynik patrolu i w międzyczasie energicznie konsumował. Nadzwyczaj realny, mądry człowiek. Gorzej było z artylerią, która chciała robić

przed nami *trommelfeuer*. Nie wiedziałem, jak się przed tym obronić, skutek byłby taki, że Niemców by zaalarmowali na dobrych parę dni, a nas by prawdopodobnie mocno przy tej okazji pokropili. Błagałem obserwatora artyleryjskiego, porucznika Łukasza przez telefon, aby zaniechał swych złowrogich planów. Na to on mnie zapewniał swoistym, rodzimym szyfrem, że będzie strzelał na północ od miejscowości, która zaczyna się od S., a kończy na O. Pytałem się zdziwiony, czy to San Biagio, na co on w oburzeniu odparł, że nie. Po tym przekonałem się, że bidołacha miał na myśli Saracinesco. Miejscowość San Biagio nazywa się w pełnym brzmieniu San Biagio Saracinesco, ponieważ napis Saracinesco jest ze względu na swoją długość wysunięty na mapie daleko na wschód, więc nasza sławna obserwacja artyleryjska, uważała, że Saracinesco to jakaś inna miejscowość. Nie wiem dlaczego przypomniało mi się wtedy: Niemcy mówią, że Warszawa *(Warschau)*, to najsmutniejsze miasto na świecie. Zaczyna bowiem na „W" (Weh), kończy się na „Au", a w środku w ogóle nie można wymówić, gdyż *Arsch* w języku niemieckim jest słowem niecenzuralnym.

Dość, że hałasowaliśmy zanadto na tym patrolu i skręciliśmy trochę zanadto z drogi na zachód i za mało na północ. W pewnej chwili dwie czujki niemieckie, położone w miejscu, gdzie linia niemiecka przestaje przebiegać ze wschodu na zachód i skręca z północy na południe, ostrzelały nas rakietami, przypominając trzem spośród nas (ja, Wojak, Jakubik) drogie wspomnienia tobruckie. Grupa rkm. w świetle rakiet niezbyt poprawnie się zachowała zdradzając objawy nadmiernego zdenerwowania. Nie było nic skandalicznego, ale ogólny nastrój był lękliwy. Widząc że jesteśmy odkryci, zarządziłem odwrót zadowalając się dokładnym ustaleniem, gdzie przebiega przedni skraj pozycji niemieckich. Istotnie, jak dochodziliśmy do szosy, moździerze niemieckie zaczęły intensywne pokrywać *no-mans-land* pociskami, a wkrótce i cała linia niemiecka poczęła na wszelki wypadek strzelać z broni maszynowej. Pocisk moździerza upadł nawet bardzo blisko mojej osoby i popchnął mnie pędem powietrza. Odchodziłem przeświadczony, że niemiecki system obrony, polegający na unikaniu domów i zabudowań i ustawianiu o pareset metrów po dwu wzajemnie ubezpieczających się czujek, jest o wiele lepszy od naszego umieszczania całych plutonów w domkach i czekania aż Niemcy je otoczą i wyrżną. Całe szczęście, że są oni tak mało aktywni.

Tego samego dnia Nowozelandczycy zmieniali naszą piechotę. Poszedłem do kapitana Kowalewskiego w nocy, dziękowaliśmy sobie nawzajem serdecznie za współpracę. Major nowozelandzki,

który przyjmował odcinek od piechoty wyglądał na człowieka znudzonego wojną i nie zdradzał zainteresowania dla wyników naszych rozpoznań. Zadowolony jednak byłem, że ten ostatni patrol odwrócił uwagę npla od odbywającej się zmiany.

W ciągu następnego dnia zaczęły napływać rozmaite oddziały nowozelandzkie do La Selva. Było dla mnie pewnego rodzaju satysfakcją, że mogłem im zupełnie dokładnie przedstawić sytuację na szosie i przebieg linii npla. Zdaje się z tego, co mówili że nawet to ocenili. W stosunku do naszych poprzedników francuskich był to nielada postęp.

Tego samego dnia zdarzył się przewidywany wypadek i trzech junaków oraz jeden ułan z 3-go szwadronu uległo zranieniu przez niewypał. Większe straty jak te, które moglibyśmy byli ponieść, gdybyśmy podjęli jakąś solidną akcję. Dowódca szwadronu żądał, aby podać dwie osoby do „Krzyża Walecznych", chciałem podać Daszewskiego i Gardziejewskiego, którzy moim zdaniem najwięcej zasługiwali, ale oni słusznie uważali, iż nie ma wystarczającej materii do odznaczenia. Podałem więc plutonowego Wojaka i Rydzika, który na ochotnika się zgłosił na obserwację dzienno-nocną.

W ostatnią noc dali nam szalonego łupnia z artylerii. Walili przez całą noc w Selva i jej okolice, przeplatając to przemówieniami po polsku przez mikrofon, że idziemy pod Cassino i że jedyna chwila, aby się poddawać itd.

W nocy z 13 na 14 kwietnia, odjechaliśmy ze Selvy w makabrycznych naprawdę wojennych warunkach. Deszcz lał jak z cebra i było tak ciemno, że na metr przed sobą nie było nic widać. Jedyne światło pochodziło z pocisków artylerii nieprzyjacielskiej które rozbijały się dookoła. Musieliśmy włożyć na plecy ręczniki i posuwać się tuż przed wozami, pokazując im w ten sposób drogę.

Na zakończenie muszę przeprosić czytelnika, jeżeli w ogóle znajdzie się takowy, z wyjątkiem Andrzeja Tarnowskiego, który z braku czegoś innego do roboty, czyta te elukubracje i któremu je dedykuję na wspomnienie dwu lat przebytych wspólnie pod jednym dachem namiotowym. Otóż muszę przeprosić czytelnika, że tak długie zaprzątanie mu głowy tak beztreściwym błahym tematem. Zdaje się jednak, że opisałem dość wiernie jak wygląda wojna pozycyjna w górach włoskich.

Nowozelandczycy w noc naszego odejścia, na odcinku na prawo od nas wzięli 7-miu jeńców, mając sami jednego ciężko rannego i pięciu lekko rannych.

*Adolf BOCHEŃSKI* ppor.

# Garść wspomnień o jubilacie Strzetelskim

W jesienny nowozelandzki dzień, to znaczy w maju — bo tutaj wszystko odwrotnie — i właśnie idzie zima, przyleciał list z Paryża. O jubileuszu Strzetelskiego. Może by coś na ten temat napisać...

Tak. Ten list stuknął mnie w mózg, w komórkę w której gromadzą się wspomnienia.

Jubileusz pana Stanisława. No, tutaj rzeczywiście byłby powód do napisania felietonu. Jak to lat temu tysiąc, bo przed drugą wojną, na przyjęciu w Warszawie u konsula francuskiego (z powodu wystawy Kapistów) powiedział Józef Czapski: Żeby pisać trzeba mieć powód...

Myślałam, że już na zawsze zamieniłam pióro (zresztą trzeciorzędne) na grabie do zbierania jabłek, fig i purpurowych guaw, które się sypią z drzew na wiecznie zielone trawniki (a trzeba je na gwałt sprzątać sprzed dziobów łakomych mynh i kosów), że zamiast piórem będę wymachiwać sekatorem obcinając łamiące się od ciężaru owoców gałęzie cytrynowego drzewa, które przeżywa tutaj jednocześnie trzy sezony — dojrzałe złociste cytryny sąsiadują z zielonymi, a wśród nich mienią się chińskim wzorem biało różowe kwiaty, oblepione drobniutkimi czarnymi mrówkami... Tymczasem takie jedno odezwanie się a „może by tak..." wytrąciło mi z rąk ogrodnicze narzędzia.

No, bo jakże... Ten Stanisław, „Staszyk" (to po lwowsku), Murzynek (i tak go nazywano, miał przecież takie smoliste oczy i grube wargi) to ktoś kogo się znało od 1923 roku, to jest od dnia gdy panna z Kresów, ofiara rewolucji, już bez posagu i nadziei dziedziczenia latyfundiów po ciociach i stryju musiała szukać pracy i dostała się jako praktykantka-dziennikarka do

„Gazety Warszawskiej", gdzie o tym decydował młody, ale już ważny, pan Redaktor Strzetelski...

Jeśli wliczyć okres emigracyjnej roboty pana Stanisława na terenie Paryża, Portugalii i Nowego Yorku — to się ma przeszło czterdzieści lat wspomnień...

Od nowojorskiego kamiennego labiryntu i od emigracyjnej harówki w okresie wojny, a następnie zimno-wojennej propagandy (Byle nie u nas! byle nie u nas! niech u innych będzie gorąco!), odgrodziłam się Spokojnym Oceanem, zresztą niesłusznie tak przezwanym, bo miewa huraganowe ataki złości i prycha trąbami morskimi gdy go coś rozgniewa.

Od paru lat żyję na tych antypodach za kurtyną świetliście błękitnego nieba nowozelandzkiego (tutejsi mieszkańcy już go nie widzą i dziwią się gdy przybysze z zadymionych metropolii gapią się w górę z takim zachwytem, jakby pierwszy raz zobaczyli niebo). Mieszkam w dwuosobowym drewnianym domku, na kurzych stopkach, bez piwnicy w dużym ogrodzie z dala od tego co mnie drażniło i wytrącało z równowagi na terenie Ameryki. Podczas 33-dniowej jazdy frachtowcem wrzuciłam w pienistą topiel, rybom latającym na żer balast wspomnień przykrej zależności od „bossów" nieraz nieciekawych, ale zachowałam w sercu obrazki miłe z przedwojennej przeszłości.

Gdy doszłam gościńcem wśród ukwieconych żywopłotów do poczty, oddalonej o milę, ale stanowiącej cel codziennej pielgrzymki (to już winna odległość dwunastu tysięcy mil, że się stale wypatruje listów) a w skrzynce znalazłam list z Paryża o jubileuszu i żeby może coś na ten temat napisać, to mi cały horyzont zatańczył jak podczas trzęsienia ziemi.

Na falach Pacyfiku zakołysał się pokój redakcyjny, niby skrytka wyjęta z wnętrza kamienicy przy Nowym Świecie. Znikło „dzisiaj" — było znowuż „wczoraj", w latach 1930-tych.

W pokoju redaktora gromadka starych znajomych. Po wydaniu numeru rozmówki, na temat numeru jutrzejszego. Jest pan Stanisław jak zwykle niby to zajęty pisaniem, ale biorący żywy udział w dyskusji, Irena Pannenkowa z marsem na bladej twarzy okolonej szpakowatą czupryną chodzi z głową pochyloną, wpatrzona we własny wskazujący palec, jakby chciała na nim myśl posadzić i przyjrzeć się jej dokładnie. Przy oknie, zawsze na uboczu, milczek łagodny, lecz z ironicznym uśmiechem Władysław Zambrzycki, autor wspaniałej powieści „Nasza Pani Radosna", a w redakcji pełen ekscentrycznych pomysłów (na przykład prowadził przez jakiś czas astrologiczne porady dla amatorów totalizatora, co go raz naraziło na niebezpieczne zetknięcie się z kilku obrażonymi dżokejami); w fotelu wygodnie rozparty Tadeusz Do-

łęga-Mostowicz, ubrany według ostatniej mody, ale zbyt efektownie.

Jest to okres ujarzmiania prasy opozycyjnej (to niby my) przez rządowców spod znaku BBWR, więc tematów nie brak, choćby sprawa wybitych szyb kamieniami rzucanymi przez rycerzyków spod znaku Strzelca. Ale są i problemy weselsze. Mostowicz staje się coraz głośniejszy, jego powieści zyskują pismu setki abonentów, pensjonarki wyrywają sobie dalszy ciąg przygód jego bohaterek, z których każda przeżywa codzień mocniejsze erotyczne dreszcze.

Jakbym słyszała w szumie drzew pieprzowych mego ogródka, przy akompaniamencie muzyki cykad, głosy Strzetelskiego i Mostowicza. Jakby słowny pojedynek. Miała się za parę dni pojawić nowa jego powieść, osnuta na tle teorii dziedziczności, ale od razu w pierwszym odcinku nakreślił tak sugestywną scenę miłosną, że na pewno znowu nadejdzie list od sędziwego arcybiskupa Jałbrzykowskiego by przestać drukować bezeceństwa, które zakłócają spokój młodych nowicjuszek.

Strzetelski zawsze dobrotliwy, ale uporem nadrabiający brak szorstkości zdołał już przekonać autora, że w tej formie „to iść nie może", że tę powieść trzeba odłożyć, ale jednak musi teraz coś dać, bo czytelnicy uwierzyli hucznym zapowiedziom i czekają z zapartym tchem na nowego Mostowicza.

Czemuż nie mieliśmy maszynek do nagrywania rozmów. Dzisiaj każdy bałwan ma taką zabawkę i łowi na taśmę bzdurne słowa własne i cudze. Gdyby się zachowały dialogi Strzetelskiego ze współpracownikami z którymi nieraz staczał homeryckie boje, to by dopiero był „bestseller".

Owego dnia, który ukazał mi się na ekranie pamięci, nasza paczka była świadkiem laboratoryjnego procesu poczęcia się książki nie w jednym ale w dwóch mózgach.

Mostowicz blady, zirytowany uparł się, że nie będzie nic innego pisać. Bawi się ciężką pozłacaną papierośnicą, nabijaną herbami i autografami (kupił ją w lombardzie). Strzetelski także już trochę zły, wstaje od biurka i zaczyna się przechadzać. Mruczy pod nosem, marszczy czoło, wydyma wargi i nagle zaczyna snuć wątek pierwszego rozdziału nowej powieści...

Powiedzmy, że jest zima, śnieg, późny wieczór... Idzie facet wykończony bez grosza, bez nadziei, w ogóle żywy trup... Nagle z tramwaju wyskakuje goniec z plikiem dokumentów. Gubi kopertę w śniegu, sam znika w tłumie przechodniów. Desperat podnosi list. Waha się, w końcu otwiera... Widzi oficjalne zaproszenie. Na zamek, do prezydenta.

— No to rozumi pan — zwraca się do Mostowicza — „jak to si rozwinie... Grunt żeby się tam dostać. Zaryzykuje.

Ma frak, z lepszych czasów, ma lakierki. Pójdzie. Na zamku spotka ludzi, którzy pomogą mu dostać się na szczyty... No, idźcie kochany do domu, pan na pewno zrobi coś wspaniałego...

Mostowicz przerywał mu, złościł się jak dziecko, siadał, wstawał, groził, że „mowy nie ma", „na zamówienie nie potrafię", „to w ogóle nonsens"... Ale wreszcie ponurym głosem obiecał, że się postara. Jutro przyśle pierwszy rozdział, ale czy da następny to wielkie pytanie. I tak, jak to on, prawie bez pożegnania machnąwszy dużą ręką o palcach jak młotki, wypadł z redakcji.

A następnego dnia zaprezentował się Warszawie nowy bohater Mostowicza, Nikodem Dyzma, który od razu wciągnął swego autora na szczyty lokalnej sławy. (Jaka szkoda że we wrześniu 1939 roku niemiecka bomba położyła kres dalszym sukcesom utalentowanego pisarza).

Można by spory tom napisać o tych redakcyjnych spotkaniach, bo przez pokój Strzetelskiego od roku 1920, gdy zaczynał pracę w piśmie „Rzeczpospolita" a w dwa lata później w „Gazecie Warszawskiej", zaś od 1925-ego w założonym przez siebie „ABC", a następnie w „Wieczorze Warszawskim" i „Kronice Świata" — miał pan Stanisław przedziwną gromadę przyjaciół i współpracowników. Ludzie najbliżsi sercu, bo Lwowianie, koledzy uniwersyteccy ze Lwowa i Wiednia, ludzie z którymi wiązały go przeżycia wojenne, którzy pamiętali jak to aresztowany przez Austriaków 19-letni żołnierz Wschodniego Legionu siłą wcielony do armii austriackiej wolał zostać dezerterem, niż wiernie wysługiwać się c.k. rządowi.

Bywali i tacy w jego redakcyjnym pokoju, którzy pamiętali „Staszka" z jego siedmiomiesięcznej wędrówki w 1918 przez całą Rosję, w ogniu rewolucji, aż do Murmanska na Lodowatym Oceanie. Po rosyjsku ani w ząb, mówił wprawdzie trochę po ukraińsku, umiał też zaśpiewać pięknym barytonem NE HODY HRYCIU NA WECZERNICU, co by w Rosji bolszewickiej nie wiele mu pomogło. Więc udawał głuchoniemego.

Pamiętam jak kiedyś opowiadał, że najtrudniej bywało zaraz po przebudzeniu nie zdradzić się, gdy padło nagłe zapytanie a jemu rwała się na usta odpowiedź. Ale jakoś wytrzymał, paty z ust nie puścił, dotarł do Murmanska a stamtąd w styczniu 1919 r. do Paryża do Komitetu Narodowego Polskiego. Więc później widywało się w redakcyjnych pokojach na Zgoda i Szpitalnej, na Nowym Świecie wreszcie w Alejach Jerozolimskich ludzi co go pamiętali i ze Lwowa, i z „Widnia", z Rosji i Paryża jako 24-letniego uczestnika konferencji pokojowej, to znów z krótkiego okresu w warszawskim MSZ gdzie był radcą wydziału prasowego. Na szczęście dla siebie nie zastygł w postaci figuranta w tym naszym muzeum figur przeważnie woskowych, bo od roku 1920

był już redaktorem w „Rzeczypospolitej" przy Strońskim — przyjaźnił się ktedy z Makuszyńskim i Perzyńskim, a po sprzedaniu pisma przez właścicieli, jak złośliwie mówiono: z inwentarzem martwym i żywym, w „Gazecie Warszawskiej" do 1925 r. za czasów Zygmunta Wasilewskiego, Hłaski, Zygmunta Raczkowskiego, pani Zofii Osbergerowej (prototyp bohaterki „Bez Dogmatu"), poety Stefana Godlewskiego, autora Grabinki. Pracował też w „Bibliotece Dzieł Wyborowych" zaś od 1925 we własnym już dzienniku „ABC"

Wtedy dopiero zaczęły się dla niego czasy prawdziwie twórczej pracy. Mógł już dawać folgę śmiałym pomysłom, angażować znanych pisarzy, pomagać wybijać się młodym. Stwarzał bowiem odpowiednią atmosferę, właśnie dzięki tym codziennym swobodnym, przyjacielskim pogaduszkom w redaktorskim pokoju-watsztacie. Miał zawsze na to czas, bo pisanie artykułu wstępnego zabierało mu najwyżej godzinę.

Raniutko, najpóźniej o 7-ej, siedział już przy biurku nad stosem komunikatów i dzienników. Pismem drobnym, równym, pisał jedną szpaltę niemal bez poprawek, bez tych znienawidzonych przez zecerów „balkoników". Nic dziwnego, że go później zaproszono na Wolną Wszechnicę by uczył adeptów dziennikarskiego rzemiosła „jak to się robi".

Po odesłaniu artykułu do drukarni należał już do wszystkich. Zaczynała się wtedy codzienna szałówka rozmów, gdy na fotelach, gzymsach okien i na biurku rozsiadało się towarzystwo hałaśliwe, wiodące burzliwe spory polityczno-literackie przerywane wybuchem śmiechu, gdy padł dowcip lub aktualna zwykle „niebłagonadiożna", anegdota.

Strzetelski ma talent gromadzenia wokoło siebie ludzi, którzy w innych warunkach nawet by nie chcieli ze sobą gadać, co by to się działo, gdyby dyrektor zoologicznego ogrodu zamknął w jednej klatce tygrysa z królikiem, lub krokodyla z małpą. Ale u Strzetelskiego najmniej zgrane towarzystwo doskonale się czuło i zachowywało wcale przyzwoicie. Umiał dyrygować każdym zespołem, wtrącając swoje trzy grosze, tym miłym lwowskim akcentem:

„Cuśś takiego!... Niesłychany!... To bbardzo ciekawy!... No, ale może warto by zmienić temat... To wariat! (komuś na boku szeptem), nie trzeba brać na serio... On zawsze taki arogant, ale to faajny facet..."

Więc i Nowaczyński każdego kłujący żądłem dowcipu jak grzechotnik mógł sąsiadować z bezradnym w takiej sytuacji Romanem Wasilewskim, porywczym i naiwnym jak Skrzetuski (zginął we wrześniu broniąc Warszawy); Pannenkowa-rabin w spódnicy, zresztą szczera katoliczka (ochrzcił ją sam arcybiskup Teo-

dorowicz), młodzi rebelianci endeccy z grupy Oenera (ci kolejno umykali na drugą stronę barykady); sarkastyczny Wojciech Zaleski i Janek Somer, nasz redaktor „od siedzenia" (biedak coraz częściej odsiadywał na Mokotowie kary za artykuły, które nie podobały się „pułkownikom". Te jego przygody w więzieniu zasługują na osobny opis). Malarze starzy i młodzi, weteran Tytus Czyżewski, Maja Berezowska o rubensowskich kształtach i niewinnym spojrzeniu (wróciła z Paryża gdzie miała moc przykrości ze swym albumem o miłosnych przygodach Hitlera); dwaj bracia Piaseccy — głośniejszy Stanisław później redaktor „Prosto z Mostu", cichszy ale niemniej inteligentny Władysław (dzisiaj dyrektor biblioteki górniczej w Krakowie); Jan Władysław Grabski, zięć b. prezydenta Wojciechowskiego, rozdający szczodrą ręką pożyczki poetom i malarzom na wieczne nieoddanie; zawsze trochę pod gazem uroczy w berecie baskijskim, Gałczyński, którego Strzetelski w okresie jego finansowych kłopotów uprosił o codzienne dostarczanie — za cenę trzystu złotych stałej pensji — czterowierszowego aforyzmu dla „Wieczoru Warszawskiego".

Ilekroć dyskusja zamieniała się w kłótnię redaktor uciekał się do niezawodnego sposobu: wydawał z siebie przerażone „ACH!", wytrzeszczał oczy, zerkał na zegarek i chwytał się za głowę:

— Bójcie się Boga! zapomniałem... Ja mam dentystę. No, to pa! pa! pa!

I wiał. Ten mityczny dentysta ratował go także w momentach gdy się punktualnie zgłaszali powiedzmy o 11-ej rano, zaproszeni przez grzeczność, ale nie na serio tacy, którzy każdego redaktora biorą na serio. Jak gdybym słyszała:

— Bójcie się Boga! To oni są już tu! No, to ja drugim wyjściem. Błagam, pogadajcie z nimi, ale po kolei!

— To po cóż pan ich zamawiał?

Przepraszające spojrzenie.

— Jakoś nie wypadało odmówić...

Pan Stanisław ma to, co Francuzi nazywają „złe strony swoich dobrych stron (les défauts de ses qualités). Zbyt miękki żeby powiedzieć po prostu „proszę won", albo wręcz — „ja tego nie zrobię". Nie... każdy otrzymywał szczery (zawsze) uścisk dłoni, przyjazny uśmiech i zapewnienie: „Ależ naturalni... To si zrobi... Niech pan przyjdzie za tydzień..."

Nie warto gadać, co było za tydzień. Ta sama historia aż do skutku, to znaczy do zerwania stosunków, a po jakimś czasie automatycznie do ich naprawy, bo jednak w końcu wszystko co uznał za konieczne jakoś „pomyślni" załatwił i był z reguły *happy end*.

Oprócz dentysty, ratującego w trudnych sytuacjach, ma mocne zaplecze domowe. Śliczną panią Janinę, niezłomną strażniczkę

ogniska domowego, zawsze cechowały mocny lwowski akcent i bałwochwalcze uwielbienie dla męża. „Staszyk" dla najbliższej rodziny (żona, dwie udane córki) był i jest geniusz. Kropka. Mając takie oparcie we własnym domu prowadzonym tak, by oszczędzić mu najmniejszych nawet kłopotów — mógł bez reszty poświęcać się pracy redaktorskiej.

Gdyby kto chciał określić go jednym słowem, nasuwałaby się jedna tylko definicja: nieuchwytny. Zarówno jako redaktor umawiający się z pięciu ludźmi, na tę samą godzinę, jak i polityk wyślizgujący się z każdego rodzaju kleszczy i pułapek, nie wyłączając klatki endeckiej dyscypliny, później w latach 1930 do 1934 z szerszej ale krępującej areny sejmowej (cztery lata posłowania), zawsze potrafił uniknąć wiązania się z koteriami, których w Polsce było zatrzęsienie: flirtował, ale się nie żenił. Trudno więc wśrubować tego jubilata w jeden postument, z jedną marmurową tabliczką. Nikomu nie udało się go skatalogować. Sprzeczano się przecież o to, czy on Morżowiec, czy ChaEn, (no bo Stroński), czysty endek z obozu Dmowskiego, czy też bliższy ludowcom, a może grupie przemysłowej Kwiatkowskiego. Ciągle był tylko sobą, łatwo zapalającym się, ale też łatwo stygnącym po bliższym przyjrzeniu się swym ideałom — panem Stanisławem. Ale z każdego kolejnego okresu zachowywał co najmniej paru nowych przyjaciół, co przyczyniało się do powiększenia tłumu gości we wszystkich kolejnych redakcjach.

Za złotych czasów sanacji zdołano pozbawić Strzetelskiego warsztatu pracy, gdy mu stołka podstawił, a raczej stołek redaktorski spod siedzenia wysunął, dawny jego ideał, zbańczony finansista, który zagwarantował pułkownikom przyzwoite zachowanie się „Wieczoru Warszawskiego" podczas kampanii wyborczej BBWRu, zresztą po zwycięskich wyborach „Wieczór" zwrócono prawowitym właścicielom, zaś biznesmana opisano niełądnie w protokóle Sądu Handlowego.

W dniu eksmisji Strzetelski o 7-ej rano wstał od biurka i wyszedł z redakcji z grupą lojalnych współpracowników, a do jego pokoju wkroczył nowy redaktor Babiński wydawca „Merkuryusza", który czekał w pobliskiej kawiarence na sygnał. Ale już w parę tygodni później pan Stanisław pisał wstępny artykuł dla nowo założonego pisma „Goniec Warszawski", tylko że wszyscy zgodzili się pracować „na wariata", za byle co, aż pismo finansowo się umocni. Z kilkuset złotowych pensji zleciało się na maksimum 150 złotych, co niejednego z nas wpakowało w kłopoty mieszkaniowo-jedzeniowe. Nikt jednak się tym nie przejmował, bo każdy z nas wierzył że „jakuś to będzi"... Z Panem Stanisławem trochę jak u Szwejka „nigdy tak nie było, aby jakoś nie było".

Aż wreszcie doczekało się bractwo własnego dużego gmachu w Alejach Jerozolimskich, gdzie sprawy administracji poprowadził także wierny przyjaciel z dawnych lwowsko-paryskich lat, Bolesław Biega, radca ambasady w Londynie za Skirmunta. Wolał wycofać się z coraz bardziej grząskiego gruntu i przyszedł pomagać „Staszkowi". Wtedy dopiero zaczęto nam płacić pensje na czas i nie na raty, co spowodowało kilka dziko radosnych wypraw na wódkę i nawet jeden powrót zarekwirowanym przez Tadeuszka Miciukiewicza karawanem firmy Łopacki (szofera także spojono).

W nowej siedzibie dzielił pan Stanisław sukcesy ze Stanisławem Piaseckim i Zdzisławem Bronclem, którzy, dzięki temu iż pan „Staszyk" pozostawiał wolną rękę młodym pisarzom, szaleli rozszerzając dział krytyk teatralnych, muzycznych i literackich. „Kronika Polski i Świata" to było podwórko do którego redaktor się nie wtrącał z wyjątkiem strony politycznej. Cóż to za galeria malarskich, teatralnych, muzycznych fizjonomii przesunęła się przez ciasne pokoiki redakcyjne...

Był to również okres gorączkowej działalności politycznej, o której inni wiedzą na pewno więcej ode mnie. Trzy wielomiesięczne podróże po Afryce, jedna do Ameryki, wywiady na mieście, tłumaczenie na gwałt powieści do odcinków — wszystko to sprawiało, że byłam tylko muchą z bajki Lafontaine'a na nosie woźnicy. Z tą różnicą, że nigdy nie łudziłam się iż popycham wóz i to w wiadomym mi kierunku...

Ferment był coraz mocniejszy, opinie się ścierały. W przeczuciu nadciągającej burzy dziejowej tworzyły się grupy polityczne, zmieniały orientacje; młodzież zbuntowana szukała nowych dróg; starzy politycy plątali się w sieci wyświechtanych haseł, na które nikt się nie dawał nabrać, a pięć minut przed dwunastą zaczęto marzyć o jakiej narodowej ogólnej zgodzie...

Ostatnie dni wzlotów i upadków skończyły się katastrofą września.

Strzetelski ruszył do Lublina specjalnym pociągiem dla prasy. Miała to być kwatera nowego ministra propagandy — Grażyńskiego. Biedak wierzył — o święta naiwności — że w Lublinie będą spokojnie, w komfortowych warunkach, układać komunikaty z frontu i wywiady z bohaterskimi wodzami, aż do dnia bliskiego zwycięstwa nad wrogiem, który miał być zmiażdżony kopytami polskiej kawalerii.

„Pan Staszyk" do Lublina nie dojechał, mimo iż go kuszono teką wice-ministra propagandy. Wraz z Adamem Romerem, wiceprezesem Syndykatu Dziennikarzy, zdobył wóz z końmi i pojechał po rodzinę i przyjaciół Kuncewiczów, zaś Romer wrócił do bombardowanej Warszawy, skąd później wydobył się na zachód

ratując także żonę ministra Stańczyka, której na pewno groziłby piec ognisty Majdanka.

Spotkałam Strzetelskiego dopiero wiosną 1940 roku w Paryżu, gdy sama zdołałam uciec spod niemieckiej okupacji z ciężko chorą matką przez Triest i Rzym na „rue Bassano", gdzie już rządził pierwszy zwierzchnik Strzetelskiego z dawnych lat, wspaniały Stroński, jako minister propagandy rządu polskiego ale... na wygnaniu.

O późniejszych wcieleniach jubilata w charakterze propagandzisty w Paryżu, Lizbonie i Nowym Yorku będą pisać inne, poważniejsze, Kadłubki — ja wolę zachować tego jubilata w pamięci, z czasów gdy był naczelnym redaktorem, a my dziennikarzami pracującymi może w skromniejszych warunkach, w kraju ubogim, ale na własnych — nie na cudzych śmieciach.

Tauranga, Nowa Zelandia

*Ludwika CIECHANOWIECKA*

# Refleksje śląsko-mazowieckie

Parę miesięcy temu dostałem z Polski kilka nowych płyt z nagraniem „Mazowsza" i „Śląska".

Przez pierwsze kilkanaście dni działały na mnie te płyty jak najlepsze wino.

Co wieczór wprowadzały w stan pogodnego liryzmu przypominając Polskę z tej najprzyjemniejszej, najczystszej strony. Po pewnym czasie jednak wino wywietrzało, a będąc z zawodu muzykiem zacząłem — *nolens volens* — iść za głosem mojego zawodu, nastawiając również pod tym kątem ucho na te nagrania.

Uderzyła mnie przede wszystkim duża między dwoma zespołami różnica, nie tylko pod względem repertuaru lecz również wykonania i harmonizacji.

Materiał głosowy jest w obu zespołach bardzo dobry. Różnica leży w posługiwaniu się nim.

Widoczne jest w „Mazowszu" szukanie nowych efektów, nowych pomysłów w dawnym, rzadko wzbogacanym repertuarze — nie zawsze bardzo szczęśliwe.

Mam przed sobą dwie płyty z nagraniem piosenki „Dziura w desce"; pierwsze nagranie we Francji „Acropole", drugie w Warszawie „Muza".

Piosenka spokojna w rytmie walca, w miarę humorystyczna i wesoła. Nagranie francuskie jest doskonałe, natomiast w nagranej w Polsce wersji wprowadzono zmiany tekstu i wykonania.

Zmiana tekstu wydaje mi się słuszna i ładniejsza, natomiast zmiana wykonania muzycznego w nagraniu warszawskim jest dla mnie niezrozumiała.

W pewnej chwili śpiewając „Kasia" — urywa się nagle ostatnia sylaba i wychodzi to tak jakby w tym miejscu nagle cały chór dostał czkawki. Ani muzycznie, ani wokalnie ta zmiana się nie tłumaczy, tym bardziej, że wypacza spokojny charakter piosenki osiągając być może jakiś efekt, ale raczej cyrkowy niż muzyczny.

W ogóle „Mazowsze" dużą wagę przywiązuje do efektów, a strona muzyczno-wokalna często jest traktowana po macoszemu. Cieniowanie melodii jest znikome. Nie wiem dlaczego, mając do dyspozycji tak dobry materiał głosowy — w większości piosenek chór prowadzi melodię z tym samym nasileniem — najczęściej forte — co sprawia wrażenie, że chce się on częściej "wykrzyczeć" niż „wyśpiewać".

Muzyka folklorystyczna ma to do siebie, że wykonawca nie jest, jak w innych dziedzinach, ograniczony żądaniami kompozytora odnośnie cieniowana i tempa. W tym wypadku do kierownika zespołu należy troska o muzykalne cieniowanie — logicznie odpowiadające charakterowi pieśni tempo i rytm, oraz o czystość intonacji. (Ta ostatnia w „Mazowszu" niezawsze jest dostatecznie kontrolowana).

Estetyka muzyczna kierownika artystycznego zespołu ma tutaj szerokie pole do popisu.

Cieniowanie melodii jest doprowadzone do doskonałości w niektórych chórach rosyjskich, zwłaszcza w chórze Armii Sowieckiej. Chór ten potrafi śpiewać pianissimo, przechodzić nagle do forte, wrócić znów do piano, zachowując przy tym fenomenalną czystość intonacji. Wymaga to wytrwałej i cierpliwej pracy, ale z materiałem głosowym „Mazowsza" byłoby absolutnie do osiągnięcia.

Zespół „Śląsk" uderza nie tylko odmiennym i bogatszym repertuarem, ale przede wszystkim ciekawą i oryginalną harmonizacją wykonywanych pieśni; zwłaszcza w nowszych nagraniach daje się wyraźnie wyczuwać troskę o tę estetyczną oryginalność kierownika artystycznego. Stanisława Hadyny, gdzie w pieśniach przez niego skomponowanych czy opracowanych, częste użycie interwalu kwinty i kwarty nadaje doskonale brzmiące, oryginalne i świetnie charakterowi pieśni odpowiadające tło harmoniczne. M.in. „Pieśń o górach i dolinach", „Już wszystkich syneczków" itp.

Znany „Ondraszek" ze śliczną introdukcją orkiestrową posiada mocne i dramatyczne momenty. Ma się miejscami wrażenie, że się słucha oratorium a nie ludowej pieśni.

W obu zespołach na ogół dykcja jest dobra.

Zespołów tych nie można uważać za amatorskie. Było tak może na początku, w okresie tworzenia, kiedy wybierano materiał głosowy wszędzie gdzie się dało, ale od szeregu lat osiągnąwszy zasłużone sukcesy w kraju i zagranicą, czasu mają — jestem

przekonany — na artystyczną pracę dosyć i należą do tej małej grupy uprzywilejowanych, którzy wyłącznie tej pracy mogą się poświęcić.

W tym stanie rzeczy trudno zrozumieć dlaczego poziom artystyczny zespołów, zwłaszcza „Mazowsza" pozostaje od długiego czasu na tej samej linii. To, że wszystko ma być reprezentacyjnie ludowe i bohatersko dzisiejsze, na to ślicznie zgoda, ale gdyby część tego ludu mazowieckiego poszła na rok czy dwa do konserwatorium, żeby głos lepiej postawić, żeby skrupulatniej kontrolować czystość intonacji, dynamikę i frazowanie, nikt by na tym nic nie stracił, a poziom artystyczny w ciągu krótkiego czasu dużo zyskał.

Mógł to ze swoją kapelą przeprowadzić Namysłowski, dlaczego by nie mogło kierownictwo artystyczne „Mazowsza" i „Śląska"? Oczywiście przeprowadzić tego nie można z tygodnia na tydzień, ani z miesiąca na miesiąc. Praca jest olbrzymia, a strona „wokalna" w tych zespołach to nie wszystko, choć bardzo dużo.

Wreszcie *last but not least*. Wchodząc do sklepu muzycznego w Amsterdamie coś mnie zakłuło w oczy przeraźliwą jaskrawością. Patrzę i myślę: pewno „Pijcie Coca Cola" — Ale skąd! — Płyta z nagraniem polskich pieśni. Nazywa się to wszystko pięknie: „Sing along and dance along in Polish" — Ted Maksymowicz and the Chopin singing choir society — POLKA". Otwieram kopertę, jeszcze lepiej — *United Artists — High fidelity STEREO, New York 19 — Made in USA.*

Płytę prosiłem nastawić — słucham i nie wiem — śmiać się czy płakać. Śmiać się można, bo jest i „Usia Husia" i „Ksiądz mi zakazował" i nawet „Pytała się pani", a dla sentymentalnych „Góralu, czy ci nie żal". Ale jak — to inna para klarnetów. Rytm bezlitośnie podtrzymuje cała bateria szczotek jazzowych, bębenków — chyba nawet gongów chińskich.

Na drugą stronę płyty już się nie pokusiłem. Przecież ktoś to musi kupować, bo płyta aż pachnie dobrobytem.

Popatrzy na napis — zobaczy — *United Artists*, pomyśli: to musi być *very good* — i gwoli wzbogacenia wyobraźni o polskim folklorze — kupi.

*Stefan BOROWSKI*

# Maszyna do pisania - Jok !

Piszę filipikę przeciwko maszynie do pisania — i piszę ją na maszynie. Dlaczego?

Piszę na maszynie, bo muszę. Zarabiam sobie na życie jako pisarz, i żyję w społeczeństwie, gdzie pisarz bez maszyny jest jak bez ręki. Wydawcy po prostu odrzucają manuskrypty nie

pisane na maszynie. Amerykanie uczą się wprawdzie w szkole sztuki pisania, ale robi się to dla nich coraz bardziej wytwornym luksusem — jak haftowanie, którym zabijają czas panie z lepszego towarzystwa. W nowojorskiej New School, gdzie wykładam, prawie wszyscy studenci przynoszą mi wypracowania w maszynopisie — tak samo jak w wyższych klasach gimnazjalnych.

Muszę więc pisać na maszynie — ale nie muszę jej lubić. Pisząc na niej dwoma palcami często wspominam moralną historyjkę, którą mi mój hiszpański przyjaciel Antonio opowiedział o swoim dziadku, przyjacielu generała Francisco Serrano, księcia De la Torre i regenta Hiszpanii po wygnaniu królowej Izabeli w 1868 roku. Żona nowego regenta miała coś wspólnego z byłą królową — obie zdradzały męża na prawo i lewo. Ale Serrano bynajmniej się tym nie martwił — nawet się tym przechwalał, jak współczesny mu baron Dudevant, który w memoriale do Napoleona Trzeciego o nadanie mu Legii Honorowej wymieniał między swymi zasługami ogólnie znany fakt, że żona jego, George Sand, notorycznie go zdradzała. Ale dziadkowi mojego przyjaciela, Hiszpanowi starej szkoły, bynajmniej to nie imponowało.

„Don Francisco", zwykł on mu odpowiadać, „nosić rogi to niedobrze. Ale nosić rogi i jeszcze mieć z tego przyjemność — a nie, to już tego dobrego za dużo".

Poza tym, bynajmniej mnie nie przekonywują argumenty używane przez zwolenników maszyny do pisania. Zwykle można je zredukować do cytaty z Balzaka: *Il faut être de son siècle.* Ale sam Balzak, choć żył w wieku dziewiętnastym, miał okropną — czasami aż nieprzyzwoitą — nostalgię do osiemnastego. Wyrażało się to w książkach jak *Les Chouans*, w samozwańczym przybraniu arystokratycznej *particule „de"* i *last but not least*, w miłości do Eweliny Hańskiej. Poza tym, jestem z zawodu historykiem, a historyka można by określić jako człowieka, co kocha przeszłość, nienawidzi teraźniejszości i boi się przyszłości.

Jeszcze mniej imponuje mi dowód, że maszyna do pisania to pióro przyszłości. Gdy byłem w Los Angeles, gdzie przyszłość jedzie po nieskończonych ulicach powszechnym samochodem, czułem się nieco jak Benjamin Disraeli, gdy się go dziennikarze angielscy pytali o wrażenia z osiedla spółdzielczego koło Liverpoolu, uważanego wtedy za szczyt postępu. *We have seen the future, oświadczył* im premier, *and we are not impressed.* (Widzieliśmy przyszłość, i bynajmniej nam nie zaimponowała).

Maszyna do pisania jest oczywiście tylko jedną z maszyn, których triumfalnego pochodu nawet ślepi nie mogą dziś przeoczyć — bo im uszy tego nie pozwolą. Zwolennicy maszyny zawsze uważali człowieka za maszynę — La Mettrie, którego *L'Homme Machine* wyszedł w 1748 roku, ma dziś następcę w twórcy cybernetyki, doktorze Norbercie Wienerze, który wierzy że „gdy daję rozkaz maszynie, zachodzi zasadniczo taka sama sytuacja jak ski pisarz Priestley: *Just try me, professor, just try me!* — „spróbuj mnie, profesorku, no spróbuj mnie!"). Kolega Wienera

w Sorbonie dwudziestego wieku, Massachussetts Institute of Technology, profesor Philip M. Morse, szef „Computation Center", wychwala się, że jego maszyny są lepsze od ludzi bo „nie cierpią od biologicznych pasji żywych stworzeń". W Wielkiej Sowieckiej Encyklopedii, autor artykułu o maszynie, piszący w ostatnich latach Stalina, twierdzi, że automacja, czyli zastąpienie człowieka przez maszyny, „wyzwala produkcję od siły (muskularnej) człowieka, od jego indywidualnego talentu, od wierności oka i wirtuozji pracy. Jak to swojego czasu śpiewał nieśmiertelny Lopek Krukowski — „Coś nie jest w porządku!".

Znajoma Meksykanka, z którą rozmawiałem po wizycie jej u krewnych, żyjących w Teksasie, skarżyła mi się z pewną przesadą, że „ci Amerykanie pracują jak maszyny, jedzą jak maszyny, bawią się jak maszyny — przekształcają się w maszyny!". Myślałem o niej, czytając niedawno w „Look" oświadczenie Sama Fishmana, delegata związku zawodowego w jednej z wielkich fabryk samochodów w Detroit: „Robotnicy przekształcają się w maszyny, aby móc nadążyć za maszynami". Co mi z kolei znów rzuciło przed oczy śmiertelnie znużone twarze robotników Forda w tramwaju wiozącym ich nie z pracy ale *do* pracy.

Ale dosyć już ogólników, i powróćmy do naszych owieczek — pisarzy w wieku maszyny. Siedząc w gronie znajomych pisarzy i dziennikarzy w madryckim barze „Quevedo", jeden z nas — nie pamiętam już kto — określił maszynę do pisania jako *el ataud de las letras*, używając gry słów, którą można przetłumaczyć na francuski — *le cercueil des lettres* — ale nie na polski, bo to znaczy i „trumna liter" i „trumna literatury". Było to jakieś jedenaście, dwanaście lat temu, byliśmy wtedy pod wrażeniem orwellowskiej utopii amerykańskiego pisarza Ray Bradbury: „451 Stopni Fahrenheita". Opisuje on świat przyszłości w którym czytanie książek jest zbrodnią, karaną przez państwo. Winnych karze się śmiercią, a książki się pali — 451 stopni Fahrenheita to temperatura przy której papier zapala się. Bradbury napisał książkę bo wtrząsnął nim widok kobiety, którą zobaczył na ulicy Los Angeles, chodząc z radiem tranzystorowym przy uchu, zupełnie izolowaną od otaczającego ją świata. Wtedy był to jeszcze wstrząsający widok. A dziś...

Dziś czytanie książek nie jest jeszcze samo przez się zbrodnią, choć palenie ich jest bynajmniej nierzadkie i pisarz musi być przygotowany na takie niespodzianki jak szyldzik, który Ilja Erenburg zobaczył w windzie swojego domu, gdy wrócił do Moskwy z Hiszpanii w r. 1938-ym: „SUROWO ZABRANIA SIĘ WRZUCAĆ KSIĄŻKI DO KLOZETU. WINNI ZOSTANĄ SCHWYTANI I UKARANI".

Ale taka sytuacja nie jest dla pisarza nowa, i maszyna mało się do niej przyczyniła. Za to unieprzyjemniła życie pisarza innymi niespodziankami. Na przykład, stworzyła mu konkurencję.

Niedawno wyszedł w Kalifonii wykwintny tomik poezji, któ-

rej autorem był niejaki „A.B.". Inicjały te okazały się pseudonimem maszyny-komputora i skrótem na *„Auto-Beatnik"*. Wiersze, stworzone przez maszynę, były nie lepsze i nie gorsze od wierszy tuzinów *beatników*.

Znany jest też fakt, że *niebłagonadiożny* pisarz ma dwa uczciwe sposoby zarabiania na życie w krajach gdzie wolność słowa egzystuje tylko na papierze — krytykę literacką i tłumaczenia. Ale nie na długo — Ameryka wynalazła już maszyny do tłumaczenia i Rosja ją w tym na pewno dogoni — o ile jej już nie dogoniła.

Ale i bez konkurencji innych maszyn, maszyna do pisania ciąży nad losem pisarza. Amerykański pisarz John Brooks, w swej powieści *The Big Wheel* (Wielkie Koło), opartej na jego doświadczeniach w dziennikarskim imperium Henry Luce'a, przedstawia sytuację gdzie, jak mówi wydawca popularnego tygodnika, „jest dla nas aksjomem, że możemy kupić pisarza za tę samą tanią cenę co maszynę do pisania". Znów ta sama historia — człowiek przekształca się w maszynę.

Proces ten zresztą przeżyłem i na własnej skórze. W czasie wojny, gdy zacząłem pracować w nasłuchu radiowym B.B.C., traktowano nas jak dżentelmenów. Każdy z nas miał sekretarkę, której dyktował raporty i tłumaczenia. Ale wkrótce zaczęto na nas nalegać, żebyśmy się nauczyli pisać na maszynie. Nie przyjmowano nowych *monitorów* bez tej kwalifikacji. Gdy opuściłem B.B.C. pod koniec wojny, płacono nam wprawdzie więcej, ale już zaczęto nas traktować jak maszyny.

Nie zdziwiłem się więc za bardzo po przyjeździe do Ameryki, że w kraju tym łatwiej jest pisarzowi stać się milionerem niż żeby wydrukowano to, co napisał, tak jak napisał. Grasuje tu bowiem przekleństwo tzw. *editing*, co w praktyce oznacza, że w Ameryce nie uznaje się nic za pisane, jeśli nie było przepisane co najmniej dwadzieścia razy przez co najmniej pięciu ludzi. Wychodzi z tego oczywiście jakaś papka, „zhomogenizowana" jak tutejsze mleko. W czasopiśmie tak poważnym i tak cenionym jak „New Yorker" nie sposób jest rozróżnić, kto co napisał, jeśli się nie spojrzy na nazwiska. W „Time"ie nawet nazwisk nie ma. A trzeba być literackim Sherlockiem Holmesem, aby wynaleźć kto naprawdę napisał ten czy tamten *bestseller*.

Przypadkiem dowiedziałem się o procesie fabrykacji jednego takiego *bestseller*'a i to nie byle jakiego. Zrobiłem tłumaczenie dla wydawnictwa, w którym wyszła nowa książka Hermanna Kahna, autora *Thermonuclear Warfare* (Wojna Termonuklearna) w której autor dowodzi że „my" możemy stracić sześćdziesiąt milionów ludzi, a jednak wojnę wygrać. Jeden z *editorów* wydawnictwa objaśnił mi, że Kahn napisał książkę przy pomocy maszyn, które mu wyrachowały obliczenia, i jakiegoś tuzina współpracowników, którzy mu byli niezbędni, bo, będąc fizykiem z zawodu, nie jest w stanie sklecić prostego gramatycznego zdania...

Kahn, oczywiście, nie pretenduje do polotów Pegazem, ale i Hemingway, najbardziej wpływowy powieściopisarz nowoczesnej literatury anglosaskiej, i Eliot, jej największy poeta, przyznają, że tworzą swoje utwory od razu na maszynie. Styl ich na to wyraźnie wskazuje. U Hemingway'a jest mechaniczny i słowa u niego są jakoś „wymaglowane" z wartości indywidualnej — można by je często wymienić bez uszczerbku. Eliot, w swoim *Waste Land*, klasycznym już symbolicznym obrazie naszego wieku, upiększa swe wiersze słowami i zwrotami wziętymi na chybił trafił z całej gamy obcych języków — od greckiego do sanskrytu — nieco w stylu „ekskrementalistycznym" Dubuffeta. Tę koncepcję języka jako śmietnika przejął Eliot od swego mistrza Ezry Pounda, z jego encyklopedyczną ignorancją wszystkich bez wyjątku języków świata, z których wybierał egzotyczne dekoracje swoich *Cantos*. Zresztą, Eliot nie mógł sam wykończyć „Waste Land" i, w rozpaczy, dał go Poundowi na *editing*. Wyobraźmy sobie Dantego proszącego Brunetto Latini, aby mu „wykończył" Boską Komedię!

Trudno mi jest więc nie zgodzić się z amerykańskim krytykiem Edmundem Wilsonem gdy napisał — zresztą w „New Yorker": „Wierzę, że kompozycja na maszynie do pisania przyczyniła się najbardziej do obecnego upadku angielskiej prozy". (Sam Wilson przyznaje się potem, że pisze czarnym ołówkiem na żółtym papierze w niebieskie linie z czerwonym marginesem. Brzmi to nieco ekscentrycznie, ale Wilson używa tzw. *legal pads*, notatników „adwokackich", które można tu nabyć w każdym składzie materiałów piśmiennych).

Ale dlaczego maszyną do pisania jest trumną nie tylko liter, ale i literatury? Bo pisarz pisze słowami, a maszyna literami.

Brzmi to banalnie, ale nie jest łatwo człowiekowi, który nie jest zawodowym pisarzem, zrozumieć proces kompozycji literackiej. Degas skarżył się Mallarmé, że mu się sonet nie kleci, że ma dobrane do niego wszystkie idee, ale jakoś mu się nie udaje. Na to Mallarmé: „Mój drogi Edouard, sonetów nie pisze się ideami, ale słowami".

Maszyna do pisania pisze nie słowami a literami, co przerywa bezustannie proces kompozycji i nieuchronnie go mechanizuje. Ale to bynajmniej nie wszystko. Człowiek pisze cicho, maszyna hałaśliwie. Dziś, oczywiście, nie pisze już z głośnym hukiem starych modeli, ale nawet „ciche" maszyny nie piszą naprawdę cicho. Nie mówię już o maszynach elektrycznych, które operują z bezustannym i przeraźliwym szumem, wynalazkiem godnym inkwizycji hiszpańskiej. Ale maszyna elektryczna, to instrument postępu. Rację miała Muza Argentyny, Victoria Ocampo, że człowiek dwudziestego wieku stworzył sobie własne więzienie — więzienie wrzasku.

Maszyna do pisania męczy więc pisarza — tak jak każda inna maszyna męczy swojego robotnika. Nie mówiąc już o tym, że jeśli pióro — wieczne, czy *ballpoint* — można nosić wygodnie w kieszeni, pisarz obarczony maszyną do pisania przypomina

mędrców, których Guliwer napotkał na latającej wyspie Lapucie, noszących ciężkie tablice ze słowami, bez których się nie mogli porozumieć.

Ale tu warto się zastanowić nad całym pojęciem mechanicznego postępu, w którym maszyna do pisania jest tylko stosunkowo małą cząstką.

Jedną z najkatastroficzniejszych iluzji naszego wieku jest identyfikacja postępu z maszynami. Rozmawiałem na przykład z amerykańskim przyjacielem, który właśnie wrócił z Finlandii, gdzie brał udział w akcji młodzieży demokratycznej i socjalistycznej przeciwko „Światowemu Festiwalowi Młodzieży" zorganizowanemu przez Sowiety. Jak wiadomo, jakiś tuzin studentów azjatyckich i afrykańskich, wysłanych do Helsinek przez moskiewski „Uniwersytet Lumumby" zdecydował się nie powrócić. Wybrali wolność? Bynajmniej — sądząc z ich zwierzeń mojemu przyjacielowi. Czego im brakowało w Moskwie, i co znaleźli w Finlandii — to nie wolność, a telewizory, lodówki i samochody.

Ale jeśli maszyna jest miarą postępu, to dlaczego Hercen nazwał Mikołaja Pałkina „Dżyngis Chanem z telegrafem?" (Dzisiejszego jego następcą na tronie carskim można by nazwać „Neandertalem ze sputnikami"). I dlaczego nazwał Lorca Nowy Jork „Senegalem z maszynami"?

Gorzej jeszcze jest jeśli się robi maszynę miarą nie tylko postępu, ale i człowieka. Na taką myśl nie tylko Protagoras w grobie się przewróci, ale i Sokrates.

Nie znaczy to, że odrzucam maszynę. Mam wiarę w jej dobroczynne skutki w służbie człowieka. Maszyna powinna być służącą człowieka, nie jego panią — czy kochanką.

Nie winię więc maszyny, za to co nabroił odurzony nią człowiek. Maszyna nie jest ani dobra, ani zła; tylko człowiek może z niej zrobić dobry lub zły użytek. Człowiek, który upokarza się przed maszyną i traci godność zasługuje na swój los.

Nie trzeba też przesadzać nowoczesnych wpływów maszyny. Gdy mi mówią, że dzieci nie czytają książek, bo wolą gapić się w telewizję, myślę o młodym Ludwiku XIV-ym i jego mentorze, kardynale Mazarin. Kardynał, chcąc odwrócić uwagę młodego monarchy od pięknych nóg Marii Mancini, zarekomendował mu różne lektury. Na to mu Ludwik: *Mais à quoi sert de lire?* — Na co służy czytanie? Kardynał ponoć nie znalazł odpowiedzi.

Prowadzę więc wojnę nie z maszyną, ale z nieodpowiednim używaniem maszyny. Zasadnicza teoria walki byków przyjmuje, że arena ma dwie części, podzielone przez imaginacyjną i ciągle zmienną linię. Są to „obszar byka", gdzie on ma przewagę, i „obszar matadora", gdzie przewaga jest po stronie człowieka. Sztuka walki polega na respektowaniu obszaru przeciwnika. Matador zabija byka, wciągając go na swój obszar i na odwrót.

Człowiek winien jest mieć swój obszar, a maszyna swój.

Wreszcie, nie wszystkie maszyny są potrzebne, tak jak wszystkie byki nie nadają się do walki. A maszyna do pisania jest jedną z najmniej potrzebnych. I najbardziej szkodliwych. Na

prawdę potrzebna jest tylko do zrobienia odpisów, nie oryginałów.

Sinclair Lewis pisał na maszynie, jak Eliot i Hemingway. Wiele z jego powieści napisanych jest mechanicznie. Ale Lewis napisał jedno arcydzieło, w którym swą tragiczną wizję Ameryki wcielił w nieśmiertelne postacie. Jest to *Main Street* — napisany piórem.

Niełatwo sobie wyobrazić nowoczesną gazetę bez maszyny do pisania. Ale londyński *Daily Mirror*, jak oświadcza jego naczelny redaktor, Hugh Cuddlipp, zawsze odpowiada listem pisanym ręcznie na wszelkie zapytania i uwagi swoich czytelniczek. A kiedy Arthur Koestler pojechał do Japonii i odwiedził redakcje wielkich gazet i czasopism w Tokio, nie znalazł w nich ani jednej maszyny do pisania. Język japoński nie nadaje się do maszyny i japońskie gazety — w milionowych nakładach — obchodzą się bez nich.

Rzucam więc wyzwanie maszynie do pisania. Zakładam przeciwko niej moje osobiste *liberum veto* — mołotowskie „njet". Ale po co psuć tak przyjemny temat aluzją do tak nieprzyjemnego subiektu? Wolę więc wyzwać ją tureckim „jok", najpozytywniejszym „nie" na świecie, wypowiadanym z gwałtownym skinieniem głowy naprzód.

MASZYNA DO PISANIA — JOK!

*I. A. LANGNAS*

# Komunikaty

W dniu 3 czerwca miała miejsce na Sorbonie niecodzienna ceremonia, a mianowicie obrona tezy doktorskiej, a raczej dwu tez, przez Polaka Andrzeja Vincenza. Bronił on tezy głównej na temat „Nazw osobowych Huculszczyzny" *(Les noms de personnes du pays houtzoule)* oraz tezy uzupełniającej poświęconej dialektom Alp francuskich. Podczas obrony członek jury, slawista oxfrodzki, B. Unbegaun stwierdził autorytatywnie, że żaden język słowiański nie wyłączając Rosji nie posiada takiej monumentalnej monografii (700 stron) poświęconej nazwom osobowym. Po obronie, która trwała pięć godzin, jury udzieliło kandydatowi, zgodnie ze zwyczajem, tytułu doktora „ès lettres" oraz gratulacji, a ponadto przewodniczący jury prof. Jean Boutière złożył publicznie *ex cathedra* hołd ojcu kandydata Stanisławowi Vincenzowi, który swoimi pracami literackimi i naukowymi wprowadził pierwszy Huculszczyznę na forum międzynarodowe.

◆

Byli Wychowankowie i Sympatycy Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie (KUL), celem zorganizowania pomocy dla studentów i Uniwersytetu, proszeni są o skomunikowanie się ze Stanisławem Żochowskim (był na prawie): 83 Underwood Rd., Eight Mile Plains, Brisbane, Australia.

# Pochylony nad « Pamiętnikiem Kijowskim »

Drugi tom „Pamiętnika Kijowskiego"*), wydany na wiosnę 1964, choć z datą roku poprzedniego, przynosi podobnie jak pierwszy, przede wszystkim materiały historyczne. Ale jest i zasadnicza różnica, którą zresztą redakcja sama podkreśla we wstępnej notatce. W tomie pierwszym przeważały opracowania, dotyczące czasów bardziej odległych, głównie XVI i XVII wieku; tom drugi skupił się na czasach bliższych, a nawet na wydarzeniach, w których niejeden z redaktorów i współpracowników brał udział osobisty.

Jako nakładca figuruje na stronie tytułowej „Koło Kijowian". Dobrze już przekroczyłem pierwsze półwiecze doczesnego żywota, a jednak jestem zbyt młody, abym mógł mieć jakiś osobisty stosunek do „polskiego Kijowa" sprzed rewolucji bolszewickiej. A poza tym, chociaż po mieczu wywodzę się z Kijowszczyzny, moje dzieciństwo i wczesna młodość obracały się w kręgu innej geografii. W Kijowie byłem tylko raz i tylko przez dwie doby — gdzieś w drugiej połowie kwietnia 1922 roku. Miałem wtedy lat trzynaście, ale zapamiętałem te dwa dni i dwie noce bardzo dokładnie. Pomogła do utrwalenia w pamięci owych przelotnych wrażeń okoliczność że znałem Kijów całkiem nieźle z różnych lektur oraz z licznych i szczegółowych relacji rodzinnych. Byłem więc dobrze przygotowany do konfrontacji dawnych wersji z nową rzeczywistością.

◆

Długi eszelon, składający się z kilkudziesięciu wagonów towarowych, podchodził bardzo powoli do mostu nad Dnieprem, szeroko rozlanym o tej porze roku. Po drugiej stronie wysoki brzeg, ogrody okryte jasno-zielonym puchem młodej zieleni, wyniosłe

* *Pamiętnik Kijowski*, Tom Drugi. Nakładem Koła Kijowian, Londyn, 1963. Str. 272.

cerkiewne wieże. Pociąg stanął za miastem, zdaje się w pobliżu fastowskiego „wokzała", na bocznym torze. Kiedy ruszymy dalej, ku polskiej granicy, nikt nie wiedział. „Może za godzinę, może za dwie... może za kilka dni..." Miałem już pewne doświadczenie pod tym względem i po stwierdzeniu,że obydwie lokomotywy zostały odczepione od składu, uznałem, iż można wyprawić się na miasto.

Czekało mnie rozczarowanie. Gdzież te złote kopuły niezliczonych cerkwi, wspaniałe mozaiki, resztki bajecznej świetności Włodzimierzów i Jarosławów, gdzież bogactwo ulic, sklepów, hoteli, słynne restauracje, elegancki tłum na Kreszczatyku? Kijów był brudny, zaśmieciony, obdarty, tonący w kwietniowym błocie, przygnębiony. Tu i ówdzie widniały ruiny, na wielu gmachach ślady kul, mury osmalone pożarami — pamiątka po kilkuletnich walkach. Szukałem katedry świętej Zofii, ale mylnie poinformowany, skręciłem zanadto na prawo i zawędrowałem na niewielki plac, na którym wznosiła się dziwna cerkiew, o czterech bardzo wysmukłych wieżyczkach, otaczających solidną kopułę centralną. Takiej cerkwi prawosławnej nie widziałem ani w Moskwie, ani w żadnym innym ze znanych mi miast. Dopiero po latach rozpoznałem na przypadkowej fotografii tę oryginalną architekturę i dowiedziałem się, że cerkiew świętego Andrzeja zbudował za czasów hetmanatu Cyryla Razumowskiego, brata faworyta cesarzowej Elżbiety, słynny Rastrelli, dając niezwykłe połączenie porcelanowego rokoka z moskiewsko-suzdalską bizantyńszczyzną. Idąc dalej, trafiłem do pięknego, choć straszliwie zapuszczonego parku, zwanego już wtedy „Proletarskim", a stamtąd, obok mogiły Askolda, w pobliże Ławry Peczarskiej.

Na obszernym placu stało mnóstwo nędznych straganów, tłoczyli się tłumnie przekupnie. Znałem to dobrze z miast kaukaskich, z Rostowa nad Donem, odkąd tylko zaczął się NEP. Ciż sami wystraszeni „byli ludzie", wyprzedający resztki łachów i biżuterii, te same hieny o latających ślepiach, wypatrujące łatwej zdobyczy. Tyle, że zamiast Ormian i Greków, tak licznych w portach azowskich, sporo przekupniów żydowskich. Handlowano absolutnie wszystkim: obok stolika z obuwiem, pyzata baba sprzedawała gorące pierożki z obmotanego lnianą płachtą garnka, nieco dalej można było kupić jedwabną suknię, obszytą koronkami, a o krok mała, śniada Żydóweczka zachwalała lepiące się w palcach karmelki. Również działała czarna giełda. Wydawało się nie do wiary: prawie w pięć lat po rewolucji, w rok po zakończeniu wojny domowej, ludzie chętnie kupowali carskie banknoty. To był jeden z celów mego pierwszego spaceru. Ostrożnie, żeby nie wpaść w oko komuś podejrzanemu, wytypowałem nabywcę i udało mi się sprzedać sturublową „jekaterynkę", ostatnią dotąd zachowaną. Dzięki tej udanej transakcji, przez dwa dni pobytu w Kijowie jedliśmy chleb.

Mowy ukraińskiej słyszało się stosunkowo mało, może dlatego, że tego dnia przyjezdnych chłopów na targowisku prawie nie było. Nazajutrz nie miałem już na widoku żadnego „interesu",

więc wałęsałem się po mieście dość długo, po Kreszczatyku i przyległych ulicach, coraz to natrafiając na znane z opowiadań i lektury pomniki. Święta Zofia i resztki Złotej Bramy, cerkiew Borysohlebska na Podole, konny posąg Chmielnickiego, wskazującego buławę ku północy, skąd miały spłynąć na Ukrainę wszelkie dobrodziejstwa moskiewskie...

Było tych wrażeń zawiele i wszystkie pomieszały się w jednym kalejdoskopie, z którego dopiero potem pamięć wyłuskiwała szczegóły. Następnego dnia eszelon ruszył w żółwim tempie dalej, przez Fastów, Koziatyn, Berdyczów — ku Polsce. I pozostało jeszcze jedno wspomnienie. Stary kolejarz, Ukrainiec, który dla mojej siostry, leżącej w wagonie, w tyfusowej gorączce, sprzedał kapkę mleka, a rozgadawszy się, zaczął kląć Moskali najgorszymi słowami. Wszystkich: czerwonych i białych, carów i bolszewików. Nawet czort lepszy od Moskala!" A widząc moją sceptyczną minę, dodał: „A to nie wiesz, że jest u nas taka gadka... Córka do matki: — Mamo, czort lezie do chaty! A matka na to: — Doniu, obyż tylko nie Moskal!"

◆

Trudno było nie wywołać z pamięci tych odległych spraw, gdy wziąłem do ręki obszerny, obficie ilustrowany, zaopatrzony w mapki i plany, bardzo starannie wydany II tom „Pamiętnika Kijowskiego". Otwierają go krótkie wspomnienia pośmiertne o dwóch wybitnych, niedawno zmarłych kijowianach: generale Zygmuncie Podhorskim i Antonim Kotiużyńskim. Do zbliżonego rodzaju zaliczyć trzeba „życiorysy zasłużonych", w liczbie kilkunastu, dotyczące czołowych przedstawicieli polskiego społeczeństwo w Kijowszczyźnie i w ogóle na Ukrainie, głównie na przełomie XIX i XX stulecia. Autorzy życiorysów (znaczna większość wyszła spod pióra profesora Wielhorskiego) zgromadzili pracowicie bogaty materiał, który dla przyszłego historyka tych zagadnień i czasów może stać się nieocenionym źródłem.

Bardziej syntetyczny charakter ma studium Józefa Olechnowicza, „Polska myśl patriotyczna i postępowa na ziemiach ukraińnych w latach 1835-63". Dzieje Towarzystwa Patriotycznego, pochłoniętego następnie przez „Stowarzyszenie Ludu Polskiego", udział Polaków ukraińskich w spisku Konarskiego, środowisko studenckie na uniwersytecie kijowskim świętego Włodzimierza, początki ruchu „chłopomańskiego", wreszcie powstanie styczniowe, które w ówczesnych warunkach na Ukrainie musiało w bardzo krótkim czasie skończyć się straszliwą hekatombą — wszystko to znalazło w szkicu Olechnowicza oświetlenie, nie wyczerpujące naturalnie, bo na to by trzeba całej monografii, ale solidne i szczegółowe. Studium to uzupełnia kilka interesujących dokumentów, między nimi fotokopia słynnej „Złotej Hramoty" z roku 1863.

Znajdą się jednak i zastrzeżenia. Ruch „chłopomański" został przedstawiony zbyt ogólnie, a przez to jednostronnie. Część jego

uczestników „zukrainizowała się", czy też raczej zreukrainizowała? Toteż zacytowana opinia o Antonowyczu, że wszedł na drogę, „która doprowadzi go do zupełnej apostazji narodowej i wyznaniowej", brzmi zbyt powierzchownie i arbitralnie, aby mogła być słuszna. Niewątpliwie działały tu przyczyny o wiele bardziej skomplikowane, zarówno pod względem społecznym jak psychologicznym.

Cenne uzupełnienie szkicu Olechnowicza stanowią dwie kartki z dziejów powstań na Ukrainie: o Karolu i Edmundzie Różyckich i o Padlewskich, także ojcu i synie. Czasów znacznie bliższych dotyczą liczne wspomnienia z lat bezpośrednio poprzedzających pierwszą wojnę światową i rewolucję bolszewicką.

Ten rozdział historyczny jest już bezpowrotnie zamknięty. Czego nie dokonały prześladowania carskie, czego nie zniszczyła rewolucja i wojna domowa, uległo całkowitej zgubie w latach późniejszych. Likwidacja autonomicznego okręgu polskiego w Żytomierszczyźnie było ostatnim aktem długiej agonii polskości na tych ziemiach, przypieczętowanych masową masakrą w Winnicy. Autopsja zwłok na cmentarzysku winnickim, przeprowadzona w roku 1943 (prawie jednocześnie z Katyniem), wykazała spory procent Polaków wśród pomordowanych.

Autorzy piszący w „Pamiętniku Kijowskim", opuścili kraj swoich ojców przed blisko półwieczem. Wspominają przeszłość ze zrozumiałym sentymentem, który sprawia, iż wiele rzeczy i zjawisk objętych jest zbyt różową mgiełką, albo też — dla kontrastu — jest przeczernionych, gdy chodzi o stronę przeciwną. „Kraj lat dziecinnych" zawsze będzie najpiękniejszy, choćby na jego urodzie występowały liczne skazy. Studium Olechnowicza, że raz jeszcze wrócę do niego, pokazuje prawdę o postawie ideowej społeczeństwa polskiego na Ukrainie w pierwszej połowie XIX wieku. Ale pokazuje ją poprzez przejawy najbardziej aktywne, a tym samym pozytywne. To była postawa części owego społeczeństwa a, niestety, nie całości.

Zresztą przyznać trzeba lojalnie, że w rozdziale „Sprawa włościańska. Układ społeczny na Ziemiach Ukrainnych", Olechnowicz cytuje i takich autorów, którzy nie zamykali oczu na ciemne strony życia polskiego, a niekiedy, jak Lasocki, ostro potępiali egoizm sporej części warstwy ziemiańskiej. Wiemy, że w przeddzień prawie powstania styczniowego większość polskich ziemian na Ukrainie (w przeciwieństwie do szlachty na Litwie) wypowiedziała się za oczynszowaniem chłopów, a przeciw uwłaszczeniu. Rachuby na przychylne, czy choćby tylko neutralne stanowisko włościaństwa ukraińskiego wobec powstania stanowiły więc tragiczne nieporozumienie, zaś wyprawa młodzieży kijowskiej ze „Złotą Hramotą" przedsięwzięcie samobójcze.

A i sama „Hramota" była po carskim dekrecie z roku 1861 — spóźniona. Mogłaby odegrać olbrzymią rolę w 1831, czy nawet 1855 (rok spontanicznych buntów chłopskich), a i to pod warunkiem, że stanęłaby za nią całość polskiego ziemiaństwa, a nie

garstka szlachetnej, lecz politycznie niedowarzonej młodzieży uniwersyteckiej.

◆

Mimo ciężkich ciosów zadanych polskości przez represje popowstaniowe, przetrwała ona na Ukrainie prawobrzeżnej jeszcze przez długie lata. Ale do prawdziwego porozumienia polsko-ukraińskiego nigdy nie doszło, choć nie brakowało rozumnych inicjatyw, choć atmosfera ogólna o wiele bardziej takiemu porozumieniu sprzyjała, niż pod zaborem austriackim. Dlaczego nie doszło? Żaden z autorów II tomu „Pamiętnika" nie porusza tej sprawy wprost, ale nagromadzony w nim materiał jest dostatecznie bogaty, aby dać dokładną odpowiedź.

Oto społeczeństwo polskie w swojej masie nie zauważyło na czas, że lud ukraiński zaczął stawać się narodem. Po omacku, potykając się, popełniając błędy, za które później w straszliwy sposób zapłacił, ale samo zjawisko nie ulegało wątpliwości. Polakom zaś wciąż jeszcze wydawało się, że granica z roku 1772 roku jest postulatem nadającym się do dyskusji, że na samą wzmiankę o epoce jagiellońskiej serca ukraińskie zaczynają szybciej uderzać, krótko mówiąc, wydawało się, że czas zatrzymał się na miejscu.

Rawita-Gawroński mógł więc napisać kategoryczne słowa: „Ruś spała — budziła ją tylko Polska". Zważmy, że to zostało napisane już po śmierci Tarasa Szewczenki, za pełnego rozkwitu twórczości Pantelejmona Kulisza, drugiego wielkiego budziciela. A jednocześnie publicyści rosyjscy, zdumieni i oburzeni manifestacjami ukraińskości, ośmielającej się wyskakiwać z „małorosyjskich szarawarów", także cały ruch przypisywali Polakom, „polskiej intrydze". „Południowo-rosyjski separatyzm — pisał Szczegolew — zjawił się jako produkt idei jagiellońskiej — Unii Rusi Zachodniej i Litwy z Polską; w tej też postaci pozostanie, gdyż albo w tej idei znajdzie swoje urzeczywistnienie, albo zniknie".

Ta zastanawiająca zbieżność w ocenie wynikała nie z rozeznania stanu faktycznego, lecz z pomieszania, a raczej utożsamienia polskich, niewątpliwych oddziaływań z ruchem powstającym spontanicznie i poszukującym własnych dróg. Stąd np. całkowite zaskoczenie, gdy niektórzy „chłopomani" (wspomniany Antonowycz, Tadeusz Rylski, jeden z Siedleckich etc.) nie zadawalając się świtką, juchtowymi butami i wyszywaną koszulą, żenili się z wiejskimi dziewczętami, przechodzili na prawosławie i na język ukraiński w mowie i piśmie.

Co na ten sam temat mówiła strona ukraińska? Z lat 1935-63 niewiele mamy materiałów. Ciekawiej wygląda przełom dwóch stuleci, a więc okres, w którym pogrobowcy powstania styczniowego zetknęli się z nową rzeczywistością. Warto zastanowić się na chwilę, gdyż to synowie właśnie tych pogrobowców wydają i redagują na londyńskiej emigracji „Pamiętnik Kijowski".

Tak się złożyło, że mam przed sobą wydawnictwo bardzo rzadkie, mianowicie, trzeci tom wspomnień profesora Łotoćkiego, wydrukowany nakładem „Ukraińskiego Instytutu Naukowego" w Warszawie, w roku 1934. Łotoćkyj, podolak, spędził kilka młodych lat, zanim przeniósł się do Petersburga, w Kijowie, a że umiał obserwować i nie miał w stosunku do Polaków żadnych uprzedzeń, potrafił trafić w sedno i przedstawić ówczesną sytuację w sposób beznamiętny i obiektywny.

„Ogólny ton polskich nastrojów — wspominał Łotoćkyj — wytwarzali polscy ziemianie, stanowiący czynnik najbardziej wpływowy pod względem gospodarczym i intelektualnym. W ich środowisku wyróżniały się dwa prądy, odmienne w swoim stosunku do ukraińskości. Swoiste nastroje panowały wśród tej części polskich ziemian, którzy uważali swe majątki, często — latyfundia, za gospodarczą podstawę swego bytu, oddawali ich eksploatację w ręce zarządzających, przyjeżdżali od czasu do czasu, mieszkając zagranicą, przeważnie w Polsce austriackiej. Te czynniki polskie, podniecane przez historyczne dygresje Rawity-Gawrońskiego i nacjonalistyczne wypady „Trylogii" Sienkiewicza, wytworzone na gruncie starych sporów dziejowych i odnawiane przebiegiem napiętych stosunków polsko-ukraińskich w Galicji, często nastawiały się nieprzychylnie do ukraińskości. Przeważały w tym środowisku nastroje dawnych tendencji historycznych, odpowiednio zabarwiające nastroje współczesne. Ale obok nich, te polskie czynniki, które głębiej wrastały w grunt życia ukraińskiego i czuły całą siłę ukraińskiego żywiołu, oceniały sytuację na Ukrainie bardziej realnie i odpowiednio do tego kształtowały swoje poglądy na sprawę ukraińską. Reminiscencje krwawych walk przeszłości ustępowały przed zrozumieniem warunków naszych czasów, w których jako konsekwencja dawnych kłótni nastała obopólna niewola. Gromadka Polaków wydawała w Mohylowie Podolskim ukraiński tygodnik „Switowa Zirnycia", redagowany przez Joachima Wołoszynowskiego. W szkołach na Ukrainie istniały kółka polskiej młodzieży, zakładane z inicjatywy P.P.S.; czytywano w nich broszury Leona Wasilewskiego („We wspólnym jarzmie" i inne) na temat konieczności wspólnej akcji narodów gnębionych przez Rosję. Tego rodzaju nastawienia przenikały do określonych środowisk społeczeństwa polskiego na Ukrainie, nasycając je swoistym ukrainofilstwem, które dziś, w odrodzonej Polsce, mocno cechuje Polaków, pochodzących z Ukrainy rosyjskiej".

Gdyby Łotoćkyj dożył, zauważyłby podobne czy zbliżone zjawisko i na emigracji. Niejedna z wypowiedzi, zamieszczonych w obu dotychczas wydanych tomach „Pamiętnika Kijowskiego", może urazić Ukraińców, albo wydać się im niesłuszną, jednak ogólny ton nie wyklucza ani wzajemnych rozmów ani zbliżenia.

W cytowanych wspomnieniach Łotoćkyj podkreśla, że stosunki układały się może najlepiej w samym Kijowie. „Zwłaszcza i może najbardziej nastroje ukrainofilskie dawały się odczuć w Kijowie, gdzie związek polskiego elementu z ukraińskim żywio-

łem był bezpośredni i stały. Stąd właśnie wychodziły idee polsko-ukraińskiego porozumienia, osiągając realne znaczenie także i w Galicji. Przychylnie nastawieni Polacy gromadzili się głównie dokoła Antonowycza, Łysenki i Rylskiego. Miałem okazję stykać się z tymi Polakami u Antonowycza w latach studenckich i później, gdy jeszcze mieszkałem w Kijowie. Z największą przyjemnością wspominam poetę, Włodzimierza Wysockiego, autora wierszy i kilku poematów o tematyce ukraińskiej. Zachwycał mnie swego czasu jego poemat pod tytułem „Oksana". W tymże Kijowie, na początku lat 90-tych, na które przypadły pierwociny mojej działalności społecznej, zainicjowany został w stosunkach polsko-ukraińskich kierunek znany pod nazwą „nowej ery". Przyjąłem w tej akcji pewien udział jako współpracownik halickiej „Prawdy". Stosunki panujące w Galicji rozpatrywałem w ramach szerszej koncepcji politycznej. Obecnie, jak i wówczas, uważam, iż ostateczne rozstrzygnięcie dziejowych losów naszych dwóch narodów polega na zrozumieniu wzajemności ich interesów i wspólnoty ich działania, toteż byłoby wielką dla obydwu narodów korzyścią,gdyby jednocześnie i powszechnie doszły one do takich właśnie wniosków, zanim ich do tego zmusi gorzka życiowa konieczność".

Łotoćkyj poświęcił w swoich wspomnieniach cały duży rozdział kolonii polskiej w Petersburgu, z którą stykał się stale podczas swego długiego pobytu w nadnewskiej stolicy. Wymienia i opisuje takie wybitne osobistości, jak Włodzimierz Spasowicz, Leon Petrażycki, Aleksander Lednicki, Tadeusz Zieliński, Baudouin de Courtenay i wielu innych. Warto by kiedyś tę część jego wspomnień uprzystępnić polskiemu czytelnikowi. Kontakty polsko-ukraińskie na gruncie petersburskim nie wchodzą, rzecz prosta, w zakres tematyki „Pamiętnika Kijowskiego", byłoby jednak dobrze, gdyby redakcja w dalszych tomach przyciągnęła do współpracy tych Ukraińców z Kijowszczyzny, którzy utrzymywali żywsze stosunki z polskim społeczeństwem.

◆

Amatorzy historii bardziej odległej zwrócą uwagę na dwa opracowania: „Kijów jako stolica państwa w średniowieczu" profesora Wielhorskiego, oraz „Bohdan Chmielnicki" Antoniego Kotiużyńskiego. To drugie ma charakter raczej popularny i znawcom przedmiotu nic nowego nie przynosi. Autor oparł się na pracach głównie polskich, ze współczesnych historyków ukraińskich cytuje jednego tylko Mirona Kordubę. Niektóre z tych prac są przestarzałe, a w każdym razie proszące się o szereg poprawek. Tak na przykład trudno już dziś utrzymywać za Szujskim (poszedł za nim Sienkiewicz), że dopiero po zwycięskiej kampanii 1648 „zaczyna świtać po głowie Kozaka Chmielnickiego jakaś myśl o narodzie ruskim, o samodzielnej Rusi po Lwów, Chełm i Halicz..."

Zapewne, jeszcze po Żółtych Wodach i Korsuniu myśl o utwo-

rzeniu samodzielnego państwa była Chmielnickiemu najprawdopodobniej obca jako program polityczny. Piławce, pochód pod Lwów i Zamość, tryumfalny wjazd do Kijowa rozszerzyły perspektywy i wskazały na nowe możliwości. Władysław IV już nie żył, bezkrólewie zwiększało szanse. I po raz pierwszy sprawa kozacka zainteresowała w silnym stopniu obce ośrodki polityczne, inaczej mówiąc — umiędzynarodowiła się.

Ale sama myśl o samodzielnej Rusi i narodzie ruskim nie musiała dopiero „świtać", bo zaświtała już od dawna. W tym samym czasie, gdy młodziutki Bohdan wkuwał na pamięć łacińskie koniugacje w jarosławskim Kolegium Jezuitów, dowiadując się jak łączyć adjectivum cum substantivo, hetman Sahajdaczny upominał się przed królem i sejmem o prawa „narodu ruskiego", wyprowadzając je z czasów, gdy „jego przodkowie" wyprawiali się na Carogród, a więc nawiązywał do średniowiecznego państwa kijowskiego, do Olehów, Światosławów i Włodzimierzów. Czyżby te koncepcje mogły być Chmielnickiemu całkowicie nieznane i obce?

Wysuwanie na pierwszy plan motywów osobistych w decyzjach Chmielnickiego również nie wydaje się najszczęśliwsze. Kotiużyński sam nie wypowiada się w tej sprawie, powołuje się tylko na opinie większości polskich historyków XIX wieku. Pewnie — rabunkowy zajazd Czaplińskiego na Subotów, porwanie żony, czy kochanicy, oćwiczenie na śmierć średniego syna Ostapa, stały się wstrząsem i popchnęły Chmielnickiego do natychmiastowego działania. Ale to, co o nim wiemy z lat uprzednich, jak choćby dwukrotny udział w delegacjach kozackich, wysyłanych do króla Władysława, pozwala stwierdzić, że przyszły hetman zajmował się w Subotowie nie tylko spasaniem wołów i doglądaniem pasieki, że brał żywy udział w życiu politycznym Ukrainy tego niespokojnego okresu. Powstań kozackich widział kilka, po jednym z nich (Pawluka, w roku 1639) jeździł do Warszawy, by królowi przedstawić powstałą sytuację.

Na łamach „Ogniem i mieczem", w ustach Zagłoby czy innego szlachciury, zwrot o „rudej kosie", co jak Helena Trojańska rozpaliła wojnę, może wydać się logiczny i zrozumiały; gorzej, gdy identycznej pokusie ulegają historycy.

I jeszcze jedno. Kotiużyński napisał, że Michał Chmielnicki, ojciec Bohdana, poległy później pod Cecorą, był „szlachcicem polskim, pochodził z Mazowsza, czy też Podlasia. Ożenił się z Kozaczką". Czyżby zatem zwycięzca spod Korsunia i Piławiec był mieszanego, polsko-ruskiego pochodzenia? Nic na to nie wskazuje. Argument, że ojciec posłał go do kolegium Jezuitów, nie ma żadnego znaczenia. Zdarzało się wówczas często, że zarówno nie-Polacy jak nie-katolicy pobierali nauki u Jezuitów. Towarzystwo Jezusowe może mieć liczne grzechy na sumieniu, ale w owym wczesnym okresie swej działalności w Rzeczpospolitej umiało zdobywać się na wyjątkowy liberalizm, przyjmując do swoich szkół nie tylko schizmatyków, ale nawet kalwinów i luteranów, do których ojcowie musieli czuć odium znacznie

większe. Trudno przypuścić, aby syn polskiego szlachcica zruszczył się tak łatwo i to mimo pobytu w jezuickim kolegium, toteż nie sądzę, by Michał Chmielnicki pochodził z Mazowsza. Z Podlasia — to już bardziej prawdopodobne, ale i na to nie ma żadnych solidnych dowodów. Pierwsze pewne wiadomości dotyczące Michała łączą się z jego zjawieniem się na terenie Białocerkiewszczyzny, a więc w samym sercu Ukrainy. Klejnot szlachecki to też słaby argument, zwłaszcza, że jesteśmy w drugiej połowie wieku XVI, gdy proces polonizacyjny dopiero zaczynał nabierać rozmachu.

Szkic Kotiużyńskiego, napisany z dużym umiarem i z widocznym wysiłkiem, by w ocenie postaci Chmielnickiego zdobyć się na maksymalną bezstronność, oparty jest jednak na literaturze przedmiotu zbyt ograniczonej i w znacznej mierze przezwyciężonej przez późniejsze studia. Toteż niektóre zagadnienia, np. zagraniczna polityka hetmana, zostały tu zaledwie dotknięte.

◆

Również domaga się kilku uwag polemicznych kilkunastostronicowa praca profesora Władysława Wielhorskiego, „Kijów jako stolica państwa w średniowieczu". Autor rozbił swoje studium na dwie części; w pierwszej zastanawia się nad powodami, dla których właśnie gród kijowski stał się stolicą ogromnego państwa, w drugiej — omawia znaczenie, bogactwo i skład etnograficzny wielkiej metropolii, w okresie jej największego rozkwitu.

Wybór miejsca był nieprzypadkowy. Jak słusznie podkreśla Wielhorski, gród leżał na skrzyżowaniu dwóch międzynarodowych szlaków handlowych: ze Skandynawii z biegiem Dniepru aż do ujścia potężnej rzeki i dalej do Bizancjum, oraz z Czech przez Kraków, Sandomierz, Halicz, Kijów, ku Bramie Uralskiej i dalej, do Chorezmu i Chin. Wystarczyło wybrać odpowiednie miejsce w pobliżu skrzyżowania tych szlaków, bardziej w górę, lub w dół Dniepru. Naturalne wzniesienie, panujące nad całą doliną, łatwe do ufortyfikowania, a przy tym dostatecznie rozległe, samo narzucało logiczny wybór.

Gdy pierwsza drużyna wareżska spłynęła w dół rzeki, warowny gród musiał już istnieć. Wersji o trzech braciach, Kiju, Szczeku i Chorywie, podanej przez Nestora, a tym bardziej legendy o Apostole Andrzeju, który miał szerzyć chrystianizm na stepach pontyjskich, nie będziemy traktować zbyt poważnie. Ale trudno przypuścić, aby natychmiast po przybyciu Waregów, ledwie założone, przedtem nieistniejące miasto mogło rozwinąć się tak szybko. Szlak handlowy Wschód-Zachód istniał, zanim odkryto drogę „iz Wariag w Grieki", gdyż konkretne o nim wiadomości sięgają czasów starożytnych.

Nestor zanotował legendę, ot, rozpowszechnioną bajeczkę. Ale cesarz Konstantyn Porphyrogeneta nie był bajkopisarzem, gdy w swojej kronice zanotował istnienie miasta Sambotas, określa-

jąc dość dokładnie jego położenie. Cóż, miasta zmieniają swoje nazwy*).

Czy Ruryk dotarł kiedykolwiek do Kijowa — nie wiemy. Stolicą wareżskiej Rusi był wtedy Nowogród Wielki. W trzy lata po śmierci założyciela dynastii syn jego, Oleh, przenosi się do Kijowa. Należy założyć, że znalazł tam nie tylko wysoką mogiłę zamordowanego właśnie Askolda, ale także jakieś, najskromniejsze choćby grodyszcze. Ale udajmy się z prośbą o świadectwa do zawsze obiektywnego świadka, jakim jest archeologia. Głębokie wykopaliska przy ulicy Kiryłowskiej — na jej wschodnim odcinku, a więc w najstarszej części miasta — pozwoliły stwierdzić ślady życia ludzkiego sprzed trzydziestu tysięcy lat. Na Ukrainie istniały wówczas mamuty, lwy i jaskiniowe niedźwiedzie (w odkrywce znaleziono także ich kości), a więc istoty nieco starsze od najstarszych wikingów.

Profesor Wielhorski sądzi, że Kijów był grodem typowo kresowym. Granica państwa sięgała na południu do Rosi, zaś na wschód tuż za Dnieprem już ciągnęły się „dzikie pola", domena koczowniczych plemion tiurskiego pochodzenia. „Na wschód od rzeki — pisze Wielhorski — za Dniepr, władza księcia Jarosława w XI wieku już nie sięgała". Trzeba jednak zgłosić pewne zastrzeżenia. Wiemy przecież, że niżej z biegiem rzeki, na wschodnim brzegu istniał Perejasław. Nie był to żaden obronny przyczółek mostowy, wysunięta w głąb nieprzyjacielskich terenów warownia, lecz całkiem jak na ówczesne czasy ludny gród, po stolicy jeden z najważniejszych. Trudno zgodzić się z przypuszczeniem, że o sto kilometrów ku południowemu wschodowi istniał taki gród, a w bezpośrednim sąsiedztwie Kijowa, pod samym książęcym nosem nie było żadnego osadnictwa ani władzy.

Osadnictwo szło także od lesistej północy, od Czernihowszczyzny, skąd potężne bory wypuszczały swoje zagony w południowy step znacznie głębiej niż za naszych czasów. Przecież Putywl, na którego murach rozpaczała Jarosławna, po klęsce męża, księcia Ihora, leży nad Sejmem, lewym dopływem Desny, o paręset kilometrów na wschód od Dniepru. Wprawdzie to nie jest równoleżnik Kijowa, ale bardziej ku południowi od Putywla życie osiadłe nawątpliwie istniało. Pomyłka profesora Wielhorskiego polega chyba na tym, że Pieczyngom, podobnie jak ich połowieckim następcom, wyznacza za siedziby całe Zadnieprze. A tak jednak nie było ani za Jarosława Mądrego ani później. Stepowi rabusie zapuszczali się aż pod Kijów, to prawda, ale ich główne koczowiska znajdowały się na dnieprowym Niżu i wzdłuż wybrzeża czarnomorsko-azowskiego.

Warto przy tej okazji zwrócić większą uwagę na tak zwanych „brodników", czyli włóczęgów, ludzi nieosiadłych. Cóż to za

* U niemieckiego kronikarza Thietmara znajdujemy nazwę „Kitowa", arabscy historycy piszą „Kujawa". Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich tych wypadkach chodzi o tę samą miejscowość.

jedni? Wałęsali się nad Worskłą i Sułą, a także dalej, nad Dońcem, Donem i jeszcze bardziej ku wschodowi i północy. Myśliwi i rybacy, przewodnicy kupieckich karawan, przewoźnicy na rzekach, ale również pszczelarze i smolarze, co już wskazuje na tryb życia na pół osiadły. Musieli mieć swoje zimowniki, jak w kilka stuleci później Kozacy Zaporoscy. Wielu ich kręciło się w pobliżu tak zwanego „Załoznego Szlaku" prowadzącego od Sinego Morza (Azowskiego) do Dniepru. Szły tym szlakiem transporty żelaza (załoza) — stąd nazwa. Daleki zasięg terytorialny „brodników" świadczy, iż na Zadnieprzu istniało osadnictwo, a tym samym władza, choćby ograniczona, książąt kijowskich.

Występując jako zdecydowany zwolennik teorii normandzkiej, profesor Wielhorski przyjmuje konsekwentnie, że stary Kijów był dziełem niemal wyłącznym przybyszów ze Skandynawii. „Gdy chodzi o elitę kulturalną Kijowa — pisze autor — to stanowił ją przede wszystkim dwór dynastii panującej — Rurykowiczów, jak też najwyżsi dygnitarze państwowi, w większości również skandynawscy Normanowie, a nie Słowianie. Znaczna część garnizonu wojskowego stolicy składała się zapewne także z rodowitych Waregów. Wśród sfer kupieckich było liczne grono przedstawicieli wyższej kultury ówczesnej, przybyszy z Bizancjum. Rzesze pospólstwa kijowskiego stanowić musieli, oczywiście, miejscowi Słowianie, głównie z plemienia Polan. Gdy chodzi o warstwy, reprezentujące najliczniej ekonomiczne życie miasta, finansowe i kupieckie, odgórne i niższe — to Kijów zamieszkiwali podówczas: Grecy, Ormianie, Wołosi, Bułgarzy, Węgrzy, jak też przedstawiciele mongolsko-tatarskich kupców z azjatyckiego Wschodu. Wreszcie — ludność żydowska".

A nieco dalej Wielhorski twierdzi, że „słowiańscy autochtoni, nawet w XII wieku nie byli „podmiotem historycznym w stolicy swej ojczyzny". Że państwem rządzili Skandynawowie, kościołem Grecy i Bułgarzy.

Trudno zgodzić się z tak kategorycznym sądem. Gdyby Waregowie zetknęli się z bezkształtną masą autochtonów, nie byliby w stanie stworzyć państwa na takim obszarze i w tak szybkim tempie. Porównajmy daty. Przybycie Normanów określa się na rok 862, Kijów stał się stolicą w 882, a już za Włodzimierza Wielkiego, więc po stu latach miasto rywalizowało z Bizancjum, jak to zgodnie stwierdzają ówcześni kronikarze, i miało rzekomo czterysta cerkwi*), osiem rynków i odpowiednią do tego ilość mieszkańców. Ale pierwsze świątynie chrześcijańskie powstają na długo przed oficjalnym chrztem. Daty wybudowania cerkwi świętego Eliasza nie znamy, wiemy jednak, że istniała już za dziada Włodzimierza, Ihora. Gdy w Kijowie zawierano układy

* Informację Thietmara o wzniesieniu 40 cerkwi za panowania Włodzimierza włożyć należy między bajki. Również nieprawdopodobny wydaje się zapis w Kronice Laurentyjskiej z roku 1124 o wielkim pożarze Kijowa, kiedy to „samych cerkwi spłonęło sześćset". Znamy przecież z grubsza zasięg terytorialny ówczesnego miasta, które nie było w stanie objąć tylu świątyń, nawet gdyby ich część, co prawdopodobne, znajdowała się **extra muros**.

z wysłańcami Bizancjum (pierwszy znany pochodzi z roku 911), ruscy pełnomocnicy-poganie przysięgali przed posągami Peruna i Wołosa, zaś chrześcijanie u świętego Eliasza.

Penetracja chrześcijaństwa musiała zacząć się, rzecz prosta, przed powstaniem pierwszych świątyń, zapewne na dobre kilkadziesiąt lat przedtem. Waregowie byli poganami, a wiemy także, że awanturnicy skandynawscy ustosunkowali się na ogół bardzo opornie do nowej wiary. Ileż czasu było trzeba, aby Duńczycy, którzy zapanowali w Anglii, kraju przecież od dość dawna chrześcijańskiego, przyjęli znak krzyża! W samej Skandynawii proces trwał bardzo długo i napotykał na gwałtowne zahamowania o nawroty do pogaństwa. W Szwecji np. chrześcijaństwo ustaliło się dopiero przy końcu XI wieku.

Włodzimierz Wielki ochrzci się w sto lat po przybyciu swego legendarnego praszczura, mimo że włodzimierzowa babka, Olga, była już chrześcijanką. Dla kogóż więc na przełomie IX i X wieku budowano cerkwie w Kijowie? Zapewne nie dla przybyłych z dalekiej Północy czcicieli Odyna i krwawego Thora, lecz dla autochtonów. A to wyklucza tezę o znikomości ich roli społeczno-politycznej. Całkiem przekonywująco wygląda hipoteza, iż przybycie Waregów nie przyśpieszyło, lecz opóźniło zwycięstwo chrześcijaństwa na Rusi.

I rzecz znamienna, o zasadniczej wadze: wczesne prawodawstwo ruskie było, jak na owe czasy, niezmiernie łagodne, w przeciwieństwie do skandynawskiego. Nie podobna uwierzyć, aby Waregowie, stanowiąc czynnik wyłączny, bez udziału w rządach autochtonów, byli w stanie zdobyć się na tak wielki humanitaryzm i liberalizm. Tak więc twierdzenie, że ludność miejscowa, słowiańska stanowiła w Kijowie wyłącznie gmin, nie może ostać się w świetle tych rozważań.

A jak było z duchowieństwem? Czy istotnie tylko Grecy u góry hierachii i Bułgarzy na niższych szczeblach? W pierwszych latach — niewątpliwie tak. Ale już za Jarosława Mądrego, syna Włodzimierza, w sześćdziesiąt parę lat po oficjalnym przyjęciu chrześcijaństwa, pierwszy Rusin w osobie Hilariona, zostaje metropolitą kijowskim i z miejsca podejmuje walkę o większą niezależność cerkwi ruskiej od Bizancjum. Walka ta toczyła się ze zmiennym szczęściem przez całe stulecie. Gdyby hierarchia znajdowała się wyłącznie w rękach Greków i Bułgarów, sprawa autonomii nie wypływałaby z tak stałą natarczywością. Rusinem był najwybitniejszy z następców Hilariona, metropolita Kłym Smolatycz. Jakże więc uwierzyć w niemal wyłączną preponderancję grecko-bułgarską, skoro właśnie najwybitniejsi przedstawiciele cerkwi ruskiej, których imiona przechowała historia, byli ponad wszelką wątpliwość autochtonami! Trzeba by tu wysunąć inne hipotezy, bardziej kompromisowe.

◆

Zapewne niejeden czytelnik, taki zwłaszcza, który do polskiej przeszłości na Ukrainie nie ma żadnego osobistego stosunku, od-

łoży obydwa tomy „Pamiętnika" ze sceptycznym gestem. Było, przeminęło, rozwiało się na historycznym wietrze, nie powróci... Czyżby więc chodziło tylko o rodzaj sztambucha, w którym starsi panowie zapisują swoje wspomnienia, kartki wyrwane z dziejów dramatycznego bankructwa, rozłożonego w czasie na trzy długie stulecia?

Wiek XVII ograniczył zasięg polskości do Ukrainy prawobrzeżnej. Wiek XIX po kolejnych zrywach niepodległościowych, przynosił polskiemu stanowi posiadania cios za ciosem. Rewolucja bolszewicka dokonała reszty. Aż po drugiej wojnie światowej granice etnograficzne przesunęły się na Bug i San, to jest tam, gdzie (z niewielkimi poprawkami na polską korzyść) znajdowały się u zmierzchu epoki piastowskiej. Rok 1945 stał się jedynie wykonawcą wyroku wiszącego od dawna nad głową. Sam wyrok zapadł o całe ćwierćwiecze wcześniej, w pozornie szczęśliwym, bo zwycięstwem wojennym opromienionym roku 1920. Nazwa Rzeczpospolitej utrzymała się, jednak jej treść wyparowała całkowicie. Już wtedy idea jagiellońska stała się rzewnym zabytkiem muzealnym i tylko nieliczni pozostawali jej wierni. Wiernością żołnierzy porzuconych na beznadziejnym posterunku.

Myślę przecież, że takie wydawnictwo, jak „Pamiętnik Kijowski" ma swój sens nie tylko jako pozycja archiwalna. Niezależnie od tego, wzdłuż którego południka przebiegają czy będą w przyszłości przebiegać nasze wschodnie granice, nie odmienimy odwiecznego sąsiedztwa. Każdy więc bilans minionych stosunków, byle przeprowadzony uczciwie i bez uprzedzeń, powinien okazać się pożyteczny.

*Józef ŁOBODOWSKI*

# Nowy tom Iwaniuka

W swej dotychczasowej praktyce pisarskiej miał Wacław Iwaniuk zwyczaj ozdabiania kolejnych zbiorów wierszy niesłychanie „ekspresyjnymi" tytułami w rodzaju: „Pełnia czerwca", „Dzień Apokaliptyczny", „Czas Don Kichota", „Dni białe i dni czerwone" czy „Pieśń nad pieśniami". Dopiero „Milczenia" zdawały się wskazywać na pewne przełamanie tego zwyczaju, choć i ten tytuł — jakkolwiek nie tak patetyczny jak poprzednie — nie pozbawiony jest ekspresji. A teraz przychodzi po prostu „Wybór wierszy"*).

Nazwa ta określa zazwyczaj tom wierszy wybranych z dotych-

* Wacław Iwaniuk. „Wybór wierszy. Biblioteka Kultury Tom CIX. Instytut Literacki Paryż 1965.

czasowego dorobku autora i stanowi podsumowanie czy zamknięcie pewnego etapu jego twórczości. Tytuł jest więc czysto formalny i nie przesądza ani treści ani charakteru takiego zbioru — poza jedną tylko sugestią: że zawiera on wiersze, które autor uznał za najlepsze czy najważniejsze z całego swego dorobku. Oczywiście, i ostatni tom Iwaniuka odpowiada w pewnym sensie tym kategoriom: są to rzeczywiście wiersze wybrane — chciałoby się raczej rzec: dobrane — z dotychczasowego dorobku poety. Ale dobór dokonany został nie po linii czysto formalnej: według wartości estetycznej utworów, ale właśnie według ich treści, co powoduje, że otrzymujemy książkę wyraźnie skomponowaną, która nie stanowi zamknięcia przebytej drogi, ale zdaje się otwieraz nowy tej drogi etap.

W zestawieniu z zawartością tomu — tytuł ten, czysto formalny, niejako „bibliograficzny", coś jak w muzyce opus taki a taki, wybiega poza znaczenie tych dwóch wyrazów. Symbolizuje mianowicie nowy stosunek poety do słowa jako środka artystycznej wypowiedzi. Proces ten nie jest u Iwaniuka całkiem nowy. Zaczął się zarysowywać już w „Milczeniach", wydanych w roku 1959. Już wtedy zaczął poeta z całą świadomością nawiązywać do norwidowskiej teorii przemilczeń i niedomówień, które zresztą stosował jeszcze dawniej, tylko że w sposób raczej przypadkowy i bliższy poetyce symbolistycznej. To właśnie konsekwentny zwrot artystyczny ku norwidowskiej dialektyce milczenia zaważył z całą pewnością na decyzji poety, aby tomu ostatniego nie opatrywać żadną nazwą, aby jego tytuł — po prostu przemilczeć. A to posiada dodatkowy sens i pełni ważną artystyczną rolę. Poeta doszedł do przekonania,że żadna nazwa, żaden tytuł nie zdoła w sposób adekwatny wyrazić tego, co w swej ostatniej książce pragnął zawrzeć.

Pierwsza rzecz, jaka uderza w „Wyborze wierszy" Iwaniuka to cały zespół odwołań do dziejów ludzkiej myśli i twórczości. Autor przywołuje nazwiska najświetniejszych filozofów, artystów i pisarzy. Zarejestrujmy tu je po krótce: Kierkegaard, Sartre, Camus; malarze: Degas, Van Gogh, Matisse, Picasso, Chagall i Lebensztajn; kompozytorzy: Bach i Ravel. Spośród pisarzy: Homer, Dante, Whitman, Norwid, Conrad, Rilke, Kafka, O'Neill, Eliot, Auden i Gombrowicz. I wreszcie: Freud. Ten rejestr nazwisk, który wyglądać może jak zabawa w rozwiązywanie krzyżówki przytaczam tu w intencji najpoważniejszej. Stanowi on bowiem najlepszą metrykę poezji Iwaniuka. Lista ta ukazuje mianowicie nie tyle skalę zainteresowań poety, ile pozwala określić charakter jego sztuki. Jest to w najogólniejszym rozumieniu poezja kultury. W wierszach tych — podobnie jak u Norwida — dzieło sztuki, obraz, książka, wiersz, śmierć jakiegoś twórcy są punktem wyjścia, pretekstem do szerszych uogólnień — filozoficznych czy moralnych. Są także źródłem spięć lirycznych, bezpośrednich wstrząsów, a nawet poetyckich rewelacji, jak np. w trenach poświęconych Tadeuszowi Sułkowskiemu („Chorał dla poety") i Stanisławowi Piętakowi („Psalm na spotkanie z nocą").

Że Iwaniuk umie z dużą wrażliwością i w sposób bardzo bezpośredni odczytywać dzieła sztuki jako symbole, względnie parabole, świadczy choćby wiersz pt. „Lebensztajna portrety wnętrza", który kończy się słowami

*I to jest sztuka, zapytują oczy?*
*Z czego się rodzi? Jakim służy celom?*
*Widza rozpiera śmiech. Po sutym obiedzie*
*przyszedł aby odpocząć i nacieszyć wzrok.*
*I co zobaczył — roentgenowskie plamy?*

*Portrety-krzyże wiszące na ścianach*
*mocne jak promień który*
*nie potrzebuje słońca.*

To samo da się powiedzieć o wierszu pt. „Widziałem obrazy Van Gogha", z którego pozwolę sobie zacytować ten oto fragment

*Widziałem poskręcane dusze fioletowych drzew*
*rowy pełne lawy nakryte ogniem*
*niebyt kwiatów, wołanie roślin —*
*i zenit.*
*Tak za bramami miasta przyszło trzęsienie ziemi*
*i malarz zapadł się w ogień.*

*Widziałem gładkie twarze snobów zapatrzone w siebie.*
*Wiszące na ścianie obrazy, skarlałe od otoczenia —*
*i Van Gogha ukrzyżowanego.*

Konsekwencją założeń, jakie Iwaniuk postawił sobie w „Wyborze wierszy", jest zainteresowanie dla własnego warsztatu twórczego, próba artystycznego samookreślenia czy wyjaśnienia sensu własnej mowy poetyckiej. Już same tytuły jak „Niedomówiona rzecz", „Czy można dziś budować na niepewnych słowach", „Moja epika", „W sprawie wiersza" czy „Ars poetica" — świadczą wymownie nie tylko o skali problematyki, podjętej przez poetę w związku z tym zagadnieniem, ale przede wszystkim o dojrzałości artysty i jego poczuciu odpowiedzialności za prawdę słowa poetyckiego.

*Kiedy się pisze o tym w co się wierzy*
*wtedy się człowiek cieszy całym ciałem*
*i wierszem który w nas początek bierze*
*i żyje w nas rymami nabrzmiały.*
. . . . . .
*I możem wierzyć gdy taka jest wola*
*naszego słowa spinanego złotem —*
*i możem burzyć i możem budować*
*sto razy umrzeć i zmartwychwstawać potem.*

Tak pisze Iwaniuk w wierszu pt. „Dno" jak gdyby nawiązując świadomie do myśli Norwida wyrażonej w „Promethidionie": „Tylko sztuce pojętej w całej swojej prawdzie i powadze Polak dzisiaj poświęcić może życie".

Wiersze, w których Iwaniuk zastanawia się nad słowem, istotą, sensem, rolą i wartością poezji należą do najlepszych jego utworów. W wierszach tych myśl poety koncentruje się na norwidowskim problemie w jaki sposób „odpowiednie dać rzeczy słowo". Jest to bardzo znamienny moment w poezji Iwaniuka, tym bardziej, że aż do tomu „Milczenia" poeta spontanicznie i niemal bezkrytycznie poddawał się czarowi i magii słowa. Był nim zafascynowany. Ulegał czarowi samego jego dźwięku. I tak, na przykład, w wierszu pt. „Słowo o dźwięku" („Czas Don Kichota". Światpol. Londyn 1946) pisał Iwaniuk:

*Kocham dźwięk. Każda dźwięczność serce mi rozpiera.*
*W bogactwie takich dźwięków żyję i umieram.*

A w „Pieśni nad pieśniami" (Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn 1953) wyraził swój stosunek do dźwięku jeszcze dobitniej:

*Stopniem miłości jest dźwięk — a w dźwięku*
*mieści się blask, i jeszcze w sile blasku*
*słowo rozkwita wierszem pięknym*
*jak echo wywołane o brzasku.*

W tomie „Milczenia" (Biblioteka „Kultury". Tom XLIX. Instytut Literacki, Paryż 1959) to bezkrytyczne zafascynowanie słowem, urzeczenie samym jego dźwiękiem, zaczyna powoli gasnąć. Po raz pierwszy poeta zaczyna traktować słowo nieufnie. Ale ta podejrzliwość w stosunku do słowa znalazła swój najmocniejszy wyraz dopiero teraz. W wierszu „Kamień i lament", umieszczonym w obecnym tomie, poeta dwukrotnie, jakby w rozpaczy, zawoła:

*Dzisiaj sparzony uciekam od słowa*
*nad którym załamuje ręce.*
. . . . . .
*I co po słowie twardym niby orzech*
*w łupinie dźwięku, kiedy ziarna nie ma.*

Coraz większą rolę w poezji Iwaniuka zaczynają odgrywać niedomówienia i przemilczenia. Zjawia się „samotne słowo w ornamencie ciszy". Zjawia się cisza. Owa niezbędna cisza, bez której refleksja staje się niemożliwa.

A refleksji tych nasuwa się poecie coraz więcej. U podstaw ich leżą konkretne ludzkie sprawy, którym poeta poświęcił już wiele uwagi w tomie „Milczenia". A więc niepokój dzisiejszego pokolenia, okrucieństwo czasów w których żyjemy, egzystencjalny bezsens świata, a nade wszystko osamotnienie jednostki, które

w sposób przejmujący wyraził Iwaniuk w wierszu „Gdybym był Norwidem". Naprawdę nie mogę się oprzeć zacytowaniu choćby takiego fragmentu tego utworu:

*Gdybym mógł wiedzieć, że ktoś jeszcze wie*
*Że są inne drżące kolana*
*Że inne krzesło dostawił mi los*
*W moim pokoju. — Trzasnęły otwierane drzwi*
*Ktoś wszedł, poznałem go, powietrze się zatrzęsło*
*Poznałem po zmęczonych plecach, po ramionach*
*Obarczonych ciężarem wieczności —*
*Po sapiącej podłodze, po zgrzycie krzesła*
*Do pokoju który z trzaskiem*
*Załamał ręce starych ścian.*
*Potem nastąpiłaby cisza, ale cisza dwu*
*Cisza bliska, cisza łagodna*
*Pełna człowieka.*

Aby w ten sposób pisać o swojej — czy tylko swojej? — samotności trzeba mieć po prostu odwagę. Iwaniuk ją ma. Starając się sam rozpaczliwie ocalić z trwogi dni wojny — motyw ten powraca w jego wierszach stale, niemal perseweracyjnie — Iwaniuk umie zdobyć się na moralny protest przeciw historii, która brutalnie wdarła się w los polskiego narodu i w poemacie „Moja epika" napisać

*Ja przeżyłem kamienny czas*
*jest jeszcze we mnie siła*
*do powiedzenia — tak lub nie.*

Iwaniuk ma nie tylko siłę do powiedzenia tak lub nie. Ma siłę znacznie większą. Umie nie mówiąc wyrażać rzeczy niewyrażalnie. Język dla Iwaniuka — jakby to powiedział Heidegger — „mówi jak dźwięk ciszy". („Die Sprache spricht als dans Geläut der Stille"). To że Iwaniuk nauczył się języka ciszy jest w jego dotychczasowej poetyce jednym z największych, jeśli nie największym osiągnięciem. I chociaż Iwaniuk — jak sam to mówi — nie dotarł jeszcze do swojej Atlantydy, wierzę, że idąc dalej drogą, po której teraz kroczy, już w krótce znajdzie odpowiedzi na pytania, które sam sobie postawił właśnie w wierszu pt. „Atlantyda":

*Więc po co jestem i na kogo czekam?*
*Szczelny milczeniem jak paleta liścia?*
*Jak nieotwarte ziarno, jak w łupinie głos —*
*Samotne słowo w ornamencie ciszy.*

*Józef Piotr JAKSIŃSKI*

# Krytycy amerykańscy o Antologii Miłosza*

Babette Deutsch, znana poetka i tłumaczka poezji rosyjskiej, w *Book Review:*

Książka ta powinna uradować każdego odważnego i wrażliwego czytelnika, jak i tych z nas, którzy chcieliby być bardziej odważni, a także każdego poetę. Niewiele w niej jest pogodnych wierszy. Większość dotyczy wojny i jej następstw albo okupacji. Ale wiersze te mówią w sposób który cieszy i dodaje nam otuchy: z otwartością, gniewem, ironią, czułością — manifestując, wraz ze wstydem, wielkość do jakiej ludzie są zdolni. Czesław Miłosz zna się na tych rzeczach.

Każda pozycja stanowi wiersz sam w sobie. Żaden z nich nie robi wrażenia przekładu. Nie znam polskiego, więc nie mogę powiedzieć w jakim stopniu te utwory zbliżają się do oryginałów, ale, w pewnych niemożliwych do przekroczenia granicach, jestem pewna, że są wierne. Można liczyć na skrupulatność redaktora antologii, który wezwał do pomocy innych poetów i specjalistów. Nie troszczył się o formę polskich utworów, bvle dokładniej oddać ich prozaiczny sens. Strategia ta opłaciła się jak się zdaje częściowo dlatego że jego krótka, treściwa przedmowa i jego noty do poszczególnych poetów zaznajamiają czytelników ze szczegółami budowy i tkanki wiersza, niewidocznymi w angielskich wersjach.

Nie może być wątpliwości co do tonu różnorodnych utworów. I, mimo ich przejęcia się współczesnymi okrucieństwami, *są* one różnorodne, poczynając od bezpośredniości „Zabawy w konie" a kończąc na subtelności i głębi „Objawienia" Zbigniewa Herberta. Jak Miłosz zauważa, „jest w antologii niezwykle duża ilość wierszy Herberta, co przypisać trzeba temu, że tłumaczą się wyjątkowo dobrze, ze względu na ich intelektualną strukturę. Istnieje też, oczywiście, odczuwane przeze mnie głębokie pokrewieństwo z jego pisaniem".

Sam „C.M." ma w antologii wiersz pt. „Dedykacja", który tak się zaczyna: „Ty, którego nie mogłem ocalić /Wysłuchaj mnie./ Zrozum tę mowę prostą, bo wstydzę się innej". I kończy się: „Sypano na mogiły proso albo mak/ Żywiąc zlatujących się umarłych - ptaki./ Tę książkę kładę tutaj dla ciebie, o dawny,/ Abyś nas odtąd nie nawiedzał więcej". Ale właśnie na tych stronicach ciągle nas nawiedzają. W tym samym utworze Miłosz zapytuje: „Czym jest poezja, która nie ocala /Narodów ani ludzi?" Książka dowodzi jego zrozumienia, że ocalać narody i ludzi może nie poezja dydaktyczna ale słowa przemawiające wprost do „serca-umysłu". Ten łącznik był używany przez dawnych chińskich poetów, którzy znali aż za dobrze nędze wojny, złych rządów i wygnania, jak też spokojne uciechy przyjaźni i miłości, zmieniające się dary pór roku, poranka i wieczoru, gdzieś w górach czy nad morzem. Jest to książka tego co się nazywa *engagement* przyniesiona aby dodać nam odwagi, podtrzymać nas i zachwycić. Mam nadzieję, że znajdzie odbiorców na jakich zasługuje.

---

* *Postwar Polish Poetry*, an anthology selected and translated by Czesław Miłosz, Doubleday and Company, Ney York, 1965.

Maureen Sullivan w *Catholic News:*

Kiedy poeta Czesław Miłosz zaczyna wyjaśniać w kilku słowach dlaczego ułożył tę antologię, jego prostota jest wymowna, tym bardziej że wiersze jakie wybrał stanowczo nie zawiodły jego oczekiwań.

„Istotnym motywem, jak to widzę, była moja nieufność do poezji która nurza się w negacji i w jałowym gniewie na świat. Człowiek stając przed mechanizmami wymykającymi się jego kontroli przegrywa do chwili, kiedy nauczy się że co zdawało się go miażdżyć było naprawdę próbą niezbędną aby przeniknął w nowy wymiar i przygotował swój umysł do borykania się z niespotykanymi dotychczas okolicznościami. To, według mnie, zaszło w polskiej poezji. Historyczny walec parowy wiele razy przetaczał się krajem, którego geograficzne położenie, między Rosją i Niemcami, nie powinno na ogół budzić zazdrości. A przecie poeta wychodzi z tego bardziej być może energiczny, lepiej przygotowany do zadań wyznaczonych mu przez ludzką kondycję, niż jego zachodni kolega.."

Dziewięćdziesiąt wierszy 21 poetów wskazuje na to, że sąd Miłosza rzeczywiście może odpowiadać prawdzie. Potwierdzając go, poeci zasługują na podziw przez swoją umiejętność pięknego pogodzenia się z rzeczywistością. Jeżeli przez rzeczywistość rozumiemy krew, kamienie i drewno świata przepojone znaczeniem innym niż to jakie ma zbiór molekuł, choć nie znaczeniem oderwanym od zbioru molekuł.

Ryzykując duże uproszczenie, można powiedzieć, że nowocześni amerykańscy poeci mają skłonność pisać albo w duchu czysto subiektywnym albo w duchu czysto obiektywnym. Czy też czują, że powinni (w moralnym niemal sensie) starać się stopić dwie postawy w jedno — co z kolei rzadko bywa udane, bo jest raczej dążeniem niż osiągnięciem.

Dzisiejsi polscy poeci, przynajmniej ci reprezentowani w antologii, nie cierpią na żadną taką niezdolność. I chociaż dałoby się dobrać dziewięćdziesiąt wierszy żyjących amerykańskich poetów, które wyglądałyby na równie zintegrowane, wątpię czy byłoby to całkiem uczciwe.

„Historyczny walec" o jakim Miłosz wspomina, jest pod tym względem praktyczną choć mało ponętną metaforą. Pełna wdzięku rzeczywistość przedmiotów chwytana przez polskich pisarzy jest być może dlatego tak dla nich dotykalna, że ich posiadłości, od jabłek do dzieł sztuki, były zagrożone, zrujnowane, odzyskane, wyposażone w znaczenie, choć nie ubóstwione. „Daj mi jabłko — powiedział mąż — i wyciągnął dłoń", pisze Różewicz, a Iwaszkiewicz: „Czarne Szatany — spadły w brąz ram, w róg tryptyków". Popadając w banał, powiedzmy, że wiersze są tak pisane jakby było miejsce na wszystko i jakby wszystko było na swoim miejscu.

Jeden krótki wiersz, „Sen ołówka" Tymoteusza Karpowicza, niemal bezpośrednio stwierdza ten stan rzeczy. Nie jest to bardzo ważny wiersz, ale wskazuje na ważną zdolność — połączenia percepcji z przedmiotem i milczącego wyposażenia całości w wartość. Niewielu amerykańskich poetów potrafi robić to w sposób naturalny:

„Kiedy ołówek rozbiera się do snu — twardo postanawia — spać sztywno — i czarno — pomaga mu w tym — wrodzona nieugiętość — wszystkich rdzeni świata... nigdy nie przyśnią mu się — fale albo włosy — tylko żołnierze stojący na baczność".

Jeżeli mamy wyróżnić twórczość któregoś poety jako szczególnie wybitną, będzie to twórczość Zbigniewa Herberta (ur. 1924). Pisze on wstrzemięźliwie, z triumfalną precyzją kształtu, obrazu i dykcji. Jego „Studium przedmiotu" jest odą do istnienia które jest spokojną i pełną przepychu wspaniałością. A jego „Tren Fortynbrasa" charakteryzuje Hamleta w dwóch linijkach: „Ręce leżą osobno Szpada leży osobno Osobno głowa — i nogi rycerza w miękkich pantoflach".

Oczywiście cały zbiór nie jest tak bezbłędny jak jego najlepsze linie ale impuls jego poetów jest niemal bezbłędny. Tomasz Merton, którego krótka ocena jest drukowana na okładce, konkluduje: „Młodsi poeci ukazują się jako najczystsi i najbardziej obiecujący ze wszystkich grup jakie przychodzą mi na myśl (z wyjątkiem być może Greków)". Nie jest to ekstrawagancka pochwała i ludzie lubiący jeden wiersz albo więcej w swoim życiu powinni może pozwolić sobie na ten estetyczny festyn.

# Książki ekonomiczne

Rok temu (czerwiec 1964) odbyła się w Londynie trzydniowa konferencja ekonomiczna w sprawach krajowych. W marcu 1965 materiały z tej konferencji ukazały się w formie książki[1]). Materiały te składają się z 13 referatów wygłoszonych na konferencji oraz ze streszczonej dyskusji, która toczyła się na temat referatów. Czytelnicy „Kultury" mają już pewne wyobrażenie o zawartości książki, gdyż jeden z wymienionych referatów ukazał się w „Kulturze" w listopadzie 1964[2]).

O ile poszczególne referaty stanowią cenny przyczynek do zasobu wiedzy o gospodarce współczesnej Polski, to zarówno sama konferencja jak i będąca jej owocem publikacja wykazują braki, typowe dla tego rodzaju poczynań na emigracji.

Konferencja zwołana została *ad hoc:* między ogłoszeniem projektu konferencji a konferencją upłynęło zaledwie pięć miesięcy. Jest rzeczą oczywistą, że w tak krótkim czasie niemożliwe było rzeczowe opracowanie wytyczonych tematów, jakimi miały być:

1. Analiza obecnej sytuacji w Polsce.
2. Skutki uzależnienia gospodarki polskiej od gospodarki sowieckiej w ramach RWPG.
3. Możliwości naprawy.

Zamiast tego organizatorzy zwrócili się do szeregu osób, specjalizujących się w polskich zagadnieniach gospodarczych, z prośbą o wygłoszenie referatów na dowolny temat. Tak więc zamiast jedności tematu nad konferencją dominowała przypadkowość. Widać to jasno w ostatecznej publikacji, a jej tytuł jest równie mało sensowny co tytuły tworzonych w podobnych warunkach zbiorów wypracowań o pisarzach („Krasiński Żywy", „Conrad Żywy" itd.). W rzeczywistości o „dylematach" gospodarki polskiej książka nie mówi, tak jak nie były one tematem

1) *Dylematy Gospodarki Polskiej* — Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1965.

2) J. Wszelaki, *Problem cen w handlu polsko-sowieckim*, „Kultura" nr 205.

konferencji. Jeden z referatów (Surowce Mineralne Bloku Państw Komunistycznych) w ogóle nie zajmuje się Polską, wszystkie inne, z wyjątkiem dwu, dają mniej lub więcej naukowo opracowany na ogół obiektywny, obraz poszczególnych wycinków polskiej współczesności, jednak bez prób dawania ocen i proponowania reform. Dwa referaty idą dalej i starają się dać poza opisem rzeczywistości również i odpowiedzi na pytania zasadnicze. W. Martin (Polska Rzeczypospolita Ludowa a RWPG) stawia szereg tez, twierdząc m.in. że „obecna trudna sytuacja gospodarcza Polski powstała w znacznym stopniu z powodu przynależności do RWPG" i że „PRL prowadzi na terenie RWPG politykę sprzeczną z narodowym interesem Polski"; jednak tezy postawione przez autora wcale nie wynikają z przedstawionego przezeń materiału faktycznego, a krytyka RWPG winna brać pod uwagę możliwe alternatywy. Zasadniczym pytaniem jest: Czy RWPG jest czy nie jest korzystniejszy od układów bilateralnych? Szukając odpowiedzi na to pytanie pamiętać trzeba, że we wczesnym okresie Rosja przywłaszczała sobie polski węgiel bez współudziału RWPG.

Drugim referatem programowym były „Niektóre Aspekty Sytuacji Gospodarczej w Polsce" M. Gamarnikowa. I tu również szybkie pisanie na zadany temat zaważyło ujemnie na wartości referatu. Autor stara się przeprowadzić interesujący wywód o cykliczności w rozwoju gospodarki PRL, ale mimo to ani razu nie wspomina, jakim to mianowicie cyklom gospodarka ta ulegała w ciągu 20 lat swego istnienia. Pełen dygresji nie-ekonomicznych (np. temat „osobowości Gomułki"), źle stosowanych zwrotów z terminologii ekonomicznej („brak korelacji myślowej między decyzją a skutkiem", „brak korelacji między strukturą... a zasobami". „Przyczyną przyrostu zapasów jest... opłacalność produkcji seryjnej bez względu na zbyt"), wątpliwych dogmatów („W zeszłym roku na każdy procent wzrostu dochodu narodowego przypadło aż dwa procent wzrostu zapasów. Tej proporcji żadna gospodarka na dłuższą metę nie może wytrzymać"), artykuł ten należy do kategorii pisarstwa dziennikarskiego, a nie naukowego.

Zagadnienie poziomu zaciążyło na konferencji i odbiło się na publikacji. Wśród referentów przeważali fachowcy od poszczególnych dziedzin. Jednak organizatorzy zdecydowali zrobić z konferencji coś w rodzaju obchodu i w tym celu doprosili jeszcze 28 osób, które zaliczyć można do kategorii „zainteresowanych amatorów". Miało to zdecydowanie ujemny wpływ na dyskusję, na co zresztą zwrócili uwagę uczestnicy. W związku z tym już w czasie obrad zmieniono nazwę imprezy z „Konferencji Ekonomistów" na „Konferencję Ekonomiczną".

Na dobro „Dylematów" zapisać należy to, czego w nich nie ma, a mianowicie komunikatu wydanego na zakończenie konferencji przez jej prezydium. Komunikat ten, którego forma była próbą połączenia naukowego obiektywizmu z wiecowymi sloganami („Chłop polski, jako główny żywiciel narodu, mający w swych rękach najpotężniejszą dźwignię rozwoju rolnictwa, wi-

nien mieć zapewnione trwałe bezpieczeństwo...") ukazał się w londyńskim Dzienniku Polskim i nadany został na kraj przez Radio Wolna Europa. „Dylematy" są dość interesujące i cenne, a w każdym razie nie kompromitują emigracji. Jest to w dużym stopniu zasługą komitetu redakcyjnego. Niewiele jednak brakowało a stałoby się inaczej. Cały incydent świadczy o słabości kierownictwa emigracyjnego w Londynie, o zgubnej ingerencji czynników politycznych w sferę naukową. Istnieje w Londynie Instytut Badania Zagadnień Krajowych, ciało idealnie predestynowane do organizowania konferencji na tematy krajowe. Ale na zebraniu Instytutu z początkiem 1965 r. prezes z rozbrajającą szczerością wyznał, że „zarząd przez pięć lat nie zwoływał walnego zebrania, bo nie było nic do raportowania". A jednocześnie Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego traci czas i wysiłek swych najlepszych mężów na mobilizowanie naukowców do nienaukowych akcji. Politykom emigracyjnym wydaje się, że ich misją dziejową jest urobienie emigracji na modłę owego psa Pawłowa; jak się powie „Polska Ludowa", to pies ma szczekać. A przecież odwieczna mądrość zawarta w przysłowiu mówi, że pies, który szczeka, nie gryzie.

◆

Gdyby polska myśl ekonomiczna skazana była na uleganie czynnikom oficjalnym, bądź krajowym bądź emigracyjnym, to w szybkim tempie uległaby degeneracji i zanikowi. Ale na szczęście są możliwości ucieczki od krępujących kanonów oficjalnych. Terenem ucieczki są uniwersytety, głównie amerykańskie. Poświęcają one sporo uwagi zagadnieniom bloku komunistycznego i dzięki temu co pewien czas ukazują się prace naukowe na tematy polskie. Jedną z takich właśnie prac jest książka A. Korbońskiego, prof. Uniw. Kalifornii o Politycznych Zagadnieniach Rolnictwa w Polsce w latach 1945-60[3]). Książka ta ma tematyczny odpowiednik w artykule „Uwagi o ustroju rolnym PRL" zawartym w omawianej powyżej pracy zbiorowej. Artykuł ten napisany został przez doskonałego przedwojennego znawcę zagadnień rolniczych, Józefa Poniatowskiego, który przy całej swej wiedzy i obiektywiźnie zachowuje postawę emigracyjnej poprawności. Porównanie tekstów obu autorów wykazuje charakterystyczne różnice między uwarunkowanymi refleksami emigranta a postawą niezależnego badacza.

W opisie stosunków przedwojennych Korboński wymienia strajk rolny z 1937 jako jedno z najważniejszych wydarzeń dwudziestolecia; u Poniatowskiego wydarzenie to nie istnieje. Obaj autorzy zgodni są w ogólnej ocenie niemożności rozwiązania kwestii przeludnienia wsi środkami będącymi w dyspozycji przedwojennych rządów i równie zgodnie stwierdzają, że reforma

3) Andrzej Korboński, *Politics of Socialist Agriculture in Poland 1945-1960*, Columbia University Press 1965.

rolna nie mogła być kompletnym rozwiązaniem tego problemu. Ale gdy Poniatowski poprzestaje na tym, to Korboński idzie dalej wykazując, że rozmiar problemu posłużył ówczesnym rządom jako pretekst do połowicznego załatwienia sprawy reformy. Głównym hamulcem nałożonym na próby reformatorskie jest dla niego postawa klasy rządzącej, czyli inteligencji, „dziwnej grupy ludzi, którzy w bardzo krótkim czasie zdołali zmonopolizować całą władzę polityczną, społeczną i ekonomiczną. Ta amorficzna grupa, nie uznająca niczego nad sobą, rozciągająca się poprzez granice tradycyjnych klas społecznych... mająca swe korzenie w arystokracji i szlachcie, wierzyła że jej misją jest rządzenie Polską... nie interesowała się uzyskaniem poparcia robotników i chłopów, których uważała za niższych od siebie". Na skutek takiego układu stosunków, upośledzony i zbiedzony chłop mógł łatwo pójść na drogę komunizmu: „Gdyby program komunistyczny przyszedł nie z Rosji, a z jakiegokolwiek innego kraju (ewentualnie z wyjątkiem Niemiec), to mógłby zdobyć znaczne wpływy". Drugą przyczyną niepowodzeń komunistów na tym tak podatnym gruncie była według Korbońskiego inteligenckość Komunistycznej Partii Polski, objawiająca się w „niemal pogardliwym stosunku do chłopa". Zjawisko inteligencji jest kluczem do zrozumienia nie tylko wielu zagadnień z okresu przedwojennego, ale również i obecnego. Pogarda, czy po prostu krańcowy brak zainteresowania dla „ludu" jest cechą charakteryzującą dzisiejszą klasę rządzącą w Polsce i w postawie tej łatwo zauważyć spuściznę po dawnej „dziwnej grupie mającej korzenie w szlachcie".

Korboński ma własną interpretację polityki Gomułki w okresie okupacji niemieckiej. Według Korbońskiego „w lipcu 1944 Gomułka po raz ostatni zwrócił się do ludowców i socjalistów aby przyłączyli się do PPR i stworzyli szeroki front narodowy... Wezwał ich do zreformowania — jeśli potrzeba siłą — rządu londyńskiego, do przejęcia dowództwa AK od reakcyjnych dowódców i do nawiązania przyjaznych stosunków z Rosją Sowiecką. Wydaje się prawdopodobne, że był on świadom dogmatycznych tendencji... „grupy moskiewskiej" i chciał przeciwstawić jej własny front narodowy. Ale znów propozycje jego zostały odrzucone i nie pozostało mu nic innego, jak przekroczyć Wisłę i przyłączyć się do grupy lubelskiej". Zdanie o reformie — „jeśli potrzeba siłą" — rządu londyńskiego brzmi tu niezrozumiale. Również opinię na temat intencji Gomułki w tamtym okresie traktować należy personalnie. Natomiast można dziś, z perspektywy 20-tu lat, stwierdzić, że jeśli były szanse choćby częściowego porozumienia z komunistami, to winny być one podjęte przez rząd londyński, a przede wszystkim przez kierownictwo podziemia. Zapobiegłoby to wybuchowi powstania warszawskiego i może dałoby Polsce parę lat stabilizacji na modłę Czechosłowacji.

Książka Korbońskiego jest kroniką wydarzeń na terenie rolnictwa w Polsce w latach po drugiej wojnie światowej. Pozornie

nie zawiera ona żadnych rewelacji dla czytelnika polskiego. który wszystkie te wydarzenia przeżył bezpośrednio. A jednak usystematyzowany opis historii tego okresu musi mieć dużą wartość nawet dla osób poinformowanych. Kto np. ze współczesnych polskiego Października pamięta dziś, że Gomułka nie był wcale motorem de-kolektywizacji wsi polskiej? Streszczenia obrad Drugiego Kongresu Spółdzielni Produkcyjnych (maj 1956) świadczą wyraźnie, że dni kołchozów były już wtedy policzone, że przyjście Gomułki było tylko symbolem, wyrazem polityki która zainicjowana została znacznie wcześniej.

W ocenie Października Korboński jest znów wysoce indywidualny i daleki od przyjętych emigracyjnych szablonów. Nie sądzi on aby „Polscy chłopi opierali się komunizmowi ze względów religijnych czy patriotycznych. Znaczenie uczuć religijnych i wpływ kościoła na wsi są często przeceniane, głównie dlatego, że dają one łatwe rozwiązania skomplikowanych procesów. To samo odnosi się do patriotyzmu chłopów... Komuniści byli znienawidzeni bo dążyli do zniesienia prywatnej własności... W tych warunkach kierownictwo Partii zrozumiało, że próba połączenia kolektywizacji z podniesieniem poziomu życia równa się kwadraturze koła... Dzięki rozsądkowi i przewidywaniu ówczesnych przywódców Partii, poświęcono ostatecznie kolektywizację a nie poziom życia". Tak więc ówcześni (a przez to i niektórzy współcześni) przywódcy zostali potraktowani wyjątkowo uprzejmie. Na ogół mówi się o nich, że decyzję swą podjęli ze strachu, albo ze słabości, albo z powodu frakcyjnych rozgrywek.

Książka Korbońskiego kończy się wcześnie bo na roku 1960. Winna jest tu częściowo, jak mówi autor, jego żona, która zbyt dużo czasu straciła na polerowanie angielskiej formy książki. W wyniku tego Korboński nie wiele mówi o okresie po-październikowym. Robi tu on ostrożne proroctwo: „W ciągu następnych 10 do 20 lat głównym problemem Partii będzie odzyskanie zaufania chłopów". Dziś, dziewięć lat po październiku, wydaje się że Partia ciągle nie nagromadziła wystarczającego kapitału zaufania. Ważniejsze jest to, że zaufanie nie jest najważniejszym problemem. Podniesienie poziomu życia rosnącej ludności Polski wymaga od kierownictwa kraju nie bezczynności a pozytywnych kroków zmierzających do ulepszenia i unowocześnienia rolnictwa.

◆

Kiedyś, w drugiej połowie lat trzydziestych, młody profesor ekonomii uniwersytetu wileńskiego, Stanisław Swianiewicz, zaproszony został do Stanów Zjednoczonych na zjazd ekonomistów! Organizatorzy zjazdu przysłali zaproszenie stosunkowo późno, nie licząc się z faktem, że w Europie Środkowej paszporty, wizy itd. są przedmiotem szczególnego kultu, na którego straży stoi specjalna kasta kapłanów-biurokratów. Ponieważ nie starczało czasu na odprawienie wszystkich koniecznych obrządków, wyjazd polskiego uczonego nie mógł się odbyć.

Cała ta sprawa niedoszłego wyjazdu prof. Swianiewicza zakończyła się swoistym happy-endem. Bo oto wybucha wojna, profesor zostaje zmobilizowany, wzięty do niewoli przez Czerwoną Armię, pod fałszywym nazwiskiem uwięziony w Kozielsku i we właściwym czasie przetransportowany do Katynia na likwidację. Ale tu, na ostatnim etapie, zjawia się wybawiciel — specjalny emisariusz NKWD, który ma polecenie wydobyć profesora i przewieźć go na Łubiankę. Mianowicie w międzyczasie NKWD rozszyfrowało identyczność profesora. Uznany za specjalnie ważnego agenta wywiadu, Swianiewicz przebywał przez szereg miesięcy na Łubiance, po czym skazany na 8 lat robót, spędził 13 miesięcy w obozach północnej Rosji.

Owocem tych wydarzeń jest wydane obecnie studium ekonomiczne o znaczeniu pracy przymusowej dla wzrostu gospodarczego[4]). Studium, rozpoczęte dość przypadkowo w czasie „seminarium" w Łubiance gdzie znalazła się grupa wybitnych ekspertów i administratorów, dojrzewało przez 20 lat na wszystkich niemal kontynentach: na Środkowym Wschodzie, w Indonezji, Anglii, Kanadzie. Jest to dzieło życia, pisane z rozmysłem, z zacięciem filozofa, który na marginesie problemu rzekomo technicznego duma nad losem ludzkości. Trzeba przyznać, że temat nastręcza wiele sposobności do tego rodzaju zadumań i trudno się dziwić, że człowiek, który w swym długim życiu widział największe cuda świata, koncentruje swe myśli na tych dwudziestukilku miesiącach spędzonych w więzieniach i łagrach Rosji Sowieckiej. Jak wszyscy ci, którzy przeżyli wojnę, a których nie należy identyfikować z tymi, którzy byli widzami wojny, Swianiewicz nie znalazł już w późniejszym życiu równie wielkich przeżyć, nic równie godnego uwagi, równie przydatnego do budowania gmachu własnego światopoglądu i własnej filozofii.

Ogólnie biorąc, jest to filozofia sceptyczna i pesymistyczna. Autor „Pracy Przymusowej" zakłada za Camusem, że „likwidacja klas kapitalistycznych da przypuszczalnie w wyniku nową stratyfikację społeczną i nowe sprzeczne interesy, z których wytworzą się nowe antagonizmy społeczne. To założenie odrzuca marksistowską utopię bezklasowego millenium, aczkolwiek nie odrzuca możliwości komunistycznego systemu ekonomicznego". A więc założenie to prowadzi do wniosku, że zarówno okropności rewolucji rosyjskiej jak i tzw. okresu stalinowskiego nie są unikatem i mogą się powtarzać. Zgodnie też z tym założeniem wyrażenie „okres stalinowski" musi być brane w cudzysłów względnie specjalnie zdefiniowane, gdyż obciążanie Stalina winą za „stalinizm" jest według Swianiewicza błędem: „Powstanie świata nowoczesnego niewolnictwa nie byłoby możliwe bez współudziału przynajmniej części elity rządzącej. Prawdziwe źródła tego nieludzkiego fenomenu (jak i wielu innych) w krajach totalitarnych leżą

4) S. Swianiewicz — *Forced Labour and Economic Development, An Enquiry into the Experience of Soviet Industrialization.* Oxford University Press, Londyn 1965.

prawdopodobnie w wielkim kryzysie duchowym naszej cywilizacji".

Książka znakomicie przedstawia historię gospodarczą Rosji Sowieckiej i stanowi nieocenione źródło informacji, które tłumaczą jak najbardziej aktualne problemy komunistycznego systemu. Morał tej lekcji historii można zamknąć w następującym wywodzie:

Dla osiągnięcia pewnych racjonalnych celów wyprodukowano mit, który spowodował wytworzenie się „nowej moralności"; moralność ta cechowała się nieludzkością, była więc w rzeczywistości anty-moralnością. W ostatecznym efekcie mit „komunistycznego społeczeństwa" okazuje się utopią „nie dlatego, że socjalistyczna czy nawet komunistyczna transformacja społeczeństwa jest niemożliwa, ale dlatego, że system sowiecki niszczy warunki psychologiczne konieczne dla takiej transformacji". Ale na określony okres czasu mit ma wystarczającą siłę sugestywną, aby wykonać, tak jak dokonało się to w Rosji, dzieło gigantycznej rekonstrukcji gospodarczej.

Swianiewicz stwierdza, że krytykowano go za przeprowadzenie swego wywodu w terminach ściśle ekonomicznych. Wydaje się, że krytyka ta jest w dużym stopniu uzasadniona. Mianowicie mit gwałtu, ucisku, „likwidacji" i wszelkiego rodzaju ostatecznych rozwiązań nie przypadkowo przypomina mit nazizmu. Rosja wzrastała w drodze podboju innych narodów i nie można się spodziewać, aby psychologiczne uwarunkowanie ubiegłych stuleci nie pozostawiło śladu na społeczeństwie współczesnym. Człowiek prehistoryczny okresu pleistonicznego żył w dwuosobowych grupach małżeńskich, wyganiając swe młode po ich odchowaniu. W ciągu kilkuset tysięcy lat, które upłynęły od pleistocenu nauczyliśmy się nie zabijać własnych dzieci i rodziców i stopniowo rozciągnęliśmy tę zasadę na wszystkich ludzi, którzy mówią tym samym językiem. Ale w momencie spotkania z ludźmi innojęzycznymi budzą się w nas instynkty zachowane z trzeciorzędu. Innymi słowy mit aby był skuteczny musi operować na bazie trwałych i silnych instynktów. Mit „człowieka komunistycznego" działał skutecznie w Rosji, bo apelował i był zrozumiany i akceptowany przez dużą część społeczeństwa mianowicie przez tych, którzy rozumieli go jako mit człowieka rosyjskiego, jako narzędzie nacjonalizmu rosyjskiego i projekcję walki Rosjan w otoczeniu nie-rosyjskim. Bez tego trudno byłoby zrozumieć gotowość ogromnej większości ludności Sowietów do ponoszenia niesłychanych ofiar i do poddawania się żelaznej i ogłupiającej dyscyplinie „dyktatury proletariatu". Analiza zagadnienia pracy niewolniczej w Sowietach nie będzie kompletna bez uwzględnienia aspektu narodowościowego. Są bowiem podstawy do przypuszczenia, że w owym okresie Rosjanie cierpieli głównie moralnie i ekonomicznie, ale że gros ofiar w ludziach należało do narodowości nierosyjskich. Nawet tak przekonywująco przedstawiony przez Swianiewicza pod-okres walki z kułakiem ma swój aspekt narodowościowy. Trzeba by obliczyć jaki procent „zde-

kułakowanych" i zlikwidowanych kułaków pochodził z Ukrainy; trzeba też uwzględnić, że głód lat 1931-3 dotknął głównie ziemie ukraińskie.

Pragnąc uczynić swą książkę bardziej atrakcyjną dla rynku światowego, Swianiewicz poświęca dużo uwagi zagadnieniu stosowalności doświadczeń sowieckich w innych krajach niedorozwiniętych, głównie w Azji i w Afryce. Jak można się domyśleć, rozważania te nie prowadzą do żadnych pozytywnych wniosków. Autor jakby dostrzegał teoretyczną możliwość powtórzenia eksperymentów sowieckich na innych terenach, a jednocześnie nie może nie przyjąć faktu, że eksperymentów takich i na taką skalę nigdzie indziej nie ma i nie było. Wytłumaczenie tego zjawiska leży właśnie w dziedzinie nacjonalizmu, a więc jest poza tematem książki. Można bowiem sobie łatwo wyobrazić obozy niewolnicze wprowadzone przez Chiny po podboju Indii, względnie przez Indonezję po podbiciu Malezji; obozy te nie byłyby jednak dla Chińczyków czy Indonezyjczyków. Z drugiej strony nie można sobie wyobrazić żadnej *autonomicznej* (tzn. niepodpartej z zewnątrz) siły w Pakistanie, Ghanie czy jakimkolwiek innym kraju zacofanym, która mogłaby zmusić przygniatającą większość ludności do przejścia przez doświadczenia analogiczne do doświadczeń sowieckich z lat 1929-55.

*Bohdan BRODZIŃSKI*

# Korboński na emigracji

Trzecia z kolei autobiograficzna książka Stefana Korbońskiego ma szereg zalet*. Autor, jak wiemy, umie pisać barwnie, żywo, zajmująco; jest człowiekiem rzetelnym i nie bezkrytycznym; jest jedną z bardziej ujmujących postaci emigracyjnego życia politycznego; jest bystrym obserwatorem. Napisał poza tym dwie świetne książki, które czytaliśmy kiedyś z zapartym oddechem. Sukcesowi tych dwóch książek przypisuje zresztą pomysł wydania trzeciej, która ma być kontynuacją, dalszym istotnym akcentem w działalności i życiu autora. Stąd nazbyt chyba wygórowany tytuł: „W imieniu Polski walczącej".

To, że książka jest mniej ciekawa od dwóch poprzednich, nie jest całkowicie winą autora. Winę ponosi przede wszystkim tematyka, nie dorównująca dramatycznością wspomnieniom z okresu okupacji i Polski podziemnej oraz pierwszych lat rządów komu-

* Stefan Korboński: *W imieniu Polski walczącej*, B. Świderski, Londyn, 1963, str. 756.

nistycznych w Polsce. Jakby zdając sobie z tego sprawę, autor pozwala sobie w trzecim tomie na — jak pisze — „szczyptę wyobraźni", zamieszczając w nim opisy nie tylko wypadków w których brał udział, ale i takich, o których wie jedynie z drugiej ręki, jak wypadki poznańskie, październikowe czy powstanie węgierskie. Mimo, że te wycieczki w sferę wyobraźni robione są z prawdziwym talentem dziennikarskim i mają formę relacji naocznego świadka, są one przedsięwzięciem ryzykownym, o czym świadczy szczegółowy opis zachowania się Chruszczowa w samolocie okrążającym lotnisko na Okęciu, lub „rekonstrukcja" słynnego zebrania KC. Zmyślony i jakby „zbeletryzowany" reportaż razi w książce, będącej w istocie jednym długim i rzeczywistym reportażem.

Ujęcie dziennikarskie jest zresztą powszechne nie tylko w stylu, ale i w układzie i samej koncepcji książki. Chociaż jednak w układzie książka ma charakter przeplatanki, można w niej wyodrębnić parę podstawowych wątków i tematów. Pierwsze rozdziały relacjonują zetknięcie się autora z życiem amerykańskim i z Polonią. Wiele tu uwag ciekawych, wiele jednak powierzchownych, za wiele też dyplomatycznego taktu i przytłumiania krytycyzmu. Przez uwagi te przewija się pewna teza, potrzebna autorowi do głównego wywodu książki, zasygnalizowanego już w tytule. Ze wszystkimi swoimi wadami — autor zdaje się mówić — jest jednak Polonia amerykańska tym przedłużeniem narodu polskiego, które stwarza bazę działalności politycznej w imię odzyskania niepodległości i pomagania narodowi w kraju. A że forma tej działalności tak często zaczyna się — i kończy — bankietem i przemówieniem, to już wina takich zwyczajów tego potężnego kraju.

Drugi wątek — to emigracja polityczna, podzielona na swoje ośrodki, rozbita, a jednak — zdaniem autora — w sprawach najważniejszych zjednoczona. Tu autor jest mniej rozmowny, szkicując tylko nieznacznie rozwój wypadków wewętrznoemigracyjnych, nie dając nam właściwie żadnego rzutu oka poza kulisy. Silnie występuje tu niechęć autora do Mikołajczyka, ale bez jakiegoś głębszego jej uzasadnienia. W jednym tylko wypadku uzyskuje ona głębsze zabarwienie, gdy autor cytuje dosyć szorstką wypowiedź Churchilla na temat nacisków jakie wywierał na Mikołajczyka, aby ten uznał układ w Jałcie: „Ja — oświadczył Churchill Mikołajczykowi w 1947 roku — byłem wówczas premierem brytyjskim i doradzałem Panu to, co dyktowały interesy W. Brytanii. Pan zaś był premierem polskim i rzeczą Pana było odrzucić moje rady, jeśli nie godziły się z interesami Polski". Długo można by komentować tę wypowiedź. Autor pisze od siebie: „Jemu też (tzn. Churchillowi) między innymi zawdzięczaliśmy zrozumienie gorzkiej prawdy, że żaden traktat nie jest dotrzymywany przez żadne państwo dla samej tylko zasady dotrzymania przyjętego zobowiązania, a jedynie wówczas jeśli wymaga tego interes danego kraju". Co nasuwa wniosek, że nieprawdą jest, aby historia była nauczycielką życia, nawet tysiącletnia.

Poza tym autor na ogół zręcznie pomija różne rafy i mielizny emigracyjnej polityki, przyjmując raczej postawę obserwatora, którego pewne rzeczy rażą (jak emigracyjny kompleks wodzostwa, dwulicowość stosunku do AKowców, co jest słusznie podkreślone, i parę innych), ale który jest wyrozumiały. Te jego zapiski mają niewątpliwie wartość kronikarską (np. dobry opis pochodu manifestacyjnego w związku z wizytą Bułganina i Chruszczowa w Anglii w 1955 r.), ale z reguły nie sięgają głębiej. Daje się to łatwiej zauważyć na konkretnych przykładach: autor pisze o samobójczych śmierciach Lechonia i Łukasiewicza, ale bez próby odsłonięcia istotnych przyczyn. Historyk będzie miał z tej części książki niewiele pożytku.

Dużo obszerniej opracowany jest wątek trzeci: działalność międzynarodowa w ramach ACENu. Obejmuje on prawie 300 stron książki, w formie przede wszystkim dwóch dzienników podróży, relacjonujących objazdy Ameryki Południowej i następnie „dookoła świata" delegacji ACENu. Pewnym wstępem do tego jest opis inicjatywy angielskiej, firmowanej przez Harolda Macmillana, wciągnięcia do Ruchu Europejskiego także i emigracji politycznych, w tym polskiej, co w rezultacie doprowadziło do powstania tzw. Sekcji Wschodniej Europy, następnie przemianowanej na Komisję Centralnej i Wschodniej Europy. Zainteresowanie Anglików wkrótce jednak osłabło (trwało mniej więcej trzy lata, od 1949 do 1952), i w roku 1954 nastąpiło ostateczne wycofanie się z akcji i przejęcie patronatu, a nieraz i czegoś więcej, nad poczynaniami emigracyjnymi przez Stany Zjednoczone. Nasuwa się pytanie, czy to jeszcze jeden podział na strefy wpływów. Autor zastanawia się nad przyczynami likwidacji akcji ze strony Anglików, dosyć jednak ogólnikowo. Trochę ciekawego światła rzuca na tę sprawę wzmianka o silnym zaangażowaniu w nią J. Retingera (o którym zresztą autor opowiada świetną anegdotę).

Dzienniki podróży autora jako delegata ACENu, choć pisane barwnie, stają się w końcu nieco nużące: krajobrazy, bankiety, potrawy, trochę sylwetek przywódców południowoamerykańskich (np. Battisty) i azjatyckich, wyjątki z przemówień autora, gdzie wystarczyłyby w zupełności streszczenia. A bilans tych wyjazdów i innych akcji ACENu? Trzeba przyznać, że autor nie przecenia wartości tych wystąpień, starając się równocześnie udokumentować każde, nawet drobne osiągnięcie.

Wydaje się dosyć oczywistym wniosek, że działalność ta nie miała *bezpośredniego* wpływu na politykę amerykańską wobec Europy środkowowschodniej. Natomiast zaczęła mieć pewien wpływ na amerykańską opinię publiczną w momencie, gdy opinia ta chciała usłyszeć to, co jej od pewnego czasu mówili przedstawiciele polityczni emigracji. Szła też na rękę polityce amerykańskiej, która schowana za deklaracjami o *containment* a następnie *liberation*, wykorzystywała atut emigracyjny w celu przeciwdziałania ofensywie propagandowej i dyplomatycznej Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej (łącznie z ONZ) poprzez

organizowanie takich imprez jak Tydzień Narodów Ujarzmionych itp. Wykorzystywała go też w celu edukowania i mobilizowania własnej opinii publicznej oraz opinii krajów neutralnych i półneutralnych. Znaczenia tej działalności nie trzeba więc lekceważyć, ale trzeba też dokładnie zdawać sobie sprawę z jej ograniczeń. Dla Amerykanów możność pokazania uchodźców politycznych z krajów satelickich rządom i opiniom publicznym Korei, Japonii czy Brazylii miała pewną wartość w ogólnej kampanii uświadomiania o komuniźmie; podobną wartość objazdy te miały dla Polaków. Węgrów itd., ale przecież sprawy polskiej w zasadzie nie ruszały z miejsca. Opinia publiczna ma zwykle krótką pamięć, a rządy liczą się z nią wtedy, kiedy muszą. Akcje symboliczne w rodzaju wywieszania flag narodów ujarzmionych naprzeciw okien budynku ONZ, są właśnie tylko symboliczne. Niewątpliwie do porażki Chruszczowa na forum ONZ przyczyniła się i akcja ACENu, ale jak autor melancholijnie stwierdza „bilans debaty nad zagadnieniem kolonializmu wypadł dla dziesięciu krajów (satelickich) wysoce niezadowalająco. Sprawa ich została podniesiona przez Zachód w obronie, a nie w ataku, w sposób uboczny, a nie jako zagadnienie samo w sobie".

Raz jeszcze okazało się, że aby zmusić jakiś rząd do zmiany lub przyjęcia takiej czy innej polityki nie wystarczy nacisk opinii publicznej, zresztą przecież nie tak znowu silny; nie wystarczy działalność w rodzaju tej jaką prowadzi ACEN.

W artykule Z. Brzezińskiego i Griffitha, drukowanym swego czasu w „Kulturze" (Nr 165/166) pt. „O nową politykę wobec Europy Wschodniej", znajdujemy w pierwszym od razu zdaniu następujące stwierdzenie: „Stany Zjednoczone nigdy nie miały realistycznej i skutecznej polityki zagranicznej w Europie Wschodniej". Jakby wynikało z uwag na ten temat rozrzuconych w książce Korbońskiego, zgodziłby on się z zacytowaną właśnie opinią. Można i trzeba tu postawić pytanie: czy politycy polscy, zgrupowani czy to w Londynie czy w Stanach Zjednoczonych postarali się kiedykolwiek wypracować elementy takiej realistycznej i skutecznej polityki? Na to pytanie książka Korbońskiego właściwie nie odpowiada.

Zastanawiając się nad przyczynami wyparowania wszelkiej treści z tzw. „polityki wyzwolenia", autor w ten sposób to tłumaczy: „Jeśli dojść do samej głębi zagadnienia, znajdzie się ją w biernym nastawieniu do tych spraw społeczeństwa amerykańskiego. W ustroju tak głęboko demokratycznym jak amerykański taka jest polityka, jaki jest naród, a taki jest naród, jaki jest obywatel. W jego charakterze, umysłowości i psychice, słowem duszy — leży odpowiedź na to pytanie".

Czy rzeczywiście można tu składać całą odpowiedzialność na „duszę" przeciętnego obywatela, który w większości krajów, głęboko czy nie tak głęboko demokratycznych, zawsze wykazuje tendencje do pasywności? Czegóż można wymagać od Amerykanów, jeśli „oficjalne" ośrodki polityczne na emigracji nie zdobyły się na żadną aktywniejszą i ciekawszą politykę wobec kraju, poza

zaskorupianiem się i obroną... Bóg wie zresztą czego, ale na pewno nie dynamicznej wizji przyszłości. Co gorsza, próby robione w tym kierunku czy to przez niektóre stronnictwa, czy ośrodki kulturalne, spotykały się na ogół z potępieniem.

Zacytowany powyżej ustęp z książki Korbońskiego jest właściwie przyznaniem się do porażki w tej dziedzinie, gdzie skupiało się gros wysiłku działalności emigracyjnej — w sferze skutecznego oddziaływania na opinię publiczną. Ale trzeba spojrzeć na tę sprawę i z innego punktu widzenia: działalność emigracyjna mogłaby bowiem również szkodzić. O tym, jak w pewnych wypadkach negatywnie mogłoby oddziaływać stanowisko emigracji czy Polonii na posunięcia amerykańskie świadczy wypowiedź pewnego „wysokiego urzędnika" Departamentu Stanu na temat pomocy gospodarczej Polsce: „Chcieliśmy dać Polsce pomoc w naturze oraz w kredytach i wasze stanowisko nie tyle wpłynęło na nasze nastawienie, ile ułatwiło decyzję. Ale gdyby Polonia razem z wami wypowiedziała się przeciw, udzielenie tej pomocy byłoby nie do pomyślenia". Wypowiedź interesująca i z tego punktu widzenia, że ukazuje charakter i zakres emigracyjnego oddziaływania*.

Autor stara się również podkreślić doniosłość akcji Polonii i emigracji za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, która chociaż nie doprowadziła do uznania tej granicy, skutecznie zapobiega propagandzie potężnych kół niemieckich w Stanach Zjednoczonych. Przy okazji autor cytuje następujący wynik rozumowania amerykańskiego na ten temat: „Szanse uznania są odwrotnie proporcjonalne do stopnia zależności od Rosji". Czyż nie jest to klasyczne stawianie wozu przed koniem? W tej sprawie opinia emigracyjna i polonijna winny jak najmocniej popierać i szerzyć tezy Zbigniewa Brzezińskiego, które o ileż bardziej są realistyczne.

Ostatni wątek książki, to próby przybliżenia czytelnikowi polskiemu ducha historii Stanów Zjednoczonych i charakteru jej życia politycznego w latach ostatnich. Rozdziały poświęcone tej tematyce mają charakter popularny, ale spełniają w tym zakresie swoje zadanie. Szkoda tylko, że autora obowiązuje świadomie przyjęty takt dyplomatyczny (dodajmy, że czasami — przytłumiony).

W sumie, książka na pewno miałaby duże powodzenie w Polsce, gdzie apetyt na tego rodzaju tematykę jest nadal ogromny, i gdzie autor ma już, mimo konfiskat, wyrobione grono czytelników i słuchaczy.

*Bogdan CZAYKOWSKI*

---

* Może warto przy okazji wspomnieć o ciekawym opracowaniu M. M. Drachkovitcha pt. *United States Aid to Yougoslavia and Poland — Analysis of a Controversy* (Washington, 1963), gdzie autor zebrał argumenty za i przeciw udzielaniu pomocy Polsce i Jugosławii. Sympatie samego autora są po stronie przeciwników pomocy amerykańskiej dla krajów pod rządami komunistycznymi, nawet gdy wykazują one pewną dozę niezależności.

# Nadesłane nowości

WOJTYŁA (Karol, Ks. Arcybp). *Miłość i odpowiedzialność* Studium etyczne. Wyd. III. Str. 280. (Tom. 17 Serii Niebieskiej „Biblioteki Polskiej". Nakł. Kat. Ośr. Wydawniczego „Veritas", Londyn, luty 1965, cena 24/).

KOPAŃSKI (Stanisław). *Moja służba w Wojsku Polskim, 1917-1939.* Str. 320. (Tom 64 Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakł. Kat. Ośr. Wydawniczego „Veritas", Londyn, styczeń 1965, cena 30/-).

BIELATOWICZ (Jan). *Opowiadania starego kaprala* Str. 250 i 6 nlb. (Tom 65 Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakł. Kat. Ośr. Wydawniczego „Veritas", Londyn, marzec 1965, cena 20/-).

CHABROWSKI (Wacław T. O.). *Madonny.* Wiersze. Str. 46. Wydanie drugie. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965).

TURYN (Alexander). *Codices graeci Vaticani saeculis XIII et XIV scripti annorumque notis instructi.* „Codices e Vaticanis selecti quam simillime expressi", vol. XXVIII. Str. XVI + 206; tablic 205. (Wyd. Bybliotheca Apostolica Vaticana, in Civitate Vaticana, 1964, cena egz. opr. 50000 lirów).

FLOYD (David). *Rumunia. Intryga czy wyzwanie?* Tłum. z ang. J. M. Wyd. skrócone i popr. przez autora. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. „Polonia Book Fund, Ltd, Londyn, 1965).

TEILHARD DE CHARDIN (Pierre). *Science et Christ.* Str. 293 i 3 nlb. (Tom 9 „Dzieł". Wyd. Editions du Seuil, Paryż, 1965).

KISIELEWSKI (Stefan). *An dieser Stelle Europas.* Ein Pole über Ost und West und andere Fragen von heute. Str. 336 i 4 nlb. Przekład i wybór Wandy Brońskiej-Pampuch. (Wyd. R. Piper & Co Verlag, München, 1964).

*Books in Polish.* Vol. XIV: 1964. Nos 1 — 12 — Index. P/64 — 1 to p/64 — 1648 .Str. 14. (The Polish Library, Londyn, 1964. Powielacz).

*Books in Polish or Relating to Poland.* (A list of books in Polish or relating to Poland added to the collection of the Polish Library between the lst January and the 31st March 1965). Str. 65. Powielacz. (The Polish Library, London, 1965, Nos 1-3).

*Mitteilungen.* Nr 1. Str. 24 i 12 str. Dodatku. (Arbeits — und Förderungsgemeinschaft der Ukranischen Wissenschaften e. V, München 1965).

KRYNSKI (Magnus J.). & MAGUIRE (Robert A.). *Inner Empire: Two Poem from Poland by Marian Piechal* Str. 100-104. (Odbitka ze „Slavic Review" (Notes and Comment).

LIBRACH (Jan). *Fiction and Politics.* Str. 4. Odbitka z „The Polish Review", Vol. IX, No 4, 1964, New York).

WANCZYCKI (Jan K.). *Quebec Labour Code the Status of Unions and Collective Agreements.* Str. 46. (Odbitka z „Relations Industrielles", Vol. 20, No 2 (Avril 1965), Quebec).

GIEYSZTOR (Aleksander). *Società e Cultura nell'alto medioevo polacco.* Str. 31. (Zeszyt 24 „Conferenze". Accademia Polacca di Scienze e Lettere, Biblioteca di Roma. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wyd. Polskiej Akademii Nauk, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1965).

BILIŃSKI (Bronisław). *Roma Antica et Moderna nelle opere di Giuseppe Ignazio Kraszewski.* Str. 64. (Zeszyt 25, „Conferenze". Accademia Polacca di Scienze e Lettere, Biblioteca di Roma. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Wyd. Polskiej Akademii Nauk, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1965).

MIHAJLOV (Mihajlo). *Moskwa latem 1964.* Notatki z podróży. Str. 64. Przekład i druk za zezwoleniem czasopisma „The New Leader", No 7 z 29 marca 1965 r.

*Konstytucja Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii.* Przełożył Jan Nowakowski. Str. 94. (Wyd. Sekretariat Informacji Związkowej Rady Wykonawczej, Belgrad, 1964).

*Slavica Canadiana* A.D. 1963. Compiled by Jaroslav B. Rudnyćkyj in co-operation with I. Avakumovic, J. Kirschbaum and T.W. Krychowski. Str. 64. (Wyd. Canadian Ass'n of Slavists, Polish Research Institute of Canada and Ukrainian Free Academy of Sciences, Seria „Slavistica" No 51, Winnipeg, 1964).

# Wydawnictwa « Biblioteki Kultury »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*
4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów"*, 2 tomy
15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK .... *W polu*
33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*
34. Albert CAMUS ..... *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM .... *Rewolucja manadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodżennja* (Antologia)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii* (Seria „Dokumenty". Zesz. 5)

41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty". Zesz. 6)
43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura" 1947-1957. Bibliografia „Kultury".*
45. Wacław LEDNICKI .... *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC ..... *Sąd idzie*
ANONIM ..... *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY ..... *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd* (Seria „Dokumenty". Zesz. 7)
50. Czesław MIŁOSZ ..... *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING GRUDZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty". Zesz. 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ ..... *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska* (Seria „Dokumenty". Zesz. 9)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK ..... *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC .... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC ..... *Fantasticzeskije powiesti*
71. I. IWANOW ..... *Jest' li żiźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski.* Cz. I
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
76. Józef CZAPSKI ..... *Na nieludzkiej ziemi*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ ..... *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*

82. Milovan DŻILAS ..... *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) ..... *6 lat temu...* (Kulisy polskiego Października) (Seria „Dokumenty". Zesz. 11)
84.— *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO ..... *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA ..... *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia
89. Witold JEDLICKI .... *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty". Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC ..... *Lubimow*
92. — *We własnych oczach.* Antologia współczesnej literatury sowieckiej.
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjście* oraz inne opowiadania i szkice
94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO ..... *Wszyscy byli odwróceni. — Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje)
98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami* (Poezje)
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia.* Tom I/III
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji")
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji")
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty" Zesz. 13)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm*
107. Abram TERC ..... *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ .... *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji")
114. Stanisław VINCENZ .... *Po stronie pamięci.*
115. Danuta MOSTWIN .... *Olivia*

# Humor krajowy

## REMISCENCJE WYBORCZE

Wielki wiec przedwyborczy. Przemawia Gomułka: „Pracujemy i walczymy aby dać następnemu pokoleniu, naszej młodzieży, Polskę naprawdę Komunistyczną!"

Głos na sali: „Dobrze tak chuliganom!"

W obchodach związanych z XX-leciem Polski Ludowej niesiono przeróżne transparenty z wypisanymi na nich hasłami dnia:

Cyganie: „Niech żyje XX-lecie polskiego Cygaństwa!"

Pielęgniarki: „Niech żyje premier Cyrankiewicz... za 800 złotych miesięcznie!

## HASŁO NA 1 MAJA!

Im bliżej do komunizmu, tym dalej do pierwszego!

## PYTANIA I ODPOWIEDZI

*Pytanie:* — Na czym polega centralizm demokratyczny?
*Odpowiedź:* — Na tym, że każdy jest *przeciw*, a wszyscy są *za*.

◆

*Pytanie:* — Czy w komuniźmie będą kradzieże?
*Odpowiedź:* — Będą, ale tylko wtedy o ile w socjaliźmie wszystko nie zostanie rozkradzione.

◆

Mówią, że w Rosji można będzie już obchodzić święto Trzech Króli, bo inicjały K. M. B. według sowieckich pojęć oznaczają: *K* (Kosygin), *M* (Mikojan), *B* (Breżniew.

◆

Nadeszła ostatnio wiadomość, że w Polsce zaprzestano produkcji łóżek, no bo:

Umarli śpią na cmentarzach,
Bohaterowie spoczywają na laurach,
Studenci śpią na wykładach,
Chłopi śpią na sianie,
Robotnicy śpią na zebraniach,
Wróg nie śpi,
Partia czuwa.
Na co komu potrzebne są łóżka?

# Listy do Redakcji

Londyn, 14. czerwiec 1965.

Szanowny Panie Redaktorze,

W treści artykułu „Historyczna prawda o Ukraińskiej Armii Narodowej" — Nr 6/212, — autor jego, p. Paweł Szandruk, na str. 88, pisze: „...Żeby skończyć z zagadnieniem narodowo-politycznych racji stworzenia Dywizji, zacytuję tu fragment z polskiego czasopisma, pióra znanego polskiego działacza i ministra, Ignacego Matuszewskiego; tekst ten ukazał się najpierw w piśmie „Gazeta Polska", a następnie w broszurze „Hańba albo Sława", wydanej w Jerozolimie w roku 1945, (str. 11 i 12): „Oto argumenty, jakimi Ukraińcy...itd.

Przytoczony przez p. Szandruka wyjątek z artykułu Ignacego Matuszewskiego jest zgodny z jego treścią, ale zupełnie błędnie podane są tytuły, daty i okoliczności wydania wymienionej przezeń broszury, z której ten wyjątek cytuje, bo mianowicie:

1. wyjątek z artykułu Ignacego Matuszewskiego podany w „Kulturze" został wzięty z pisma polskiego w Ameryce „Nowy Świat" w którym został wydrukowany pt. „O faktach (Przykład Ukraiński)" w czasie wojny w roku 1944, a nie w „Gazecie Polskiej" którą wojna ta zlikwidowała po zajęciu Warszawy i Polski przez Niemców;

2. ten artykuł I. Matuszewskiego, i pod wymienionym tu tytułem, był następnie ogłoszony w broszurze pod tytułem „Hańba albo Chwała" (a nie „Sława"), wydanej przez Zespół Piłsudczyków na Środkowym Wschodzie (Związek Pracy dla Państwa) i wydrukowanej w 1944 roku w Tel-Avivie, a nie w Jerozolimie; podany przez p. Szandruka wyjątek mieści się w niej na str. 9 i 10, a nie na 10 i 11.

Sprostowanie to moje podaję z pełną odpowiedzialnością, bo brałem udział w przygotowaniu tej broszury do druku i mam jej oryginalny egzemplarz, z którego podane tu szczegóły wymieniłem.

Z poważaniem.

*E. J. CZERNIAWSKI*

◆

Londyn, kwiecień 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W początkach stycznia br. wysłałem do redakcji „Dziennika Polskiego w Londynie list, poruszający zagadnienie „gettowego" charakteru naszych organizacji emigracyjnych na terenie W. Brytanii.

List — a raczej jego fragmenty — ukazały się w dniu 30 marca w formie tak zemaskulowanej, że nie pozostaje mi nic innego, jak skorzystać

z gościnności łamów „Kultury" dla ponownego przedstawienia zagadnienia oraz analizy polityki „Dziennika" i jej skutków.

W największym skrócie, argumentacja moja wyglądała następująco:

Środowisko emigracyjne w W. Brytanii, mimo największego zagęszczenia ludzi o stosunkowo wysokim poziomie wykształcenia, doświadczenia politycznego i społecznego w porównaniu z innymi krajami polskiej diaspory, nie wyrobiło sobie nawet drobnej części tego znaczenia i wpływów, co, na przykład, Polacy w Stanach Zjednoczonych czy Kanadzie. Głównym powodem tego stanu rzeczy jest fakt, że chwalebna przeszłość naszych luminarzy jest jednocześnie największym hamulcem umiejętności przystosowania się do warunków środowiska i wykorzystania jego potencjalnych możliwości.

Że możliwości takie istnieją, dowodzą sporadyczne inicjatywy naszych prowincjonalnych działaczy, którzy potrafią „wprząc do rydwanu" całą nieraz machinę municypalną, wojsko, okolicznych lordów i kogo jeszcze im potrzeba. Dlaczego? — Bo żyją wśród Anglików, nie tracąc wcale swojej polskiej indywidualności; bo mówią po angielsku, z akcentem, czy bez, ale płynnie; bo nie mają, czy się wyzbyli kompleksów, żalów, płytkich (i często fałszywych) uogólnień.

A co Londyn? Na wystawę o martyrologii warszawskiego getta spędzili Żydzi całą prasę brytyjską, wszelakich notabli, nieledwie premiera. Na wystawę AK przyszedł jeden agencyjny reporter i nawet nie było dla niego miejsca.

Wiem, że Żydzi to potęga, że mają dwóch lordów w Liberal Party i Marksa i Spencera. A kto spróbował zmierzyć potęgę 627 polskich „delikatesowiczów", 2593 inżynierów; Śmigielskiego od planowania miast; Kolbuszewskiego — prekursora Buchanana; Zbirohowskiego-Kości, który projektuje do spółki z Francuzami pierwszy monorail w Anglii; elektroników, których sobie wyrywają angielskie firmy; Bobrowskiego od prefabrykowanych drapaczy; albo polskich speców od klasyfikacji przemysłowej, która za dobre pieniądze uczy Anglików (i Amerykanów!) jak modernizować przemysł.

Zostawmy więc naszych luminarzy w spokoju — niech nas uczą, nagradzają, awansują — ale, na litość boską, zajmijmy się też i Anglikami. Dwa artykuły w „Guardianie" za uznaniem granicy na Odrze i Nysie są więcej warte dla Polski na terenie międzynarodowym, niż całoroczny komplet artykułów Bregmana w „Dzienniku". Jedna akcja „Polskich Komitetów Wyborczych" w okresie przedwyborczym w Anglii przyniesie więcej pożytku niż dwadzieścia lat memoriałów w biuletynach; jeden list młodej dziewczyny, prostującej płytkie uogólnienia Elspeth Huxley o „asymilacji" polskiej młodzieży, ma większą wagę, niż *wishful thinking* wszystkich naszych wychowawców młodzieży.

Konkluzja tych rozważań jest chyba oczywista. Dotychczasowe organizacje emigracyjne są pożyteczne, nawet konieczne — ale dla nas! Na środowisko angielskie nie mają wielkiego wpływu. *Obok* nich musi powstać nowa forma organizacyjna, działająca wśród Brytyjczyków. Przykład Kongresu Polonii Amerykańskiej czy Kanadyjskiej jest wystarczająco przekonywujący. Poza formą potrzebni są też *nowi ludzie*. Do gettowych organizacji, na czołowe stanowiska nie dopuszczą ich zawodowi działacze; zresztą nawet nie mają zamiaru się pchać. Powtarzam więc raz jeszcze przemilczaną przez Dziennik tezę: musimy sworzyć Kongres Polonii Brytyjskiej; jako komitet organizacyjny powołajmy dotychczasowych członków Polskich Komitetów Wyborczych, którzy wykazali umiejętność i chęć pracy w nowych warunkach.

Ciekawa jest analiza tych dziennikowych przemilczeń: ponieważ krytyczne wypowiedzi uderzają pośrednio czy bezpośrednio w dotychczasowy „dorobek" naszych działaczy, więc trzeba zamknąć oczy i udawać, że problem nie istnieje. A jeszcze lepiej — skrzyczeć smarkaczy za wszelkie próby dyskusji.

Zgoda, że smarkacze nie dorośli do poziomu Hemara czy Kossowskiej. Ale kto ich uczył czegokolwiek? Kto im cokolwiek serdecznie tłumaczył z myślą o *ich* przyszłości, a nie o swoich nieco zakurzonych laurach? I jaki będzie ostateczny rezultat tego „trwania na stanowisku"? Za lat parę, zresztą daj Boże parenaście, wymrą nasi niezłomni. My, średnie pokolenie, karmieni „mocarstwowym" mitem za młodu, porażeni wrześniem, zszokowani zakłamaniem „walczącego" Londynu, nie mamy chęci do podjęcia sztandarów, których zresztą nikt się nie spieszy oddawać; a młodzież? Młodzież w tej chwili — to w większości Anglicy, których nikt nie potrafił zarazić natchnioną wizją polskości. Tak więc za lat niewiele skończy się druga emigracja — pogrzebana własnymi rękami najgorętszych jej rzeczników.

Łączę wyrazy szacunku

*E. DŁUGOSZEWSKI*

◆

Chicago, 4.IV.1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze „Kultury" w artykule pióra m.l.d. pt. „W oczach Londynu" znalazłam maleńką wzmiankę o mojej książce „Life in Both Hands" z krótką adnotacją „w doskonałym przekładzie Krzysztofa Muszkowskiego". Sformułowanie to wydaje mi się niezupełnie ścisłe. Przekład K. Muszkowskiego do tego stopnia odbiegał od mego oryginału polskiego, że odmówiłam zgody na wydanie książki w tym stanie, w jakim tłumacz oddał ją do druku. Błędy tłumaczenia polegały nie tylko na tym, że niektóre zdania miały nieraz wprost odwrotny sens, nie na tym, że zabił klimat i poczucie humoru, ale przede wszystkim na tym, że chciał koniecznie zrobić ze wspomnień „nastolatki" faktologiczny, suchy dziennik wojenny żołnierza. W tym celu wykreślił wszystkie myśli i komentarze, które właśnie dla ich naiwności ściśle zachowałam.

Na pierwszy mój protest odpisał: „Ważne są tylko fakty, a nie to co pani wtedy myślała..."

Ponieważ mojej oceny nie uważałam za absolutnie miarodajną, oddałam do porównania oryginał i tłumaczenie paru osobom najzupełniej kompetennym w dziedzinie literatury (m.in. zawodowy tłumacz, który wypowie się w razie potrzeby). Wszyscy jednogłośnie zgodzili się ze mną, że tłumaczenie zupełnie nie oddaje ani nastroju ani treści mego oryginału — a ci co znali angielski perfekt orzekli również, że tak pod względem stylistycznym jak i gramatycznym pozostawia wiele do życzenia.

Przez parę miesięcy trwała ostra wymiana listów między mną a wydawcą i tłumaczem. Wydawca odmawiał poniesienia kosztów ponownego tłumaczenia, a tłumacz odmawiał zmienienia i uzupełnienia tekstu wg naniesionych przeze mnie poprawek.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, gdyż termin wydania książki z okazji XX-lecia Powstania zbliżał się nieuchronnie. Nie widząc wyjścia, zgodziłam się w końcu na propozycję wydawcy abym tłumaczenie poprawiła własnoręcznie. Ponieważ moja znajomość angielskiego nie była wystarczająca, moja praca polegać mogła jedynie na przywróceniu wykreślonych przez tłumacza ustępów oraz przywróceniu nastroju wspomnień. Wygładzeniem angielszczyzny musiał zająć się ktoś znający ten język od urodzenia. Nie było to łatwe do zrealizowania, gdyż w tym czasie mieszkałam w Paryżu. Po długich poszukiwaniach podjęła się tej pracy bezinteresownie (bo tłumaczenie wydawca już zapłacił) Margaret West, z którą przepracowałam 2 miesiące i której w dużej mierze tłumaczenie zawdzięcza swój poziom.

Wydawca listownie podkreślił swoje uznanie dla naszej zupełnej przeróbki i wyraźnie zaznaczył na książce, że tłumaczenie było „edited".

Chociaż dopiero po dwóch latach widzę w tym tłumaczeniu jeszcze mnóstwo potknięć i usterek, bardzo się cieszę, że m.l.d. uznał je za aż „doskonałe", ale trudno mi się zgodzić, że jest to zasługą tylko K. Muszkowskiego.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

*Maria GINTER*

◆

Neapol, 19 kwietnia 1965

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z moim wstępem do poematu Anny Achmatowej *Requiem* (Nr 200 *Kultury* z czerwca 1964) otrzymałem niedawno z dobrze poinformowanego źródła list, którego najważniejszy fragment chciałbym podać do wiadomości czytelników *Kultury:*

„Wszystkie szczegóły sprawy syna Achmatowej, Lwa Nikołajewicza Gumilewa, są dotąd nieznane. Sporo wskazuje na to że aresztowano go dwukrotnie, i po drugim aresztowaniu zesłano na wiele lat. Okres zesłania spędził, jak się zdaje, i na Syberii i na Dalekiej Północy. Zwolniono go w roku 1955. Przyczyny aresztowania i zesłania są nieznane, ale osobiście nie sądzę by chodziło *tylko* o ojca. Istnieją dane, że w latach trzydziestych Lew Nikołajewicz był związany z jakąś grupą opozycyjną. Jedyny sowiecki dokument, dotyczący L. N. Gumilewa, to nie wspomniany przez Pana list Fadiejewa do Naczelnego Prokuratora ZSRR z prośbą o zwolnienie młodego Gumilewa (w liście Fadiejewa znaleźć można rzeczywiście aluzję do tego, że w akcie oskarżenia główną rolę odegrały „winy ojca"). List ten, bodaj z roku 1954, był ogłoszony na łamach *Nowogo Mira* (nie pamiętam w tej chwili daty). W informacjach o Lwie Nikołajewiczu, które Pan przytoczył za Zawaliszinem i Józefem Czapskim, są pewne nieścisłości i braki. L. N. Gumilew studiował nie w Moskwie, lecz w Leningradzie. Specjalizował się w historii Środkowej Azji, przygotowywał też w tej dziedzinie duże dzieło. Kilka lat temu wyszła jego książka o Hunnach, którą bardzo pochlebnie omówił w *Nowom Żurnale* profesor Wernadskij. Zdaje się że w jakiejś sowieckiej historii Środkowej Azji jest kilka napisanych przez niego rozdziałów. Przez jakiś czas po zwolnieniu Lew Nikołajewicz był kustoszem oddziału środkowo-azjatyckiego w Ermitażu, teraz zaś wykłada na Uniwersytecie Leningradzkim. Wiersz Achmatowej, który Pan cytuje pod koniec swego wstępu *(Nie z tymi co, małego ducha...)*, napisany był w roku 1921 lub 1922. Wszedł on do drugiego wydania tomu *Anno Domini MCMXXI* (1923); nie ma go w pierwszym wydaniu z roku 1921, a w drugim wydaniu znalazł się wśród *nowych* wierszy".

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

◆

Welland, 31 maja 1965

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym przez Pana przekazać Panu Ledóchowskiemu słowa podzięki za Jego list zamieszczony w „Kulturze" z maja 1965 (5/211) — za trafne uchwycenie zasadniczych niedomagań w naszym polonijnym rozpatrywaniu spraw i problemów krajowych. Myślę, że prawdopodobnie jest to także pierwszy list, który zamiast normalnych i stałych sprostowań, wzajemnych „podgryzań się" itp. małoważnych i poważnych spraw — poruszył istotne bolączki nurtujące nasze społeczeństwo.

Nie będę się także dziwił — jeśli szereg „kopijników" ruszy ławą aby zgnieść ten rozsądny głos prawdziwie politycznie myślącego rodaka. Dziwny bowiem sposób mamy patrzenia na siebie — raczej podejrzewamy innych rodaków, że muszą być jakimiś agentami obcych spraw — nie chcemy wierzyć zaś, że każdemu z nas chodzi li-tylko o to, za co walczyli i ginęli nasi bracia, ojcowie i dziadkowie.

Różne drogi nieraz prowadzą do celu — umiar i rozsądek w ocenie postępowań, nieraz przymusowych, powinny być zrozumiane a nie tylko namiętnie zwalczane. Kontynuacja lub wykorzystanie nieraz nawet innych poczynań jest mądrością przywódców. My zaś stale pragniemy zaczynać od nowa i historycznie już wiemy, że przywódcy nasi dopiero z perspektywy czasu nabierają swej właściwej wagi. Zawsze mamy wiele pretensji do góry — nie zawsze spełniwszy swoje skromne obowiązki jednostki. Zapominamy o rzeczywistości nas otaczającej o postępie technicznym lub o naszych możliwościach. Czyn poprzedza myśl — stąd te wielkie zawody, tragedie i niepotrzebne wysiłki w sprawach, które należało jakoś inaczej rozwiązać. Wymagamy od przywódcy bohaterstwa i zginięcia na stosie — długofalowe plany nie chwytają i są deptane w prymitywny sposób — jakbyśmy byli tylko prostakami.

Drugi i inny problem — to fala nowych, młodych polskich inteligentów, rozsypanych po całym świecie, wychowanych w różnych szkołach, w różnych systemach — mówiących różnymi językami — czy jakoś na nich nie powinno być skierowane czujne spojrzenie, aby nie przestali czuć się Polakami — proszę zwrócić uwagę w tym kierunku Panie Redaktorze i „Kultura" nadal niech będzie tym filarem na którym wspiera się życie polskie.

Przy okazji pragnę przekazać następny skromny dodatek na Fundusz „Kultury".

Z poważaniem.

*W. KINASTOWSKI*

◆

Témperley, 16.V.1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Tych kilka uwag nasunęło mi się w związku z listem p. Więckowskiego, umieszczonym w Nr. 4/210 Kultury.

Już mi to kiedyś wypomniano przy innej okazji, że niepotrzebnie odgrzebuję stare prawdy. Zaraz potem jednak okazało się, że prawdy te niestety były wciąż żywe. Pewnej ilości starych Polonusów chodzi o to, aby o Polakach pisać tylko w prześwietlonych barwach jako o natchnieniu świata. Kto zaś próbuje pisać inaczej, jest szkodnikiem sprawy polskiej i dobrego polskiego imienia.

Nie ulega wątpliwości, że każdy naród ma swoich kryminalistów, awanturników i — co jest ważne w danym wypadku — faszystów. Że ci stosunkowo nieliczni polscy faszyści znaleźli się w jednej z nielicznych faszystowskich grup argentyńskich to chyba nic dziwnego i nie mogę dopatrzeć się tej strasznej krzywdy jaka ma z tego wyniknąć dla licznego ogółu niefaszystowskich Polaków w Argentynie. A to, że jedyna organizacja, która walczyła o swe przekonania i to walczyła do ostatniego żołnierza, składała się między innymi z Polaków, nie jest tak znowu uwłaczające dla nich, jeśli nie wprost przeciwnie, biorąc pod uwagę, że tłumy, które nie tak jeszcze dawno ryczały skandując: „Życie za Perona" nagle zniknęły i nie kiwnęły palcem w bucie dla jego obrony.

Przy okazji chcę uzupełnić moje wywody pewnym szczegółem, który był mi się wymknął przy pisaniu artykułu. Jest pewna ilość powojennych

Polaków, którzy podają się to za Niemców to za Polaków w zależności od tego, co im w danym momencie przyniesie więcej korzyści. To są ci, którzy w ostatnim momencie wojny, gdy już było pewne, że Hitler musi przegrać, masowo przechodzili do polskich oddziałów, jako Polacy przymusowo wcieleni do armii niemieckiej. Oni też w ogromnej większości przybyli tutaj do Argentyny. Przy tej samej okazji przypomnę panu Więckowskiemu pewne bardzo znane prawdy, a mianowicie to, że brzmienie nazwiska nie świadczy o narodowości jego właściciela, czego najlepszym dowodem jest kolonia polska w Argentynie, gdzie tyle dobrych Polaków, dobrze chyba znanych panu Więckowskiemu, posiada nazwiska niepolskie, a w ich gronie uważający się także za dobrego Polaka niżej podpisany.

Pisze pan Więckowski, że „...informacje takie puszczone bezkarnie w świat"... itd. Jakie to jednak szczęście, że to nie do niego należy wysyłanie do miejsc karnych szkodników imienia narodu polskiego.

Serdeczne pozdrowienia

*Witold KUSS, sen.*

◆

Madryt, czerwiec 1965

Drogi Redaktorze!

List p. A. Jacewicza na temat działalności wojewody wołyńskiego, Henryka Józewskiego, z wypadem przeciw metropolicie Andrzejowi Szeptyckiemu, stanowi dowód zaciekłej stronniczości autora, a zarazem jego słabej pamięci. Okazuje się, że Józewski ukrainizował Wołyń i kazał strzelać do chłopów, którzy buntowali się przeciw ukrainizacji. Trudno o większy surrealizm.

Powieści p. Jacewicza, „Jurij Dąbski" nie znam. Widzę, że trzeba będzie przeczytać. Ja też byłem na Wołyniu w owym czasie, gdy zaczęło się masowe „uszlachcanie" i „nawracanie" na katolicyzm, exemplum słynne Hrynki. Czy o Hrynkach p. Jacewicz w rozdziale, poświęconym Józewskiemu, wspomina, nie wiem. Ciekawe będzie sprawdzić.

P. Jacewicz zakłada możliwość interpelowania w sejmie przez posłów komunistycznych. Bardzo zabawne przypuszczenie, skoro wiadomo dobrze, że w owym czasie posłów komunistycznych w sejmie w ogóle nie było.

Załatwianie osoby metropolitv Szeptyckiego jednym obraźliwym słowem „renegat" wystawia wymowne świadectwo osobistemu taktowi p. Jacewicza. Co prawda, jest w tym także sporo winy poważnej publicystyki polskiej, która nigdy dotąd nie zajęła się na serio działalnością Andrzeja hr. Szeptyckiego. Chyba najwyższy na to czas. Więc sądzę, że pan redaktor zgodzi się na zamieszczenie na łamach swego czasopisma szkicu o tej wielkiej postaci historycznej, która w innych warunkach mogłaby odegrać doniosłą rolę w stosunkach polsko-ukraińskich i odwrócić je od fatalnych dróg, na które w końcu wkroczyły.

*Józef ŁOBODOWSKI*

◆

Boston, Mass. 8 czerwca 1965 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem innego zdania niż p. W. Ledóchowski jeśli idzie o sprawy, poruszone w jego liście w majowym numerze KULTURY (str. 157). P. Ledóchowski w każdej krytyce stosunków w Polsce szuka pozytywnych rad, dążących do zapobiegania błędom. Nie zdaje sobie widocznie on sprawy z dwóch faktów:

1) ażeby znaleźć pozytywną receptę na usunięcie błędów i trudności trzeba mieć do dyspozycji o wiele więcej danych aniżeli przy określaniu samych

błędów. Nie mając tych danych, łatwo jest wpaść w nowe błędy. W stosunkach polskich których jedną z charakterystycznych cech jest tajemnica administracyjna, ludziom znajdującym się poza kręgami aparatczyków trudno jest dysponować dostateczną ilością potrzebnych danych. Pozostaje więc krytyka.

2) na podstawie rozsądnej i rzeczowej krytyki nie trudno jest dojść do odpowiednich wniosków dotyczących polityki gospodarczej, zwłaszcza jeżeli ponadto posiada się administracyjne informacje. Tak więc pełna i krytyczna analiza rzeczywistości, prowadząca do zwalczania błędów, jest pierwszym krokiem do poprawy.

Nie zgadzam się także z raczej płytką oceną powodów nieuczciwości, występującej w społeczeństwie polskim, a mianowicie że jest to normalna samoobrona społeczeństwa, które nie otrzymuje wynagrodzenia odpowiedniego do spełnianej pracy. Każdy człowiek uważa, że powinien zarabiać więcej. Analiza tego zjawiska, aby nie być spłyceniem problemu, powinna wziąć pod uwagę czynniki socjologiczne i ekonomiczne i trzeba jej poświęcić o wiele więcej miejsca, aniżeli jeden paragraf listu.

Łączę wyrazy poważania

*B. MIECZKOWSKI*

◆

Wareham 5. V. 65.

Wielce Szanowny Panie,

Pozwalam sobie donieść Panu o zaprzestaniu abonowania „KULTURY" z miesiącem majem br.

Niestety muszę zrezygnować z pisma, które nie daje mi pewnej minimalnej całości, jaka mieści się — w moim i wielu moich przyjaciół — mniemaniu — w ogarnięciu spraw może najwyższej wagi — kwestii religijnych — dokładnie — Soboru.

Naturalnie, że można by było abonować inne pisma polskie specjalizujące się w zagadnieniach religijnych — tak też robię — abonuję z Poznania „Przewodnik Katolicki" a z Krakowa — „Tygodnik Powszechny".

Czyż to jednak nie paradoks być zmuszonym sięgać do prasy kraju opanowanego przez bezbożny komunizm dla trzymania się *au courant* sprawy — może najważniejszej tego stulecia — jakim jest Sobór — „rewolucja religijna".

Zrezygnowałabym najchętniej z wielu poetyckich stronic „KULTURY" — tak mało one często dają — a zabierają miejsce sprawom istotnym. Pisze w ostatnim numerze p. Andrzej Ruszowski — „Wracałem do Limy pełen entuzjazmu... Tymczasem. Owszem, trochę zaciekawienia było. Ale jakże mało"...

A no — nie każdy będzie szukał wiadomości o Soborze w pismach spoza żelaznej kurtyny... karmicie nas Panowie Redaktorzy tak dziwnie izolowaną treścią od spraw wagi na stulecia i chcecie, byśmy byli zorientowali i dojrzali do problemu.

Jakże pismo — jedno z najbardziej zasadniczych i poważnych mogło tak przemilczeć temat, który rozpiera się na czołowych stronach pism światowych wszelkich orientacji, kontynentów i pozorów? Czyżbyście nie ZAUWAŻYLI tego, co ROŚNIE od dwu lat?

Nie, żebym uważała za „panią matką" że wszystko co uchwalono i nad czym Ojcowie Soboru deliberują nadal — powinno być bezkrytycznie i potulnie przyjęte — przeciwnie — dla pewnych spraw pozwalam sobie — na pewno nie jedyna — fala rośnie i jest nas legion — mieć zupełnie własne zdanie — przecież Lud Boży nie bezmyślna masa, biernie i nijako

przyjmująca zmiany — czyż nie zbyt szybko, nie zbyt radykalnie pewne z nich są jakby pośpiechu „upychane"—?

Numer po numerze „KULTURY" szukam i szukam — może ktoś zabierze głos i jakoś zbierze w całość nasze niepewności, niepokoje, nadzieje i radości...

O umieszczenie tych paru uwag w miesięczniku Panów uprzejmie proszę, łącząc wyrazy poważania.

*Zofja Popiel CIMACHOWICZ*

◆

Canberra, 3 czerwca 1965

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Korzystam z Pańskiej uprzejmości aby tą drogą dotrzeć do Polaków we wszystkich częściach świata skąd skierowano do mnie zapytania w sprawie utworzenia Lektoratu Polskiego w ramach *Institute of Advanced Studies* na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberra.

1. Projekt utworzenia Lektoratu powstał w grupie starszych pracowników naukowych, którzy związani są z Katedrą Języka i Studiów Rosyjskich oraz z Zakładem Nauk Politycznych na *Australian National University*. (Jako socjolog nie należę do żadnej z wymienionych komórek i mój udział ogranicza się jedynie do głosu doradczego). Plan stworzenia Lektoratu został przyjęty w zarysie przez Władze Uniwersyteckie i w tej chwili czekamy na zatwierdzenie go przez nadrzędne ciało administrujące funduszami pod nazwą *Australian Universities' Commission*. Jest nadzieja, że pierwsza dotacja budżetowa uruchomiona będzie w roku 1968/69. Zadaniem Lektoratu byłoby prowadzenie nauki o Polsce współczesnej i organizacja studium języka polskiego. W grę wchodziłaby również możliwość opieki naukowej nad pracami doktorskimi dotyczącymi spraw polskich i środkowo europejskich.

2. Zgodnie z przyjętą w krajach brytyjskich procedurą każdy wakans na etacie stałego pracownika naukowego może być obsadzony wyłącznie drogą międzynarodowego konkursu, otwartego dla wszystkich posiadających odpowiednie kwalifikacje. Toteż ani władze mego Uniwersytetu ani też ja sam *nie możemy prowadzić korespondencji z osobami zainteresowanymi do czasu ogłoszenia wakansu*, co nastąpi nie wcześniej jak w roku 1968/69. Ogłoszenie o wakansie ukaże się, zgodnie z przyjętym tu zwyczajem, w londyńskim *Times* oraz we wszystkich międzynarodowych periodykach naukowych z dziedziny slawistyki i dziedzin pokrewnych.

3. W czerwcowej „Kulturze" był już zamieszczony komunikat (str. 139) zawiadamiający, że zasadniczym warunkiem, od którego zależy decyzja Uniwersytetu, dotycząca terminu uruchomienia *Lectureship in Polish Studies*, jest utworzenie odpowiedniego księgozbioru — nie będę więc go tutaj powtarzał, pragnę tylko podkreślić wielkie znaczenie jakie dla Polaków powinno mieć utworzenie takiego księgozbioru w ramach biblioteki głównego uniwersytetu w Australii. Będzie to trwały pomnik polskości oraz skarbnica wiedzy o Polsce dla przyszłych pokoleń uczonych, wśród których znaleźć się powinny nasze dzieci i wnuki.

4. Polacy w Canberze w ramach Komitetu Millenium, przystąpili do zbiórki funduszów i książek na zasilenie *Polish Collection*. Do tej pory zebrano już £.A. 300 i ponad 500 tomów książek. Znaleźli się ofiarodawcy w Anglii, Francji, we Włoszech i w Stanach Zjednoczonych, którzy wysłali spore przesyłki książek. Dary pieniężne należy przesyłać *nie* do mnie ani do Uniwersytetu a do *Polish Millenium Committee, P.O. Box 234, Canberra-City, Australia*. Dary w postaci książek należy adresować wprost do biblioteki: *Polish Collection, Menzies Library, The Australian National University, Canberra, Australia*. Biblioteka pokryje koszt przesyłki po otrzymaniu od-

powiedniego awiza od ofiarodawcy. Korespondować można po polsku, angielsku lub francusku. Każdy dar będzie pokwitowany przez Bibliotekę oraz w prasie polskiej w Australii. Wszystkie dary zaopatrzone będą odpowiednim Ex-libris. Pod koniec Jubileuszowego Roku 1966 — urządzona będzie Wystawa Książki Polskiej w salach wystawowych *Menzies Library w Canberze.*

5. Po skompletowaniu księgozbioru drogą darów książkowych i zakupów w jego głównych działach znajdzie się niewątpliwie pewna ilość duplikatów. Nadmiar książek przeznaczony zostanie dla bibliotek państwowych i uniwersyteckich w stolicach poszczególnych stanów Australii.

Mam nadzieję że apel mój nie pozostanie bez echa wśród czytelników „Kultury".

Z poważaniem

*Jerzy ZUBRZYCKI*
*Dept. of Sociology, Institute of Advanced Studies*
*The Australian National University, Canberra.*

◆

Brisbane, 15. 5. 1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę dorzucić do *Establishmentu Londyńskiego* W.A. Zbyszewskiego w Nr 207/208:

Zwarty wykład o warstwach uprzywilejowanych Anglii, i prawdopodobnie kompletny, przechodzi w *establishment* polski. Wyliczając mniej zresztą niż angielskich elementów, które stanowią szczyt naszej drabiny, autor pomija czynnik najważniejszy, bo niezmienny i przez millenium utwierdzony. Jest to Kościół Katolicki jak i cały naród. Od początku księża i zakonnicy piastując stanowiska kronikarzy, pisarzy, sekretarzy, wreszcie kanclerzy przy boku monarchy kształtowali politykę polską (niezawsze zresztą szczęśliwie). Hierarchią obejmując całe państwo, biskupów i arcybiskupów *establishment* w senacie. Arcybiskup gnieździeński, jako prymas Polski miał godność i faktyczną władzę *interrexa.*

Wszystkie splendory narodu upadły. Zeszliśmy najniżej właśnie na początku drugiego tysiąclecia. Nic nie jest *established* niewzruszenie, oprócz władzy Prymasa i kościelnej, katolickiej i polskiej hierarchii. Z tą jedyną, wspaniałą pozostałością szlacheckiej Rzeczypospolitej, zakotwiczonej w wierze w Boga i w Polskę — proszę to rozdzielić, jeśli ktoś to potrafi — a uosobionej w Prymasie, liczyć się musi dzisiejsza władza w kraju. Na emigracji, obok Andersa i Raczyńskiego, najbardziej w powszechnym szacunku i przekonaniu mas był arcybiskup Gawlina. W rozrzuconych, często małych skupiskach Polaków, rolę cementu i nierzadko władzy *de facto* — ma ksiądz.

Może się to szybko myślącym wolnomyślicielom nie podobać, mogą nie dać na piśmie świadectwa, ale realia niepodlegające dyskusji można pominąć tylko na papierze.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

*S. ŻOCHOWSKI*

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHiswick 1860

*Wydawca:* INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
*Le directeur de la publication:* Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e trimestre 1965

# KULTURA

**REDAKTOR : JERZY GIEDROYC**
**Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**
**Telefon : 962 19-04**


| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz poj. | Prenumerata 1/2-roczna | Prenumerata Roczna |
|---|---|---|---|
| **AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski**, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg | 75 cent. | 4,20 rand | 8,00 rand |
| **ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski**, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires | 7 sh. 9 d. | £ 2.02.00 | £ 4.00.00 |
| **AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd.**, Daking House, Rawson Place, Sydney | 10 sh. (A) | £ A. 2.13.00 | £ A. 5.00.00 |
| **AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut**, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliotek, godz. 19-21). | | 145 szyl. a. | 280 szyl. a. |
| **BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky**, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20 | 60,00 F. b. | 300,00 F. b. | 560.00 F. b. |
| **BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman**, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 6335, Sao Paulo, tél. : 35-5584. | | | |
| **FRANCJA** : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w ksiegarniach polskich w Paryzu | 5,00 F. | 26,00 F. | 50,00 F. |
| **HOLANDIA : T. Szpilczynski**, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538 | 4,00 Fl. h. | 22,00 Fl. h. | 41,00 Fl. h. |
| **IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc**, Holon, Sokolow Nr. 40 | | 15 £ Izr. | 28 £ Izr. |
| **KANADA : M. Jaxa-Debicka**, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska**, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; **M. Krol**, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; **« Zwiazkowiec »**, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **W.T. Drymmer**, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407 | 1,50 $ Can. | 8,00 $ Can | 13,00 $ Can. |
| **NIEMCY : St. M. Mikiciuk**, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1 | 4,50 DM | 24,00 DM | 46,00 DM |
| **NORWEGIA : Br. Lubinski**, Klommenstengt 8, Moss. | 5,50 F. | 28,00 F. | 54,00 F. |
| **SZWAJCARIA : Maria Wasung**, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431 | 4,75 F. s. | 25,00 F. s. | 48,00 F. s. |
| **SZWECJA : Norbert Zaba**, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm. | 6,00 Kor. | 30.00 Kor | 58,00 Kor. |
| **U.S.A. : Jerzy Bienkowski**, 627 Tracy St., Utica, N.Y., **S. Dobczynski, Alma Shipping C°**, 121 St. Marks Pl., New York 9, **N.Y., L. Dudarew Ossetynski**, 1603 No Fuller Ave.; Hollywood 46, Cal.; **S. Dziarczykowski**, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; **M.K. Dziewanowski**, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; **T. Konopacki**, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz**, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., **V.B. Kwast**, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **Polish Amer, Book C°**, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak**, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca**, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing C°**, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; **R.J. Sas-Babczynski**, 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; **Jan Wojcik**, 131, Gold Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski**, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych**, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740 | 1,25 dol. | 7,00 dol. | 12,00 dol. |
| **W. BRYTANIA : « Gryf »** Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 | 7 sh. 9 d. | £ 2.02.00 | £ 4.00.00 |
| **WLOCHY : Witold Zahorski**, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241 | 700 L | 3.600 L. | 7.000 L. |

**W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.**

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

## *Nowości*

### BIBLIOTEKI "KULTURY"

**TOM CXIII** — Seria « Archiwum Rewolucji »

### BORYS LEWICKYJ

# TERROR I REWOLUCJA

Autor pokazuje w tej pracy historyczną rolę terroru w poszczególnych fazach rozwojowych sowieckiego systemu.

Str. 288 Cena egz. 15 F. (22/6; $ 3,25)

◆

**TOM CXIV**

### STANISŁAW VINCENZ

# PO STRONIE PAMIĘCI

Wybór essejów

*Po stronie pamięci* oznacza walkę z zapomnieniem i ze śmiercią jako równoległymi czynnikami niszczenia ludzkości.

Str. 256 Cena 13,50 F (20/; $ 3,00)

◆

**TOM CXV**

### DANUTA MOSTWIN

# OLIVIA

W swej nowej powieści autorka — opierając się na swym doświadczeniu jako *social worker* — opisuje charakterystyczny wypadek kryzysu w życiu rodzinnym i młodzieży amerykańskiej.

Str. Cena egz. 15 F (22/6; $ 3,25)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIII^e)

**Cena 7,50 F**